Colleen Thompson
Głębia jeziora

Rozdział 1

Już sam fakt, że jedno z przykazań akcentuje słowa: „nie zabijaj", upewnia nas, że wywodzimy się z nieskończenie długiego łańcucha pokoleń morderców, którzy uwielbienie dla morderstwa mieli we krwi, prawdopodobnie tak jak nasze pokolenie.

Zygmunt Freud

Wiosło wbijało się głęboko pod zieloną jak mech taflę wody, wgryzało i przekręcało niczym ostrze śmiercionośnego noża. Mężczyzna, który je trzymał, ciągnął łódkę naprzód, nie zważając na przyspieszone bicie serca ani obolałe mięśnie, kluczył w bagnistym labiryncie bladych drzew: upiornych wartowników zatopionego dawno temu lasu. Gałęzie podobne do szkieletów wyciągały się ku srebrzystemu niebu, ich kościste palce otulał hiszpański mech i welon mgły, która zwiastowała nadejście świtu.

Nisko nad wodą przeleciała biała czapla, wydając przenikliwy krzyk, a potem cieńszy, bardziej melodyjny świergot zapowiadał, że zaraz wzejdzie słońce. Mężczyzna spojrzał na zegarek, zaklął i wyrzucił papierosa, którego nie mógł już dopalić. Musiał się pośpieszyć, musiał wynieść się stąd jak najprędzej, bo wiedział, że przeklęty rybak, który często łowi w jeziorze, zjawi się z samego rana, bez względu na pogodę. Nie mógł ryzykować, że ciche uruchomienie elektrycznego silnika sprowadzi tu kogoś, kto zauważy brak sprzętu wędkarskiego albo usłyszy plusk wyrzucanego z łódki balastu.

Szybko przekonał się, że nie będzie łatwo. Oblał go pot, kręgosłup odmawiał posłuszeństwa, ale mężczyzna uparcie taszczył ładunek, klnąc na czym świat stoi. Mógł dać za wygraną, wyjść w jakimś miejscu na brzeg i porzucić starą łódź wraz z jej odrażającą zawartością. Obiecał jednak, że zrobi wszystko jak należy, a takie zobowiązanie dużo dla niego znaczyło. Odróżniało go od zwierząt, które kierowały się instynktem, od tych pustych istot, lubiących nazywać się mężczyznami i kobietami, chociaż on dobrze wiedział, że są co najwyżej cieniami. To przeświadczenie dotyczyło również cienia, z którym mężczyzna zawarł umowę na czas określony.

Przyszło mu na myśl, żeby posłużyć się wiosłem jak dźwignią. Wykorzystał poprzeczkę jako punkt oparcia i wsunął pióro wiosła pod okryte plastikiem zwłoki, a następnie, dysząc z wysiłku, naparł na nie.

Poczuł mdłości, gdy głowa uderzyła o plastikowy kadłub, zanim ciało runęło z impetem do wody.

Łódka zakołysała się i o mało nie wywróciła, ale mężczyzna wstał z kolan i usiadł na środku. Skrzywił się, bo do spodni przylgnęła mu warstwa błota i krwi z dna łodzi. Obserwował bąbelki na powierzchni wody, potem przyglądał się dokładnie miejscu, w którym dostrzegł - albo tak mu się przywidziało - trzepoczące blade palce. Pożegnalna fala rychło zniknęła w mrocznej toni Jeziora Kości.

Westchnął ciężko, zawrócił do miejsca, w którym zamierzał zatopić łódkę. Wśród nenufarów pojawiły się na moment ślepia i poruszył się ogon potężnego aligatora.

Mężczyzna w łódce poderwał się na ten widok, uśmiechnął ironicznie. W jego głosie można było wyczuć nutkę pobożnego życzenia, a także charakterystyczny akcent, który pojawiał się i znikał na zawołanie.

- Dziś ja stawiam śniadanie, panie smoku. Masz się porządnie nażreć, gadzie, zrozumiano?

Lekko skinął głową, uznając, że tylko jemu mógł powierzyć sekret: jedynej istocie, która dawała pewność, że nie trzeba będzie jej zabić.

4 kwietnia

Kiedy samolot wylądował w Dallas, Ruby Monroe czuła podniecenie, radość i wielką ulgę.

Mimo że brzuch ją bolał ze zdenerwowania, bez najmniejszych problemów przeszła odprawę celną w Atlancie. Pędem, jakby niósł ją wiatr, wbiegła na pokład samolotu, który miał ją odtransportować do domu. Przepracowała na kontrakcie rok jako kierowca autobusu rozwożącego personel po Iraku, i teraz wreszcie będzie mogła zamienić piasek pustyni na piaskownicę, bawiąc się z Zoe; nie mogła doczekać się, żeby wyściskać i wycałować swoją czteroletnią córkę, za którą tak strasznie tęskniła. Podczas gdy samolot kołował w stronę terminalu, Ruby zignorowała komunikat, żeby jeszcze nie rozpinać pasów bezpieczeństwa. Zamiast siedzieć w fotelu, chwyciła plecak i przesunęła się do przodu, myśląc tylko o tej cudownej chwili, kiedy wreszcie znajdzie się w raju makaroników SpaghettiOs i książeczek z historyjkami, i usłyszy nowe, niemające końca pomysły Zoe, by

opóźnić pójście do łóżka. W rozmowach przez telefon córeczka nieraz mówiła: „Ciocia Misty zabrała mnie na przejażdżkę kucykiem" albo „Ciocia Misty zaplotła mi warkoczyki", ale Ruby była pewna, że Zoe tęskni za jedynym rodzicem, którego znała. Przyrzekła sobie, że wynagrodzi małej długie rozstanie - postara się, by ten ostatni rok należał do przeszłości, i zrobi wszystko, by o nim zapomnieć.

Mocno wierzyła, że jej się to uda, tylko najpierw dotrzyma danego kiedyś słowa. Żałowała, że nie może podjąć ryzyka i zrobić czegoś w związku z podejrzeniami wobec swojego pracodawcy, DeserTek. Ale przyszłość rodziny stawiała na pierwszym miejscu, dlatego postanowiła, że przedmiot, który ze sobą przywiozła, wrzuci do publicznej skrzynki pocztowej i zapomni o sprawie.

Gdy samolot zakończył kołowanie, prawie wszyscy pasażerowie siedzący przed nią poderwali się z foteli i zaczęli wyjmować ze schowków zimowe okrycia, walizki na kółkach, miniatury strusi i słoni, blokując przejście. Ruby, która miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu i filigranową budowę ciała, nie mogła przepchnąć się przed nimi i zanim przyszło jej do głowy, żeby wykorzystać status osoby, która właśnie wróciła z Iraku, było już za późno. Co prawda kilka poczciwych dusz przepuściło ją, ale dalej nie zdołała się przecisnąć. Przestępując z nogi na nogę, próbowała zachowywać cierpliwość; modliła się w duchu, żeby tłum się przerzedził, i bardzo się starała nie przeklinać.

Minęły co najmniej dwa stulecia, zanim przecisnęła się przez wyjście i szła szybko zadaszonym przejściem, dopóki jakaś zwalista kobieta, ciężko dysząca za swoim balkonikiem, nie zablokowała jej drogi. Ruby gwałtownie przystanęła i aż jęknęła, ale uczona od małego dobrych manier milczała i zmusiła się do cierpliwego czekania. Kiedy wreszcie dotarła do terminalu, puściła się pędem po ruchomym chodniku, aż plecak podskakiwał jej na ramionach.

- Przepraszam, przepraszam - mówiła jednym tchem, wymijając ludzi, gdy biegła do hali, gdzie można było odebrać bagaż. W środku zaczęła wypatrywać złocistych włosów Misty. Nie dostrzegła ani siostry, ani Zoe. Rozglądała się nerwowo, serce jej waliło, nie wiedziała, na którym stanowisku będą jej walizki. Przeczytała informacje na jakimś monitorze i pobiegła do właściwego miejsca. Uśmiechała się od ucha do ucha, zerkała na prawo i lewo w poszukiwaniu znajomych twarzy. Taśma przenośnika zahuczała i

ruszyła, ale kiedy pojawiło się na niej kilka pierwszych walizek, Ruby uświadomiła sobie, że jej rodziny tu nie ma.

Może Misty jest na zewnątrz i parkuje auto, pomyślała. Albo może po prostu przegapiła wylot na trasę prowadzącą do portu lotniczego, zdarzało się jej „wyłączać", kiedy słuchała muzyki podczas dłuższej jazdy. Albo utknęła w korku, ruch nawet o pierwszej trzydzieści mógł stanowić problem, Dallas było milion razy bardziej zatłoczone niż rodzinne miasteczko we wschodnim Teksasie, gdzie mieszkały jako nastolatki.

Wątpliwości z wolna ustępowały miejsca rozdrażnieniu. Czy to możliwe, żeby jej siostra, która się nigdy nie spóźniała, straciła rachubę czasu? Przecież wiedziała, ile ten dzień znaczy dla Ruby. Dzień powrotu do domu, najważniejszy w jej życiu. Ruby zdawała sobie sprawę, że nie powinna robić siostrze wyrzutów. Przez cały rok Misty godziła swoje zajęcia i pracę na pół etatu z zajmowaniem się Zoe, jej obtartymi kolanami i bólami żołądka, jej wahaniami nastroju od pogodnej szczebiotki do nieznośnego diabełka. Wszystko po to, żeby Ruby wystarczyło pieniędzy na dokończenie studiów pielęgniarskich i zabezpieczenie przyszłości córki.

Ściągnęła plecak z ramienia i wyjęła z kieszeni telefon komórkowy, po czym nacisnęła klawisz szybkiego wybierania numeru. Cyfrowo przetworzony głos oznajmił, że operator zablokował numer komórki Misty.

- Niech to cholera! - powiedziała, zapominając o swoim mocnym postanowieniu przed przyjazdem do domu, żeby oduczyć się przekleństw.

Uznała, że to pomyłka, przecież rozmawiała z siostrą zaledwie trzy dni wcześniej. Kiedy znów wybierała numer, popchnął ją jakiś mężczyzna, z wyglądu czterdziestoparoletni, w poluzowanym krawacie i z podwiniętymi rękawami; zaczepił o plecak tak, że jego pasek zsunął się z ramienia, a ręka, w której trzymała telefon przy uchu, opadła.

Machnęła dłonią w stronę przepraszającego ją mężczyzny, postawiła plecak przy nogach i z powrotem przyłożyła komórkę do ucha. Akurat w momencie, gdy telefon zaczął odtwarzać nagraną wiadomość, z denerwującą natarczywością.

No, wiesz co, Misty! Nie mogłaś dopilnować terminu zapłaty rachunku? - Mimo że miała dług wdzięczności wobec młodszej

siostry, w tym momencie udusiłaby ją za to zaniedbanie. Przecież Misty nie brakowało pieniędzy, dysponowała kontem bankowym, żeby mogła wymienić przeciekający dach i zapewnić Zoe odpowiednią opiekę. Ruby pokrywała świadczenia, a Misty powinna przynajmniej uiszczać opłaty w terminie. W domu nad jeziorem nie było telefonu stacjonarnego, nie miała innego sposobu skontaktowania się z siostrą.

Nagle usłyszała pogodny, dziecięcy głosik. Poczuła ogromną ulgę i rozejrzała się dookoła. Zaparło jej dech w piersiach na widok mężczyzny, który wcześniej ją potrącił, a teraz podnosił chichoczącą rudowłosą dziewczynkę; uradowana spotkaniem zarzucała mu na szyję pulchne ramionka.

Ruby odwróciła się z westchnieniem, sięgnęła ręką do paska plecaka i zamarła. Cholera! Spuściła z niego wzrok zaledwie na moment. Serce jej waliło jak młotem; gorączkowo rozglądała się dookoła, patrzyła to na jakąś starszą kobietę, to na dwóch nastolatków, to na osoby, które widziała na pokładzie samolotu.

- Może ktoś ma mój plecak? - zapytała głośno. - Czy ktoś nie wziął przez pomyłkę nie swojego...

Niektórzy rozglądali się dookoła, jakby próbowali udawać, że rozpoznają jej plecak. Nikt nie spojrzał Ruby w oczy, z wyjątkiem mężczyzny w pogniecionym ubraniu, który wskazał jej pracownika ochrony lotniska.

- Lepiej niech pani pójdzie to zgłosić - poradził. Zaklęła. Nie mieściło jej się w głowie, że przeżyła pobyt w strefie wojny, lecz kiedy znalazła się w Teksasie, padła ofiarą zwykłego przestępstwa.

A jeśli to nie jest przypadek? Jeśli szefostwo zorientowało się, że byłam ostatnią osobą, która rozmawiała z Carrie Ann, tylko ja mogłam przekazać... Ruby przeszył okropny strach. Nie powinna była się w to wszystko mieszać.

Roztrzęsiona, podbiegła do ochroniarza, dobrze zbudowanego młodego Murzyna, który wypytywał, jak wygląda plecak, a potem przez krótkofalówkę powiadomił służby porządkowe i odszedł. Po irytująco długiej przerwie, w trakcie której Ruby wypełniła protokół kradzieży i wypatrywała swojej rodziny, oficer wreszcie wrócił.

- Niestety nie odnaleźliśmy plecaka i nic już nie możemy zrobić, żeby pani pomóc. Kamery zarejestrowały szczupłego mężczyznę o ciemnych włosach - białego albo Latynosa. Biegł z pakunkiem, który

mógł należeć do pani; wskoczył do jasnego chryslera, w którym czekali na niego kumple - nie byliśmy w stanie odczytać tablic rejestracyjnych - i natychmiast odjechał. Miała pani w plecaku portmonetkę?

Skinąwszy głową, wręczyła mu formularz, wymieniła całą zawartość plecaka, z wyjątkiem jednej rzeczy. Oprócz prawa jazdy, które wepchnęła do kieszeni, żeby pokazać je ochronie, i karty kredytowej, której użyła, żeby kupić magazyn i napój jeszcze w Atlancie, zostawiła w bagażu całą gotówkę i wszystkie karty, nawet paszport, a także maskotkę dla Zoe oraz kilkanaście zdjęć rodziny. Jednak te straty nie znaczyły nic w porównaniu z kradzieżą flashdrive'a, który wszyła w podszewkę plecaka. Na myśl o tym ugięły się pod nią kolana.

Jeżeli DeserTek jakimś sposobem wie... Pomyślała o surrealistycznej propozycji, jaką kierownictwo przedstawiło jej w ostatnim dniu pobytu w Iraku. Z obrzydzeniem odrzuciła ofertę nieporównywalnie większego wynagrodzenia od płacy, której mogła oczekiwać jako dyplomowana pielęgniarka.

- Tacy złodzieje nie tracą czasu - mówił ochroniarz. - Musi się pani liczyć z tym, że w ciągu najbliższej godziny wyciągną z pani kart, ile się da.

- Więc kradzieże są tu nagminne? - W tym momencie była nie tyle zmartwiona, ile wściekła. - Dlaczego nie zrobi się czegoś, żeby to ukrócić?

Oficer wzruszył ramionami, które wyglądały tak, jakby mogły zmiażdżyć terenówkę Humvee.

- Przykro mi, proszę pani, ale to jest tak, że uda nam się zgnieść dwa cholerne karaluchy, a na ulice wypełza dziesięć kolejnych. Miejskie gangi są dobrze zorganizowane; jasne, że to jakiś gang. Najlepiej zadzwonić pod ten numer. - Wręczył jej zadrukowaną kartkę. - Pomogą skontaktować się z operatorami pani kart kredytowych i z bankiem. A jeśli ten bagaż należy do pani, to proszę go zabrać, zanim ktoś inny wpadnie na taki pomysł.

Ruby rzeczywiście spoglądała na torbę, która właśnie była przez kogoś odbierana, podczas gdy jej dwie samotne walizki sunęły po niekończącej się pętli donikąd. W napięciu obserwowała, czy ktoś się do nich zbliża. Gdyby po nie sięgnął, podniesie taki raban, że złodziej na pewno nie ucieknie.

- Da sobie pani radę? Czy ktoś po panią przyjedzie? - zapytał młody ochroniarz, kiedy szli w stronę taśmy do odbioru bagażu.

- Dziękuję. Wszystko będzie dobrze. Moja rodzina trochę się spóźnia, ale już po mnie jedzie.

Krótkofalówka szefa ochrony zaskrzeczała. Zmarszczył czoło, przeprosił Ruby i szybko oddalił się w stronę stanowiska dla autobusów.

Ruby przeciągnęła swoje walizki do ławki, na której zaraz usiadła. Od razu skorzystała z telefonu, żeby unieważnić karty kredytowe zostawione w portfelu. Załatwienie tej sprawy zajęło jej trochę czasu, ale Misty i Zoe wciąż się nie pojawiały. Zerknęła na zegarek, miała wrażenie, że jej żołądek zrobił salto.

Gdzież one mogą być, u licha? Jakiś problem z samochodem, przedziurawiona opona? A może zdarzył się wypadek?

Natychmiast odrzuciła tę myśl. Samo słowo „wypadek" boleśnie przypominało jej o pikających monitorach, syku respiratora i lekarzu, który patrzył ze smutkiem na jej widoczną ciążę, a jednocześnie sugerował, że zgoda na oddanie narządu to sposób, by z tragedii jej rodziny wynikło coś pozytywnego. Rozmyślania o mężu Aaronie przypomniały jej, że ludzie giną nie tylko tam, gdzie toczy się wojna, że nawet ci, których się kocha, nigdy nie mogą się czuć naprawdę bezpiecznie. W łamiących serce wspomnieniach pojawił się obraz małej hondy, którą dała Misty przed wyjazdem i która była tak samo zniszczona jak motocykl Aarona... Znów zobaczyła pokiereszowane ciało córeczki, wydobyte z wraku.

Nie wracaj do tego, nakazała sobie. Ani się waż. Pomyśl o tym, że już za chwilę przytulisz Zoe, o wąchaniu jej pachnących truskawką włosów. Zobaczysz prawdziwą dziewczynkę, a nie obrazki, usłyszysz jej śmiech i już nie będziesz musiała zadowalać się rozmową telefoniczną, która z pewnością była monitorowana, nagrywana i analizowana.

Rozmowa z panią Lambert, kierowniczką przedszkola, do którego chodziła Zoe, nie poprawiła Ruby samopoczucia.

- Bogu trzeba dziękować, że wróciła pani do domu cała i zdrowa - powiedziała starsza pani. - Zoe nie przychodziła do nas już od tygodnia. Z powodu przeziębienia. Misty mówiła, że ma katar, dlatego zatrzymała ją w domu dopóki nie będzie pewna...

- Zoe jest chora? - To niemożliwe. Misty nie wspomniała o tym ani słowem, kiedy rozmawiały trzy dni wcześniej.

- Umieściłam kochaną dziecinę na mojej liście modlitw - zapewniła pani Lambert. - Ale co z panią? Potrzebuje pani kogoś, kto by panią odebrał? Mówiła pani, że jest w mieście, prawda?

- DFW. - Ruby podała skróconą nazwę największego portu lotniczego, który obsługiwał metropleks Dallas - Fort Worth. - Proszę się nie martwić, poradzę sobie. Jeżeli siostra nie przyjdzie, wynajmę samochód.

Nie miała zamiaru czekać trzy godziny na szacowną Myrtle Lambert, która z pewnością przez całą drogę do domu prawiłaby jej kazania o tym, że matka, która na tak długo pozostawia swoje dziecko, grzeszy, i nie może liczyć na łaskę Boga.

Prawdopodobnie Misty zabrała Zoe do lekarza. A może obie zasnęły i... Tak czy owak, lepiej będzie, jak pojadę sama zdecydowała.

Spróbowała jeszcze skontaktować się z najlepszą przyjaciółką Misty, Crystal, ale od razu włączyła się funkcja „zostaw wiadomość". Zadzwoniła do restauracji Hammett's nad Jeziorem Kości, gdzie Misty i Crystal pracowały jako kelnerki, lecz znowu usłyszała nagraną na sekretarce wiadomość, że lokal chwilowo nieczynny zostanie otwarty około siedemnastej, kiedy zacznie się godzina promocji. „Zaspokoimy wszystkie potrzeby klientów związane z barkiem, grillem i wypoczynkiem".

Ruby zastanawiała się, kto jeszcze mógłby coś wiedzieć o Misty. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł: Zadzwoni do Sama McCoya, chociaż zwracanie się o pomoc do nieznajomego - a zwłaszcza do tego nieznajomego - nie budziło w niej entuzjazmu. Aaron, zawsze lojalny wobec przybranego brata, nie podzielał złej opinii o Samie. Ale to dotyczyło czasów, kiedy bogaty McCoy, spec od komputerów, był partnerem w jego firmie w Austin, a nie skompromitowanym przestępcą, który sprowadził się tu z powrotem - po wykupieniu sąsiedniego domu - żeby lizać rany. Wyobraźnia podsuwała jej obraz Sama: ciemne włosy, przystrzyżone krótko, bystre, brązowe jak miód oczy i delikatnie zarysowane mięśnie - pamiętała, jak je napinał, pomagając ludziom z firmy od przeprowadzek ściągnąć z ciężarówki ogromny materac.

- Chyba chciałabym mu pomóc ochrzcić ten materac - powiedziała kiedyś rozbawiona Misty.

- Nie wyobrażaj sobie, że ten kryminalista może przebywać w pobliżu mojej córki - ostrzegła ją Ruby. Owszem, był wykształcony, a kiedyś, gdy spotkali się przypadkiem na poczcie, sprawiał wrażenie uprzejmego. Słyszała, że dostał wyrok, chociaż nie spędził ani jednego dnia w więzieniu. Wiedziała również, że Monroe'owie, którzy dotychczas zawsze okazywali wprost anielską cierpliwość, wyrzucili Sama z domu zaledwie parę miesięcy przed jego osiemnastymi urodzinami, ale nigdy nie dowiedziała się, dlaczego podjęli taką decyzję.

Zdołała jakoś opanować nerwy i połączyła się z informacją:

- Poproszę Unincorporated Preston County, rejon Dogwood. Poszukuję numeru na nazwisko Sam albo Samuel McCoy, adres: South Cypress Bend.

- Mam kontakt służbowy - poinformował operator. - Przy 41 South Cypress Bend. Czy może chodzić o tę firmę?

- Z pewnością. - W promieniu czterech kilometrów od jej domu nie było nic oprócz stanowego rezerwatu. Nabazgrała numer na odwrocie paragonu za ostatnie zakupy i wystukała go na klawiaturze telefonu.

Automatyczna sekretarka włączyła się po czwartym dzwonku, a nagrana wiadomość wprawiła Ruby w osłupienie: „Dodzwoniłeś się do The Reel McCoy, znakomitego przewodnika wędkarskiego po Jeziorze Kości. Najprawdopodobniej właśnie przebywam na wodzie, ale jeśli zostawisz swoje nazwisko i numer telefonu..."

Przewodnik wędkarski? Zmarszczyła brwi. Czy podano jej właściwy numer? Ale ten adres na pewno był dobry, bez względu na to, czy Sam rzeczywiście podjął dziwną decyzję w sprawie swojej kariery zawodowej. Rozłączyła się, ogarniał ja coraz większy niepokój o Zoe i Misty.

Patrzyła sfrustrowana, jak następna grupa pasażerów odbiera bagaże. Powtarzała sobie, że lada moment pojawi się jej siostra i zacznie ją przepraszać, a Zoe, szczęśliwa, będzie podskakiwać i pokrzykiwać radośnie.

Ruby wzięła głęboki oddech, jej serce przepełniała słodka radość wyczekiwania, kiedy obserwowała stale napływający strumień podróżnych witanych przez swoich bliskich, ale miłe podniecenie

szybko wypierał paniczny lęk, czuła, jak minuty i godziny zdążają ku wieczności.

Rozdział 2

Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze; Czysta anarchia szaleje nad światem...

William Butler Yeats

(William Butler Yeats, fragment wiersza Drugie przyjście, tłum. Stanisław Barańczak.)

Kiedy jazgotliwa muzyka przebiła się przez warkot silnika łodzi, Sam McCoy powiedział sobie, że to nie jego sprawa, do cholery, ściemniało się, powinien jak najszybciej wyjść z wody i oczyścić swoją zdobycz. Lepiej pomyśleć o wieczorze, podczas którego usmaży okonia, wypije zimne piwo, obejrzy sport w telewizji i weźmie ciepły prysznic, niekoniecznie akurat w tej kolejności.

Co z tego, że jego jedyna sąsiadka, Misty Bailey, i jej nowi „przyjaciele" mieli ochotę spędzić kolejny wieczór, kalecząc sobie bębenki tym hałasem? Przecież i tak nikt go nie pytał o zgodę, ani nie był zainteresowany jego opinią. Niech mama niedźwiedzica zajmie się tym problemem, kiedy wróci. Słyszał, że ma się pojawić na dniach. Załomotały basy i Java, która stała na płaskim dziobie łodzi do połowów, odwróciła się do niego i zaskamlała.

- A ty czego chcesz? - Popatrzył na labradora, który upartym spojrzeniem błagał o pozwolenie zeskoczenia z pokładu.

Kilka miesięcy wcześniej Java odkryła tę małą dziewczynkę z sąsiedniego domu i była to miłość od pierwszego wejrzenia. Dla Sama zaczęły się kłopoty, sunia wciąż ciągnęła na tamten teren. Misty starała się trzymać psa na dystans, ale tolerowała „wizyty" ze względu na siostrzenicę.

Ze względu na córkę Aarona... Na myśl o tym Samowi ściskało się serce, bo dostrzegał Aarona Monroe w twarzy Zoe, w rozwianych, jasnych włosach dziecka, w zniewalającym uśmiechu. Dziwne, że właśnie tak reagował, zwłaszcza że był bardzo wkurzony, gdy widział Aarona ostatni raz. Tym bardziej dziwne, że nigdy nie przepadał za dziećmi, a jednak widok Zoe baraszkującej z Java przypominał mu o jedynym przyjemnym okresie w przeszłości, do którego nie starał się wracać myślą. Spoglądając w stronę domu Monroe'ów, zastanawiał się, jak czuje się Zoe teraz, gdy jej opiekunce odbiła palma? W jaki sposób mały dzieciak był w stanie sobie radzić z całym tym zgiełkiem? W dodatku Sam domyślał się, że hałas nie jest

największym problemem, bo nawet jak na okolice Jeziora Kości kobieta i jej dwóch kompanów, których tam wypatrzył, wyglądali na zniszczonych życiem. A jeśli pili alkohol, brali narkotyki i nie wiadomo co jeszcze robili na oczach tej małej dziewczynki?

Co, u licha, Misty Bailey, kobieta niezwykłe atrakcyjna, a także diablo inteligentna mogła widzieć w takich łachudrach? W restauracji Hammett's, gdzie kelnerowała na pół etatu, mogła przebierać w ofertach przyzwoitych facetów, mających dobrą pracę, ale dawała im kosza i robiła to z niewymuszonym wdziękiem, który tak u niej podziwiał.

Nawet po tym, kiedy jego odprawiła z kwitkiem.

Trzymaj się z dała od tej historii, podpowiadał mu zdrowy rozsądek. Czyżbyś nie miał dość kłopotów w życiu, bo nadstawiałeś karku za innych?

Muzyka nagle ucichła i z domostwa Monroe'ów zaczęły dochodzić krzyki. Tym razem Java nie czekała grzecznie na pozwolenie pana, wskoczyła do Jeziora Kości i płynęła do brzegu.

- A niech cię szlag, wracaj! - wrzasnął za nią, ale nie posłuchała. Klął siarczyście, manewrował łódką, żeby nie nadziać się na sterczące gałęzie cyprysów i nie stracić z oczu Javy. Pies wdrapał się na korzenie potężnego drzewa, otrząsnął z wody, pognał w stronę, skąd dochodził męski głos. Sam przycumował łódkę na przystani Monroe'ów, zawahał się, ale pokręcił głową i ruszył biegiem za niesfornym psem, żeby go złapać i wrócić do domu.

- Java, chodź! - zawołał głośno, by zasygnalizować mieszkańcom swoją obecności, bo prawdę mówiąc, nie miał nadziei, że szczeniak posłucha. Przeszedł z przystani na wyliniały trawnik, zagwizdał i zaczął iść pod górę, w stronę domu. Omiótł wzrokiem nieosłonięty ganek zaniedbanego, dwupiętrowego domu z cedru, któremu bez wątpienia przydałby się nowy dach. Z wnętrza dobiegał hałas, ujadały psy, dziwne, nigdy tu ich nie widywał. Zionęło smrodem kocich sików i piżma.

Po lewej stronie domu jakiś mężczyzna bez koszuli, wytatuowany i umięśniony, stał blisko podjazdu, odwrócony plecami; psy tak szczekały, że nie usłyszał Sama.

- Spadaj stąd! Wynoś się, do kurwy nędzy, bo zaraz poszczuję psami! - Mężczyzna wygarniał jakiejś osobie w małym, z wyglądu

nowym chevrolecie, zaparkowanym obok upstrzonego błotem czarnego sedana.

Java stanęła raptem parę metrów od niego, przyczaiła się i zaskamlała. Kiedy odwrócił się, Sam zauważył w jego ręku broń - wycelowaną w psa.

- Hej, bez przesady! Przecież tu jestem! - Sam zrobił krok do przodu, starając się zachowywać naturalnie i spokojnie, jak przystało na nieszkodliwego sąsiada. Odczuwał w tym momencie wielki niepokój, bał się o Zoe i jej ciotkę, ale zdawał sobie też sprawę, że martwy na nic nikomu się nie przyda.

- Co jest, do...? - Mężczyzna wzdrygnął się, popatrzył dzikim wzrokiem i wycelował do niego z rewolweru.

Sam podniósł dłonie, jakby były w stanie powstrzymać kule.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Tylko zabiorę szczeniaka i już nas nie ma. - Zadzwoni do biura szeryfa ze swojego domu, i da sobie z tym wszystkim spokój.

Mężczyźnie trzęsły się ręce, mrugał nerwowo, wyglądał na oszołomionego. Na policzku miał wytatuowane „666", włosy pozlepiane w strąki, popsute zęby i podkrążone oczy. Taki wygląd na pewno nie mógł być efektem trzydniowej popijawy, ale wieloletniego uzależnienia.

- Jestem przyjacielem Misty. - Sam miał nadzieję, że te słowa jakoś przywrócą facetowi równowagę. - Czy są tu gdzieś, ona i Zoe?

- Co to za jedna, ta Misty? - wybełkotał mężczyzna. Kobieta w chevrolecie krzyknęła głośno:

- Wezwałam policję! Lada chwila tu będą.

Wprawdzie Sam nie widział jej twarzy, ale pomyślał że to może być Ruby Monroe. Zanim zdołał zareagować, mężczyzna zaczął obrzucać kobietę przekleństwami.

Ruby gwałtownie zawróciła samochód, wzbijając w górę żwir, i zanim odjechała, rozległy się strzały.

- Java! - Sam pędził w stronę drzew, które oddzielały jego dom od domu Monroe'ów. Liczył, że grube pnie cyprysów dadzą mu jakieś schronienie na wypadek strzelaniny.

Znów usłyszał strzał, a po nim psi skowyt.

- Sukinsyn - warknął, zaciskając pięści. Jednak zanim zdążył zrobić coś szalonego, Java czmychnęła obok niego i pognała w stronę domu; zniknęła błyskawicznie w szerokim na sto metrów zagajniku

między zabudowaniami. W słabym świetle Sam nie był w stanie stwierdzić, czy jest ranna.

Ruszył w pogoń za psem, potykając się o zwalone konary. Zdyszany dotarł do domu, zaczął usuwać z przedramion dokuczliwe mrówki, i wciąż na próżno wypatrywał Javy. Niebieski Chevrolet, z nalepką wypożyczalni samochodów, stał na pobliskiej ulicy. Samowi aż serce podskoczyło na widok dziury po kuli, która przeszła przez tylną szybę. Podbiegł do drzwi po stronie pasażera i zobaczył Ruby.

- Co, do diabła... Nic ci się nie stało? - Głos mu drżał ze zdenerwowania.

- Gdzie jest moja córka? - Była bardzo blada, miała szeroko otwarte oczy. - Gdzie jest Misty? I kim jest ten szaleniec?

Odwrócił się, spojrzał w stronę jej domu, potem otworzył drzwi samochodu i usiadł na miejscu pasażera.

- Odjedź kawałek i zawróć. Jeżeli czekają nas kłopoty, to lepiej, żeby atak nie zaskoczył nas od tyłu.

- Dobrze, ale co się...

- Jesteś pewna, że nie oberwałaś?

Kiedy pokiwała głową, sięgające podbródka jasnobrązowe włosy na moment przysłoniły zmartwioną twarz.

- Nie jestem ranna. A ty?

- Nic mi nie jest. Policja naprawdę się tu zjawi, tak? - Ten kraniec jeziora patrolowało regularnie tylko dwóch policjantów, teraz powitałby ich z radością. - Nie blefowałaś?

- Nie, wezwałam policję. - Odwróciła wzrok, spojrzała na swój dom, potem na drogę, a potem znów na Sama. - Gdzie jest moja rodzina? Misty miała mnie odebrać z lotniska.

- Nie widziałem ich od kilku dni. - Zastanawiał się jednak, czy nie upłynęło ich więcej. Był zajęty pokazywaniem miejsc wędkarzom, którzy bardzo chcieli wykorzystać okres tarła. Uświadomił sobie, że od czasu kiedy ostatni raz widział Zoe albo jej ciotkę, mógł minąć nawet tydzień, no a Misty nie było w Hammett's odkąd... Zimny dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie na myśl o tym, co przez ten czas mógł im zrobić uzbrojony narkoman.

- Dzwoniłam na komórkę Misty, ale numer był niedostępny. Próbowałam skontaktować się z tobą, też nie miałam szczęścia.

- Wyszedłem łowić ryby. - Kiedy nie było klientów, wędka i kołowrotek dawały mu zajęcie. Nie miał czasu rozmyślać o zasadach

swojego warunkowego zwolnienia... W każdym razie myślał o tym rzadziej.

- Kto to jest i skąd się wziął ten straszny mężczyzna?

- Przykro mi, ale nie mam pojęcia. Poszedłem tam, żeby zabrać swojego psa.

- Jeśli on coś zrobił Zoe, jeśli choć włos spadł jej z głowy, to przysięgam... - W błękitnych oczach Ruby była determinacja, ale głos brzmiał dziwnie spokojnie. - Zabiję go.

Sama przeszedł dreszcz, zdał sobie sprawę, że Ruby nie żartuje. Domyślał się, iż przez ostatni rok napatrzyła się w Iraku takich okropności, że byłaby zdolna do skrajnej reakcji.

- Nie widziałem tam samochodu twojej siostry. Założę się, że zabrała dokądś Zoe - powiedział, nie chcąc, żeby Ruby rozważała najczarniejszy scenariusz. Pocieszał ją, choćby ze względu na Aarona albo jego rodziców. - Uciekły w jakieś bezpieczne miejsce, z dala od tych ciemnych typów.

- Co to za ludzie? Jest ich więcej? W moim domu? Skinął głową.

- Parę dni temu, może tydzień, widziałem tam trzech facetów, nieciekawych. Ale twoja siostra była z nimi. Pili piwo na tylnym ganku, śmiali się. Zoe biegała, bawiła się i nie wydawała się przerażona.

- Boże, gdzie są ci ludzie szeryfa? - Ruby zazgrzytała zębami i kolejny raz zawróciła, żeby spojrzeć na drogę w obu kierunkach. - Już dawno powinni tu być.

- Też tak myślałem. Daj im parę minut i zadzwoń jeszcze raz.

Rozglądali się w milczeniu, aż w końcu Ruby westchnęła, widząc jakiś ruch na poboczu drogi naprzeciwko domów. Zanim Sam zdążył krzyknąć, żeby cały czas jechała, zza drzew wybiegła nieduża sarna. W ślad za nią ulicą przebiegło jeszcze kilka saren; dwie miały przy boku małe sarniątka.

- Przepraszam. Przez chwilę myślałam, że...

Sarny zaczęły skubać wątłą wiosenną trawę przed jego domem, co zresztą często robiły, kiedy zapadał zmierzch.

- Ci ludzie, których zobaczyłeś w domu... - Ruby bębniła palcami po kierownicy. - Nie rozpoznałeś ich?

Pokręcił głową.

- Nie, a wydawało mi się, że znam wszystkich, którzy mieszkają po tej stronie jeziora. Może ci goście są z Dogwood - dorzucił, mając

na myśli miasto, które znajdowało się o dwadzieścia minut jazdy na północ. - Albo może byli tylko przejazdem, może to jacyś faceci, których poznała w Hammett's. Misty zawsze...

- Owszem, starała się widzieć w każdym tylko dobro. Ale jakoś nie wyobrażam sobie, żeby zapraszała obcych ludzi do domu - wtrąciła Ruby - Zwłaszcza że była z nią Zoe. Bardzo ją prosiłam, żeby tego nie robiła....

- Ludzie nawalają - zauważył. - Popełniają błędy i uczą się na nich.

Jeśli daje im się szansę... Adwokat Sama wbijał mu to do głowy. Że to jego jedyna szansa. Straci wszystko, jeśli okaże się zbyt głupi - jak wszyscy McCoyowie - i nie pojmie, jak ją wykorzystać.

Ruby przyglądała mu się uważnie. W pewnym momencie w jej oczach odbiła się czerwień i biel.

- Nareszcie. Myślałam, że nigdy się nie zjawią. Odetchnął z ulgą, nadjeżdżały SUV - y, ale nie na sygnale, błyskały światłami.

- Pogadaj z nimi. Trzeba im powiedzieć o broni i psach. Słyszysz szczekanie?

- Słyszałam. A zaraz potem wybiegł ten facet z bronią. Zabrał dziesięć lat mojego życia.

- Masz cholerne szczęście, że nie zabrał ci wszystkich pozostałych. Powinnaś była odjechać i zaczekać na pomoc.

Pokiwała głową.

- Wiem, ale myślałam tylko o Zoe.

- To musiał być piekielny szok. - Sam otworzył swoje drzwi.

- Powiem glinom, co wiem. Potem muszę zająć się psem. Zająć psem i pozwolić stróżom prawa uporać się z tym, co zdarzyło się w domu Monroe'ów. I spróbować nie czuć się odpowiedzialnym bo to w ogóle nie była jego sprawa. Postarać się nie mieszać przeszłości z teraźniejszością, chociaż takie ryzyko podjął, wracając tu, prawda? Wrócił i zamieszkał tuż obok wdowy po Aaronie Monroe. Żałował, iż nie może cofnąć czasu o rok, bo poprosiłby agentkę nieruchomości, żeby poszukała czegoś w innym miejscu. Wyrzucał sobie, że jak ostatni głupiec dał się wciągnąć w to wszystko przez sentyment.

Java przekradła się do Sama. Miała podwinięty ogon i smutek w brązowych ślepiach. Schylił się i pogłaskał sunie.

- Wreszcie jesteś, moja przynęto dla krokodyli. Już dobrze. Nic ci się nie stanie.

Przejechał rękami po jej bokach, łapach, brzuchu i stwierdził z ulgą, że na ciele psa nie ma krwi. Szczeniak skamlał ze strachu, nie z bólu.

Gdy tylko pierwszy zastępca szeryfa wysiadł z suburbana, Ruby natychmiast go dopadła. Wskazała na swój dom.

- W środku jest jakiś facet. Ma broń i prawdopodobnie przetrzymuje moją córeczkę i moją siostrę.

- Strzelał do nas. Wpakował kulkę w tylną szybę - powiedział Sam zastępcy szeryfa. Calvin Whitaker był rosłym dwudziestoparoletnim mężczyzną, który w ciągu kilku ostatnich miesięcy nieraz brał udział w jego wędkarskich wyprawach. - W domu są też psy, na pewno duże i bardzo groźne.

- Jesteśmy już na miejscu. - Calvin nie spuszczał oka z Ruby; wyglądał na służbistę. - Proszę się nie martwić, pani Monroe. Zajmiemy się wszystkim.

Drugi zastępca szeryfa, Oscar Balderach, który dobiegał sześćdziesiątki i dorobił się małego brzuszka, wysiadł z wozu i przejął inicjatywę. Chciał dowiedzieć się jak najwięcej szczegółów. Był bardzo poruszony, że w domu może przebywać małe dziecko. Działał wyjątkowo energicznie i sprawnie. Sam jeszcze nigdy go takim nie widział. Może Balderach zachowywał siły i umiejętności na szczególnie trudne akcje.

- Muszę to zgłosić, załatwić wsparcie - oświadczył mocnym, pewnym głosem. - Jest dziewięćdziesiąt procent szans, że facet się podda. Ale jeśli ma jakieś zaległe wyroki, będzie spróbował zwiać. Nie możemy dać się zaskoczyć, jeśli przyjdzie mu do głowy, żeby wziąć zakładników

- Zakładników? - Ruby aż zadygotała. - Chyba nie ma pan na myśli, że mógłby wziąć Zoe. Nie możecie przysłać paru snajperów, kogoś, kto go zlikwiduje, zanim...

- Rozumiem, że dopiero co wróciła pani z frontu - odparł Balderach - Niestety w tej części świata nie pozwalają nam zabijać profilaktycznie.

Z tonu jego głosu można było wywnioskować, że lubiłby swoją pracę jeszcze bardziej, gdyby „oni" pozwalali.

- Pani musi trzymać się od tego z dala, pani Monroe - ciągnął - a my będziemy mogli przygotować się na każdą ewentualność i

skoncentrować na tym, żeby członkom pani rodziny nic się nie stało, jeżeli rzeczywiście są w środku.

Kowbojskie buty Balderacha miażdżyły żwir, kiedy ruszył do wozu, żeby skoordynować przyjazd innych jednostek. Calvin Whitaker spojrzał na Sama.

- Najlepiej będzie, jeżeli pan ją zabierze do siebie. Niech nie wychodzi i trzyma się z dala od okien, dopóki ktoś po was nie przyjdzie.

Powiedz mu, że nie możesz się w to angażować. Sam miał wrażenie, że słyszy swojego walecznego niczym wytresowany kogut adwokata Pacheco, który mówił i nosił się, jakby wciąż mieszkał w przygranicznym barrio, gdzie kiedyś się wychowywał. Powinieneś odmówić, padre. Od razu ustal granice, bo masz jak w banku, że będą cię obserwować i czekać na okazję, żeby przepuścić twoje jaja przez wyżymaczkę, gdy tylko zrobisz coś nie tak.

Zanim Sam zdążył pomyśleć o tym, jak powiedzieć „nie", Ruby zmierzyła Calvina surowym wzrokiem.

- Proszę o mnie nie mówić w taki sposób, jakby mnie tu nie było, szeryfie. - Skrzyżowała ręce na piersi. - To jest moja rodzina i mój dom. Zoe ma cztery lata. Będzie potrzebować matki od razu, kiedy tylko stamtąd wyjdzie. A ja będę na nią tu czekać. Właśnie w tym miejscu.

- Misty bardzo pilnowała małej, nie spuszczała z niej oczu nawet na chwilę. - Sam doszedł do wniosku, że nawet skłonny do paranoi Pacheco nie mógłby mieć mu za złe, że chciał dodać Ruby otuchy. Oczywiście pod warunkiem, że na tym kończyłoby się jego zaangażowanie w całą sprawę. - Nie wierzę, że mogłaby gdzieś wyjechać i zostawić Zoe z takimi osobnikami jak ten psychol.

Sam starał się nie widzieć podsuwanego mu przez wyobraźnię obrazu małej blondyneczki ukrywającej się pod łóżkiem albo w szafie. Córeczka Aarona Monroe, a więc była dla Sama prawie jak bratanica. Ta myśl wręcz go poraziła. Nawet gdyby Aaron żył, Sam nie wyobrażał sobie, że zostałby zaproszony na dziecięce przyjęcie urodzinowe albo na grilla. Nie wyobrażał sobie też, że przyjąłby takie zaproszenie, jeśli jakimś cudem by je dostał.

Ruby się skrzywiła.

- Misty i Zoe wciąż mogą znajdować się w środku, są przerażone i bezbronne.

- Słyszałaś tego kolesia? Nie zareagował na imię Misty, kiedy go o nią spytałem. Może po prostu był naćpany, ale czy to możliwe, żeby nawet jej nie znał? - Sam uświadomił sobie, że wytatuowany intruz wcale nie musiał być jednym z tych facetów, których widział w zeszłym tygodniu na ganku u Monroe'ów. On przebywał wtedy na wodzie, odgrywał rolę przyjaznego gospodarza wobec szczególnie trudnego klienta wędkarza, dlatego wiedział, co tam naprawdę się działo.

- Mogłaby pani czekać tam. - Calvin wskazał ręką miejsce. - Tu może pani stać się krzywda, no i będzie pani przeszkadzać.

- Niech pan posłucha: zachowam odpowiednią odległość. Nie podejdę bliżej niż... - Rozejrzała się, a następnie wskazała potężny, obrośnięty mchem cyprys, bliżej zabudowań Sama niż jej domu - ... do tamtego miejsca. Tak zdecydowałam i nie ustąpię, jasne?

- Mam w samochodzie książkę telefoniczną. Możemy zadzwonić do przyjaciółek Misty, zorientować się, czy siostra kontaktowała się z nimi.

Ruby kiwnęła głową.

- Po prostu przynieś książkę. Możemy dzwonić z tego miejsca.

- Bez problemu - przytaknął Sam. Czuł nawet ulgę, że Ruby pozostaje przy swoim.

Calvin chyba też doszedł do wniosku że nic nie złamie jej uporu.

- W takim razie proszę zostać i nie oddalać się z tego miejsca. Obiecuje pani?

Kiedy odwrócił się, chwyciła go za ramię.

- Obiecuję, ale pod warunkiem. Pan obieca, że nie zrobi nic, absolutnie nic, co naraziłoby moją córkę na niebezpieczeństwo. - Widziałam, co się dzieje, kiedy akcja nie przebiega zgodnie z planem, kiedy ktoś jest zanadto pobudzony. A dzisiejszy dzień miał być... Nie widziałam Zoe cały rok.

Miała zupełnie białe wargi, kiedy zacisnęła je, starając się nie rozpłakać. Sam podziwiał Ruby, że nie reagowała histerycznie w trudnej dla niej sytuacji. Może nie była tak atrakcyjna jak jej siostra, skłonna do flirtu Misty, ale nie dziwił się, iż zawróciła w głowie Aaronowi.

Calvin spojrzał na rękę Ruby, odchrząknął.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy - zapewnił, a potem czmychnął w stronę wozu Balderacha.

- Przyniosę książkę telefoniczną i komórkę - powiedział Sam. - Na pewno czegoś się dowiemy.

Przynajmniej pomoże jej wykonać kilka telefonów, nic innego nie może zaoferować, a wiedział jakie są możliwości: namierzanie telefonów komórkowych, triangulacja, śledzenie kart kredytowych.

Na samą myśl o tym zaczynały go świerzbieć palce, a w gardle jakby ugrzęzły odłamki szkła.

Rozdział 3

Inne przewiny szepcą, lecz morderstwo Krzyczy. Na ziemię spływa żywioł wody, Krew ulatuje i zrasza niebiosa.

John Webster, Księżna D'Amalfi, akt IV

(Księżna D'Amalfi. Przeł. Jerzy Strzetelski. Zakład Narodowy im. Ossolińskich: Wrocław, Warszawa, Kraków, 1968, s. 360)

Krzyk nura niósł się nad wodą, odbijał echem wśród ciemnozielonych cyprysów niczym skarga zagubionej duszy. Ruby zadygotała i objęła się rękami, osłaniając przed chłodną, wilgotną bryzą, która zapowiadała wieczór. Nie widziała ludzi szeryfa i bezustannie myślała, co dzieje się w środku.

Zauważyła, że dom nad jeziorem, który Aaron odziedziczył zaledwie kilka miesięcy przed wypadkiem jest zaniedbany. Zabrudzone algami narożnik i dach z pewnością nie zostały wyremontowane w zeszłym miesiącu, jak donosiła Misty.

Co tu się działo, do jasnej cholery? Czyżby siostra, której ufała bezgranicznie, zwariowała? A może wydarzyło się coś, co skłoniło ją do kłamstw?

Aż serce jej się ścisnęło, gdy przypomniała sobie, w jaki sposób Misty usprawiedliwiła w rozmowie z Myrtle Lambert nieobecność Zoe. A jeśli kłamała również i w tym wypadku?

A jeśli DeserTek był w to wszystko zamieszany, począwszy od kradzieży plecaka aż po zaginięcie jej rodziny? Jeżeli jej odmowa podjęcia dobrze płatnej pracy doradcy - niedorzeczna oferta dla kobiety, która wcześniej kierowała autobusami - została potraktowana jako znak, że dysponowała pewnym przedmiotem i zamierzała ten przedmiot wykorzystać? Przycisnęła rękę do ust; zrobiło jej się niedobrze, miała zawroty głowy. A co, jeśli pogłoski, a także jej podejrzenia w związku ze śmiercią Carrie Ann jednak były prawdziwe?

- Żebyś mogła przejść przez to wszystko, lepiej za dużo nie myśl - powiedział Jeremy Bray, przyrodni brat jej przyjaciółki Elysse, kiedy załatwił jej pracę za granicą. Zarozumiały dupek. Czasami bujna wyobraźnia jest przekleństwem, ostrzegł.

To właśnie była taka sytuacja, dlatego Ruby zrobiła głęboki wdech i zmusiła się do odejścia w stronę niedawno przebudowanego domu, w którym mieszkał Sam. Nie zanosiło się na jego rychły

powrót, więc żeby nie zwariować, jeszcze raz zadzwoniła do Hammett's.

Telefon odebrała Anna, żona Pauliego Hammetta. Z wnętrza dochodziły szczęk naczyń i sztućców.

- Anno, tu Ruby Monroe. - Była tak przerażona, że nawet nie siliła się na powitalne formułki czy pogawędkę. - Szukam mojej siostry. Muszę jak najszybciej się z nią skontaktować.

- Misty nie mówiła ci, że rzuciła pracę? Tydzień temu, w zeszły piątek.

- Rzuciła pracę? Jak ona mogła to zrobić? - Misty pracowała w restauracji już prawie dziesięć lat, od pierwszej klasy liceum. Trzymała się tej pracy, po liceum nie poszła na studia, pomagała Ruby, która opiekowała się umierającą matką. No i była zbyt praktyczna, żeby rezygnować z niemałych napiwków, które zawdzięczała długim nogom i promiennym uśmiechom. Kontynuowała naukę, potrzebowała napiwków, żeby opłacać szkołę.

- Pożarła się o coś ze starym. Wiesz, jaki jest czasem Paulie. Chciałam go ułagodzić, ale burknął, żeby mu dać święty spokój. Powiedział, że ta dziewczyna powinna pójść po rozum do głowy. On nie będzie ustępować: nie po tym, kiedy Misty wypadła z lokalu jak burza, i to przy klientach.

- Misty? - Chociaż Paulie zraził swoim zachowaniem wiele kelnerek, Ruby pamiętała, że siostra zawsze co najwyżej wyśmiewała się z humorzastego szefa.

Anna zniżyła głos.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, mogłaby okazać więcej wyrozumiałości. Przecież Misty jest tu, no ile? Z dziesięć lat? To jak członek rodziny, i zawsze była dobrą przyjaciółką Dylana.

Mam dla niej dużo uznania, sprowadziła go na dobrą drogę, pomogła, gdy wpadł w kłopoty.

Zanim opuściła kraj, obie otrzymały zaproszenie na jego ślub. Biorąc pod uwagę również znakomitą reputację Dylana jako przedsiębiorcy budowlanego, Ruby uznała, że jest to dowód, iż Piotruś Pan w rodzinie Hammettów wreszcie wydoroślał.

- Wiesz coś o jej nowym miejscu pracy? - zapytała Ruby. - Słyszałaś cokolwiek na ten temat? - W restauracji Hammett's dużo się plotkowało i dyskutowało o lokalnej polityce, to było lepsze źródło wiadomości niż miejscowa gazeta. Siostra mieszkała tu od dawna -

wszyscy ją znali i lubili, dlatego każde pojawienie się Misty w miejscu publicznym zwłaszcza po scenie, którą urządziła w restauracji, byłoby zauważone i komentowane z większym zapałem niż ostatni mecz Super Bowl.

- Nie słyszałam ani słowa, ale dziwi mnie, że ty nic nie wiesz. Przecież wróciłaś do domu, prawda?

- W pewnym sensie. - Ruby nie miała ochoty wdawać się w szczegóły - Ale nie wyjechała po mnie na lotnisko. Dlatego wyświadcz mi przysługę, dobrze? Zadzwoń do mnie, jeśli tylko cokolwiek usłyszysz. Bardzo cię proszę.

Kiedy Anna dała słowo, Ruby zakończyła rozmowę. W tym momencie podbiegł do niej Sam, trzymając w jednej ręce cienką książkę telefoniczną z lokalnymi numerami, a w drugiej dwie butelki wody.

Podał butelkę Ruby i zapytał:

- Od kogo zaczniemy?

- Dzięki. - Odkręciła plastikową nakrętkę, ale nie wypiła nawet łyka. - Właśnie rozmawiałam przez telefon z Anną Hammett. Powiedziała mi...

- Misty rzuciła pracę, wiem. Ja... hm... często tam bywam. Zawarłem układ z Pauliem. Przyjeżdżam po turystów goszczących u niego, urządzam ekowycieczki, mogą też łowić ryby albo obserwować ptaki; wybór należy do nich.

To wyjaśnienie przekonało Ruby. Restauracja Hammett's kiedyś wynajmowała łódki każdemu, kto chciał penetrować labirynt zatoczek i rozlewisk graniczących z południowym krańcem jeziora. Ale zaginieni turyści nie pomagali rozkręcić biznesu, a tym bardziej ci, którzy się utopili - zwłaszcza gdy zaczęto odkrywać ich na wpół zjedzone ciała.

- Nie mogę tego pojąć. Dlaczego Misty miałaby odchodzić z pracy? Czy to było wtedy, gdy zacząłeś zauważać dziwnych, obcych mężczyzn kręcących się wokół domu?

Seria strzałów wstrząsnęła powietrzem i Ruby od razu skryła się za grubym pniem. Zareagowała błyskawicznie, jeszcze zanim uświadomiła sobie, co się dzieje: ostrzał. Sam przykucnął i zerkał w stronę, z której padły strzały.

Zaciskała pięści, wbijając paznokcie w dłonie. Instynkt przeżycia walczył w niej z głębokim przeświadczeniem, że Zoe znalazła się w

strasznym niebezpieczeństwie, jest sama, przerażona, może nawet ranna i płacze. Sam chwycił Ruby za ramię, jakby chciał ją powstrzymać. Zanim zdążyła zdecydować, czy ma się rozzłościć czy odczuwać wdzięczność, rozległ się ogłuszający huk; spłoszył siedzące na drzewie stado skrzekliwych czarnych ptaków.

- O mój Boże! - Cofnęła się i zaczęła biec.

- Do diabła, Ruby, stój! - Sam złapał ją mocno za łokieć i przytrzymał. - Tych strzałów może być więcej.

Bezskutecznie próbowała się uwolnić.

- To był wybuch.

Znała ten odgłos doskonale. Wprawdzie autobus, którym kierowała, nigdy nie został trafiony, ale nieraz słyszała wybuchy skonstruowanych naprędce bomb i dużych pocisków artyleryjskich, widziała niszczone eksplozją samochody i zrównane z ziemią budynki. Napatrzyła się też na śmierć: na jej oczach ginęły kobiety, dzieci, czasami całe rodziny, ludzie walczący po obu stronach. Zakręciło się jej w głowie, przez moment miała wrażenie, że przywlokła tu przemoc wojennej strefy. Czuła zapach dymu i widziała łunę...

Sam puścił ją, szeroko otwierając oczy.

- To jest twój dom.

Pobiegli w stronę wozów policyjnych zaparkowanych naprzeciwko drzew, które wyznaczały granicę między dwiema działkami. Obydwa SUV - y były puste, błyskały światłami i nikt ich nie pilnował. Za nimi płonął dom nad jeziorem. Z rozbitych okien na parterze i otwartych na oścież drzwi buchały kłęby czarnego dymu. Jeżeli ktokolwiek był w środku...

- Calvin. - Sam podbiegł do leżącego na trawniku młodszego policjanta. Ruby podbiegła za nim, mocno pochylona, żeby uniknąć najgęstszego dymu. Mimo to fala gorąca napierała na nią ze wszystkich stron, cierpła jej skóra, a ściśnięte płuca nie pozwalały normalnie oddychać. Zmrużywszy oczy, wypatrywała drugiego policjanta, ale nikogo nie dostrzegła.

- Musimy go stąd zabrać. - Chwycił Calvina za barki, a Ruby uniosła nogi policjanta.

- Zaczekaj chwilkę. - Zauważyła rewolwer w dłoni Calvina. Nie chciała ryzykować: wyjęła broń z jego ręki i wepchnęła za pasek swoich spodni. - W porządku, teraz możemy.

Przenieśli go na boczną uliczkę i ułożyli przy SUV-ie, którego wielkość dawała jakąś ochronę. Podczas gdy Sam prosił o pomoc drogą radiową, Ruby wykorzystywała to, czego nauczyła się w szkole pielęgniarskiej. Potrząsnęła rannym mężczyzną.

- Szeryfie Whitaker, proszę coś powiedzieć. Calvin?

Ponieważ nie reagował, przystąpiła do ABC reanimacji. Wiedziała, że trzeba ułożyć chorego na twardym podłożu, głowę odchylić do tyłu, udrożnić drogi oddechowe. Potem przywrócenie oddechu - schyliwszy się niżej, słyszała ciche charczenie, wydychał powietrze. Wreszcie przywrócenie krążenia - nie wyczuwała...

Zastępca szeryfa stęknął i spazmatycznie zakaszlał, ale zanim Ruby zdążyła zrobić coś więcej, Sam krzyknął do niej z otwartych drzwi suburbana:

- Zastrzel go!

Dopiero w tym momencie usłyszała zawzięte szczekanie. Odwróciła głowę i zobaczyła mknący ku niej szary kształt. Gdyby nie ostrzeżenie Sama, na pewno nie zdążyłaby w porę wyjąć broni. Potężna bestia była już tak blisko, że Ruby zobaczyła błyszczące białe zębiska raptem metr od swojej twarzy. Strzeliła dwukrotnie.

Mastiff, którego osmalona sierść mocno cuchnęła, runął na nią z takim impetem, że upadła do tyłu i wypuściła broń z ręki. Patrzyła, jak szczęka psa i ogromne łapy jeszcze się poruszają, potem zesztywniał, a jego długi ozór zwisał z zakrwawionego pyska.

Dygocząc, odsunęła się od martwego zwierzęcia i sprawdziła, co się dzieje przed suburbanem. Wiatr unosił snop iskier przypominających świetliki. Trzaskały płomienie, gęsty dym, gorzki i gorący od drzewnego popiołu, buchał w ich stronę. Ruby uświadomiła sobie, że teraz nikt nie byłby w stanie wejść do środka.

Ani wyjść z tego domu.

Zoe i Misty tam nie ma: nie palą się, nie krzyczą, nie umierają. Ruby zmuszała się do myślenia, że Właśnie są w drodze do domu, bo jakimś cudem rozminęły się z nią na lotnisku. Może złapały gumę, a zapasowe koło było w kiepskim stanie. Na pewno Misty miała kłopoty z nakrętkami albo pomyliła trasę...

A jeśli się myli? Panika przyprawiała Ruby o mdłości. Gwałtownie wstała.

- Może na tyłach nie jest aż tak źle. Muszę sprawdzić...

- Pobiegnę tam i sam sprawdzę. Zostań i zrób, co możesz dla Calvina.

Obawiając się tego, co mogłaby zobaczyć, z trudem przełknęła ślinę i skinęła głową. Pobiegł, a ona zajęła się Calvinem, który leżał na boku, jęczał i starał się usiąść.

- Nie próbuj się poruszać - powiedziała. - Zaraz nadejdzie pomoc.

Rzuciła ostatnie spojrzenie w stronę swojego płonącego domu i odwróciła się, żeby zrobić to, co należało.

Kiedy Sam mijał róg palącego się domu, modlił się w duchu, żeby nie natknąć się na jakiegoś wściekłego psa.

Nie było psów, ale znalazł zastępcę szeryfa. Jakiś metr od objętej płomieniami dziury w tylnych drzwiach dostrzegł czarne podeszwy, które jeszcze się tliły, i osmaloną skórę. Schylił się, kaszląc od dymu, chwycił Balderacha za kostki i odciągnął dalej.

Gdy zaczął widzieć wyraźniej, uświadomił sobie, że jest już za późno. Ręce mężczyzny zwisały bezwładnie, koszulą pod mundurem dymiła. Gęste wąsy ofiary spaliły się zupełnie, a skóra na twarzy pokryta bąblami odpadała całymi płatami. Odwrócił wzrok; był przerażony, ale też całkowicie pewny, że temu policjantowi nie jest już w stanie pomóc.

Dusząc się od dymu, przeszedł kilka kroków i zerknął w górę na okna nad dachem ganku. Oddychał z trudem, ale rozglądał się i próbował wymyślić jakiś bezpieczny sposób wejścia na górę, żeby chociaż tam zajrzeć, mimo że paliła się okładzina i wszystkie okna buchały żarem. W oknie jedynej sypialni na górze Sam zauważył jakiś ruch, a przynajmniej był prawie tego pewien...

Kobieca postać przechyliła się do przodu i po chwili zniknęła z pola widzenia.

- Misty? - krzyknął, wchodząc na donicę z kwiatem, a potem na balustradę ganku. Dotarcie na dach okazało się większym wyzwaniem. Jeszcze nie zajął się ogniem, ale Sam oderwał kawałek obramowania i omal nie spadł.

Przy trzeciej próbie przerzucił nogę na górę, a potem podciągnął się na pochyłą powierzchnię. Gdy przesuwał się w stronę okna, dachówki położone najbliżej zewnętrznej ściany domu już się dymiły, znów dusił go kaszel.

Wpatrywał się w ubrudzoną sadzą szybę, ale jedyny ruch, jaki zaobserwował w środku, był wywołany pulsowaniem płomienia, którego kolor zmieniał się pod wpływem wirujących czarnych obłoków Zastanawiał się, czy jeśli kopnie okno, to napływ tlenu sprawi, że płomień wydostanie się na zewnątrz, i czy on sam stanie w ogniu i spali się tak jak Balderach. Na myśl o tym ścisnął mu się żołądek, ale od okna dzieliło go tylko parę kroków, nie zamierzał się wycofać - dotarł już tak daleko, że nie mógł zaprzepaścić szansy, by pomóc zauważonej przez siebie osobie.

Poczuł, że noga grzęźnie mu w czymś miękkim. Doświadczył twardego lądowania, poślizgnął się, ale jakoś udało mu się nie spaść z dachu. Wstał, bardzo ostrożnie, i znów ruszył do przodu, sprawdzając, czy w miejscach, gdzie dachówki mogły zbutwieć, nie ma jakichś wgłębień.

Na skutek tego manewru odsunął się o jakieś dwa metry i w tym momencie nastąpiła eksplozja; zatoczył się do tyłu i tysiące odłamków poleciało w jego stronę. Wzlatywał i opadał, aż wylądował mniej więcej metr od jeszcze tlących się szczątków szeryfa.

Rozdział 4

My próżni ludzie My wypchani ludzie Podpieramy się wzajem Niestety w głowach słoma Kiedy do siebie szepczemy Ciche i bez znaczenia Są nasze wyschłe głosy Jak wiatr dmący przez osty Jak szczurze łapki na rozbitym szkle W naszej suchej piwnicy

T.S. Eliot

(T. S. Eliot, „Próżni ludzie". T. S. Eliot. Poezje wybrane. Przeł. Andrzej Piotrowski. Warszawa: Instytut Wydawniczy Pax, 1988, s. 111.)

5 kwietnia

Po trzech miesiącach pracy Justine Wofford wciąż nienawidziła spotkań ze swoimi zastępcami, tej niezręcznej ciszy, która zapadała po jej poleceniach, nienawidziła pełnych pretensji spojrzeń i mało subtelnych prób podawania w wątpliwość jej doświadczenia i oceny sytuacji. Wyczerpana całonocną pracą i przybita śmiercią swojego człowieka, nie miała najmniejszej ochoty znosić kolejnych prowokacji.

Miała natomiast nadzieję, że przynajmniej dziś odłożą spory na bok i zachowają się przyzwoicie. Ze względu na Oscara Balderacha, a także rannego kolegę, Calvina Whitakera, który pracował w wydziale od niedawna. Jednak gdy tylko zaczęła rozdzielać zadania, wtrącił się jej zastępca Roger Savoy.

- Jeśli chce pani znać moje zdanie, powinniśmy wyciągnąć tego faceta ze szpitalnego łóżka i kazać go przesłuchać bardziej doświadczonym ludziom, coś z niego wyduszą. Założę się, że nawet jeśli McCoy nie jest w to zamieszany, to przynajmniej coś widział. - Savoy, starał się sprawiać wrażenie kogoś, kto naprawdę chce być pomocny.

Zawsze tak robił. Pozował na doświadczonego zawodowca, który zna jurysdykcję od podszewki - oczywiście w przeciwieństwie do niej. Podkreślał tę różnicę już wcześniej, kiedy konkurował z Justine: przedstawiał siebie jako naturalnego następcę jej zmarłego męża, bo prawie trzydzieści lat pracował z Lou, był jego prawą ręką. Dobrze czuł się na stanowisku, które, jak uważał, jest typowo męskie.

Szkoda tylko, że nie nazywał się Wofford. I szkoda, że nie rozumiał, iż swoją arogancją i uporem bardzo zrażał do siebie ludzi. Albo że nie potrafił docenić tego, jak dobrze jego koleżanka spisywała

się przez dziesięć lat służby w policji okręgu Morton, i że dwa lata, kiedy była żoną Lou Wofforda, przygotowały ją do bycia twardym graczem.

- Szeryf Wofford... - poprawiła Justine z półuśmiechem, który on bez wątpienia określiłby później jako miażdżący jądra. Gdyby ktoś posłuchał Savoya, uważałby, że Justine to straszna baba, zdolna wykastrować całe zastępy policjantów Wschodniego Teksasu jednym spojrzeniem. Co w sumie było dość zgrabnym zabiegiem, zwłaszcza że tak bardzo starał się podkreślać jej ignorancję i nieudolność. - Jestem również pewna, że nie zamierzał pan sugerować, iż moje umiejętności przesłuchiwania są niewystarczające. Już mówiłam, że się tym zajmę.

Zauważyła, że przez moment był zaskoczony, ale zaraz przywdział maskę profesjonalisty. Zobaczyła zażenowanie na twarzach kilku osób. Zazwyczaj kiedy zwracała komuś uwagę czy karciła za nieodpowiednie zachowanie, nie robiła tego przy wszystkich, bo uważała, że zawstydzanie pracowników w obecności kolegów nie przysporzy jej zwolenników. Jednak coraz częściej uświadamiała sobie, iż takie postępowanie sprawia, że wydaje im się słaba, traci autorytet, dlatego postanowiła przyjąć nową strategię. Jeśli ktoś będzie z nią zadzierał w obecności reszty, zostanie potraktowany w taki sam sposób.

- Naturalnie, że nie miałem tego na myśli, pani szeryf. Przyszło mi jednak do głowy, że kiedy były problemy z McCoyami, pani wtedy jeszcze nie pracowała z nami. Oni to taka biała biedota: ukradną wszystko, co nie zostało przybite gwoździem.

- Tak. No cóż, dziękuję za wykład z historii. Pojadę do szpitala, żeby podziękować panu McCoyowi za jego pomoc wczorajszego wieczoru.

- Podziękować mu? - mruknął jakiś stary wyga, ale surowe spojrzenie Justine ucięło komentarz. Wiedziała jednak, że rozejm potrwa tylko do momentu, gdy ona opuści pomieszczenie.

Rozejm nie trwał nawet tyle czasu, ile się spodziewała, a to za sprawą Larry'ego Crane'a. W wydziale nosił dość okrutne przezwisko Ichabod, jak bohater opowieści Washingtona Irvinga. Ludzie szydzili z jego jabłka Adama, chuderlawej postury i nienaturalnie wysokiego wzrostu. Już dawno zorientowała się, że Crane jest pośmiewiskiem i nikt go nie szanuje, właśnie dlatego idealnie nadawał się na jej

pierwszego sojusznika. Na co dzień zajmował się obsługą telefonów i teraz przerwał jej rozmowę z Savoyem:

- Szeryfie, zatelefonowałem do banku. I wiem, że będzie pani chciała jak najszybciej usłyszeć relację na ten temat.

Za drzwiami szpitalnej sali było słychać kroki. Sam przygotował się psychicznie na kolejną wizytę pielęgniarki, która akurat miała dyżur, Elysse Steele, wysoka blondynka, z którą kiedyś umawiał się na randki. Chyba nie zostawiły miłych wspomnień, sądząc po złośliwej, choć nie manifestowanej zbyt otwarcie satysfakcji na twarzy dziewczyny, kiedy przyszła, żeby wbić mu w pośladek grubą jak szpikulec igłę.

Zmusił się do otworzenia oczu, z mocnym zamiarem stawienia oporu wrogowi, który wmaszerował na salę wraz z oddziałem studentek pielęgniarstwa, doskonalących umiejętności z zakresu kateteryzacji dróg moczowych. Mrugał, żeby zwalczyć wywołane lekami oszołomienie, i dostrzegł światło słoneczne, sączące się przez roletę na oknie. Następną rzeczą, którą zobaczył wyraźnie, była taca ze śniadaniem. Znaczy że pielęgniarki z nocnej zmiany zakończyły dyżur. Westchnął i od razu zaprotestowały jego żebra: poczuł przeszywający ból, który dał początek serii kłuć i strzykań w całym ciele.

Drzwi uchyliły się i Ruby wsunęła głowę.

- Nie śpisz? - szepnęła.

- Wejdź - powiedział schrypniętym, bełkotliwym głosem, jakby wypił kilkanaście piw.

Wślizgnęła się do środka, ale stanęła blisko drzwi.

- Ja... hm... mam spotkać się z moją przyjaciółką, kiedy tylko upora się z kartami pacjentów. Powiedziała, że mogę u niej zamieszkać na jakiś czas. W każdym razie, pomyślałam... pomyślałam, że powinnam sprawdzić, jak się czujesz. Moja przyjaciółka nie mogła mi nic powiedzieć, oprócz tego, że jesteś szczęściarzem, chyba największym fuksem wśród teksaskich sukinkotów.

- Elysse jest twoją przyjaciółką? - Skrzywił się, co świadczyło o tym, że szwy wokół ust bardzo bolały. - Posłuchaj, cokolwiek ci o mnie mówi...

Urwał, bo uświadomił sobie, że wszystko, co mówi, może zostać użyte przeciwko niemu przy wydawaniu kobiecego werdyktu. I

wiedział, że w przeciwieństwie do ostatniej rozprawy w tym wypadku nie będzie mógł liczyć na żadną obronę. Dlatego zmienił temat.

- Dojdę do siebie. A co z tobą? Odniosłaś obrażenia? Zauważył plamy krwi na dżinsach i turkusowej bluzie, to ubranie miała na sobie wczoraj. Sądząc po mocno podkrążonych oczach, nie znalazła też czasu na wypoczynek.

- To twoja krew. - Podeszła bliżej i przyglądała się uważnie miejscom na twarzy, gdzie miał opatrunki: na nosie, czole i szczęce. Widział współczucie w jej oczach.

- Jak się czujesz?

- Jak człowiek, któremu założono szesnaście szwów. Doktor wyciągnął ze mnie parę odłamków, ale Elysse ma rację. Cholernym fuksem z tego wyszedłem, nie skręciłem karku, spadając z zadaszenia ganku. I nie spłonąłem w pożarze. Dzięki tobie.

- Najpierw zobaczyłam zastępcę szeryfa i... i pomyślałam, że ty też nie żyjesz. - Twarz miała ściągniętą bólem. - Było tam strasznie dużo łowi. Ale przecież zwłoki nie tryskają krwią. Ja... No cóż... napatrzyłam się na różne straszne rzeczy w ciągu ostatniego roku. A potem ty zamrugałeś.

- Byłem cholernie zaskoczony, że żyję. Posłuchaj, chcę... chcę ci podziękować. Za to, że udało ci się uratować Calvina i za to... że wy oboje... - Myśl o tym, jak wiele ryzykowali, żeby zawlec jego ciało nad wodę, sprawiała, że brakowało mu powietrza w płucach. - Przecież ja bym się tam żywcem ugotował. Spaliłbym się jak biedny Balderach.

Kiedy leżał wtedy na plecach, oszołomiony, a płomienie zbliżały się do niego z trzaskiem, przyszło mu do głowy, że gdyby zginął, nikomu nie sprawiłoby tu szczególnej różnicy. No, może jego była partnerka albo Paulie i Anna Hammettowie, i jeszcze paru kumpli wypiłoby za niego piwo, a Pacheco na pewno wyzwałby go od głupich łajz, lecz to, co po sobie zostawił, bardzo szybko poszłoby w zapomnienie. Ale czy nie o to mu chodziło przez wszystkie minione lata? Czyż nie postawił sobie za cel nie powodować żadnych komplikacji i nie mieć żadnych zobowiązań?

Zaniepokoiła go ta myśl.

- Jak się czuje Calvin?

- Spotkałam jego matkę. - Ruby skinęła głową w stronę drzwi. - Powiedziała, że miał lekkie wstrząśnienie, ale zabiera go do domu, kiedy tylko przygotują wypis.

- Musi być bardzo przygnębiony po śmierci Oscara.

- Wszystkich to dotknęło, cały wydział. No i ta biedna rodzina... - Westchnęła ciężko. - Nie pojmuję. Dlaczego ten dom... Jakim sposobem mógł, ot tak, wybuchnąć? To jakiś absurd. Spłonął tak szybko. Za szybko. Naprawdę zastanawiam się...

Odwróciła twarz, ale i tak zauważył, że zbladła. Przesunął dźwignię łóżka, żeby się podnieść. Zmiana pozycji sprawiła, że omal nie zawył z bólu.

- Mów - powiedział cicho.

- Spędziłam większość tej nocy, odpowiadając na pytania, albo czekałam na korytarzu przed biurem szeryfa. Kiedy tam byłam, zadzwoniłam do wszystkich osób, których nazwiska przyszły mi do głowy. - Przetarta wilgotne oczy. - Obudziłam chyba połowę mieszkańców Dogwood, ale nie byłam w stanie znaleźć ani jednej osoby, która by je widziała. Misty nie kontaktowała się z nikim z restauracji. Nie zadzwoniła do przyjaciół ani nie pokazała się na zajęciach. A Zoe... Rozmawiałam z jej lekarzem pediatrą. Doktor nie widział jej od miesięcy i nie słyszał o tym, że jest chora. Rozmawiałam z Misty trzy dni... cztery dni temu, ale w ciągu ostatniego tygodnia nie kontaktowały się z nikim innym, chyba że ty...

- Mogło upłynąć sporo czasu. Przykro mi, ale nie mam pewności, kiedy ostatnio z nią rozmawiałem. - Przyciągnął bliżej łóżka stolik, gdzie stał dzbanek z wodą. - Misty ma przyjaciół poza miastem? Kogoś, do kogo mogłaby pojechać? Może chłopaka?

Napełnił szklankę i podał, ale Ruby pokręciła głową i zrobiła to jeszcze raz, kiedy zaproponował jej sok pomarańczowy przyniesiony w porze śniadania, którego nawet nie tknął.

- Nic mi nie wiadomo o kimś takim. Ale powinnam porozmawiać z jej przyjaciółką Crystal. Znasz Crystal Kowalski, prawda? Tę z Hammett's?

- Jasne. - Crystal też była kelnerką i od dawna pracowała w restauracji. Ciągle szczebiotała i lubiła mówić o sobie; swoim sposobem bycia drażniła Sama, starał się omijać jej rewir. - Crystal i Misty nie rozstawały się; wciąż gadały, były zafascynowane programem o reporterach sądowych.

- Do niej nie mogłam się dodzwonić.

Miał na końcu języka pytanie, co może zrobić, żeby pomóc Ruby. Chciał jej dać do zrozumienia, że bez względu na stan zdrowia wróci dziś do domu. Zamiast tego powiedział tylko:

- No cóż, jestem pewien, że nowa szeryf zajmuje się wszystkim jak trzeba. Będzie jej zależało, żeby wyjaśnić tę sprawę, zwłaszcza że zginął jej człowiek.

I dlatego, że musiała coś udowodnić. Kiedy Justine Wofford, niedawno przeniesiona z wydziału szeryfa odległego okręgu, wygrała wybory specjalne, upominając się o prawo dokończenia kadencji swojego męża, podniosła się wrzawa. Dużo osób twierdziło, że pani Wofford nie ma dostatecznych kwalifikacji, a być może jeszcze więcej ludzi czekało, aż powinie się noga kobiecie, którą uważali za karierowiczkę i outsiderkę, i będzie musiała w niesławie zrezygnować z urzędu, gdy tylko pojawią się jakieś kłopoty.

Kiedy oczy Ruby wezbrały łzami, musiał odwrócić wzrok, żeby kontynuować.

- Prawdopodobnie już pracuje z ochotnikami i przygotowuje ogłoszenie stanu przedalarmowego. Inne agencje porządku publicznego również się w to zaangażują.

Pomyślał, że będzie to państwowy inspektor ochrony przeciwpożarowej, i może jeszcze przedstawiciel agencji rządowej ATF, jeżeli w domu były składowane jakieś materiały wybuchowe. Im więcej osób włączy się w śledztwo, tym uważniej będą przyglądać się osobom, które pasowałyby do profilu podejrzanego.

A któż mógłby być bardziej dogodnym celem niż mieszkający w sąsiedztwie przestępca?

- Ci strażacy,.. - zaczęła Ruby. - Szeryf Wofford powiedziała mi...

Z trudem przełknął ślinę. Strach zaczął w nim wzbierać niczym płynny ogień. Chociaż nie chciał tego wiedzieć, nie mógł się powstrzymać i zapytał:

- Co powiedziała ci szeryf?

- Że strażacy wyciągnęli ze zgliszczy ciała dwóch dorosłych osób znaleźli też dużego psa. Nie wiedzą zbyt wiele, ale sądzą, że jedną z ofiar mogła być kobieta.

Sam poczuł ucisk w sercu na myśl o koszmarze z przeszłości. Przypomniał sobie o kimś, kogo widział przez okno, kto spadał. Próbował uratować jakąś kobietę, ale bez powodzenia.

- Poprosili mnie o nazwisko dentysty Misty - ciągnęła Ruby. - Potrzebują... będą potrzebować danych dla lekarza sądowego.

- To nie może być Misty. - Pokręcił głową i wbrew zdrowemu rozsądkowi mówił dalej. - Nie może. A to dlatego, że ona jest z twoją córką i dba o jej bezpieczeństwo. Jest z nią, bo musi z nią być, obie zostaną znalezione żywe, do jasnej cholery.

- Dziękuję. Bardzo ci za to dziękuję. I za ostatnią noc - wyszeptała.

Wymknęła się z pokoju i został sam; po raz pierwszy poczuł się jak przestępca, za którego uznał go kiedyś sąd federalny; jak ostatni tchórz i potwór, bo uspokajał wdowę po swoim przybranym bracie, dając jej fałszywą nadzieję.

Rozdział 5

Słońce, księżyc i gwiazdy już dawno by zniknęły, gdyby jakimś trafem znalazły się w zasięgu drapieżnych ludzkich rąk.

Havelock Ellis

(Havelock Ellis, Taniec życia.)

Nad pokrytymi warstwą alg zielonymi wodami odizolowanego bagienka szybowały, śmigały albo zawisały w promieniach słońca ważki: szablaki i lecichy, ważki o bursztynowych skrzydełkach

albo pałkowatych ogonach. Niewtajemniczonym wydawały się nieszkodliwe, były żywymi klejnotami, które połyskiwały w bagnistym dnie. Jednak obserwujący je mężczyzna wiedział, że jego stare przyjaciółki to morderczynie, skrzydlaci zabójcy czekają tylko na choćby najmniejsze poruszenie zdobyczy, by od razu ruszyć do ataku.

Kiedy stał na drewnianym pomoście, paląc papierosa, wyobrażał sobie, że działa w bardzo podobny sposób. Nie popadł w stagnację w pobliżu jakiegoś słodkowodnego rozlewiska obok taniego domku na wynajem, ale krąży w jednym miejscu i czeka, aż jego rzeczywisty cel spanikuje albo się odkryje. Czeka na idealną chwilę, żeby wypełnić swoją obietnicę i zrobić to, do czego został stworzony, tak efektywnie i z takim samym brakiem poczucia winy jak ci maleńcy myśliwi w jego tymczasowym królestwie.

Pośród ptasich odgłosów i szumu smaganych łagodnym wiatrem barwnych wiosennych liści pojawił się jakiś dysonans - dźwięk, który wydawał się nienaturalny i niepożądany. Mężczyzna odwrócił się w stronę małej sfatygowanej chaty, którą wykorzystywał jako bazę. Jego uwagę przykuł dochodzący ze środka piskliwy krzyk. Krzyk człowieka, który niszczył jego spokój, mimo iż poczynił tyle starań, by go sobie zapewnić.

Tego sobie nie życzył. Nie mógł przerwać akurat w tym momencie.

Przecisnął się przez zbyt bujne zarośla i przekradł w stronę schodków. Miał wrażenie, że świat ciemnieje, jakby nadciągała burza. Odzyska spokój, którego tak pragnął, by móc planować, kalkulować, obmyślać każdy element swojego przedsięwzięcia.

A jeśli to znaczy, że musi poczęstowania swoich gadzich sojuszników kolejnymi zwłokami, to przecież mężczyzna doskonale

wiedział, że potrafi się uporać również i z tego rodzaju niedogodnością.

Uprzejmy zastępca szeryfa załatwił zabranie uszkodzonego wozu Ruby przez firmę zajmującą się wynajmem samochodów.

- Nie cierpię sytuacji, w której nie mam do dyspozycji swojego samochodu - skarżyła się Ruby. Po powrocie z kontraktu zamierzała nabyć używany wóz, ale akurat teraz zakupy nie zaprzątały jej myśli.

- Możesz pożyczać mój - powiedziała Elysse. - Pod warunkiem że kiedy będę mieć zmianę, zawieziesz mnie do szpitala i przywieziesz z powrotem.

- Dzięki. Obiecuję, że to nie potrwa długo i że będę jeździć ostrożnie. - Nieduży wóz miał niewiele ponad rok i na jego błyszczącej białej karoserii nie było żadnych zadrapań czy wgnieceń.

- Tylko postaraj się, żeby nikt do niego nie strzelał, dobrze?

Ruby spojrzała na nią, a potem, widząc jak przyjaciółka unosi i opuszcza brwi, uśmiechnęła się niepewnie. Jednak nie miała nastroju do żartów, dlatego poczuła się lepiej, kiedy wjechały na podwórze zdominowane przez starą magnolię, ozdobioną girlandami hiszpańskiego mchu.

Zamiast zaparkować wóz obok domu, Ruby podjechała kawałek dalej, pod jednopiętrową konstrukcję z cedru, wzniesioną na palach, żeby obronić ją przed powodziami, które z rzadka nawiedzały okolice kanału. Dom znajdował się na wąskim skrawku twardego gruntu, a sąsiadowały z nim pozamykane i stojące na podwyższeniu chatki, które wychodziły na sztucznie utworzony kanał. Za domkami, po drugiej stronie wąskiej ulicy, były kopulaste żeremie bobrowe, dominujące pośród błotnistych bagien; do ich powstania doprowadziły właśnie te gryzonie.

Po wyciągnięciu walizek z tylnego siedzenia corolli poszła za swoją o wiele wyższą przyjaciółką w stronę drewnianych schodków pod zasłoniętym gankiem. Naprzeciwko ciągnął się zielonobrązowy pas wody, wzdłuż którego po obu stronach pobudowano domy i przystanie. Przystań należąca do Elysse - i pozbawiona łodzi - przygarbiła się bezradnie poniżej linii wody, ale wydawało się, że mały dom jest w całkiem dobrym stanie.

- To wszystko. - Elysse przedstawiła niedawno zakupiony dom - pierwszy, jaki kiedykolwiek posiadała - wykonując mało entuzjastyczny gest. Chociaż wciąż miała na sobie fioletowy fartuch,

obowiązujący strój w pracy, powyjmowała spinki z włosów i fale okalały teraz twarz, na której malowało się zmęczenie po całonocnym dyżurze.

- Jest naprawdę fajny, Leese. Dzięki za gościnę - wydusiła z siebie Ruby. Spod pokładów rozpaczy i przerażenia przebijał wpajany jej łagodnie przez matkę nawyk okazywania dobrych manier; pozostała wierna jej naukom. Jakże pragnęła, żeby matka żyła i cieszyła się dobrym zdrowiem, bo przejęłaby inicjatywę i pomogła przejść przez ten koszmar, chociaż w głębi duszy Ruby wiedziała, że Althea Bailey była typem delikatnej magnolii i zapewne sama szukałaby ukojenia w jakimś ciemnym pokoju, wspomagając się zimnym kompresem i buteleczką likieru Southern Comfort. Tak przynajmniej robiła do czasu, gdy jej wątroba odmówiła posłuszeństwa.

- Ten dom stał pusty od lat. Kiedy zobaczyłam go pierwszy raz, był w okropnym stanie - mówiła Elysse - Sam ciągle powtarzał: w nim tkwi wielki potencjał. Pomógł mi wynegocjować okazyjną cenę, a także doprowadzić wszystko do porządku. A ja, jak głupia, łudziłam się, że to musi coś znaczyć. Nie wiem, po co wkładał tyle wysiłku w dom, w którym nie zamierzał zamieszkać?

W orzechowych oczach Elysse pojawiło się rozczarowanie, a słodki głos przepełniła gorycz. Skrzywiła się i oblała rumieńcem, zupełnie jak kiedyś, w liceum, gdzie się poznały.

- Przepraszam cię, Ruby. Jestem pewna, że nie masz najmniejszej ochoty wysłuchiwać kolejnego mało śmiesznego epizodu z Miłosnej Kartoteki Elysse Steele. Zresztą należała mi się nauczka za to, że spiknęłam się z takim facetem. McCoyowie kradną - wszyscy to wiedzą. Jeśli spodziewasz się czegoś innego, możesz za to winić tylko siebie.

Ta uwaga przypomniała Ruby plotki na temat ojca Sama, który doprowadził do tego, że żona porzuciła i jego, i ich dwóch synów, a także historie o niebezpiecznym zachowaniu brata Sama, J.B., chociaż fama ciągnąca się za tą rodziną stała w sprzeczności z zachowaniem, jakie dotychczas widziała u Sama. Chciała jednak powiedzieć Elysse, że nic się nie stało. Dałaby wszystko, by znowu było tak, jak ostatnim razem, kiedy ze sobą rozmawiały.

Elysse namawiała wówczas Ruby, żeby zdecydowała się na pracę, którą, po długich nagabywaniach Elysse, załatwił jej nieznośny brat przyrodni, zaś Ruby - jako mężatka uchodziła za eksperta od

spraw damsko - męskich - pocieszała przyjaciółkę przeżywającą sercowe załamanie. Ale Ruby była w stanie myśleć tylko o Zoe, która ciągnęła ją za rękę i próbowała odwrócić jej uwagę, albo przekonywała Elysse, że powinny pobawić się w chowanego z łaskotkami.

- Nie mogę tak tu siedzieć i czekać. - Ruby poraziła ją oczywistość tego, co powiedziała, zupełnie jakby ktoś walnął ją kłodą w głowę. Czuła bolesne, wzmagające panikę pulsowanie w skroniach. - Powinnam stąd wyjść i szukać ich. Powinnam pracować z ochotnikami, organizować grupy poszukiwawcze...

Elysse dotknęła jej ramienia.

- Przecież ogłoszono stan przedalarmowy, Ruby. To znaczy, że szuka ich każdy policjant w tym stanie i prawdopodobnie w paru innych stanach. Nadano komunikat w telewizji i przez radio, zgadza się?

Ruby milcząco skinęła głową i oczyma wyobraźni ujrzała informację wyświetlaną na pasku w dolnej części ekranu albo rozpowszechnianą w e - mailach, które dochodzą do tysięcy ludzi. Opis Zoe i numer tablicy rejestracyjnej hondy civic należącej do Misty. Zdjęcia, które zebrali ludzie szeryfa, kiedy obudzili Myrtle Lambert i Annę Hammett. Ruby nie miała ani jednego zdjęcia rodziny. Mały album, który przechowywała w plecaku został skradziony, a cała reszta spłonęła wraz z domem.

Już nigdy ich nie odzyska, pomyślała zasmucona. Ani zdjęć dziecka, ani zdjęć ze ślubu, ani ostatnich zdjęć zrobionych mężowi. A jeśli już nigdy nie będzie mieć szansy zrobienia zdjęć swojej córce?

Złe przeczucie tak ją osaczyło, że miała wrażenie, iż ziemia usuwa się jej spod nóg. Nie mogła pływać, nie mogła latać, a mimo to jakimś sposobem wciąż stała. Niczym martwe drzewo w zalanym wodą zagłębieniu.

- Znajdą je, Ruby. - Elysse uścisnęła ją, oplotła rękami jej ramiona i wypowiadała słowa wprost do ucha. - Przeszukają wszystkie miejsca, które przyjdą ci do głowy, i wiele miejsc, o których nawet byś nie pomyślała. Odnajdą je i sprowadzą właśnie tu. Teraz musisz odpocząć, nabrać sił, żeby dobrze opiekować się nimi.

Ruby chciała jej podziękować, ale nie mogła wydusić z siebie ani słowa ze strachu, że całkowicie utraci spokój, który został jej wpojony: zachowanie zimnej krwi, które jest potrzebne w świecie,

gdzie w każdej chwili ktoś zupełnie nieznajomy mógł zaplanować, że ją zabije. To, że czuje się bardziej zagrożona w swoim własnym domu niż podczas całego pobytu w Iraku, i że czuje wstrząs po wybuchach, których nie słyszała ani nie widziała, wydawało jej się czymś surrealnym.

- Pozwól, że wezmę to od ciebie. - Przyjaciółka chwyciła większą walizkę i ruszyła po schodkach. Kiedy weszła na górę, otworzyła zasłonięty ganek, gdzie trzymała wentylator, kilka leżaków i starą huśtawkę zawieszoną na łańcuchu. Czarny perski kot beznamiętnie przyglądał się im przez rozsuwane drzwi ze szkła; jego demoniczny wzrok działał na nerwy.

- Ta część to Margarita Central. - Elysse zignorowała kota i rozejrzała się po ganku. - Tu urządzimy przyjęcie na cześć Misty i Zoe, kiedy całe i zdrowe wrócą do domu.

Pociągnęła rozsuwane drzwi i zawołała:

- Hej, Bubba - Boo, wróciłyśmy.

Kot zmierzył je złowieszczym spojrzeniem pomarańczowych oczu, po czym odwrócił się ogonem. Zapewne był oburzony, że używa się w stosunku do niego takiego wieśniackiego imienia, zamiast czegoś, co przypominałoby arystokratyczny tytuł. Baron Belzebub, pomyślała Ruby, która nie miała nic przeciwko normalnym kotom i nawet obiecała kotka Zoe. Może Lord Lucyfer?

- Naprawdę stęsknił się za tobą - zapewniła ją Elysse. - Ale jest zbyt dumny, żeby to okazać. Pozwól, że zaniosę twoją walizkę do pokoju gościnnego. Najpierw zjemy małe śniadanie, a potem weźmiesz prysznic i pójdziesz do łóżka.

Nagle Ruby poczuła ból w żołądku i uświadomiła sobie, że nie jadła nic od poprzedniego poranka, kiedy to kupiła sobie coś do zjedzenia na lotnisku w Atlancie. Była tak wyczerpana, że kręciło jej się w głowie, ale sen wydawał się jeszcze bardziej nie do pomyślenia niż jedzenie.

Po chwili zdała sobie sprawę, że Elysse jednak ma rację. Jeśli nie zmusi się do odpoczynku, będzie kompletnie nieprzydatna. Jeżeli nie znajdzie w sobie siły, żeby ustalić plan działania, to czeka ją wieczność w piekle, które będzie trudniejsze do zniesienia niż to, które potrafił zgotować nadąsany kot perski.

W gładkiej, nieruchomej tafli jeziora odbijała się cała gama odrażających barw świtu. Szybując na białych skrzydłach, Ruby

patrzyła w dół na nenufary i przybrzeżne zarośla, na cyprysowe drzewa i wreszcie na pobielałe pnie, które wyparły oficjalną nazwę jeziora.

Krążyła nad tym miejscem, zerkała w dół, a serce rozpierało gwałtowne pragnienie, żeby zobaczyć, co jest pod powierzchnią, żeby znaleźć prawdę, którą ukrywała woda. Ale chociaż bardzo się starała, chociaż podczas swoich poszukiwań rozpaczliwie walczyła ze zmęczeniem skrzydeł, była w stanie dojrzeć jedynie lustrzane odbicie wschodzącego słońca: krwawy wyciek podświetlony lśniącą złocistą kulą.

Rolety były zasunięte, dlatego Ruby nie miała pojęcia, jak długo spała, kiedy Elysse przyszła ją obudzić. Gwałtownie usiadła i poczuła ból w okolicach serca. Strzępki snu ustępowały też miejsca niepokojącej rzeczywistości.

- Czy one już tu są? Zoe? Misty?

Elysse pokręciła głową. Zmierzwione włosy i za duża koszulka pozwalały przypuszczać, że ona również dopiero co się obudziła.

- Jest tu szeryf Wofford i chce się z tobą zobaczyć. Czeka w saloniku.

Serce Ruby waliło tak mocno, że ledwie oddychała.

- Gdzie one są? Gdzie jest moja córka?

- Nic o nich nie mówiła. - Elysse objęła się rękami tak mocno, że płytki paznokci aż zbielały. - Nie powiedziała, o co chodzi.

- Cholera! - Ruby zerwała się z łóżka i rozpędzona minęła Elysse. - O, nie, nie!

Justine Wofford czekała, trzymając splecione ręce przed sobą. Była atrakcyjną kobietą, która zbliżała się do czterdziestki. Pogrzebowa mina idealnie współgrała ze starannie ściągniętymi do tyłu włosami w kolorze kawy i czarnym kostiumem, skrojonym tak, by nie podkreślać widocznych krągłości, a zapewne także kabury. Niewykluczone, że ponury wyraz twarzy był efektem zmęczenia; Ruby zdawała sobie sprawę, że kobieta pracowała całą noc.

Na widok podbiegającej do niej Ruby pani szeryf podniosła dłonie, a jej ciemne oczy złagodniały.

- Nie, pani Monroe. To nie to, co pani myśli. Wciąż nie mam żadnych wiadomości o identyfikacji ciał.

Ruby przystanęła; nagły wzrost adrenaliny wywołał drżenie ciała. Ogarnął ją niedorzeczny gniew, poczucie urazy w stosunku do

kobiety, która, jeśli nie brać pod uwagę srebrnej odznaki w klapie, wyglądała raczej jak bizneswoman niż prawdziwy szeryf, i która mogła sobie pozwolić na maskowanie niepokoju oficjalnym dystansem. Emocje Ruby były całkowicie obnażone, przypominały odarte z izolacji, iskrzące się kable, tak że miała ochotę wyć z bólu, chciała, żeby krzyczał z nią cały świat. Mimo wszystko udało jej się nad nimi zapanować i wysłuchała pani szeryf.

- Poprosiłam lekarza sądowego, żeby potraktował tę sprawę priorytetowo. Mam nadzieję, że niedługo będę miała dla pani odpowiedź. A tymczasem...

- A co z ogłoszeniem stanu przedalarmowego? Czy były jakieś doniesienia o tym, że widziano moją rodzinę albo przynajmniej samochód?

- Chcę, żeby pani zrozumiała, że jeśli chodzi o sprawy wiążące się z zaginionymi dziećmi, zawsze będą jakieś doniesienia. Od ludzi, którym się wydaje, że może coś widzieli. Od ludzi, którzy chcą pomóc tak bardzo, że próbują dopasować swoje wspomnienia do szczegółów sprawy. Otrzymujemy też zgłoszenia innego rodzaju: doniesienia niemające związku ze sprawą, fałszywe wyznania od zaniepokojonych obywateli, celowe próby wprowadzenia w błąd.

Ruby odgarnęła z oczu zwichrzone snem włosy. Pociągnęła je tak mocno, że aż poczuła ból przy skórze.

- A więc mieliście już tego rodzaju doniesienia? Ale skąd wiecie, które z nich... które są prawdziwe?

Wofford pokręciła głową.

- Mogłabym pani powiedzieć, że istnieje jakiś papierek lakmusowy albo szósty zmysł, który pomaga nam odróżnić prawdziwe doniesienia od fałszywek. Obiecałam pani wczorajszej nocy, że do kłamstw się nie posunę.

Ruby wiedziała, że kłamstwa stanowią drogę na skróty, że często ułatwiają władzom robotę. Zaczęła jednak doceniać to, że szeryf Wofford nie należy do osób, które sobie pobłażają, albo może nie mogła sobie na to pozwolić jako kobieta sprawująca w tym okręgu tradycyjnie męską funkcję.

- Żadnych kłamstw, żadnych przemilczeń - zgodziła się z Justine Wofford, jak gdyby słowa pani szeryf dawały jej nadzieję.

Szefowa lokalnego wydziału policji skinięciem głowy wyraziła aprobatę dla takiej postawy.

- Prawda jest taka, że musimy przyjmować wszystkie, ale nie będę pani przekazywać niesprawdzonych informacji, nie mając pewności. W przeciwnym razie bez powodu narażałabym panią na huśtawkę nastrojów. A tego nie zrobię.

- Ale nie przyjechała pani tu po to, żeby mi o tym powiedzieć.

- Ma pani rację. Rzeczywiście mam wieści. Nie mogłam dodzwonić się na pani telefon komórkowy, dlatego cieszę się, że poinformowała mnie pani, gdzie będzie przebywać...

- O nie - zawołała Ruby, coś sobie przypominając. - Miałam zamiar włączyć komórkę, ale...

A jeśli Misty próbowała się z nią skontaktować? A może nie odebrała telefonu od swojej córeczki?

- Pomyślałam, że zechce pani tego posłuchać - mówiła Wofford. - Sprawdziliśmy numer pani siostry u jej operatora.

Obsługa numeru została zawieszona raptem parę dni temu z powodu niezapłaconych rachunków. Nie mam jeszcze wyciągów - to wymaga nakazu - ale porozmawiałam z pewnym sympatycznym pracownikiem, który powiedział mi, że ostatnie zarejestrowane połączenie wykonano spoza kraju, trzydziestego marca.

- Ja do niej dzwoniłam; w godzinach rannych waszego czasu. - Ruby, czuła, jak chłodny dreszcz pełznie jej po rękach. Czy od tamtego czasu ktokolwiek rozmawiał z Misty albo Zoe?

- Za kilka godzin powinniśmy mieć billingi telefoniczne, a ponadto poprosiliśmy przedstawiciela sieci, żeby tymczasowo przywrócili usługę, zobaczymy, czy uda się nam skontaktować się z panią Bailey albo, w razie potrzeby, zlokalizowane jej za pomocą GPS - u.

Ruby kręciła głową.

- Nie wydaje mi się, żeby telefon Misty miał zainstalowany GPS. - GPS zapewne przydałby się jej siostrze, ale tylko droższe modele miały tę funkcję.

- Odkąd udoskonalono nasz system 9 - 1 - 1, jesteśmy w stanie zlokalizować każdy telefon komórkowy, pod warunkiem że aparat nie jest rozładowany. I, oczywiście, zakładając, że telefon pani siostry nie spalił się razem z domem.

- Nie spalił się - powiedziała Ruby, chociaż wyrażała w ten sposób raczej nadzieję niż przypuszczenie. - Ponieważ Misty ma go przy sobie, a Misty jest z moją córką. Gdzieś.

- Skontaktowaliśmy się również z wymienionymi przez panią instytucjami, które wydały karty kredytowe, i porozmawialiśmy z kimś z banku. Żadnej operacji na żadnej z kart od ponad tygodnia.

- A w banku?

- Właściwie dlatego tu przyjechałam. Muszę...

Wofford odchrząknęła, a w jej ciemnych oczach pojawił się żal.

- Dwa dni temu konta bankowe pani siostry zostały zamknięte, wyczyszczone. Czy wie pani cokolwiek...?

- Ja... ja nie rozumiem tego. Dlaczego ktoś miałby... - Ruby poczuła szum w uszach. Skierowała wzrok na kocura, który siedział na stoliku i bacznie ją obserwował.

Pomarańczowe oczy odwzajemniły jej spojrzenie. Bił z nich chłód, wyniosłość, a potem zdziwienie, gdy Elysse porwała go w ramiona i zaczęła głaskać jedwabiste, czarne futro, jakby chciała pocieszyć samą siebie.

- Jest jeszcze coś, o czym musi pani wiedzieć - ciągnęła szeryf Wofford. - Przykro mi, że muszę to pani przekazać, ale mam informacje z banku, że pani konta osobiste również zostały zlikwidowane.

- Zlikwidowane? Co pani ma na myśli? Jak można było...

- Wszystkie pani pieniądze zostały wypłacone. Co do centa.

Rozdział 6

Wiemy więcej o wojnie niż o pokoju, więcej o zabijaniu niż o życiu.

Generał Omar N. Bradley

Wypis ze szpitala był już gotowy i Sam prawie przysypiał przed telewizorem, oglądając program o wędkowaniu, kiedy na salę wparował Paulie Hammett.

- Jasna cholera, dzieciaku! Wyglądasz jak worek pełny rybich flaków - wykrzyknął.

Sam od razu się ożywił.

- Dzięki - wycedził. - Z tobą jest tak samo, chłopie. Tylko że ja mogę liczyć na poprawę.

Paulie postawił z łomotem zgrzewkę dwunastu butelek piwa - przewiązaną niebieską wstążką - na stolik obok łóżka pacjenta. Uśmiechał się tak szeroko, że aż zrobił mu się rowek w poprzetykanej siwizną szczecinie jego brody. Zauważył, że Sam spoglądał na nietypowy prezent.

- A co? Spodziewałeś się kwiatów?

Po tym komentarzu uniósł krzaczaste siwe brwi, zasłonięte daszkiem czapeczki, i przyglądał się twarzy Sama. Sam stłumił śmiech, żeby uniknąć piekielnego bólu.

- Dzięki i cieszę się, że znalazłeś czas, żeby wpaść.

Paulie uśmiechnął się. Jego wydatny brzuch opinała wyblakła koszulka z logo Hammett's on the Lake, która świadczyła o tym, że jeśli jakaś osoba jest dostatecznie wpływowa, to sama może sobie ustalać, co się nosi, a co nie. Paulie był mężczyzną wysokim, ale i grubawym, zwłaszcza w pasie. Rzucił Samowi plastikową reklamówkę z dżinsami oraz czymś, co okazało się - cóż za niespodzianka - nowszą, granatową koszulą z logo w postaci uśmiechniętego aligatora.

- Anna kazała mi zabrać dla ciebie jakieś ciuchy, podczas gdy ja zajmowałem się twoim szczeniakiem. Pomyślałem, że może chciałbyś pójść do domu ubrany w coś, co nie będzie całe we krwi.

- Twoja żona jest boginią wśród kobiet - zawyrokował Sam.

- Ależ ona doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

- Wyszła za mąż znacznie poniżej swoich możliwości. Paulie wywrócił oczami, prychnął i wbrew swojej naturze usiłował się roześmiać.

- Jakby wszyscy o tym nie wiedzieli! A teraz ubieraj się, żebym cię mógł odwieźć do domu. Mamy dziś za mało rąk do roboty w restauracji, więc przed piątą muszę być z powrotem.

- Przepraszam, że zabrałem ci tyle czasu.

- Nie tak to planowałeś, co? Poza tym chciałem cię zobaczyć na własne oczy, upewnić się, że prosto cię zszyli. - Zmarszczył czoło, przyjrzał się uważnie twarzy Sama i nagle spoważniał. - McCoy, jak się czujesz?

Jego zatroskane oblicze tak bardzo różniło się od tego, co zazwyczaj prezentował ten Król Ścierny, że Sam odezwał się w sposób, w jaki odważyliby się nieliczni.

- Możesz powiedzieć swojej żonie, że za kilka dni będę w szczytowej formie.

Paulie zmarszczył czoło jeszcze bardziej.

- Żarty na bok, Sam. Oboje bardzo martwimy się o Misty i tę dziewczynkę. Jeśli cokolwiek wiesz...

Odwrócił wzrok i potarł wałeczki na grubym karku, ale sekundę wcześniej Sam zauważył dziwną zmianę na jego twarzy. Czyżby to była podejrzliwość? A może żal, że pozwolił Misty, którą uważał za członka rodziny, wybiec jak burza z restauracji po jakiejś nic nieznaczącej scysji o błąd przy zamawianiu lunchu? A może po prostu był wściekły - co zresztą u Pauliego było normą - że to zniknięcie tak bardzo dręczy i jego, i Annę?

- Ja też się martwię - odparł Sam. Zastanawiał się, czy Paulie już słyszał o ciałach wydobytych ze spalonego domu. Jednak od razu przypomniała mu się twarz Ruby, jej rozpaczliwa potrzeba wiary, że rodzina żyje, i nie mógł zdobyć się na poruszenie tego tematu.

Po chwili niezręcznego milczenia Paulie wrócił do dawnej formy.

- Mam zawołać pielęgniarkę, żeby ci pomogła włożyć ciuchy? A może chcesz, żebym upolował którąś z tych młodszych? Bo choćbyś nie wiem jak ładnie prosił, nie zamierzam ci pomóc wciągać bokserki.

- Hm, w takim razie zaczekaj na zewnątrz - burknął Sam. Paulie chwycił zgrzewkę i ruszył do drzwi.

Pomimo kiepskiego samopoczucia Sam próbował przebrać się szybko, ale zakręciło mu się w głowie - prawdopodobnie po lekach

przeciwbólowych - i oblał się potem. Zupełnie wyczerpany, poczłapał do łazienki, pochylił się, żeby spryskać twarz wodą, i zamarł, widząc, jaki jest pokiereszowany. Ten wstrząs przynajmniej go otrzeźwił i pozwolił włożyć resztę garderoby, zanim jego „szofer" straci cierpliwość. Jednak kiedy Sam otworzył drzwi swojego pokoju, zobaczył, że Paulie jest pochłonięty rozmową z Justine Wofford.

Jak większość zwykłych śmiertelników, nowa szeryf okręgu wyglądała przy zwalistym restauratorze jak karzełek, aczkolwiek dzięki obcasom wcale nie była dużo niższa od mającego ponad metr osiemdziesiąt Sama. Domyślał się, że przez gładko zaczesane do tyłu ciemne włosy i czarny kostium chciała, jako funkcjonariusz państwowy, dodać sobie powagi, ale mimo tych wysiłków zupełnie nie pasowała do roli, którą postanowiła przejąć. O wiele młodsza od swojego zmarłego męża - Sam uznał, że dobiegała czterdziestki - miała figurę, której nie był w stanie zakryć nawet najbardziej aseksualny ubiór. Pomyślał, że i tak miała szczęście, obywatele Preston County, którzy, prawdę mówiąc, nie słynęli z otwartości umysłów, zagłosowali na nazwisko „Wofford", gdy tylko zobaczyli je na liście kandydatów.

Albo może jej rywal, pozbawiony taktu Roger Savoy, miał więcej wrogów, nie tylko państwa Hammett, kiedy sprawował funkcję szeryfa.

Nowa szeryf podała mu rękę i Sama zaskoczył kontrast między stanowczym uściskiem i starannie polakierowanymi na czerwono paznokciami oraz wysadzaną diamencikami obrączką.

- Panie McCoy. - Patrzyła na niego wprost, w sposób, który mógł wyprowadzić z równowagi, a jej oczy były tak ciemne, że wydawały się niemal czarne. - Przyjechałam tu właśnie po to, żeby uścisnąć panu rękę. Wiem, że naraził się pan na ogromne ryzyko, żeby uratować życie szeryfa Whitakera. Dziękuję panu w imieniu rodziny Calvina i obywateli Preston County, i mam nadzieję, że wkrótce poczuje się pan lepiej.

Sam, którego cechowała typowa dla McCoyów instynktowna nieufność do przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości, a także częsta u człowieka z wyrokiem chęć nierzucania się w oczy, nie był pewien, jak potraktować wdzięczność okazywaną przez wroga. Co gorsza, mówiła jak cholerny polityk, i to skojarzenie sprawiało, że miał ochotę wybiec i umyć rękę.

- Czuję się dobrze - Spróbował odwrócić jej uwagę, dodając: - To Ruby Monroe jest osobą, której powinna pani podziękować. Wie pani, jak duży był pies, którego sprzątnęła? Rozszarpałby nas oboje na strzępy, gdyby nie pomyślała o zabraniu broni Calvina.

Zeszłego wieczoru Sam powiedział innemu policjantowi wszystko, co zapamiętał. Miał nadzieję, że jeśli szybko upora się z pytaniami, wydział będzie mógł zakończyć sprawę i nie angażować go w śledztwo. Wizyta Wofford pozbawiła go złudzeń.

Próżno było szukać śladu uśmiechu w jej oczach.

- Przeczytałam notatki funkcjonariusza Savoya i wynikałoby z nich, że oboje zachowaliście się w sposób godny podziwu.

Wypowiadała to zdanie powoli i Sam zastanawiał się, czy celowo akcentowała „wynikałoby z nich". Zerknął na Hammetta, ale ten tylko kiwał głową na znak, że całkowicie się zgadza.

Zaraz potem właściciel restauracji zaproponował:

- Kiedy wszystko się uspokoi, a Misty i jej siostrzenica wrócą do domu, obiecuję, że zrobimy imprezę na sto fajerek. Gotowane raki, zimne piwo, ciasto i poncz dla dzieciaków.

Gdy wspomniał o zaginionych osobach, twarz pani szeryf zastygła w wyrazie, który Sam lubił określać Oficjalna Maska Funkcjonariusza Porządku Publicznego.

- Uważam, że planowanie takiej imprezy jest przedwczesne, panie Hammett. - Mentorski ton kontrastował z filuternie połyskującymi brylantowymi kolczykami w uszach. - Przede wszystkim, mamy policjanta, który jeszcze nie został pochowany. Policjanta, który był bliskim przyjacielem mojego męża.

- Do diabła, Justine, obaj byli moimi dobrymi przyjaciółmi. Przecież wiesz o tym. - Czerwieniejąc na twarzy, Paulie potarł kark. - Nie miałem zamiaru sugerować... Chciałem tylko...

- Przykro mi, że nie dotarłem do oficera Balderacha szybciej, może mógłbym pomóc - przerwał Sam, zanim Hammett zdążył zaoferować „krabowo - piwne" spotkanie po pogrzebie.

Wofford pokiwała głową. Jej mroczne spojrzenie przypomniało Samowi, że od niedawna jest wdową. Nie odrywając od niego wzroku, powiedziała:

- Porozmawiamy jeszcze o tym, co pan robił podczas jazdy do domu.

Analizował sens tego zdania, a potem, starannie dobierając słowa, odparł:

- Z chęcią opowiem. Ale Paulie przejechał kawał drogi specjalnie po to, żeby mnie zabrać.

Było mu trudno zachować wobec niej obojętność, powstrzymać się od komentarza, bo myślał jedynie o reakcjach tych, którzy mogliby go zobaczyć w towarzystwie pani szeryf. Z pewnością skojarzyliby ten widok ze zniknięciem jego sąsiadek i z funkcjonariuszem, który został zabity. Większość mieszkających tu ludzi była gotowa wybaczyć miejscowemu chłopakowi, nawet któremuś z McCoyów, jakieś dziwne przestępstwo, które godziło wyłącznie w odległą - i bezosobową - korporację. Ale to, co zdarzyło się zeszłej nocy w sąsiednim domu, miało związek z piękną i powszechnie lubianą młodą kobietą i uroczym dzieckiem, miejscowym policjantem, który zginął w płomieniach, i jeszcze jednym, który odniósł obrażenia. Ludzie zaczęli go kojarzyć z tą okropną sprawą i właściwie mógł już żegnać się z nowym biznesem wędkarskim. Co prawda pieniądze nie były dla Sama problemem - mimo że musiał zapłacić ogromną grzywnę, w dalszym ciągu otrzymywał pokaźne tantiemy dzięki komercyjnemu programowi zabezpieczającemu, który napisał jakiś czas temu - ale zastanawiał się, co będzie robił przez następne trzy lata, jeśli nie zdoła nadrobić braków w wykształceniu.

Zamiast pomóc Samowi zaświadczyć, że są w bardzo bliskich stosunkach od dnia, w którym Paulie i Anna zatrudnili żylastego, wyszczekanego czternastolatka, żeby czyścił ryby dla powracających kutrów, Hammett wymienił przeciągłe spojrzenie z szeryfem, a potem wypalił:

- To naprawdę żaden kłopot, Justine. Tylko schłodzę piwo w restauracji. Albo może wpadnę z nim później, Sam, wtedy nadrobimy zaległości.

Sam miał ochotę pokazać mu środkowy palec.

Opuszczając szpital razem z Wofford, starał się sprawiać wrażenie osoby niewinnej, nieprzejmującej się niczym. Pomachał na pożegnanie pielęgniarce, która akurat była na dyżurze, jakby pani szeryf zawsze odwoziła go z powrotem do domu. Kiedy dotarł z Wofford do wozu szeryfa, szybko wgramolił się na podniszczone, lepiące się z brudu siedzenie, żeby nikt z przejeżdżających ludzi go nie zobaczył.

Drzwi od strony kierowcy głośno zaskrzypiały, kiedy Wofford zajęła miejsce. Gdy przekręciła kluczyk w stacyjce, silnik Expedition kilkakrotnie zakaszlał i zastukał, zanim udało się go uruchomić.

- To cholerstwo jest już zajeżdżone na śmierć. - Dekolt Wofford lekko poczerwieniał, jakby stan pojazdu wprawiał ją w zakłopotanie. - Powinnam pomyśleć o nowym.

Zignorował tę uwagę.

- Dziś rano Ruby zatrzymała się w szpitalu - powiedział. - Mówiła mi o ciałach znalezionych w domu; wciąż nie wiadomo, kto zginął.

Wyjechali ze szpitalnego parkingu,

- Sądzimy, że mamy jednego mężczyznę i jedną kobietę, ale szczątki ciał są tak popalone, że nawet nie jesteśmy w stu procentach pewni, że tak jest.

- Obie osoby dorosłe, tak? - Mignął mu w pamięci radosny uśmiech Zoe, chudziutkie ramionka obejmujące szyję Javy, żeby ją przytulić, i niemal bezwiednie zadał następne pytanie. - Czy... nie znaleźliście tam małego dziecka?

Wofford pokręciła głową.

- Strażacy przeszukali zgliszcza bardzo dokładnie, a stanowy inspektor ochrony przeciwpożarowej sprowadził wcześniej psa z jego trenerem. Jednak nie ma śladu po dziecku w tej katastrofie. Dzięki Bogu.

Sam, który długo wstrzymywał oddech, opróżnił płuca i miał nadzieję, że oszalałe tętno wreszcie się uspokoi. W głosie wyczuł współczucie, ale w słowach kryło się coś innego. Coś, co go ostrzegało, że oceniała każdą wypowiadaną przez niego sylabę i każdą zmianę tonu.

- Z tego, co zrozumiałam, pan sądzi, że zobaczył na górze kobietę. Rozpoznał pan tę osobę? Czy to mogła być Misty Bailey?

Kiedy stary ford nabrał prędkości, Sam czuł każdy wybój i hałas, przekazywany przez sztywne zawieszenie. Stojące wzdłuż ulicy starannie pomalowane, stare domy z drewna śmigały za szybą wozu, podczas gdy on usiłował skupić się na szczegółach postaci, która mignęła mu zeszłej nocy: szczupła, co od razu skłaniało do wniosku, że to kobieta; stała na schodkach, przy oknie, płomienie podkreślały kontury sylwetki. Na myśl o tym, jak niewiele mu zabrakło, żeby jej dotknąć, poczuł gorycz w ustach i przełknął ślinę.

- Wszystko działo się tak szybko, że nie jestem całkowicie pewien tego, co widziałem. Ale mam nadzieję, że to nie była Misty, że ona i jej siostrzenica przebywają w jakimś bezpiecznym miejscu. - Szeryf skręciła w mniejszą, osiedlową uliczkę, żeby nie przejeżdżać przez historyczne centrum Dogwood, które w piękną kwietniową sobotę najprawdopodobniej było zatłoczone amatorami antyków i wyrobów rzemiosła. Drzewa, któremu miasteczko zawdzięczało nazwę (Dogwood - dereń biały (przyp. tłum).), właśnie kwitły, ich śnieżnobiałe albo różowe kwiecie przełamywało cienie podszytu.

- Jakieś pomysły, dokąd mogłaby pójść? Wspominała kiedykolwiek o jakimś chłopaku?

Wzruszył ramionami.

- Nigdy nie poruszała zbyt osobistych tematów. Jesteśmy tylko sąsiadami, to wszystko.

Wygłosił tę uwagę tak ostrożnie, jakby rzucał przynętę na wodę. Czy Wofford po prostu chciała od niego wyciągnąć dodatkowe informacje i traktowała go jak każdego innego świadka, czy może widziała w nim podejrzanego?

Pani szeryf połknęła haczyk, bo od razu zagadnęła:

- Chyba pracowaliście razem, zgadza się? W Hammett's, i to aż do ostatniego tygodnia, kiedy pani Bailey zwolniła się z pracy?

- Nie powiedziałbym, że pracowaliśmy razem. Jestem niezależnym przewodnikiem, ale rzeczywiście podłapuję niektórych klientów w tej restauracji. Bywam tam parę razy w tygodniu, więc tak, Misty i ja poznaliśmy się. Powierzchownie.

- Powierzchownie... - Zahamowała, kiedy dwóch chłopców z nastroszonymi włosami przejeżdżało ulicę na jednym rowerze. Opuściwszy okno od strony kierowcy, krzyknęła: - Jazda mi zaraz do domu i macie sobie załatwić osobne rowery!

Chłopcy jechali dalej, albo nie słyszeli, albo tylko udawali. Pani szeryf pokręciła głową.

- Chciałabym posadzić tych dwóch i pokazać im to, co się zdarzyło tej kochanej biedulce Bradley. Została potrącona w zeszłym roku, parę przecznic dalej. Mój mąż był wtedy na służbie. Nigdy nie mógł sobie darować, że nie złapał tego tchórza, który ją przejechał i uciekł.

Sam obserwował, jak kącik jej ust wygina się do dołu, a na twarzy przez moment maluje się autentyczny żal. Nabrał sympatii do

tej kobiety, choć kłóciło się to z jego zdroworozsądkową oceną sytuacji.

- Ta dziewczynka została zabita? Pokręciła głową.

- Nie, ale być może powinna była zginąć. Już nigdy nie będzie miała choćby namiastki normalnego życia, podobnie jak jej rodzina.

Zapadło uroczyste milczenie, ale wkrótce szeryf znalazła sposób, żeby kontynuować temat.

- A wracając do Misty Bailey, chciałam zapytać, co miał pan na myśli, mówiąc o powierzchownej znajomości.

- Powierzchowna, czyli nie w biblijnym sensie. - Nie widział, czy rozumiała, co miał na myśli, dlatego powiedział wprost: - Chodzi mi o to, że nigdy ze sobą nie spaliśmy. Owszem, trochę z nią flirtowałem, ale nie wydawała się zainteresowana czymś więcej. Poza tym doszedłem do wniosku, że za bardzo chciała się do mnie zbliżyć.

Ciemne oczy Justine zabłysły i spojrzały na niego z zaciekawieniem.

- Co pan ma na myśli? Wzruszył ramionami.

- Nie szukam teraz stałego związku. Są kobiety, którym to akurat nie przeszkadza.

Mógł wyjaśnić, że byłoby cholernie niezręcznie mieszkać po sąsiedzku z byłą kochanką, ale instynkt, a także pamięć o przestrogach Pacheco kazały mu mieć się na baczności.

Uśmiechnęła się, co dobrze świadczyło o jej inteligencji.

- Rozumiem. Znaczy, że nie był pan z nią w związku?

- Zgadza się. - Próbując zmienić temat, zapytał: - Czy ma pani jakiekolwiek pojęcie, co stało się z tym domem? Czy to był wybuch gazu? A może ten facet z tatuażami celowo go wysadził?

Obdarowała go spojrzeniem wyrażającym chłodne uznanie. Skręciła w wysadzaną dębami i sosnami drogę okręgową, która miała ich poprowadzić w stronę południowego krańca jeziora.

- Niewykluczone, że druga eksplozja to był gaz. Płomienie mogły zapalić to, co zebrało się w pobliżu dachu po wybuchu.

- Który został spowodowany przez...? - Odważył się zapytać.

- Inspektor ochrony przeciwpożarowej sądzi, że oni tam gotowali, i nie mówię o jedzeniu.

- Co pani ma na myśli? - Przypomniał sobie intensywny odór, zalatywało amoniakiem, kiedy szedł z przystani Monroe w stronę domu. - Zaraz... Wczoraj czułem ten zapach. Myślałem, że to jakieś

zwierzę, ale... to były narkotyki, prawda? Przygotowywali w tym domu narkotyki.

Skinęła głową.

- Najprawdopodobniej metamfetaminy. Substancje o właściwościach wybuchowych. Ktoś, kto był w środku, prawdopodobnie próbował szybko wszystko zdemontować, kiedy pojawiła się pani Monroe. Za dużo pośpiechu przy eksperymentowaniu z chemikaliami.

- Ostatnio czytałem, że w okręgu natrafiono na kilka takich laboratoriów.

- Pojawiają się teraz wszędzie. - Justine Wofford skrzywiła się. - Przeważnie odkrywamy je dopiero wtedy, kiedy tym naukowym geniuszom udaje się wysadzić siebie w powietrze.

- Mogę tylko sobie wyobrazić, jak strasznie się pani smuci, kiedy do tego dochodzi.

Uśmiech przemknął po jej twarzy tak szybko, że właściwie mogłoby go tam nigdy nie być.

- Tylko wówczas, gdy obrażenia odnoszą także niewinni ludzie - przyznała. - Ale przeważnie to ćpuny zakładają laboratoria w domach na uboczu. Rdzewiejące przyczepy w lasach, stare, zapuszczone domki nad jeziorem. Wszędzie, gdzie sąsiedzi nie wyczują odoru chemikaliów albo nie będą zwracali uwagi na ruch uliczny.

Sam pokręcił głową.

- Nie zauważyłem żadnych dziwnych osób pod domem Monroe aż do zeszłego tygodnia. I nawet wówczas nie robiłem z tego problemu. Zoe nie wyglądała na zdenerwowaną, a poza tym przecież, do cholery, nie odpowiadam za to, w jakim towarzystwie obraca się Misty Bailey.

Rzuciła mu nieprzyjemne spojrzenie, świdrowała go czarnymi oczami.

- Nikt tak nie twierdzi, panie McCoy.

- Przepraszam. - Skrzywił się. - Człowiek niesłusznie oskarżony często popada w paranoję.

- Ale ostatnim razem - powiedziała lekkim tonem - coś było na rzeczy w podejrzeniach FBI, zgadza się? I przyłapano pana z ręką w słoiku z elektronicznymi ciasteczkami, nieprawdaż?

Prychnął tylko, zdając sobie sprawę, że Wofford zna szczegóły sprawy, a także warunki, na jakich został zwolniony. Mógł jej

wyjaśnić, że dumni, ale bez grosza przy duszy starsi sąsiedzi sami przyszli do niego, żeby mu powiedzieć, jaka jest korporacja, przez którą został zatrudniony, by chronić jej dane. Wyobrażał sobie jednak, że w trakcie swojej policyjnej kariery słyszała wiele różnych usprawiedliwień. I co z tego, że akurat to pochodziło od faceta, który kiedyś zgarniał grube dolce, broniąc bogatych firm przed hakerami?

Dlatego ograniczył się do przypomnienia dobrze znanych faktów.

- Tak, rzeczywiście zostałem przyłapany i dużo mnie to kosztowało. A będzie kosztować więcej, jeśli znów wywinę jakiś numer.

- W takim razie miejmy nadzieję, panie McCoy - jej słowa zdawały się skrywać całą gamę znaczeń - że jest pan bardziej pojętnym uczniem niż pański starszy brat.

Sam wzdrygnął się, był zaskoczony. Zastanawiał się, dlaczego nie spodziewał się takich słów. Przecież Wofford musiała poruszyć sprawę J.B. Ze względu na jego powiązania z narkotykami, to oczywiste.

- Minęło osiem, nie, ponad dziesięć lat odkąd go widziałem. Drań pojawił się nieproszony w moim domu w Austin. Próbował wyłudzić ode mnie pieniądze.

Sam był wówczas wstrząśnięty, bo J.B., który porządnie go nastraszył, włamując się do apartamentu, „żeby go zaskoczyć", zupełnie nie przypominał już bystrego, przebiegłego brata z lat młodości. Miał nalaną twarz i czerwony nos alkoholika. Zestarzał się szybko i bardzo mocno, mimo że był trzy lata starszy od Sama. Alkohol, narkotyki i więzienie często wpływały tak na ludzi; przecież zabiły ojca jego braci, kiedy miał czterdzieści osiem lat. I podobnie jak ich ojciec, J.B. był wybuchowy, niezdolny stawić czoło codziennym życiowym problemom. Kiedy Sam nie zgodził się na udzielenie „pożyczki", ten dupek wyciągnął kij golfowy Sama z jego torby i rozbił nim szklany blat stolika do kawy, dobrego laptopa, i jeszcze nadgarstek własnego brata.

Przypominając sobie tamten epizod, Sam zgiął palce prawej dłoni.

- Nawet nie wiem, gdzie on teraz jest. Przypuszczam, że w więzieniu, może już nie żyje. J.B. i ja... No cóż, może mieliśmy wspólnych rodziców, ale nigdy nie byliśmy sobie bliscy. Najlepsze, co

mi się kiedykolwiek zdarzyło, to dzień, kiedy nasza opiekunka socjalna przydzieliła nas do różnych rodzin zastępczych.

Podejrzewał, że gdyby tego nie zrobiła, on zapewne nie przeżyłby dzieciństwa. Albo, co gorsza, stałby się tak samo skłonny do przemocy jak jego brat, bo tylko w ten sposób umiałby się obronić.

- Federalni przyglądają mu się - mówiła Wofford - i ma to związek z pewną ciężarówką, którą znaleziono na amerykańskim przejściu granicznym. Dwie tony marihuany.

Sam cicho gwizdnął.

- Zawsze myślałem, że to drobny przestępca. Tu jakiś napad, tam kradzież z włamaniem, parę pijackich rozrób dla równowagi. Może nawet morderstwo, gdyby przywalił komuś za mocno. Ale przemyt na wielką skalę? J.B., którego znałem, nie potrafił skoordynować nawet podwórkowego grilla, więc jak miałby przeprowadzić operację przemytu narkotyków? Raczej nie nazwałbym go grupowym graczem.

Kącik ust pani szeryf zadrgał. Była poirytowana.

- Nie mówiłam, że zrobił to dobrze. Popełnił trzecie przestępstwo. Jeśli tym razem go złapią, nie wyjdzie z ciupy.

Sam pokręcił głową z niesmakiem, rozmyślając o zmarnowanych możliwościach.

- Co za kretyn.

J.B., który wchodził w życie z taką inteligencją i potencjałem, miał taką samą szansę na odmianę swojego losu jak Sam. Ale J.B. nie wylądował u Monroe'ów. Czy bez ich wpływu Sam, który miał przecież te same geny, wypadłby lepiej? Mimo że trafiła mu się taka rodzina, nawalał wielokrotnie. Tylko że nigdy nie używał pięści ani broni.

Zwalniając przed zakrętem, Wofford zapytała:

- Jest pan pewien, że ostatnio nie widział pan swojego brata? Albo może miał pan od niego jakieś wieści?

Zaprzeczył.

- Nie mogę sobie wyobrazić, żeby kiedykolwiek jeszcze przyszedł do mnie z prośbą o pomoc. Po naszym ostatnim „spotkaniu po latach" wniosłem oskarżenie i posadziłem jego tyłek w więzieniu na sześć miesięcy. Ale pani przecież już o tym wszystkim wie, prawda?

- Tak, o tej części sprawy wiem.

- W takim razie ma pani tyle samo informacji, ile mam ja - a z tego co słyszę, chyba nawet więcej - na temat mojego brata. I gdyby pani wiedziała o mnie tyle, ile myśli, że wie, to już by pani sobie uświadomiła, że ostatnia rzecz, jaka mogłaby mi przyjść do głowy, to zadawać się z bandą najaranych chemików amatorów. Po pierwsze, mam zbyt wiele do stracenia. Gdy monitorowane zwolnienie skończy się za parę lat, chcę odzyskać swoje życie. A na razie tylko zabijam czas aż do dnia, kiedy znowu będzie mi wolno położyć ręce na klawiaturze komputera.

- Mówi pan takim tonem, jakby pan tęsknił za komputerem.

- Nawet nie umiem wyrazić słowami, jak bardzo. - I właśnie dlatego trzymam się teraz z dala od kłopotów.

W każdym razie, od większości z nich.

Skręciła w South Cypress Bend, zakurzoną nieutwardzoną drogę, która prowadziła obok rezerwatu stanowego w stronę samotnego punktu na linii brzegowej, gdzie teraz znajdował się już tylko dom Sama. Opona zawadziła o koleinę i Samowi zrobiło się niedobrze. Do okropnego bólu głowy doszły mdłości.

Chytre Spojrzenie, jakim obrzuciła go Wofford, sprawiło, że Sam poczuł się jeszcze gorzej.

- Ale ten ostatni układ z federalnymi to nie było pana pierwsze aresztowanie, prawda? - zagadnęła. - Był przecież zarzut kradzieży, kiedy miał pan siedemnaście lat. Kradzieży u pana przybranych rodziców.

- Chyba nie mówi pani poważnie. - Zastanawiał się, skąd zdobyła jego podobno zabezpieczone akta. - Nic takiego - po prostu wielkie nieporozumienie.

- Państwo Monroe chyba mieli inne zdanie, skoro trafił pan do domu dziecka.

Ból rozsadzał mu skronie, w gardle znowu poczuł gorycz. Za trzysta pięćdziesiąt dolarów utracił jedyną stabilną rodzinę, jaką znał. Za trzysta pięćdziesiąt dolarów, których nawet nie wziął.

Ale nie zamierzał się spierać. Już dawno przekonał się, że daleko na tym nie zajdzie. Dlatego teraz odpowiedział:

- Czy to była bzdura, czy nie, tak się wystraszyłem, że przez ostatni rok pobytu w domu dziecka bardzo dobrze się sprawowałem i nie zostałem formalnie oskarżony.

Nawet nie obwiniał Monroe'ów, że wtedy postawili na nim krzyżyk. Od lat wystawiał cierpliwość tych ludzi na ciężką próbę, ale ich miłość i wiara były tak wielkie... aż do tamtej nocy, która wybuchła jak fajerwerk prosto w twarz jemu i Aaronowi...

- Nie jestem jak mój brat - upierał się Sam. Nie jestem jak żaden z nich - pomyślał.

- Gdybym uważała, że pan jest jak brat, przeprowadzalibyśmy tę rozmowę w oficjalny sposób zgodny z procedurą.

Spojrzał jej prosto w oczy, cały czas zdając, sobie sprawę z pogróżki ukrytej w tych słowach.

- I przeprowadzalibyśmy ją w obecności mojego adwokata.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu, aż skończyła się zadrzewiona aleja, odsłaniając zwęglone ruiny domu Monroe'ów, gdzie żadna belka nie pozostała na swoim miejscu. Na ulicy stało zaparkowanych kilka dużych, ciemnych SUV - ów; były nieoznakowane, tylko na jednym, widniał jakiś oficjalny emblemat. Sam naliczył czterech, nie, pięciu mężczyzn, którzy przeszukiwali miejsce, dwaj mieli na sobie kamizelki Agencji Zwalczania Narkotyków.

Gdy przejeżdżali obok spalonego domu, uważnie mu się przyglądając, nowa pani szeryf zaklęła pod nosem.

- Miały się tym zajmować tylko lokalne władze...

A jej rola w tym dochodzeniu, pomyślał Sam, miała się ograniczać do „przyjacielskiego" odwiezienia ze szpitala do domu i krótkiej, nieoficjalnej pogawędki.

Rozdział 7

Zło nie jest malownicze, ale zawsze ludzkie, Dzieli z nami łoże, je z nami przy stole.

W.H. Auden

(W.H. Auden, „Herman Melville". Przeł. Leszek Elektorowicz. W. H. Au den. Poezje. Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1988, s. 99.)

Chociaż kot Elysse patrzył na nią oskarżycielsko zza rozsuwanych szklanych drzwi, Ruby nie zamierzała tu zostać. Nie miała dość cierpliwości, żeby biernie czekać, aż dowodzący akcją powiedzą jej, że siostra z pewnością ją zdradziła, albo, co gorsza, zakomunikują, że Misty nie żyje, a w ruinach domu znaleziono ciało jakiegoś dziecka. Na samą myśl ogarniała ją panika. Szepcząc słowa modlitwy, zasuwała drzwi ganku, a w ręku ściskała kluczyki do białej corolli przyjaciółki.

Jeśli ciągle będę w ruchu, one nadal będą żyć.

Jeśli ciągle będę działać, znajdę je.

Wiedziała, że jeśli jej się to nie uda, załamie się. Wszystko rozpadnie się na kawałki, zupełnie jak ten samochód dostawczy, który na jej oczach został trafiony granatem.

Kiedy była w połowie drogi do restauracji Hammett's, zadzwoniła jej świeżo naładowana komórka. Zerknąwszy na wyświetlacz, Ruby skrzywiła się, ale odebrała.

- Co ty wyrabiasz? - zagadnęła groźnym tonem Elysse. - Wystarczy, że na chwilę spuszczę cię z oka, a ty już jedziesz sobie gdzieś moim...

- Spałaś już co najmniej godzinę, Leese, a poza tym zostawiłam karteczkę na ladzie. - Ruby napisała, że wybiera się do Hammett's, zanim zacznie się obiadowa krzątanina, na spotkanie z Crystal Kowalski, która w końcu do niej oddzwoniła. - Nie zauważyłaś kartki?

- Przeczytałam, ale na miłość boską, Ruby. Nie powinnaś jeździć wszędzie sama. Nie w takich okolicznościach.

- Posłuchaj, jeśli martwisz się o swój samochód...

- Jesteś naprawdę zestresowana, więc udam, że tego nie powiedziałaś. Martwię się o ciebie, rzecz jasna. Kiedy wyszła szeryf...

- Wiem, wiem. - Ruby nie potrzebowała ani nie chciała, żeby jej przypominano o łzach. - Ale teraz wszystko już ze mną w porządku. Naprawdę.

Widząc, jak na twarzy przyjaciółki odbija się jej własna udręka, popadła w jeszcze większe przygnębienie. Poczuła ulgę, kiedy Elysse wreszcie zmęczyła się i dała jej czas i przestrzeń, których potrzebowała, żeby odzyskać energię.

- Poza tym - przypomniała jej Ruby - dziś wieczorem zaczynasz znów dwunastogodziny dyżur, więc naprawdę powinnaś się przespać.

- Chyba nie wyobrażasz sobie, że pójdę sobie ot tak do pracy i zostawię cię? Dziś wieczorem nie idę na dyżur. Oczywiście zostanę z tobą i niech nie przyjdzie ci do głowy, żeby się ze mną sprzeczać.

Mimo niepokoju Ruby uśmiechnęła się. Jej życie było chaotyczne, przyjaźń z „dobrze zorganizowaną" Elysse dawała poczucie emocjonalnej stabilności.

- Dzięki, Leese. Strasznie ci dziękuję. Niedługo będę z powrotem. Zaczniemy dzwonić i organizować ludzi. Wymyślimy jakiś sposób, żeby je odnaleźć.

- Wymyślimy jakiś sposób, żeby sprowadzić je do domu - powtórzyła z zapałem przyjaciółka i Ruby usłyszała w jej głosie zachętę, obietnicę, że ona i Zoe będą mogły mieszkać w domu na palach tak długo, jak to będzie konieczne. Ale być może nie Misty, Elysse wcale nie była pewna, że ona jest niewinna. Nie należała do osób, które łatwo zapominały o cudzej niegodziwości.

Ruby podziękowała jej i zakończyła rozmowę. Myślała o siostrze. Była jedyną osobą, która miała dostęp do kont w banku, a wątpliwości, jakie żywiła w stosunku do niej Elysse... Nie, to nie możliwe. Przez ostatni rok Ruby rozmawiała z Misty co tydzień, a wcześniej zawsze albo z nią mieszkała, albo widywały się codziennie. Nic nie wskazywało, że może mieć problemy finansowe albo że jest z kimś w związku. Twierdziła, że praca, zajęcia i opieka nad Zoe wypełniały jej cały czas, nie ma kiedy myśleć o mężczyznach, ale sprawiała wrażenie, iż jest w dobrym nastroju.

Do zmierzchu zostało parę godzin. Wielki neon z aligatorem na fasadzie Hammett's jeszcze nie został zapalony. Jednak po roku nieobecności Ruby odczuwała zadowolenie, widząc dobrze znajome okropieństwo, królujące nad terenem, gdzie najpierw powstał bar, miejsce składowania przynęty i kilka domków dla wędkarzy na

brzegach Południowego Jeziora Kości. Domki zachowały styl rustykalny - zgodnie z niezmienną „tradycją" - ale pozostała część została przebudowana: od dużego, dwupoziomowego baru z grillem w stylu myśliwskim, z zadaszonymi molami nad jeziorem, aż po nowoczesną marinę. Pomimo ogromnej wartości netto lokalu, a także domu, który wyglądał jak mały zamek i został wzniesiony w okolicy parę lat wcześniej, Paulie Hammett nadal jeździł tym samym zardzewiałym pikapem, którego miał od niepamiętnych czasów.

Chociaż była dopiero czwarta godzina, na parkingu stało już kilkanaście samochodów, włącznie z należącym do Crystal czerwonym jeepem liberty, który miał poszerzone tylne siedzenie. Ruby zaparkowała obok niego i już chciała wejść do środka, ale zawahała się przy szklanych drzwiach. Miała wrażenie, że strach tworzy lodowe odłamki w jej żołądku, kiedy myślała o Crystal, Annie, Pauliem i innych osobach, które pracowały z Misty przez wiele lat, a teraz rzucą się do niej, będą ją obejmować i poleją się łzy. Albo, co gorsza, zaczną bombardować pytaniami, na które nie miała odpowiedzi.

Czuła ostrzegawcze mrowienie w całym ciele i klęła w duchu, ale nie potrafiła zmusić się do zrobienia kroku naprzód. Nawet kiedy usłyszała zamykające się za plecami drzwiczki samochodu i zaniepokojony damski głos.

- Przepraszam bardzo, ale zaraz zaczynam zmianę.

Ruby nie była jednak w stanie zejść jej z drogi.

Afroamerykańska nastolatka w krótkiej spódniczce i koszulce Hammett's przecisnęła się obok niej i zaraz odwróciła, patrząc na Ruby z troską.

- Dobrze się pani czuje?

- Czy... czy mogłaby pani przysłać tu Crystal? Dziewczyna skinęła głową, patrzyła na nią z ciekawością.

- No pewnie, że tak, proszę pani. Migiem ją tu podeślę. Kiedy kelnerka zniknęła w szklanych drzwiach, Ruby, która zaledwie tydzień wcześniej wkroczyła w trzydziestkę, uświadomiła sobie, że ta grzecznościowa forma była przeznaczona dla niej. Ale to małe ukłucie jej ego nie stanowiło teraz najważniejszego problemu.

Crystal pojawiła się szybko, biegła w jej stronę, po drodze wycierając ręce w fartuch. Jak było do przewidzenia, natychmiast wspięła się na palce - nawet na obcasach miała najwyżej półtora metra

wzrostu - i rzuciła koleżance w objęcia, wtuliła mocno kręcone brązowe włosy w twarz. Z trudem oddychając, Crystal wydusiła z siebie powitalne słowa, a potem zaniosła się szlochem.

Kiedy trochę się uspokoiła, powiedziała płaczliwym głosem:

- Och, Ruby. Nie mogę tego znieść. Jeśli coś im się stało, to nie wiem, co... Co ja zrobię, Ruby? Misty jest moją najlepszą przyjaciółką od niepamiętnych czasów.

Po roku spędzonym w strefie działań wojennych, gdzie wyważone reakcje mogły decydować o przeżyciu, była zaskoczona emocjonalnym wybuchem Crystal. Jednak histeryczne zachowanie wcale nie odebrało Ruby panowania nad sobą, chociaż bardzo się tego obawiała; poczuła się tak, jakby dostała siarczystego klapsa. Czyżby Crystal oczekiwała, że to właśnie Ruby będzie ją teraz pocieszać?

- Przejdźmy się trochę. - Proponując Crystal spacer, Ruby uwolniła się z jej objęć. - Muszę z tobą pogadać o paru sprawach.

Crystal zajrzała z powrotem do restauracji, a potem energicznie potrząsnęła lokami.

- Och, do diabła z nimi. Dadzą sobie radę beze mnie przez dziesięć minut. Tak czy owak, nie mogę uwierzyć, że Paulie każe mi pracować w taki dzień. Ja...

Znów się rozszlochała, rzuciła w ramiona Ruby i przycisnęła ją mocno, sprawiając ból.

- Powinnam była wiedzieć, że nie przestałaby odbierać moich telefonów bez żadnej przyczyny. - Wysoki, piskliwy głos Crystal brzmiał dziewczęco, jak zawsze, ale jej ból nie miał w sobie nic dziecinnego.

Misty często żartowała ze skłonności Crystal do dramatyzowania wszystkiego i mawiała, że zapewne doszłoby do samospalenia, gdyby kiedykolwiek spotkało ją coś naprawdę poważnego.

Ruby uwolniła się z jej objęć, nie miała ochoty na kontakt z płomieniami.

- Uspokój się, Crystal. Nie mam teraz na to siły, a Misty i moja córka być może mają mało czasu.

Dziewczyna skinęła głową i ucichła.

- Ja... przepraszam, Ruby. Po prostu... żałuję, że nie odebrałam telefonu od ciebie wczoraj, ale zabrałam Bradena do mamy, a tam zasięg jest fatalny.

Nie mając ochoty na opisywanie ich wcześniejszej rozmowy przez telefon, Ruby poszła w stronę doków. Specjalnie zwolniła kroku, żeby Crystal, która miała buty na potwornie wysokich obcasach, mogła za nią nadążyć.

- Co się ostatnio działo u Misty?

- Powinnam była zorientować się, że coś jest nie tak. Już to, że opuszczała zajęcia, było nie w porządku, ale kiedy powiedziała, że potrzebuje odpocząć także ode mnie, nie mogłam uwierzyć, czułam się zraniona, naprawdę. A powinnam była poczuć niepokój. No wiesz, czy Misty kiedykolwiek wcześniej potrzebowała ode mnie „odpocząć"?

Nie mogła odmówić Crystal słuszności, ale rozumiała potrzebę odpoczynku, jeśli chodzi o najlepszą przyjaciółkę Misty. Mimo że Crystal kierowały szczere intencje i zawsze chciała dobrze, należała do osób, których towarzystwo bywa bardzo męczące.

- A zaraz potem rozkleiła się u Pauliego po jakiejś głupiej kłótni o zamówienie. - Crystal pokręciła głową i dodała: -

Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby tak się zdenerwowała, i żeby wychodziła z pracy w taki sposób...

Ruby też nie mogła w to uwierzyć, tym bardziej że zazwyczaj wyluzowana Misty nie powiedziała jej o tym ani słowa.

- Zanim to wszystko się stało, mówiła o czymś niezwykłym? Może zawarła jakieś nowe znajomości, albo dziwnie się zachowywała?

Crystal przygryzała wargę, miała rozbiegane spojrzenie, zastanawiała się nad pytaniami Ruby.

- Pamiętam, że kilka dni przed jej odejściem zabrałyśmy dzieciaki do parku, wydaje mi się, że to było półtora tygodnia temu. Kiedy bawiły się, próbowałam z nią pogadać, mówiłam żeby wróciła do szkoły, ale przyjmowała to obojętnie, prawie cały czas milczała. Zapytałam, czy wszystko u niej w porządku, a ona powiedziała, że jest zmęczona. No, a ja nie mogłam powstrzymać się od myśli...

- O czym? - Ruby próbowała nie wyobrażać sobie, jak jej córka biega, huśta się, śmieje... Starała się odsunąć tęsknotę, a może nawet zazdrość, że nie ona bawiła się z Zoe. Jak mogła myśleć, że zostawienie dziecka, przegapienie ćwiartki jej młodziutkiego życia, było warte czegokolwiek? Jak mogła przehandlować to, co miała w

garści, na coś równie nieokreślonego jak lepsza przyszłość dla nich obu?

- Wtedy zaczęłam się zastanawiać. - Crystal założyła rudawy kosmyk włosów za ucho, ale lekki wiatr wciąż rozwiewał fryzurę. Od strony doków powietrze zalatywało benzyną z silników łódek, a także mieszaniną zapachów świeżej wody jeziora i roślinności. - Usłyszałam coś w restauracji. Kucharz twierdził, że Misty ma takie nastroje jak jego córka kiedy była w ciąży.

- W ciąży? Przecież Misty nawet nie umawiała się z nikim... Nie umawiała się, prawda?

Crystal wzruszyła ramionami.

- Nigdy o tym nie wspominała, ale przecież znasz Misty. Zawsze otaczali ją mężczyźni. Twój sąsiad, ten przewodnik wędkarski. Parę razy widziałam ich razem, śmiali się w barze.

- Sam? - Ruby nagle przypomniała sobie pokiereszowaną, ale wciąż ujmującą męską urodą twarz Sama. Czyżby Misty nie była w stanie mu się oprzeć? Pomyślała o Elysse, jak bardzo czuje się zraniona, bo pokochała mężczyznę, który nie potrafił albo nie chcę tej miłości odwzajemnić.

- Często do nas wpada, no i jest w jej typie, zadbany, jak na przewodnika wędkarskiego. Ale Misty traktuje przyjaźnie każdego gościa. Śmieje się, chętnie rozmawia i dostaje dwa razy większe napiwki niż ja, ale nigdy nie pozwala, żeby ktoś ją osaczył. Chciałabym znać jej tajemnicę. Za każdym razem, gdy próbuję poflirtować, kończy się to obmacywaniem i muszę wzywać Pauliego.

Ruby podejrzewała, że z powodu piskliwego głosiku i postury, Crystal - Dzwoneczka nikt nie traktował poważnie. Misty mówiła, że jej przyjaciółka nawet nie próbowała obsługiwać salonu gier - pomieszczenia na piętrze z automatami do gier i ciemnymi zasłonami, ale nie jednego z tych miejsc, gdzie chętnie się wpuszczało osoby małoletnie. Powiedziała też, że ta część lokalu funkcjonowała jako kafejka internetowa, a klienci - niemal wyłącznie mężczyźni - mogli zrelaksować się, raczyć drogimi drinkami i uprawiać hazard za pośrednictwem Internetu. Salon działał na pograniczu prawa, ale był dobrym źródłem dochodu, dzięki niemu właściciel Hammett's wychodził na swoje nawet poza sezonem.

Jednak w tym momencie Ruby nie interesowały problemy Crystal.

- Zapytałaś Misty, czy... - Słowa uwięzły jej w gardle, ale przemogła się i dokończyła pytanie. - ...czy może jest w ciąży?

Jakiś starszy mężczyzna uruchomił silnik w łodzi rybackiej, musiały zaczekać, aż odcumuje od przystani i z warkotem popłynie w stronę głównego kanału.

- Nie odważyłam zapytać się wprost, ale wspomniałam, ot tak sobie, że w restauracji już plotkują na jej temat, bo zachowuje się dziwacznie i cały czas sprawia wrażenie zmęczonej. Od razu wstała i oświadczyła, że mogę powiedzieć temu komuś, kto wygadywał takie rzeczy, żeby poszedł do wszystkich diabłów.

- Aż tak się rozgniewała?

- Dostała szału. Poczerwieniała na twarzy i zawołała Zoe; doprowadziła ją do płaczu, bo mała tak fajnie bawiła się z Bradenem, nie chciała wracać do domu.

Ruby zacisnęła powieki.

- Jak... jak ona się czuła, Crystal? Zoe.

- Świetnie się rozwija. Rośnie jak na drożdżach i bez przerwy szczebiocze. Ledwie małą poznasz, kiedy ją zobaczysz.

Ruby wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić, chociaż zdanie „ledwie małą poznasz, kiedy ją zobaczysz" ugodziło ją w serce jak sterowany pocisk.

- Wiem, że Misty była zwariowana, ale czy kiedykolwiek odpowiedziała na to pytanie? No, czy jest w ciąży.

Crystal zmarszczyła czoło, a jej oczy zaszkliły się od świeżych łez.

- Powiedziała, że w głowie jej się to nie mieści, iż mogłabym pomyśleć, że ona jest aż tak głupia. Jak zapewne się domyślasz, te słowa bardzo mnie zraniły. - Syn Crystal, Braden, starszy od Zoe o sześć miesięcy, był nieślubnym dzieckiem. Chociaż Crystal nigdy o tym nie mówiła, Misty wyznała kiedyś, że ojcem jest jej stary przyjaciel Dylan Hammett - zanim ustatkował się i poznał kobietę, która później została jego żoną - i że Paulie i Anna co miesiąc dawali pieniądze na dziecko, ale nie uznali Bradena za swojego wnuka. Widząc ból w oczach Crystal, Ruby dotknęła jej przedramienia i powtórzyła słowa Sama.

- Każdy popełnia błędy. Misty zrobiła to bezmyślnie. Crystal skinęła głową.

- Możesz mi wierzyć, też byłam dla niej przykra. Ona zawsze mi wybaczała, a ja wybaczyłabym jej, gdyby tylko chciała ze mną porozmawiać. Ale od tamtej pory nie rozmawiała, a teraz...

- Albo czmychnęła w jakieś nieznane miejsce, albo została uprowadzona wraz z moją córką. - Zakładając, że w ogóle żyje - dodała w myśli. I z moimi pieniędzmi, przynajmniej tak twierdzi szeryf.

Czy Misty mogła po prostu uciec z kochankiem i Zoe, bo nie chciała serca jej porzucić? Potrzebowała pieniędzy, żeby rozpocząć nowe życie pod przybranym nazwiskiem?

Crystal aż zasapała, a potem mówiła z uporem:

- Och, nie. To nie może być prawda. Misty nic by nie ukradła, a już na pewno nie okradłaby ciebie. Kiedy zapytałam, czy ma ci za złe, że zostawiłaś ją z Zoe na tak długo, obruszyła się i powiedziała, że jesteś najbardziej zdeterminowaną, odważną osoba, jaką kiedykolwiek znała, i że dałaby wszystko, żeby kiedyś być taką dobrą matką i w ogóle taką dobrą osobą jak ty.

Ruby zapiekły oczy.

- Dziękuję, że mi to powiedziałaś. Ja... No cóż, ostatnio nie czułam się ani dobrą matką, ani odważną i przyzwoitą osobą. - Miała wyrzuty sumienia że podawała w wątpliwość uczciwość Misty. Siostra prawdopodobnie wpadła w tarapaty, może nawet uprowadziła Zoe i zaszyła się gdzieś, świadoma jakiegoś niebezpieczeństwa, ale z pewnością nie była złodziejką, a co dopiero porywaczką.

- Czy kiedykolwiek widziałaś ją z wytatuowanym chudym facetem? Aż zadygotała na myśl o mężczyźnie, który wybiegł z jej domu, wymachując pistoletem. Miał dzikie spojrzenie, jakby był pod wpływem narkotyku.

- Nie przypominam sobie, zresztą Misty nie zadawałaby się z kimś takim.

Ruby przytaknęła i gwałtownie odwróciła głowę w stronę parkingu, skąd dobiegały trzaski zamykanych drzwi samochodów i śmiechy ludzi.

Crystal zorientowała się że lokal zaraz się zapełni.

- Strasznie mi przykro, Ruby, ale muszę wracać do pracy. Już widać, że będziemy mieć zatrzęsienie gości, a po odejściu Misty brakuje rąk do pracy.

- Jeśli coś ci przyjdzie do głowy, od razu daj mi znać. Nieważne o jakiej porze dnia czy nocy... Po prostu dzwoń.

Dziewczynie zadrżała warga, a w oczach błysnęły łzy.

- Powinnam powiedzieć Pauliemu, że nie mogę pracować. Powinnam odejść i pomóc ci ją znaleźć. Była moją przyjaciółką, Ruby. Najlepszą przyjaciółką na świecie.

- Nie mówmy o niej w czasie przeszłym, Crystal. A w trakcie pracy może coś jeszcze sobie przypomnisz, czy nie wspominała o jakichś innych mężczyznach albo o kłopotach finansowych o jakichś problemach. Widywałaś ją najczęściej. Musiałaś coś słyszeć albo widzieć.

- Obiecuję ci, że jeśli coś mi przyjdzie do głowy, zaraz zadzwonię.

Kiedy wracały, Crystal powiedziała:

- Tamtego dnia zrobiłam trochę zdjęć. Dam ci odbitki - bardzo udane jest zdjęcie Zoe na zjeżdżalni.

- Dziękuję. - Ruby próbowała znaleźć słowa, które wyraziłyby, jak wiele ten gest dla niej znaczy, ale wzruszenie ścisnęło jej gardło.

Crystal uśmiechnęła się blado, objęła ją smutnym spojrzeniem i żegnając się, szybko wróciła do lokalu.

Ruby otwierała kluczykiem samochód, kiedy zadzwoniła jej komórka. Wyciągnęła ją z pożyczonej od Elysse torebki i zobaczyła na wyświetlaczu, że dzwoni szeryf Preston County.

Serce podskoczyło jej do gardła, nogi ugięły się w kolanach. Zawahała się, czy odebrać, nie mogła znieść myśli o kolejnych złych wieściach, ale też, nie mogła zadręczać się domysłami.

- Halo?

- Pani Monroe, tu oficer Savoy.

Chociaż ostatni wieczór był w jej pamięci rozmazaną plamą, przypomniała sobie tego mężczyznę: pięćdziesięcioparoletni, o siwiejących skroniach, z widocznym brzuszkiem biegacza, który ostatnio bardzo się zaniedbywał. Mówił gładko jak telewizyjny kaznodzieja; pamiętała, że zajął się nią troskliwie: przynosił kawę, pytał o samopoczucie, obiecywał, że zrobi wszystko, żeby sprowadzić jej rodzinę do domu.

- Dzwonię na prośbę pani szeryf. Czy mogłaby pani wpaść do biura? Jeżeliby pani zechciała, z przyjemnością panią podwiozę.

Ruby opadła na przedni fotel w obawie, że zaraz zemdleje.

- Znaleźliście je? Wiecie, gdzie są?

- Nie, proszę pani, ale zdobyliśmy pewne informacje.

- O czym? Jakie?

- Przykro mi, ale to szeryf Wofford chciałaby z panią omówić sprawę, - Mówił w taki sposób, jakby odczuwał autentyczny żal, może nawet dezaprobatę. - Proszę pamiętać, że to nie ja podjąłem taką decyzję. A więc skąd mam panią odebrać?

- Dziękuję, nie trzeba. Jestem w samochodzie. Przyjadę tak szybko, jak to będzie możliwe.

- Proszę jechać ostrożnie, pani Monroe. Koniecznie zapiąć pasy.

Ruby tak drżała, że dopiero za trzecim razem przekręciła kluczyk w stacyjce. A jeśli oficer Savoy kłamał? Być może pani szeryf kazała mu przemilczeć wiadomość, której ona obawiała się najbardziej?

Nie miała wyjścia, musiała poznać prawdę, dlatego ruszyła w drogę, mając wrażenie, że na fotelu obok siedzi jej paniczny lęk - śliniący się stwór o pustych oczach, podobny do gnijących zwłok z dawnego snu.

Pacheco okazał niesmak tak przekonująco, że Sam musiał odsunąć telefon od ucha na kilkanaście centymetrów.

- Jaja sobie robisz? - Krzyknął adwokat. Gniew podkreślał specyficzność jego akcentu. - Jeśli, jak twierdzisz, nie jesteś w to zamieszany, to oczywiście chcesz wziąć udział w ich śledztwie. Chcesz być najbardziej chętnym do współpracy obywatelem, jakiego ci hombres kiedykolwiek widzieli, bo inaczej ktoś na pewno zasugeruje sędziemu Phillipsowi, że należałoby na nowo rozważyć zasady, na jakich zostałeś warunkowo zwolniony. Musisz być dobrym skautem, ese. Czy ty nigdy nie słuchasz tego, co ci mówię?

Sam zastanawiał się, czy rady Pacheco byłyby choć odrobinę inne, gdyby nie miał za chwilę lecieć samolotem do Cabo na wakacje. Bez wątpienia mógł sobie na nie pozwolić dzięki astronomicznym honorariom, które Sam mu wypłacał.

- Nie chcę skończyć jako podejrzany - upierał się - a jeśli uważasz, że to opóźniałoby twój wylot...

- Mowy nie ma, 'mano. - Pacheco gładko zmienił ton. Teraz mówił tak, jakby Sam był prawdziwym bratem... albo klientem, który wymagał „obsługi". - Będziesz potrzebować czegokolwiek, mój wspólnik, Alberto, zaopiekuje się tobą. Masz jego numer?

- Nie chcę twojego kuzyna, chcę ciebie - nalegał Sam.

W tle dał się słyszeć buczący, przesterowany dźwięk głośników, przez które informowano o wejściu na pokład, a zaraz potem odezwał się zdyszany Pacheco:

- Przepraszam, nie słyszałem cię. Muszę się zbierać, amigo. To jest ostatnie wezwanie na mój lot.

Rozłączył się i Samowi nie pozostało nic innego, jak tylko przekląć swój wybór prawników. Dlaczego w ogóle dał się przekonać Luke'owi, dawnemu wspólnikowi, że taki mały, zadziorny cwaniaczek jak Pacheco, to idealna kandydatura? Udało mu się zapobiec wsadzeniu Sama do więzienia federalnego, to prawda, ale ten nonsens...

Słysząc pukanie, Java poderwała się i szczekając, pognała do frontowych drzwi. Sam był jeszcze obolały, z trudnością dźwignął się z kanapy.

- Siad. - Próbował przywoła psa do porządku, ale Java skakała, merdała ogonem i skamlała; w typowy dla siebie sposób wyrażała nadzieję, że ktokolwiek przyszedł, może się okazać dobrym towarzyszem zabaw.

Sam zerknął przez wizjer, wyobrażając sobie przez moment, że zobaczy nie tylko Misty, która będzie się uśmiechać, przepraszać, że przysporzyła tyle zmartwień, ale także szczęśliwą Ruby z uśmiechniętą córeczką w objęciach.

Zamiast tego ujrzał odznakę, trzymaną w taki sposób, że trudno było z niej coś odczytać.

- Cholera jasna. Akurat tego mi trzeba - mruknął. Chwycił psa za obrożę i odryglował drzwi.

Na schodkach czekali dwaj mężczyźni, biały i Afroamerykanin albo Latynos. Wyglądali na trzydziestoparolatków sprawnych fizycznie i gotowych na wszystko. Stali w szerokim rozkroku, lekko dotykając broni.

- Agent specjalny Acosta - przedstawił się ten o ciemniejszym kolorze skóry, pokazując odznakę. Ton głosu zabarwiała ledwo wyczuwalna pozostałość po latynoamerykańskim akcencie, ale bardziej wyrafinowana niż u Pacheco.

Sam uważnie przyjrzał się odznace; Acosta pracuje dla Agencji Zwalczania Narkotyków.

Jego partner nosił okulary przeciwsłoneczne typu wraparound i miał jasno rudawy zarost, przypominający meszek na twarzach młodych chłopców. Machnął odznaką i wymamrotał:

- Agent specjalny Felker. Pozwoli pan, że zabierzemy mu trochę czasu, interesuje nas, co mógł pan zauważyć w sąsiednim domu?

- Już rozmawiałem z oficerem Savoyem i z szeryf Wofford - powiedział Sam, jakby ta strategia mogła ich zniechęcić.

- Teraz w sprawę zaangażował się rząd federalny - ciągnął Felker - dlatego bylibyśmy wdzięczni, gdyby pan nie utrudniał, proszę pana.

Sam wyczuł w agencie zdeterminowanego, agresywnego przeciwnika, który przed niczym się nie cofnie. Pamiętał ostrzeżenia Pacheco: niezręczna sytuacja może przerodzić się w coś, za co grozi więzienie.

Acosta włączył się do rozmowy.

- Sądzimy, że pana zeznanie mogłoby nam pomóc w śledztwie w sprawie produkcji narkotyków w sąsiednim domu. Nigdy nic nie wiadomo: może to, co pan powie, pozwoli szybciej ująć przestępców albo nawet sprawić, że pewna dziewczynka wróci do swojej matki. Chce pan, żeby Zoe Monroe wróciła do domu, prawda?

- Oczywiście, chcę, żeby obie były w domu - odparł Sam, zdając sobie sprawę, że Acosta właśnie zapędził go do narożnika. I że żaden z agentów nie zawahałby się posłużyć kłamstwem albo manipulacją, żeby podstawić mu nogę.

Nie tyle widział, ile czuł, że agent z rudawym meszkiem przypatruje mu się zza czarnych szkieł: miał wrażenie, że podejrzliwość tego człowieka promieniuje niczym chłodne fale z bloku lodu.

- A może ma pan ochotę na rodzinne spotkanie po latach ze swoim bratem w więzieniu federalnym. Nasi ludzie w Nowym Meksyku już zastawili na niego zasadzkę, człowieku. - Felker spojrzał na zegarek, - Właśnie zdejmują go w tej chwili, a gdybyśmy mogli wpakować do mamra dwóch McCoyów, a nie tylko jednego, to byłoby nawet lepiej.

- Kompletnie mnie nie obchodzi, co zrobicie z J.B. W tej chwili bardziej przejmuję się swoimi sąsiadami.

- Radzę nam przedstawić swoją wersję tej historii. - Acosta spojrzał na niego ponuro. - Zanim my wymyślimy jakąś inną, własną

wersję. Albo zaczniemy zastanawiać się, kto jest mózgiem i stoi za poczynaniami pańskiego brata.

Nie mając wyboru, Sam wpuścił ich do środka... i zastanawiał się, czy protestować przeciwko założeniom, które już zostały poczynione w związku z jego osobą. Przeciw podejrzeniom, które miały swoje źródło w przestępstwach popełnionych nie przez niego a przez brata.

Nie byłby w stanie obronić się przed tymi zarzutami. Posiadał jednak umiejętności, które dawały mu pewną szansę - nawet jeśli to wiązało się z koniecznością podjęcia największego ryzyka w jego życiu.

Fala mętna od krwi

Narkotyki zamuliły świadomość. Misty ledwo słyszała głos za zamkniętymi na klucz drzwiami. Głos, który przebijał się przez monotonne dźwięki z radia i brzmiał tak natarczywie, że czuła bolesne łomotanie w głowie.

Ten głos pochodził z jakiegoś zewnętrznego źródła. Małe pięści uderzające o grube drewno.

Zoe, przypomniała sobie Misty i chaotyczne myśli wyparł paniczny strach. Zoe była tu z nią, płakała tak strasznie, że Misty nie potrafiła wyłowić żadnego słowa. Nie mogła nic zrozumieć, z wyjątkiem hałasu, który przewiercał się przez jej głowę jak piła mechaniczna.

- Zoe, proszę cię, bądź cicho. - Misty natychmiast pożałowała swojego wybuchu - eksplozji dźwięku we własnej czaszce. Czy on też to słyszał? Czy wróci tu z igłą, tym razem przeznaczoną dla Zoe?

Wszystko, byle tylko ją uspokoić, podczas gdy on... Chociaż strasznie zawaliła sprawę, nie mogła pozwolić, żeby do tego doszło.

- Pooglądaj film. - . Bardzo się starała zdławić strach i mówić spokojnie. - Oglądaj grzecznie, a ja porozmawiam z twoją mamą i przekonam, żeby zgodziła się na kotka dla ciebie. Może nawet na dwa kotki, dotrzymywałyby sobie towarzystwa.

Ku jej zdumieniu obietnica zadziałała, w każdym razie szloch ucichł.

Kiedy Misty odpłynęła na ciemne wody, zastanawiała się, jak długo coś tak ulotnego jak obietnica będzie w stanie chronić tę małą istotę.

Rozdział 8

Wzdyma się fala mętna od krwi, wszędzie wokół Zatapiając obrzędy dawnej niewinności...

William Butler Yeats

(William Butler Yeats, „Drugie przyjście". Od Chaucera do Larkina. 400 nieśmiertelnych wierszy 125 poetów anglojęzycznych z 8 stuleci. Kraków: Wydawnictwo ZNAK, 1993, s. 402.)

Człowiek w łodzi używał tym razem sprzętu motorowego, minął domy wzdłuż kanału raz, potem drugi, wreszcie zakotwiczył łódź, żeby zacząć „połów". Fachowymi ruchami zarzucał i wyciągał zakręcony, srebrny haczyk rozmyślnie pozbawiony przynęty, aż łagodne wiosenne popołudnie westchnęło po raz ostatni i ustąpiło miejsca zmierzchowi. Basowe nuty zalotnych żab uzupełniały wieczorną pieśń ptaków, podczas gdy wielka czapla niebieska muskała powierzchnię wody w poszukiwaniu wieczornej przekąski.

Jednak obserwowany przez mężczyznę dom i zabudowania obok niego tonęły w ciemności. Mając pewność, że w okolicy nie ma nikogo, przycumował łódź do przystani, która znajdowała się przy hangarze. Stojąca w nim łódka typu ponton była przykryta i podtrzymywana łańcuchami nad wodą, a gęste pajęczyny sugerowały, że nie ruszano jej od miesięcy.

Jak wszystkie domy w sąsiedztwie, dom właściciela hangaru został wzniesiony na palach, ale miało się wrażenie, że nikt w nim nie mieszka: okna były pozamykane, a schodki które prowadziły na podwyższony pomost od strony kanału porastało bujne zielsko.

Idąc do następnych drzwi, mężczyzna upewniał się, że dom będący jego celem oraz dom obok są puste, nigdzie nie było pojazdów ani ludzi. Nie było też psów, które mogłyby zaalarmować gospodarzy szczekaniem, kiedy wchodził po schodkach do domu jasnowłosej przyjaciółki Ruby Monroe. Wcześniej tego dnia śledził je i obserwował przez lornetkę, kiedy wnosiły walizki na górę. Ponieważ nie było białego wozu, a w środku żadnych oznak życia, doszedł do wniosku, że gdzieś pojechały...

I jeśli trafnie przewidział, wszystko mogłoby wypaść naprawdę nieźle. Wyciągnął z kieszeni gumowe rękawiczki, a z ciesielskiego pasa, którym obwiązał talię, wyjął najpierw nóż introligatorski, a potem bezprzewodową wiertarkę. Jeśli jednak zrobił nietrafne

założenie, sprawy mogły przybrać bardzo zły obrót dla każdej osoby, która przebywała w środku... jak również dla owych „gości", których zostawił w chacie.

Ale jeśli już przemyślało się sprawę, to bez względu na to, co by znalazł, albo czego nie znalazł, to i tak ta historia nie miała się skończyć dla nich dobrze. Nie mogła, dlatego że one go widziały... i dlatego, że ten, który kupił jego usługi, upierał się, że muszą umrzeć.

Gadający rozwlekle policjant z włosami zaczesanymi tak, by zakrywały łysinę, i jabłkiem Adama wielkim jak dorosły chomik, wprowadził Ruby do zaskakująco ładnie urządzonego gabinetu szeryf Wofford.

- Proszę się tu rozgościć - powiedział uprzejmie. - Powiadomię, że pani już jest.

Chociaż skórzane krzesła wyglądały zachęcająco, Ruby nie usiadła. Krążyła po pokoju, omijając duże drzewko w donicy przy zaopatrzonym w rolety oknie i obchodziła biurko, na którym znajdowały się sterty akt, telefon, interkom i zamknięty laptop. Zerknąwszy na przezroczyste szklane drzwi, żeby się upewnić, że nikt za nimi nie stoi, podeszła do biurka i popatrzyła na fotografię w ramkach. Na zdjęciu Justine Wofford stała obok starszego, siwowłosego mężczyzny - dawnego szeryfa; włosy miała rozpuszczone i obejmowała muskularne barki partnera. Sądząc po smugach hiszpańskiego mchu, który pokrywał konary drzew, i kawałku oświetlonego słońcem jeziora w tle, zdjęcie zrobiono gdzieś w okolicy. Zrelaksowana, ładna para śmiała się z czegoś, co znajdowało się poza zasięgiem obiektywu. Ich widok boleśnie przypomniał Ruby o jej nieżyjącym mężu, a także o tym, że Wofford utraciła swojego całkiem niedawno.

Czy po takim przeżyciu mogła normalnie funkcjonować, wykonywać swoją pracę? Ruby zastanawiała się nad tym; uświadomiła sobie, jak chaotyczne myśli miała przez kilka miesięcy po pogrzebie Aarona. Omal nie poroniła tuż po uroczystościach pogrzebowych i wylądowała w szpitalu, gdzie kazano jej odpoczywać, ale gdyby była w stanie wrócić do pracy - w tamtym czasie pracowała jako recepcjonistka w gabinecie miejscowego lekarza - nie wyobrażała sobie, żeby mogła skoncentrować się na czymkolwiek. A jeśli nowa szeryf była tak roztargniona, że przeoczyła coś ważnego? Coś, co zmieniłoby sytuację Ruby?

Oficer Savoy zastukał delikatnie do drzwi i zajrzał do pokoju.

- Ach, oficer Crane powiedział mi, że pani tu jest. Pani szeryf musiała biec do domu, żeby się przebrać albo poprawić makijaż czy coś w tym rodzaju. - Zerknął na zegarek i zmarszczył kąciki ust, jakby był zmartwiony. - Powiedziała, że to nie potrwa nawet dziesięć minut, ale sama pani wie, jak kobiety...

- Wyszła? Żeby ubrać się i umalować? - przerwała mu Ruby z niedowierzaniem, które szybko przerodziło się w furię. - Po co, u licha, wzywała mnie, skoro zamierzała wyjść? Czy ona ma jakieś pojęcie, przez co przechodzę, co czuję, nie wiedząc, czy moja rodziną... czy one są...

- Tak mi przykro - Savoy pochylił głowę, jakby się modlił. Włosy miał gęste i ciemne, trochę posiwiałe na skroniach. - Jestem pewien, że pani Wofford... pani szeryf nie miała zamiaru pani denerwować, no, ale cóż, dama miała wypadek przy ekspresie z kawą.

Przewrócił srebrzystoniebieskimi oczami i w tej sekundzie Ruby dostrzegła u niego pogardę dla zwierzchnika. Rok temu nawet by się nad tym nie zastanowiła, ale na zamorskiej służbie nieraz widziała takie spojrzenie i bywało, że znajdowała się po jego niewłaściwej stronie. Wiedziała, że może się mylić, ale intuicja podpowiadała jej, że za rozlanie kawy nie zależy winić szeryfa, i że pójście do domu, żeby „poprawić makijaż", wcale nie było wyborem Justine Wofford.

- Może przyniosę coś do picia, skoro pani tu czeka? Kawa? Woda? Cola?

Pokręciła głową, nie chciała od niego nic z wyjątkiem odpowiedzi.

- A więc co z moją rodziną, szeryfie? Czego chciała Wofford?

- Osobiście z panią porozmawiać.

- Przyjechałam tu zgodnie z jej życzeniem, więc...

- To chyba strasznie nie w porządku - wszedł jej w słowo - kazać na siebie czekać przygnębionej mamusi w swoim gabinecie.

Wsunął się za biurko i, rzuciwszy spojrzenie na drzwi, rozsiadł się na krześle szeryfa; jego zadowolona mina zdenerwowała Ruby jeszcze bardziej niż ta „mamusia". Ale dla niej mógł zachowywać się jak ostatni palant, byleby tylko położył kres udręce czekania.

- Żadne z ciał znalezionych w pani domu nie należało do pani siostry.

Ruby łzy stanęły w oczach.

- Wiedziałam. Wiedziałam, że to nie może być ona... Ale w takim razie kto? To znaczy, wiem o tym facecie z tatuażami, ale kto jeszcze był w moim domu?

Justine Wofford weszła do pokoju, wrzuciła klucze do torebki. Mimo że była ubrana elegancko, w markowy beżowy kostium i wykrochmaloną białą bluzkę, wydawała się zmęczona, twarz miała bladą, a z koczka wymykały się pojedyncze ciemne pasma włosów. Kiedy spojrzała na Savoya, poderwał się z krzesła z takim animuszem, że Ruby o mało się nie roześmiała.

- Przepraszam, panią... to znaczy, szeryfie - wyjąkał. - Właśnie mówiłem pani Monroe, iż lekarz sądowy twierdzi, że znalezione ciało nie jest jej siostry. Pomyślałem, że nie chciałaby pani trzymać jej w niepewności.

- Oczywiście, że nie chciałabym. - Chociaż białe zęby Wofford kontrastowały z uszminkowanymi ustami, kiedy odpowiadała, nikt nie wziąłby tego za uśmiech. - Od tego momentu przejmuję sprawę, panie oficerze.

- Tak jest, proszę pani. - Savoy przemknął do drzwi, ale żeby uratować resztki godności, odwrócił się i skinął głową w stronę Ruby, składając jej obietnicę. - Przywieziemy je do domu, pani Monroe. Ma pani na to moją osobistą gwarancję.

Kiedy wyszedł, kącik ust Wofford lekko opadł.

- Problem? - zagadnęła Ruby.

Pani szeryf wrzuciła torebkę do szuflady biurka. Pokręciła głową.

- Nic takiego, co dotyczyłoby pani. To dobry stróż prawa, bystry, doświadczony. Tylko czasami pamięć go zawodzi, zapomina, które z nas wygrało decydującą rundę.

A więc w grę wchodziło coś więcej niż seksizm.

- Muszę przyznać, że nie jestem na bieżąco z lokalną polityką, zwłaszcza przez ten ostatni rok.

- I nie ma powodu, żeby musiała pani być na bieżąco. - Nieoczekiwanie wyszła zza biurka i podała Ruby rękę. - A teraz zacznijmy tę rozmowę, jak należy. Przede wszystkim przepraszam, że pani czekała. Nie można było tego uniknąć.

Ruby kiwnęła głową.

- Mam kilka pytań. Wiadomo już, czyje ciała znaleziono w moim domu?

- Dla nas to sprawa priorytetowa. - Pani szeryf wróciła za biurko i usiadła na krześle. - Jeszcze nie zidentyfikowaliśmy ciał. Mamy powody przypuszczać, iż co najmniej jedna osoba uciekła, albo ktoś pomógł jej uciec, kiedy dom zaczął się palić.

Popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Widziałam ten dom tuż po pierwszej eksplozji. Jak możecie myśleć, że ktokolwiek wydostał się stamtąd żywy?

- Jeden pies zdołał to zrobić, prawda? Ten, którego musiała pani zabić.

Ruby zadygotała, przypominając sobie chwilę, w której pociągnęła za spust.

- Hm, rzeczywiście.

- Mój policjant, Oscar Balderach... - W głosie pani szeryf pojawiły się emocje, ale szybko je opanowała. - Okazuje się, że został zastrzelony, zanim jego ciało uległo spaleniu. Dwie inne ofiary, sądzimy, że znajdowały się na górze, we frontowej sypialni, kiedy... się poddały. Zatem tą trzecią osobą musiał być ten, kto strzelał.

Ruby poczuła, że coś zimnego ściska jej żołądek, a serce zamienia się w miękką bryłę trwogi. To, że policjant został przypadkowo zabity podczas wybuchu, napawało smutkiem, ale myśl, że ktoś znajdujący się w domu świadomie zastrzelił stróża prawa, przejmowała strachem. Ktoś, kto był zdolny popełnić taką zbrodnię, nie miałby oporów, żeby zamordować bezbronną kobietę i małe dziecko.

Teraz znów słyszała tamte strzały.

- Ja... Wydaje mi się, że to słyszałam zeszłego wieczoru - powiedziała przez łzy. - Tuż przed pierwszą eksplozją.

Wofford skinęła głową.

- Mamy to w pani zeznaniu.

Prawie nie pamiętała tego, co mówiła, siedząc w ohydnym, pokoju przesłuchań, gdzie spędziła najdłuższą noc swojego życia.

- A więc myśli pani... domyśla się pani, że ktoś wyszedł tylnymi drzwiami i zastrzelił policjanta, a potem uciekł? Ale jak? Nie było dość czasu, a poza tym przecież bym go zobaczyła.

- Nie zobaczyłaby pani, gdyby wziął łódkę.

- Łódkę? - Myślała o starym kajaku, który przewróciła do góry dnem, żeby nie zbierała się w nim deszczówka, i który przywiązała do drzewa nad wodą. Nie potrafiła sobie przypomnieć, czy go widziała

zeszłej nocy, ale była wtedy półprzytomna, mogłaby nawet nie zauważyć migającego neonu z aligatorem.

- Sprawdziliśmy, że wbrew zeznaniom Sama McCoya - szeryf zrobiła surową minę - jego łódka nie była przycumowana na pani terenie, nie została też przeniesiona na jego przystań ani do hangaru.

Ruby rozważała możliwość, że ktoś mógł ją ukraść, podczas gdy ona i Sam pomagali oficerowi Whitakerowi. Pomyślała, że taki manewr byłyby wykonalny, zanim Sam poszedł naokoło, sprawdzić dom od strony jeziora.

- Wspomniała pani, że niewykluczone, iż snajperowi ktoś pomógł uciec. Ale kto by to zrobił? Zeszłej nocy nikogo więcej tam nie było. W każdym razie ja nikogo nie zauważyłam.

- Według pani zeznań McCoy przez jakiś czas znajdował się poza zasięgiem pani wzroku, prawda? Kiedy pani była zajęta udzielaniem pomocy oficerowi Whitakerowi.

- Oczywiście Sam poszedł naokoło, żeby zobaczyć, czy znajdzie... - Uświadomiła sobie w tym momencie, co sugeruje Wofford, i miało to sens, jeśli wziąć pod uwagę przeszłość Sama i to, że jego łódka przepadła. Ale Ruby nie wierzyła w ten scenariusz. Nie po tym, co widziała na własne oczy.

- Wyciągnął oficera Balderacha na dwór - wypaliła, zaskoczona swoim emocjonalnym podejściem. - Wdrapał się na dach ganku, próbował uratować Misty i Zoe.

- Tak właśnie powiedział - przyznała Justine Wofford, unosząc starannie wymalowaną brew. - Ale czy robił coś takiego w pani obecności?

- Pani tego nie widziała. Nie może pani wiedzieć. Był wytrącony z równowagi. Martwił się, szalał z niepokoju o moją rodzinę i pani oficerów. Odniósł obrażenia. Chyba nie sądzi pani, że rozmyślnie sam się pociął. Mój Boże, znalazłam go leżącego obok tamtego ciała. Wyglądał okropnie.

Unosząc dłonie nad biurkiem, szeryf pokręciła głową.

- Mówiłam wyłącznie jako prowadząca śledztwo, jestem zobowiązana uwzględnić wszystkie możliwości. I nie wiedziałam, że czuje się pani w jakiś szczególny sposób związana ze swoim sąsiadem.

Ruby oniemiała, zaskoczona sugestią, która pojawiła się pod koniec niezbyt przekonujących wyjaśnień pani szeryf. Kiedy jakoś wyszła z szoku, górę wziął jej temperament.

- Pani naprawdę nie ma zielonego pojęcia, kto porwał moją rodzinę, prawda? W przeciwnym razie, nie wyobrażam sobie, że marnowałaby pani czas na małostkowe, niedorzeczne insynuacje. Owszem, jestem wdzięczna Samowi za ostatnią noc, ale kiedy miałabym stworzyć ten „szczególny związek"? Kiedy prowadziłam autobusy w Iraku przez ostatni rok? Proszę sobie darować...

- Rozumiem pani zdenerwowanie. Wiem, że strasznie pani cierpi. Ale mogę pani powiedzieć, że nie widzę nic, absolutnie nie małostkowego - Pochyliła się, wpatrując w Ruby spokojnie - ani niedorzecznego w żadnym tropie związanym z morderstwem człowieka, który miał rodzinę, który poświęcił dwadzieścia osiem lat swojego życia temu wydziałowi. Co więcej, Oscar Balderach był przyjacielem mojego męża, znali się od wielu lat.

Ruby odsunęła się odruchowo, urażona jej ostrym tonem. Nie spokorniała jednak po jej przemowie, twardo broniła swoich racji.

- Rozumiem to, i jest mi przykro. Nie umiem nawet wyrazić, jak bardzo jest mi przykro, gdy pomyślę, że jego przyjaciele i rodzina muszą sobie z tym radzić. Ale nie będę przepraszać za to, że koncentruję się na swojej rodzinie, dlatego że tylko ona mi została i dlatego że mocno wierzę, iż najbliższe mi osoby żyją.

Patrzyła Wofford prosto w oczy, jakby rzucała wyzwanie: Tylko spróbuj powiedzieć coś innego. Pani szeryf wzięła głęboki oddech.

- O to nie będę się spierać, pani Monroe, ponieważ myślę, że istnieje duża szansa, iż ma pani całkowitą słuszność. Wiemy, że pani Bailey wybrała pieniądze w zeszłym tygodniu...

- Już pani mówiłam, że to kłamstwo, albo co najwyżej pomyłka. Crystal, przyjaciółka Misty, też tak uważa. Obie wiemy...

- Chce pani zobaczyć film wideo? - rzuciła jej wyzwanie Wofford. - Mam go, z banku. Przyszła sama, powiedziała, że jest niezadowolona z obsługi klienta i dlatego chce zlikwidować konta.

Może zarejestrowano to na wideo, ale szeryf - i wszyscy - mylnie zinterpretowali to, co zobaczyli.

- Skoro istnieje nagranie, to musiała to zrobić.

- Kierownik filii sugerował, żeby jeszcze się zastanowiła. Nie mam tego nagrania do dyspozycji, ale urzędniczka powiedziała, że

pani siostra sprawiała wrażenie zdenerwowanej, przygnębionej. Kiedy zapytałam, czy pani Bailey mogła być pod wpływem czegoś...

- Czy pani naprawdę myśli, że powierzyłabym córkę swojej siostrze, uzależnionej od narkotyków?

- Jestem pewna, że ich nie brała, w każdym razie nie w czasie poprzedzającym pani wyjazd. Jednak wszystko, czego dowiaduję się o pani Bailey, wskazuje, że w jej zachowaniu zaszły poważne zmiany. Kierownik filii był zaniepokojony, zwłaszcza że pani siostra nalegała na wypłatę gotówki, zamiast wybrać jakąś bezpieczniejszą opcję. A moi ludzie sprawdzili wszystkie banki w miasteczku. Pani Bailey nie otworzyła konta w żadnym z nich.

Ruby westchnęła ciężko. Jej zaprzeczenia rozbijały się o mur faktów zgromadzonych przez panią szeryf.

- Kiedy wypłacała pieniądze, mojej córki nie było z nią?

- Nie.

- Do przedszkola też nie poszła. I wiem, że Crystal Kowalski nie gościła jej u siebie. - Pokręciła głową. Miała w oczach łzy. - W takim razie gdzie była Zoe?

- To znakomite pytanie, pani Monroe. Mam nadzieję, że bilingi rozmów telefonicznych pani siostry pomogą nam znaleźć odpowiedź.

- Już je pani ma?

Kiedy Wofford skinęła głową, na moment zalśniły jej brylantowe kolczyki.

- Otrzymaliśmy je dziś po południu. Właśnie zestawiamy numery z zarejestrowanymi użytkownikami. Jest jednak coś, co mogę pani powiedzieć. Pani sąsiad - ten, którego jest pani taka pewna... Siostra zadzwoniła rankiem trzydziestego marca do pani sąsiada.

Ruby zsunęła się na brzeg krzesła.

- Zanim ja z nią rozmawiałam?

- Kilka godzin przed pani telefonem. Dokładnie o piątej czterdzieści rano. Chyba każdy zapamiętałby telefon o tak wczesnej porze, zwłaszcza jeśli dzwoni osoba, która potem przepada bez wieści. - Wofford oparła się na łokciach. - Pan McCoy nawet o tym nie wspomniał mojemu człowiekowi ani mnie, kiedy rozmawialiśmy. Może mówił coś pani?

Czując, że ma coraz bardziej ściśnięte gardło, kręciła głową. Czyżby efektowna męska uroda wpłynęła na trzeźwy osąd sytuacji albo może Sam McCoy był takim dobrym aktorem?

Szeryf chciała coś powiedzieć, ale ktoś zapukał do drzwi. Wydęła lekko wargi i wstała z krzesła.

- Muszę się tym zająć. Przeproszę panią na moment.

Przerwa okazała się dłuższa, Ruby wykorzystała czas na analizowanie każdego ruchu, który wykonała, i każdego słowa, które wypowiedziała od chwili, gdy wysiadła wczoraj z samolotu. Miała wrażenie, że upłynęły lata od chwili, kiedy zorientowała się, że straciła plecak, i odkąd myślała o śmierci Carrie Ann albo o takiej ewentualności, że to wszystko w jakiś sposób może być ze sobą powiązane. Przekonywana przez ochroniarza, że za kradzieżą krył się przestępczy gang, zeszłej nocy nie powiedziała o tym wyraźnie szeryfowi. Nie powiedziała też ani słowa o swoich koszmarnych ostatnich tygodniach w Iraku, po części dlatego, że nie mogła sobie wyobrazić, iż Wofford dostrzegłaby związek kilku wydarzeń (o porwanie dwójki ludzi i ścięcie ich głów szybko zaczęto obwiniać bojowników) ze sprawą, która tu się rozgrywała. Samej Ruby trudno było wyobrazić sobie coś takiego, aczkolwiek pamięć o szczególnej ofercie pracy i zbliżające się przesłuchania sprawiały, że odczuwała coraz większy niepokój.

Postanowiła, że poruszy tę kwestię teraz, będzie naciskać, pani szeryf musi poważnie ją rozważyć. Może wówczas Wofford uczepi się jakiegoś innego wariantu, który nie będzie robić z jej siostry narkomanki i złodziejki.

Zmęczona czekaniem, Ruby przesunęła się w stronę drzwi, żeby zorientować się, jak długie może być to opóźnienie. Zanim do nich dotarła, już usłyszała gruby męski głos po drugiej stronie. Nadstawiła ucha i rozpoznała głos funkcjonariusza Savoya.

- Osiem telefonów pod ten numer. Telefon zarejestrowany na pięćdziesięciosiedmioletnią kobietę, archiwistkę z urzędu miasta. Niekarana. Ale odkryłem, że ma dorosłego syna.

- Znasz go. - Ze strony Justine Wofford to nie było pytanie, tylko stwierdzenie.

- Niestety - odparł Savoy. - Diler Leroya Coffera mieszka poza Houston, na ulicy funkcjonuje pod ksywką „Coffin" (Trumna (przyp. tłum.).). Aresztowaliśmy go osiemnaście miesięcy temu, zanim pani tu się zjawiła. Zarzuty dotyczyły metamfetaminy - posiadanie z zamiarem rozpowszechniania, ale jakiś prokurator żółtodziób zrobił błąd proceduralny i wyrok przepadł w apelacji.

Ruby analizowała w myślach nazwiska Coffin i Coffer, ale żadne z nich nic jej nie mówiło.

- Wygląda na kogoś, kto mógłby założyć laboratorium gdzieś blisko jeziora - ciągnął Savoy. - On i wspólnicy, dobrane grono łajdaków, prawdopodobnie zamieszani w inne sprawy, być może przekazywali towar z powrotem do swojego dawnego łącznika w mieście. Mam nadzieję, że to ten sukinsyn wyleciał w powietrze razem z domem Monroe'ów. Bo jeśli okaże się, że to właśnie on zbiegł, to będzie nam cholernie trudno go złapać...

Ruby czuła, jak szeleszczący dźwięk wypełnia jej głowę, a serce obija się o żebra. W jej domu znajdowało się laboratorium wytwarzające narkotyki? Siostra potrafiła tolerować dziwactwa przyjaciół, ale nigdy nie popierała czegoś, co byłoby niezgodne z prawem, a już na pewno nie w sytuacji, gdy miała pod opieką Zoe. Misty walczyłaby jak lew, żeby uchronić się przed takimi gośćmi.

Ruby pojęła z przyprawiającą o mdłości jasnością, że to oznacza, iż jej siostra albo została zastraszona, albo w jakiś sposób uciszona. Ale co z jej córeczką?

- Pamiętasz, czy Coffer ma dużo malunków na ciele? - zapytała Wofford. - Twarz ozdobił potrójną szóstką mniej więcej w tym miejscu.

- Odsiedział parę krótkich wyroków w więzieniu, i miał tatuaże. Nie przypominam sobie żadnych tatuaży na twarzy oprócz łezki, ale od czasu gdy go widziałem ostatni raz, mógł sobie zrobić więcej.

- Myśli pan, że Misty Bailey mogłaby związać się z kimś takim? Atrakcyjna i ponoć odpowiedzialna młoda kobieta, która stara się zdobyć wykształcenie i opiekuje się małym dzieckiem swojej siostry. Trochę to się wydaje naciągane.

Ruby poczuła wdzięczność, że Wofford jednak coś robi, zamiast tylko udawać, że jej słucha. Być może zechce wysłuchać również historii o DeserTek.

- Któż może wiedzieć, co kobiety widzą w takich zbirach? - W słowach policjanta wyczuwało się obrzydzenie. - Widziałem mnóstwo miłych dziewcząt, ładnych dziewcząt, które wyrzucały swoje życie na śmietnik. Do diabła, zdarzają się takie, które piszą listy miłosne do kompletnie obcych sobie osób, odsiadujących długoletnie wyroki.

- Też widywałam takie rzeczy. Zaczęłam pracę od więzienia w Morton County.

- Nie tak znowu dawno temu - powiedział Savoy z wyraźną pogardą.

- Panie oficerze, prosiłam pana o zdanie na temat Misty Bailey i tego Coffera... - W monotonnym głosie Wofford zabrzmiała zdecydowanie ostrzegawcza nuta. - A nie na temat mojego doświadczenia. Czy sądzi pan, że tych dwoje mogło coś łączyć?

- Całkiem możliwe. - Mówił takim tonem, jakby czuł urazę, a nie skruchę. - Facet zawsze miał słabość do gorących blondynek. Nie żeby były w stanie zachować taki atrakcyjny wygląd, kiedy już zaczną imprezować z Leroyem. Oprócz zażywania narkotyków szybko przechodzi do bicia, kiedy chce ustanowić swoje porządki. Ma w papierach parę zgłoszeń pobicia w domu - pobił swoją matkę, a innym razem dziewczynę. Odbierałem jedno z tych zgłoszeń i ta dziewczyna umierała z przerażenia i odmawiała współpracy, choćbym nie wiem jakie gwarancje bezpieczeństwa jej proponował. Więc Coffer oczywiście poszedł wolno, a dziewczyna ze śladami przypalania papierosami i podbitym okiem zniknęła.

- Zajmuje się pan tym?

- Nie uwierzy pani, szeryfie, ile czasu poświęciliśmy tej sprawie. Ale nie byliśmy w stanie zdobyć dowodów, które przekonałyby prokuratora o konieczności postawienia zarzutów. Przede wszystkim, rodzina przyznawała, że dziewczyna mogła wyjechać z innym przyjacielem Coffera, jeszcze jednym złym nasieniem. Jeśli chodzi o mężczyzn, nie wybierała najmądrzej.

- Wierzy pan w to, w jej ucieczkę?

Savoy zniżył głos do szeptu, jak gdyby odwrócił głowę w trakcie mówienia. Ruby nie usłyszała jego odpowiedzi, ale słowa

Justine Wofford ugodziły ją w samo serce jak rozgrzane do białości ostrze.

- Mężczyźni tacy jak Coffer nie znoszą, żeby człowiek ich obciążał - stwierdziła ponuro pani szeryf. - Zwłaszcza jeśli są to dzieciaki, których nie spłodzili. Co znaczy... Cholera jasna, nienawidzę tego, Savoy, ale wysiłek ochotników, przeczesujących lasy wokół działki Monroe'ów, nie wystarczy. Trzeba wezwać nurków i sprawdzić południowy kraniec jeziora, czy nie ma w nim ciał. I powiedzieć im... Przede wszystkim o tym, że szukamy ciała małej dziewczynki.

Rozdział 9

Dzikie zwierzęta nigdy nie zabijają dla zabawy. Człowiek jest jedynym gatunkiem, dla którego torturowanie i śmierć innych zwierząt jest samo w sobie zabawne.

James Anthony Froude

(James Anthony Froude, Oceana albo Anglia i jej kolonie.)

Sam domyślał się, że niedługo dom będzie przeszukiwany: albo przez Agencję Zwalczania Narkotyków, albo przez szeryfa, albo Bóg wie jaką jednostkę. Mimo że współpracował z władzami, wiedział, że komuś z taką przeszłością i mieszkającemu tak blisko miejsca wypadku nie dadzą spokoju.

Zdążyli już skonfiskować łódkę, a w każdym razie nie było jej, kiedy wyszedł, by się nią zająć. Nie umiał sobie wyobrazić, jakim materiałem dowodowym posłużą się, by przekonująco umotywować konieczność wejścia do środka, ale miał pewność, iż w ciągu paru godzin zdobędą nakaz rewizji i przewrócą to miejsce do góry nogami, szukając jakiegokolwiek dowodu na to, że Zoe albo Misty tu przebywały.

Nawet pogodził się z tym, bo przecież nigdy nie zaprosił Misty i Zoe do środka, i nie obawiał się, że władze wynajdą coś, co pomogłoby znaleźć powiązanie z narkotykami. Jednak przed spodziewanym przybyciem policjantów musiał coś zrobić z telefonem komórkowym, który ukrywał na strychu, w warstwie izolacji w pobliżu bojlera na wodę, naruszając zasady zwolnienia warunkowego.

Ani razu nawet nie skorzystał z tego cholerstwa, chociaż bardzo go to kusiło, no i zadał sobie naprawdę dużo trudu, żeby ten przedmiot zdobyć. Zakupił kilka telefonów jednorazowych, usunął z każdego z nich karty SIM i próbował je włożyć do paru bardziej kosztownych, ale używanych modeli, również kupionych za gotówkę. Wreszcie znalazł kombinację, która pozwoliła mu aktywować coś, co przerobił na całkowicie anonimowy telefon komórkowy, zdolny do przeszukiwania Internetu.

Uznał, że to polisa ubezpieczeniowa na wypadek jakiejś podbramkowej sytuacji. Teraz jednak uświadomił sobie, że postąpił głupio, jak wychodzący z nałogu alkoholik, który ukrywa butelkę „na wszelki wypadek". Pokusa dawała mu się we znaki codziennie, zmuszała do wypływania łodzią o rozmaitych godzinach. Chociaż

komórka stała się dla niego dużym obciążeniem, zamierzał ją teraz wykorzystać, żeby przeprowadzić jedną rozmowę telefoniczną, której nikt nie byłby w stanie namierzyć.

Na dole rozszczekał się pies. Spocony po forsownym gramoleniu się na strych - ale i przeświadczony aż do bólu, że zaraz kopną w drzwi jacyś podobni do gestapowców ludzie, którzy będą chcieli go aresztować, Sam podszedł do okna strychu i pożółkłą gazetą odkurzył szybę. Od razu dostrzegł samochód półciężarowy - wóz miał logo ośrodka telewizyjnego w Dallas i miniaturowy talerz satelitarny na dachu.

Odsunął się od okna i nasłuchiwał z zaciśniętymi zębami, jak ktoś na dole puka do drzwi. Dziennikarskie hieny nie mogąc zobaczyć jego wozu, który stał w zamkniętym garażu, szybko dały za wygraną. Sam widział, jak reporterka i kamerzysta gramolą się z powrotem do samochodu i znikają.

Wyobrażał sobie, że przenieśli się na działkę obok, żeby nakręcić zdjęcia pogorzeliska, które stanowiło scenę zbrodni. I niemal na pewno to nie będzie ostatni pomysł, który przyjdzie im do głowy, żeby go poprosić o wypowiedź. Wprawdzie nie miał zamiaru powiedzieć ani słowa żadnemu reporterowi, ale wiedział, że mogliby cholernie utrudnić mu życie, gdyby doszli do wniosku, że warto go nękać. Bez trudu wyobraził sobie, jak - z niewielką pomocą żądnych wyjaśnienia władz - zostaje potencjalnym złoczyńcą w tej współczesnej tragedii. Typowy spokojny sąsiad, który, o ile nie ćwiartował „złodziei" porannych gazet, zazwyczaj nikomu nie wchodził w drogę.

Na myśl o tym wszystkim oblał go zimny pot.

Z powrotem przytwierdził izolację, dźwignął się, nie bez problemów, na nogi i ruszył po schodkach strychu na wyższe pięterko. Idąc od głównej sypialni do pustego pokoju gościnnego i dalej, do łazienki na górze, po raz ostatni sprawdzał wszystkie okna, przez które widział wyraźnie gasnące niebo, cyprysy wokół jeziora i podwórze, gdzie znów pasły się sarny. Wziął ze sobą lornetkę i uważnie przez nią patrzył. Czekał dziesięć minut, aż w końcu zielono - biały wóz ekipy wiadomości TV Dallas odjechał.

Może ma szczęście i ekipy telewizyjne i ludzie prowadzący śledztwo się wynieśli. Schodząc na parter, marzył tylko o długiej drzemce na zbyt dużej kanapie, albo przynajmniej o poleżeniu jakiś

czas przed telewizorem. Zamiast spełnić marzenia, powlókł się jednak do kuchni, pastylkę przeciwbólową zapił szklanką wody i, wzmocniwszy się w ten sposób, gwizdnął na psa.

- Co powiesz na małą wyprawę łódką - zapytał Javę. - Ale musimy być cicho.

Szczekając z podniecenia, co nie napawało Sama entuzjazmem, suczka zakręciła się i pognała na stary senny ganek. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem, kiedy naparła na nie łapą. Zniknęła w środku, ale po paru sekundach wróciła, pewnie ściskając w zębach kamizelkę ratunkową Sama.

- Grzeczna dziewczyna - pochwalił. - Sprawdzimy, czy uda nam się przekraść nad wodę, zanim oboje wpadniemy w wielkie tarapaty.

Z mocno bijącym sercem wyprowadził psa na dwór i uruchomił prawie bezgłośny silnik elektryczny łodzi, która służyła mu do połowu okoni. W kieszeni przechowywał telefon komórkowy, a w sercu niezgodne z prawem zamiary.

Człowiek na łodzi lubił obserwować, jak rozlewa się kałuża krwi. Podobało mu się to jeszcze bardziej niż przerażenie, które malowało się na twarzy kobiety, jej niedowierzanie, że on tu jest i zrobi jej takie rzeczy. Że jej życie można sprowadzić do powiększającej się, karmazynowej kałuży.

Kiedy miał czas, lubił zostać dłużej, patrzeć, na błyszczącą jak rubin krew, która nabiera matowego, rdzawego odcienia. Najpierw przestawała lśnić na brzegach, potem tworzyła jednolitą warstwę, a brąz powoli przeżerał drogę w stronę środka niczym nowotwór.

Ale patrzenie to była czysta przyjemność, a tu, niestety, czekała na niego tylko robota. Dziś nie miał czasu, a ponadto nie dysponował ani dwudziestoma tysiącami akrów powierzchni wody ani wygłodniałym aligatorem, który przydałby się do ukrycia tego, co musiał zrobić.

Na szczęście w tym wypadku nie musiał ukrywać swojej ofiary. Przyszło mu nawet do głowy, że jeśli zaplanuje wszystko starannie, to Odkrycie ciała znakomicie posłuży jego celom.

Ale przecież zawsze planował każdy szczegół, bo właśnie ta staranność odróżniała go od cieni, stawiała ponad zgrają przeciętniaków, którzy nazywali się zawodowcami.

Rozkoszując się tą myślą, poszedł poszukać większego noża.

Rozdział 10

Najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych Kipi żarliwa i porywczo moc.

William Butler Yeats

(William Butler Yeats „Drugie przyjście". Od Chaucera do Larkina. 400 nieśmiertelnych wierszy 125 poetów anglojęzycznych z 8 stuleci. Kraków: Wydawnictwo ZNAK, 1993, s. 402)

Siedząc za biurkiem, Justine Wofford przeglądała materiały na temat Leroya „Coffina" Coffera; złapała się na tym, że żałuje, iż to nie oficer Savoy wyleciał ze swoich butów na trawniku przed domem Monroe'ów. Oczywiście nie życzyła mu śmierci, ale przynajmniej na jakiś czas byłby wyłączony ze sprawy, tak jak żółtodziób Calvin Whitaker.

Bo chociaż Calvin ją drażnił tym swoim dziarskim „tak, proszę pani", i oczywistym zadurzeniem, i niekończącymi się pytaniami o nową wspaniałą drogę kariery, łatwiej można go było tolerować - i z pewnością w prostszy sposób dyrygować nim i odwracać jego uwagę - w przeciwieństwie do takiego starego wyjadacza jak Savoy.

I w przeciwieństwie do Rogera Savoya, Calvin nie żywił do niej gigantycznej urazy, nie oceniał każdej decyzji, którą podejmowała, według tego, jak postąpiłby jej mąż. Na myśl o Lou, Justine głośno zaklęła - znów ogarnęła ją wściekłość, że w trakcie dwóch lat małżeństwa nawet nie raczył zmienić beneficjenta swojej polisy. I że w rezultacie jego zaniedbania każdy cent wartej pół miliona polisy Lou wędrował do jego ekszony, podczas gdy Justine i jej syn zostali na lodzie.

Miała wrażenie, że poczucie winy przygniata ją jak samochód do przewozu drewna, a w koleinach zostawionych przez koła zalega żałoba i smutek. Atak serca, który powalił Lou tak niespodziewanie i doprowadził do śmierci w ciągu jednego dnia, nie dał jej szansy, żeby pożegnać się, a tym bardziej poprosić go o wybaczenie. I z pewnością nie miała możliwości, żeby się upewnić, iż przedsięwziął to, co jej obiecał tamtego wieczoru, prawie trzy lata wcześniej, kiedy omamił ją swoimi oświadczynami.

- Wiem, że to jest niespodzianka - powiedział, kiedy spotkali się na neutralnym gruncie, w motelowym pokoju. Uprawiali zdumiewająco szaleńczy seks, pomimo że różnica wieku między nimi

wynosiła dwadzieścia dwa lata. - Wiem, że nie w głowie ci randki, a tym bardziej powtórne zamążpójście, bo przecież pracujesz po nocach i masz na głowie cały dom. Ale mężczyzna w moim wieku nie chce marnować czasu - na pewno nie czułbym się dobrze, robiąc podchody jak jakiś cholerny gówniarz.

- Ale moja praca... - protestowała, chociaż w gruncie rzeczy myślała o Noah. O tym, jak dużo czasu potrzebował, żeby dojść do siebie, kiedy jego ojciec odszedł i przepadł jak kamień w wodę, i o tym, jak bardzo go denerwowała każda zmiana trybu życia.

Ale, niech Bóg jej wybaczy, myślała także o tym, jak bardzo musi się wysilać, żeby odpowiednio zadbać o syna, i jak strasznie rujnuje to jej finanse.

- Do diabła, wyjdź za mnie, to będziesz mogła oddać swoją odznakę - Powiedział z zapałem Lou. - Zaopiekuję się tobą i Noah. Uważałbym to za swój przywilej.

- Śpisz, Justine... to znaczy, szeryfie?

Drgnęła i odwróciła głowę w stronę Savoya, który stanął w drzwiach z kubkiem kawy.

- Jeśli znów mam być oblana, to niech pan idzie stąd w cholerę.

Aż wzdrygnął się, słysząc jej ton.

- Jeśli o to chodzi, szeryfie... Przecież pani wie, że nigdy bym...

- Dajmy już temu spokój - warknęła, zła na siebie, że nawiązała do tamtego incydentu. Przecież już przeprosił, a jej ojciec, emerytowany prawnik prowadzący samodzielną działalność, zawsze radził, żeby nie wdawać się w bezsensowne spory. - No więc co mogę dla pana zrobić?

- Chciałem panią powiadomić, że otrzymaliśmy doniesienie z gorącej linii stanu przedalarmowego. Prawdopodobnie ktoś widział w naszej okolicy parę dni temu Misty Bailey. Była w czarnym samochodzie prowadzonym przez białego mężczyznę z wytatuowaną twarzą.

Podczas gdy łódka Sama dryfowała pośród nenufarów, on uświadomił sobie, że nie ma prawa oczekiwać wybaczenia ze strony swojego byłego wspólnika, a już tym bardziej nie ma prawa myśleć, iż Luke Maddox zaryzykuje i mu pomoże. Sam nie miał prawa, ale i tak pozwalał sobie żywić taką nadzieję, ponieważ dobrze znał starego przyjaciela.

- Masz pojęcie, ile cholernych kłopotów spowodowałeś? - Luke prychnął. - Od czasu twojego aresztowania musiałem odwiedzać osobiście każdego klienta, płaszczyć się przed nimi i przysięgać na Biblię, że nie miałem absolutnie nic wspólnego z twoimi poczynaniami. A i tak w końcu straciłem ponad połowę kont.

- Przepraszam. - Sam powtórzył to, co mówił wcześniej tyle razy. Chociaż Luke nic nie odpowiedział, tym razem przynajmniej nie odłożył słuchawki.

Sam wykorzystał moment ciszy, żeby coś wyjaśnić.

- Nigdy nie myślałem, że ta historia może zaszkodzić tobie. Brałem tylko pod uwagę to, że te korporacyjne świnie robią przekręt kosztem swoich emerytów. - W dalszym ciągu był potwornie wkurzony, że ci dranie dokonali „realokacji" emerytur i polis zdrowotnych, na które tacy ludzie jak jego sąsiedzi pracowali nieraz po kilkadziesiąt lat. Żeby chronić swoje tyłki, szefowie zreorganizowali firmę pod nową nazwą, wykorzystując starannie poukrywane zasoby finansowe.

A potem popełnili błąd, wynajmując Sama - który świetnie się znał na śledzeniu przepływów pieniężnych - żeby im pomógł zachować pewne rzeczy w tajemnicy.

- Uracz tą gadką ławę przysięgłych - powiedział Luke. - Ale zaraz... hm, no tak, zgadza się. Oni też nie kupili twojego bajerowania. - Po krótkiej pauzie w jego głosie nie było już szorstkiego tonu. - Posłuchaj, współczuję także twoim przyjaciołom. Harry i Mona to porządni ludzie i to, co się im przydarzyło, jest nie w porządku. Ale to nigdy nie była twoja walka, Sam. Powinni byli pójść z tym do władz albo znaleźć jakiegoś prawnika.

- Próbowali, ale za każdym razem słyszeli tylko, że działania firmy są na granicy prawa. Kiedy skontaktowali się ze mną, byli zdesperowani, przestraszeni...

- Gdybyś chciał coś zrobić, to dyskretnie skierowałbyś ich do któregoś z tych nawiedzonych ludzi w mediach.

Sam nie przyznał się, iż próbował i takiej metody. Nie chciało mu się wyjaśniać, że reporterzy nie byli ani trochę zainteresowani, dopóki nie doprowadził do wycieku wewnętrznych adresów mailowych kalifornijskiej firny... a także danych finansowych jej szefów.

- Ale nie - ciągnął Luke. - Zamiast tego ty decydujesz, że masz prawo ujawnić swojego klienta, chociaż nie raczyłeś ani razu przedyskutować tego ze mną.

- Masz absolutną rację. Naprawdę jest mi przykro, Luke. Zawaliłem sprawę. I co gorsza, zawiodłem kogoś, kto był moim cholernie dobrym przyjacielem.

Nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi, Sam pomyślał, że stracił sygnał telefonu komórkowego, chociaż po ostatnim huraganie postawiono tyle nowych wież.

Wreszcie Luke się odezwał:

- Może jestem idiotą, ale w dalszym ciągu uważam cię za przyjaciela, Sam. Może właśnie dlatego tak bardzo mnie zabolało, że nie zgłosiłeś się do mnie, zanim zacząłeś tę swoją nieudolną krucjatę i wpakowałeś nas obu w niezłą kabałę. Chłopie, mogłeś poprosić mnie o pomoc. Nie rozumiesz tego?

- No cóż, teraz zgłaszam się do ciebie. I proszę.

Spodziewał się, że Luke przerwie połączenie, ale on wysłuchał wyjaśnień dotyczących trudnej sytuacji kolegi. Rozmowa z nim przypomniała Samowi stare dobre czasy, kiedy wymyślali różne rzeczy przy grillu w Austin. Jednak gdy powiedział Luke'owi, czego potrzebuje, dawny partner się wściekł.

- Niczego się nie nauczyłeś? - wydarł się na niego. - To, o co prosisz, nie wchodzi w grę. Gdyby chodziło tylko o mnie, pomyślałbym o tym, bo rzeczywiście wydaje się, że jesteś traktowany niesprawiedliwie. Ale ja nie mogę ryzykować, Sam, zwłaszcza że mam teraz w domu nieciekawą sytuację.

- Coś jest nie tak? - Sam poczuł ucisk w żołądku. - Susan i dziecko... czują się dobrze, prawda?

- Dziecko ma się świetnie, ale już nie jest takim słodkim dzieckiem - odparł Luke, mając na myśli swojego syna Jake'a. - Susan znów jest w ciąży, lekarz kazał jej leżeć. Powiem ci, że mam pełne ręce roboty: muszę dbać o Susan, żeby nie chodziła po ścianach, i opiekować się energicznym trzylatkiem.

Słysząc głos Luke'a, wyczuwał, że dla jego przyjaciela taka praca wcale nie jest obciążeniem. Rodzina była dla Luke'a najważniejsza i Sam rozumiał, dlaczego nie chce narażać na nieprzyjemności najbliższych. Także siebie; źle by wyglądało, gdyby przyłapano go na

pomaganiu skompromitowanemu partnerowi, którego nielegalne działania kiedyś potępił.

Kiedy skończyli rozmowę Sam owinął telefon plastikiem. Z powodu tabletki przeciwbólowej miał kłopoty z ostrością widzenia. Wrzucił telefon do pustego, drewnianego pomieszczenia dla kaczek. Ponieważ kaczki niemal zawsze wolały naturalne wgłębienia cyprysowych drzew od drewnianych domów budowanych przez państwo, oczywiście w dobrej intencji, Sam nie martwił się, że przeszkodzi jakiejś parce, gdyby kiedyś musiał tu wrócić w celu odzyskania komórki.

Nie żeby istniał jeszcze ktoś, komu Sam ufał do tego stopnia, by do niego zadzwonić. Podczas gdy zastanawiał się, w jaki sposób mógłby zrealizować to, co zaplanował, bez pomocy z zewnątrz, łódka przesuwała się coraz bliżej szkieletopodobnych resztek martwego lasu; liściaste ramiona drzew zdawały się sięgać chmur.

Ruby zauważyła, że niebo na zachodzie, za czubkami drzew po jej lewej stronie, zaczyna czerwienieć, i uświadomiła sobie, iż jeździ samochodem przyjaciółki o wiele za długo. Elysse na pewno już się o nią martwiła, a może była wściekła, że Ruby nie zadzwoniła, żeby powiedzieć, gdzie przebywa.

Poczucie winy oplatało ją jak wąż, aż poczuła taki ucisk w żołądku, że zatrzymała się na poboczu drogi i sięgnęła po komórkę. Jednak nie mogła zmusić się do wybrania numeru, nie umiała sobie wyobrazić, że podzieli się z nią tym, co podsłuchała.

Miała ściśnięte gardło i czuła, że zaraz się rozpłacze, przypominając sobie, jak przepraszała policjantów, że musi już iść - chociaż najpierw skłamała, że nic jej nie jest. - a potem wypadła z biura szeryfa i wskoczyła do samochodu; jechała w stronę Cypress Bend Road i zgliszczy, jakie pozostały po domu nad jeziorem.

Westchnęła zrezygnowana, wrzuciła telefon do torby i powiedziała sobie, że jest już prawie na miejscu, więc może skończyć to, co zaczęła. Postanowiła, że potem od razu pojedzie do Elysse i przeprosi, że zniknęła na tak długo.

Kilka minut później podeszła do ruin swojego domu, czując w nozdrzach smród spalenizny. Pomyślała o czasach, kiedy wprowadziła się tu z Aaronem, o tym, że oboje tak ciężko pracowali - robili wszystko sami, od malowania do stolarki i naprawy podłóg, bo nie mieli pieniędzy - żeby wyremontować zaniedbany weekendowy

domek jego rodziców i stworzyć swój pierwszy prawdziwy dom. Przypominała sobie, jak z sercem na ramieniu weszła na tylny ganek, by powiedzieć Aaronowi, że test dał pozytywny wynik. Obserwowała go nerwowo, bardzo zmartwiona, bo dopiero co pokłócili się o pieniądze, ale on aż krzyknął z radości, chwycił ją w objęcia i pocałował. W tych zgliszczach pozostało tyle świętych chwil, tyle zrujnowanych marzeń, że musiała przestać o tym myśleć i wrócić do rzeczywistości, mimo że ta ostatnia przerażała.

Władze wbiły pręty w ziemię i ogrodziły teren wokół pogorzeliska, a także postawiły tablice zabraniające wstępu. Teren po pożarze otaczało coś w rodzaju fosy, utworzonej przez głębokie kałuże wody - świadectwo zmagań ekipy ochotniczej straży pożarnej - które miały na celu uchronienie drzew przed rozszerzającym się żywiołem. W ochrowym błocie było pełno głębokich odcisków butów ludzi, którzy znaleźli się na miejscu wydarzeń, i mniejszych wgłębień, które zapewne pozostawiły po sobie psy, szukające ciał.

Zdała sobie teraz sprawę, że przyjazd tu był straszną głupotą. W zgliszczach swojego życia znalazła tylko rozpacz, a nie odpowiedzi na dręczące ją pytania. Dlatego udała się w stronę przystani, nad wodę. Poszła tam po pociechę, z resztą nie pierwszy raz.

Kiedy zobaczyła przed sobą ważkę muskającą czubki jeziornych zarośli, gwałtownie przystanęła, a potem patrzyła na pas długiej, brązowej trawy, ledwie widocznej w ciemnych smugach zmierzchu. Przypominał kształtem kajak i przez kilka ostatnich lat to właśnie w tym miejscu była przymocowana łańcuchem stara łódź Aarona, do góry dnem, żeby nie napadał do niej deszcz. Czyżby Misty z jakiegoś powodu jej się pozbyła? A może została ukradziona ostatniej nocy?

Pokręciła głową; lepiej dać sobie spokój z pytaniami. Jaki niosły sens, skoro już zbierano ekipę nurków? I jaki sens miało jej życie, skoro wszystko, na co pracowała, i wszystko co kochała, spoczywało teraz pod wodą Jeziora Kości?

- Głupota! - wypaliła, przelewając w te trzy sylaby cały swój opór, całą wolę walki, na jaką potrafiła się zdobyć. Bo rzeczywiście to była głupota niewybaczalna, żeby stać tu i rozczulać się nad sobą, podczas gdy istniał cień nadziei, że Zoe i Misty żyją. I co z tego, że szeryf Wofford zarządziła przeszukiwanie tego cholernego jeziora? Przecież wcześniej sugerowała, że Misty po prostu uciekła z pieniędzmi Ruby i jej córką. Dno jeziora było tylko kolejną teorią,

kolejną możliwością, którą należało sprawdzić, a potem odrzucić. Przeszkodą - być może ostatnią - na drodze do spotkania z rodziną, o którą Ruby postanowiła walczyć do końca, wykorzystując całą energię, jaką była w stanie z siebie wykrzesać.

Nadeszła pora, by z tym skończyć, wrócić do Elysse, wezwać wszystkich znajomych, żeby przyłączyli się do poszukiwań. Pomyślała o Myrtle Lambert i jej modlitewnym kręgu, o Pauliem i Annie Hammettach i ich licznych przyjaciołach. Poprosi wszystkich o pomoc, padnie na kolana w wiadomościach TV i będzie błagać. A potem zajmie się panią szeryf, spróbuje od niej wydobyć więcej informacji, nie tylko na temat tego „Coffina", ale również o telefonie Misty do Sama.

Ruby zawsze czuła się lepiej, kiedy miała jakiś plan. Ten był dla niej wyzwaniem; wyszarpnęła kluczyki z kieszeni i poszła w stronę samochodu. Jednak nie zdążyła zrobić nawet trzech kroków, gdy usłyszała donośny, chrapliwy warkot motorówki, która dopływała do przystani za jej plecami.

Nękany zawrotami głowy po lekach przeciwbólowych, Sam już kierował się do domu, kiedy Java zaczęła podskakiwać i merdać ogonem. Zauważył samotną postać na brzegu w pobliżu przystani Monroe.

- O cholera! - Przypuszczał, że to jakiś stróż prawa, który zaraz go zapyta, co tu robił. Ale kiedy postać odwróciła się, mimo słabego oświetlenia i szwankującego wzroku rozpoznał Ruby. Zmrużył oczy i uświadomił sobie, że ona macha do niego - a właściwie, że tym machaniem go przywołuje.

Skręcił czerwono - białą łódką do połowu okoni - to był sportowy model, kosztowała więcej niż zakupiony przez niego chevy yukon służący do holowania sprzętu. Pozwolił jej dryfować ostatnie parę metrów, aż uderzyła o stare dętki przygwożdżone do przystani na poziomie wody. Po przycumowaniu łódki wyłączył silnik i usłyszał subtelniejszy chór romansujących żab, owadziej walki i ptasich rozgrywek, które sprawiły, że to zakole linii brzegowej jeziora wydawało się o wiele mniej samotne, niż sugerowałaby skromna liczba mieszkających tu ludzi.

Kiedy wygramolił się z łódki i powiedział „cześć", Ruby stała na skraju trawy, przy końcu przystani. Chociaż nic nie mówiła, szybko

dostrzegł w jej pozie stanowczość i determinację, a także niepewne, jakby podejrzliwe spojrzenie.

Rozpoznał taki wyraz twarzy, który jako młody chłopak widywał o wiele za często, słyszał towarzyszące takim spojrzeniom szepty, kiedy wchodził do miejscowych sklepów - zawsze uważnie obserwowany - albo mijał nauczycieli w szkolnych korytarzach. Patrząc w ten sposób, ludzie komunikowali mu, że postanowili go omijać szerokim łukiem albo że mają ochotę od razu go zdzielić, zanim będzie miał szansę zrobić jakąś drakę według własnego pomysłu. Nigdy przedtem Ruby Monroe nie patrzyła na niego w ten sposób i Sam uświadomił sobie, że musi to znaczyć, iż od tamtego czasu rozmawiali z nią szeryf Wofford albo agent specjalny Felker czy Acosta. Teraz jest już prawie pewna, że z jego strony może się spodziewać tylko kłopotów.

- Myślałam, że dziś będziesz w łóżku - powiedziała, i usłyszał w jej głosie dwuznaczność: zatroskanie połączone z ostrożnością.

- Może bym i był - odparł szczerze. - Gdyby nie to, że ciągle mi przeszkadzała szeryf Wofford i ci faceci z Agencji Zwalczania Narkotyków. Już rozmawiałaś z tymi dwoma?

Pokręciła głową, ale nadal nie spuszczała z niego oczu. Uświadomił sobie, że te oczy są ładne, niebieskie, okolone długimi rzęsami; wcześniej jakoś nigdy nie zwracał na nie uwagi.

- Co powiedzieli? - zagadnęła.

- Bardziej ich interesowało, żeby wyciągać informacje ode mnie. Usłyszałem, że zdaniem inspektora przeciwpożarowego przygotowywanie narkotyków mogło przypadkowo spowodować wybuch.

- To i tak więcej niż ktokolwiek powiedział mi wprost - zauważyła. - Ale domyślałam się, że to mogło być coś w tym stylu. Kod „stan przedalarmowy" nie przyniósł jeszcze żadnych rezultatów, ale przynajmniej wiem, że Misty nie było w tamtym domu - tak wynika z oficjalnego raportu lekarza sądowego.

- To świetne nowiny. - Poczuł tak ogromną ulgę, że przez chwilę miał kłopoty z normalnym widzeniem, zachwiał się i musiał zrobić krok, żeby odzyskać równowagę.

- Ostrożnie, bo zaraz fikniesz kozła.

Fiknięcie kozła tak blisko brzegu mogło zaowocować bliższym kontaktem z pasem płytkiej brudnej, zielonobrązowej wody. Sam

wszedł na trawę, zadowolony, że nie zarył głową w błoto, co byłoby bardzo upokarzające.

- Coś mi się zdaje, że jednak nie nadawałem się na wyprawę łódką.

- Na miłość boską, po co w ogóle próbowałeś, skoro jesteś osłabiony? Czy może oni ci coś dali?

- Tabletki przeciwbólowe - przyznał Sam. - I zdaję sobie sprawę, że wypłynięcie było głupotą...

- Siadanie za kierownicą po pijanemu też - weszła mu w słowo, chociaż w jej głosie nie wyczuł zawziętości. - Dobrze się teraz czujesz? Chyba trochę pozieleniałeś na twarzy.

Zrobiło mu się słabo.

- Może powinienem na chwilę usiąść.

Kiedy wzięła go za rękę, starał się nie zwracać uwagi na to, jaka jej dłoń jest w dotyku, nie pamiętać, że jest mała i bardziej gładka.

- Dzięki, wydaje mi się, że już jest mi...

Chciał powiedzieć: lepiej, ale w tym momencie świat wokół niego wirował.

- Spróbuj usiąść na trawie, jest sucha. I nie widzę żadnych czerwonych mrówek.

Usadowiła się tak, żeby być blisko niego, a jednocześnie poza zasięgiem jego ręki. Przez minutę albo dwie siedzieli w milczeniu.

Wreszcie Ruby powiedziała cicho:

- Muszę cię o coś zapytać.

Kiwając głową, gwałtownie zacisnął powieki, żeby walczyć z narastającą sennością.

- Sypiałeś z moją siostrą? Tylko przez przypadek dysponujesz jej pieniędzmi?

Patrzyła na ciemniejącą twarz Sama. Obserwowała ból w jego brązowych oczach, który szybko ustępował miejsca narastającej złości. Nie wiedziała, co myśleć, jednocześnie ogarniał ją lęk - przyszło jej do głowy, że podjęła szalone ryzyko, tak mocno na niego naciskając w sytuacji, gdy rozmawiali bez świadków.

- Nie i nie - to odpowiedzi na oba pytania i wielkie dzięki za okazaną wdzięczność. Jeśli dobrze sobie przypominam, przeszukałem dach ganku w twoim palącym się domu, próbując odnaleźć twoją siostrę i twoją córkę. Następnym razem będę pilnował swojego cholernego nosa.

- Ależ jestem wdzięczna i powiedziałam szeryf Wofford, że gdyby cię słyszała zeszłego wieczoru, gdyby zobaczyła to, co zrobiłeś, to nie miałaby już wątpliwości. Wiedziałaby tak samo, jak ja wiedziałam...

- Tak samo jak ty wiedziałaś? - Pokręcił głową, skrzywił się i przyłożył rękę do skroni.

Widok jego cierpienia przygnębiał Ruby, ale zaraz przypomniała sobie o swojej rozmowie z panią szeryf i wątpliwościach, o których mówiła.

- Nie kupiłam jej sugestii, że być może pomogłeś mordercy Balderacha uciec zeszłej nocy.

- Ktoś uciekł? Skinęła głową.

- Właśnie ku takiej wersji się skłaniają, ponieważ Balderach został zastrzelony, a twojej łódki nie ma.

Sam wpatrywał się w nią intensywnie, wyraźnie wstrząśnięty.

- Został zastrzelony?

- Sądzą, że przed wybuchem. A twojej łodzi nie było, więc...

- Myślałem, że była przycumowana.

- Słyszałam coś innego. Sam się skrzywił.

- Hm, łódką mógł popłynąć ktokolwiek. Jest wyposażona w stary silnik typu „szarpanka". Nawet nie trzeba mieć klucza.

- Byłam tu i moim zdaniem nie jest możliwe, żebyś ty to zrobił. Po prostu nie miałeś na to czasu.

- Więc dlaczego już prawie jestem oskarżony, że okradałem twoją siostrę? Oprócz tego, że jestem z rodziny McCoyów, co ja takiego zrobiłem, do jasnej cholery, że uważasz...

- Nie chodzi o to, co zrobiłeś - przerwała mu w pół słowa - ale o to, czego nie zrobiłeś. Dlaczego mi nic nie powiedziałeś? Dlaczego nawet nie wspomniałeś nic o tym, że Misty do ciebie dzwoniła, na numer domowy?

- Dzwoniła? - Zmarszczył czoło. Wydawało się, że jest naprawdę zaskoczony. - Kiedy? Nie miałem żadnych telefonów od Misty. Gdyby zadzwoniła, tobym...

- Dzwoniła do ciebie o piątej czterdzieści dwie rano, trzydziestego marca. Tak wynika z jej billingu, potem już do nikogo nie dzwoniła.

- Trzydziesty marca... To chyba był... - Powędrował wzrokiem gdzieś przed siebie. Marszcząc brwi, odliczał na palcach dni do tyłu. - Zeszły poniedziałek, zgadza się?

Kiwnęła głową.

- Jutro minie dokładnie tydzień. Niemożliwe, żebyś już o tym zapomniał.

Sam pstryknął palcami i skupił wzrok na Ruby.

- To jest dzień, w którym zabrałem na pływanie takiego upierdliwego klienta. Chciał się wybrać wcześnie, wypłynąć na wodę o takiej porze, żeby ryby już przypłynęły na śniadanie. A zatem byłem już wtedy poza domem... Mogę ci pokazać mój dziennik pokładowy.

- Zapisujesz takie rzeczy?

- Tak. Mogę ci go pokazać. Anna Hammett namówiła mnie, żebym wszystko notował, bo w razie gdyby coś stało się na wodzie, będzie wiadomo, gdzie prowadzić poszukiwania, z kim jestem, tego rodzaju szczegóły. A poza tym pomaga mi to w podatkach.

- Podatkach?

- Odkąd przekonałem się, że Wuj Sam ma zęby, już nie jestem tak bardzo skłonny z nim zadzierać.

- Aha, rozumiem. - Ruby wróciła do tematu Misty. - Zostawiła ci wiadomość?

- Nie. Nie zostawiła. Ale pamiętam, że to był ten sam dzień właściwie, ostatni dzień, kiedy ją widziałem. Ją i Zoe: na ganku na tyłach domu, z tymi dziwnymi ludźmi, tak jak ci mówiłem. Czyli to musiał być trzydziesty marca.

- Jesteś pewien? Jeśli chodzi o brak wiadomości? Bez chwili namysłu odpowiedział:

- Absolutnie. I nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego chciałaby zadzwonić do mnie, chyba że znów miała w domu inwazję szopów praczy.

- Szopy pracze dostały się do domu?

- Przynajmniej kilka, na strych. Zapukała do moich drzwi któregoś dnia w... Nie wiem, to musiało być zeszłej jesieni. Zachowywała się trochę tak, jakby była zakłopotana, że prosi mnie o pomoc, że „przychodzi jak grzeczna dziewczynka" - tak to określiła - ale powiedziała, że nie dają im spać i że urządziły sobie na górze „zajebistą imprezkę".

Uśmiechnęła się lekko, słysząc głos siostry w tych słowach.

- I co, pomogłeś jej? Wzruszył ramionami.

- Tylko dopilnowałem, żeby te zbyt duże futrzaki wyniosły się, a dziurę, którą znalazłem, zabiłem potem deską i jeszcze wzmocniłem drutem. Nic nadzwyczajnego.

- No cóż, ja to doceniam.

Java podeszła do niej i trąciła jej rękę pyskiem, a Ruby machinalnie podrapała psa.

Sam trochę się uspokoił.

- A więc czy to znaczy, że masz dosyć wysłuchiwania bajeczek Wofford? Bo tak naprawdę to tylko bajeczki. Oni wymyślają scenariusze, Ruby, szukają łatwej odpowiedzi. Ale niekoniecznie właściwej.

Przyglądała mu się uważnie, konfrontując swoją instynktowną chęć uwierzenia ze świadomością, że miał dość dużo czasu, by skonstruować wiarygodne kłamstwo i przećwiczyć opowiedzenie tego kłamstwa.

- Aaron i ja byliśmy kumplami, długo - powiedział Sam. - Ufaliśmy sobie nawzajem. A jego rodzice - bez względu na to, co stało się później, uratowali mi życie.

- Byłam ciekawa, kiedy ich w to wmieszasz. - Spojrzała na niego ponuro, dochodząc do wniosku, że to mogła być przećwiczona scenka, typowe zagranie kartą atutową. - Jaki ważny musiał być dla ciebie Aaron, widząc to po wszystkich twoich kartkach i wizytach. I po sposobie, w jaki pokazywałeś się na pogrzebach, najpierw jego rodziców, a potem jego samego.

Cukrzyca zabiła Shirley Monroe - przeżyła swojego męża tylko o dwa lata - zaledwie sześć miesięcy przed wypadkiem Aarona. Cała rodzina unicestwiona w krótkim czasie... Uwielbiana rodzina, sądząc po liczbie przyjaciół i dawnych przybranych dzieciach, które pojawiały się na uroczystościach pogrzebowych.

Ale nie Sam McCoy; Ruby przypomniała sobie, że przesłał wiązankę.

Skamlący pies patrzył na nią w nadziei, że poświęci mu więcej uwagi.

- Nie chcesz mi wierzyć, trudno. - Sam powoli wstał, twarz mu poczerwieniała. - Może jednak zagrasz w otwarte karty i zapytasz mnie o to, co naprawdę chcesz wiedzieć? Czy zabrałem dokądś Zoe i Misty? Czy je zamordowałem?

- Ty sukinsynu. - Pociekły jej łzy, przez moment nic nie widziała. - Nie masz prawa tu stać i używać takich słów jak „morderstwo". Nie wtedy, gdy chodzi o moją rodzinę.

- Przykro mi, że cię zdenerwowałem. Może byłem trochę podły. Ale przeważnie czuję się dość podle, kiedy jestem niesprawiedliwie oskarżany. Zwłaszcza o przemoc.

- Wcale cię nie oskarżam, ale niech mnie trafi szlag, jeśli mam uważać z pytaniami, które wymagają odpowiedzi, bo to mogłoby urazić twoje uczucia. Nie w sytuacji, gdy nie wiadomo, gdzie jest moja córka. Nie w sytuacji, gdy Misty przepadła bez wieści.

- Rozumiem. - Na jego twarzy malowało się napięcie, a spojrzenie stało się czujne.

- A zatem, co wiesz o facecie, który nazywa się Leroy Coffer? Albo może znasz tylko jego ksywkę - Coffin?

Pokręcił głową.

- Nigdy o nim nie słyszałem. Kto to taki?

- Ktoś, do kogo moja siostra podobno często dzwoniła. To mógł być facet, którego widzieliśmy. Ten z tatuażami.

- Nie sądzę, żebym widział go kiedykolwiek wcześniej. Miałem nadzieję, że sukinsyn był jednym z tych, którzy zginęli w wybuchu. Czy policja myśli, że to on zastrzelił Balderacha?

Skinęła głową.

- Był notowany za handel narkotykami. Także za przemoc wobec kobiet.

- Misty nie wyglądała na kogoś, kto by znosił takie rzeczy - powiedział Sam. - Nieraz widziałem, jak sobie radziła z zawadiakami w Hammett's. Ma do tego prawdziwy talent, zawsze okazuje dobre maniery i udaje jej się nikogo nie wkurzyć, a ludzie odnoszą się do niej z szacunkiem. Z tego, co słyszałem, nawet faceci w salonie gier. I zdaje się, że wszyscy ją za to lubią.

Ruby poczuła nagłą wdzięczność za to, że przypomniano jej o siostrze, którą zapamiętała, o siostrze, której powierzyła swoje jedyne dziecko.

- Misty ma plany życiowe - mówiła Ruby - które nie przewidują wiązania się z nieudacznikami. Ale nawet inteligentne kobiety czasami dają się ogłupić, a jeśli to rzeczywiście był ten facet...

Strach zdusił tę myśl - strach, co taki mężczyzna jak Coffin mógł zrobić Misty, a zwłaszcza Zoe, która nie potrafiła się bronić.

- Muszę już iść - powiedziała. - Elysse na mnie czeka.

- Będziesz w stanie tam pojechać? - zapytał. - Jesteś zdenerwowana.

- Nic mi nie będzie, ale co z tobą? Chcesz, żebym cię podwiozła do domu? Ty naprawdę nie jesteś w stanie...

Była zaskoczona, kiedy popatrzył na nią ciepło, wziął jej rękę i uścisnął.

- Martw się o siebie i o swoją rodzinę, Ruby. Ja dbam o Sama McCoya już od jakiegoś czasu.

Poszedł w stronę przystani, a Ruby odprowadzała go wzrokiem wciąż zdumiona, jak wielkie pragnienie obudziło w niej dotknięcie jego ręki. Zastanawiała się, czy po czterech latach bez mężczyzny każdy dotyk, nawet zupełnie niewinny, wzbudziłby w niej tak intensywne odczucia.

Chyba że Sam McCoy miał w sobie coś, co sprawiło, iż poddawała się temu samemu urokowi, który oszołomił Elysse, a być może także Misty.

Rozdział 11

Kilka osób się śmiało, kilka osób płakało, większość ludzi milczała. Pamiętam strofę ze świętej księgi hinduizmu, Bhagawadgity. Wisznu usiłuje przekonać Księcia, żeby spełnił swój obowiązek, i żeby zrobić na nim wrażenie, przybiera swoją wieloramienną postać i mówi: Teraz stałem się Śmiercią, niszczycielem światów. Przypuszczam, że wszyscy mieliśmy wówczas takie myśli.

J. Robert Oppenheimer, Współtwórca pierwszej bomby atomowej, o jej zdetonowaniu.

Oczywiście czekał na nią, mimo że zapadła noc.

Kiedy już coś sobie zaplanował, zaprojektował albo obiecał, czekał wytrwale, nie zważając na głód, zmęczenie i zniecierpliwienie, które dla ludzi wydrążonych - cieni - byłyby powodem, żeby dać za wygraną.

Na tym polegał jego dar i właśnie dlatego inni zabiegali o niego i proponowali zlecenia: dla swojego pracodawcy stał się niezbędny, na nim można było całkowicie polegać; jedyny stały punkt w ciągle zmieniającym się świecie.

Ta niezawodność dawała mężczyźnie w łodzi poczucie dumy, toteż czekał w miejscu, gdzie konary pochylały się nisko nad podtopioną przystanią, gdzie srebrzystozielony mech zwisał jak włosy wiedźmy, a jego czubki muskały powierzchnię wody; tworzył coś w rodzaju całunu, z którego wydobywał się gryzący odór, ale dawał się wytrzymać dzięki dobrze znajomemu zapachowi palącego się tytoniu. Siedział w kryjówce i prowadził obserwację przez lornetkę, spodziewając się, że lada chwila, w świetle latarni pojawi się kobieta.

Obserwował i czekał na moment, w którym będzie jej mógł zgotować prawdziwe piekło.

Próbowała w drodze powrotnej dzwonić do Elysse, ale za każdym razem włączała się poczta głosowa. Ruby miała nadzieję, że to nie znaczy, iż przyjaciółka właśnie wydzwania do ludzi z Gwardii Narodowej, żeby zaczęli jej szukać.

Ale to było nielogiczne, bo przecież Elysse nie próbowała dodzwonić się do niej na komórkę. Najprawdopodobniej zajęła się zwoływaniem ochotników, tak jak wcześniej zaplanowała. Elysse nie miała szczęścia do związków, ale zawsze odznaczała się wielkim talentem organizacyjnym: to dzięki jej inicjatywie odbyło się

spotkanie klasy po dziesięciu latach, a także akcja poszukiwania krwiodawców dla dziewczynki potrąconej przez kierowcę, który uciekł z miejsca wypadku.

Kiedy Ruby dojechała do dzielnicy, w której mieszkała Elysse, już od jakiegoś czasu miała zapalone przednie światła, gdyż robiło się coraz ciemniej. Na pozbawionej oświetlenia ulicy musiała polegać na pojawiających się od czasu do czasu światłach bezpieczeństwa. W niektórych domach było jasno, ale w co najmniej połowie panowała ciemność; właściciele przyjeżdżali tu tylko w sezonie albo wynajmowali chaty gościom na letnie wakacje.

U Elysse paliło się światło, a lewy narożnik domu był oświetlony od zewnątrz. Zaparkowała pod nim corollę, wygramoliła się z wozu i poszła w stronę drewnianych schodów.

Na drugim schodku zatrzymała się, usłyszawszy bulgoczący warkot, dźwięk tak znajomy, że właściwie nawet nie powinna była zwrócić na niego uwagi. Ktoś bardzo blisko uruchamiał silnik łódki. Popatrzyła w stronę kanału, ale w bezksiężycowej ciemności nic nie widziała, chyba że... O Boże! Czyżby to malutkie pomarańczowe światło było palącym się papierosem?

Silnik nagle zgasł, a Ruby przeszły ciarki po plecach. Być może nie było powodu do obaw, być może to tylko jakiś sąsiad wyszedł na ostatniego papierosa i zimnego drinka, ale i tak instynktownie przyśpieszyła kroku.

Wparowała do domu, dziękując Bogu, że Elysse nie zablokowała drzwi zasuwą. Chociaż nie zauważyła nikogo w kręgu światła na dole i nie usłyszała żadnego dźwięku, który by ją zaniepokoił, rozsunęła szklane drzwi, weszła do środka i zamknęła je na klucz.

Kiedy odwracając się, kątem oka zauważyła szkarłatną plamę, nie od razu dotarło do niej, że to krew. Jej umysł potrzebował trochę czasu, by nadać temu, co widziała, jakikolwiek sens. Zobaczyła, że czarny kot Elysse kuli się w kącie ze zjeżoną sierścią, a z jego wąsów zwisają czerwone grudki.

Nie rozumiała, co się dzieje, wpatrywała się w persa, który stulił uszy i syczał, patrząc na nią wielkimi pomarańczowymi ślepiami.

- Co się stało, Bubba? Jesteś ranny? Odwróciła się i zawołała:

- Elysse, coś jest nie tak z twoim...

Najpierw Ruby zauważyła telefon, który był zdjęty z widełek i leżał na ladzie, a potem za kuchennym aneksem zobaczyła gołą nogę.

Noga leżała w wielkiej, ciemnej, błyszczącej kałuży, którą okalały rozmazane ślady: małe, czerwone ślady zostawione przez kota i dwa większe odciski podeszwy dużego męskiego buta.

Poderwała się, kiedy wciśnięty do torebki telefon zaczął dzwonić.

Rozdział 12

Walczymy z fanatykami, którzy porywają cywilów i obcinają im głowy, a uciekającym dzieciom strzelają w plecy, Z takimi ludźmi dialog jest niemożliwy...

Senator Kay Bailey Hutchison, Teksas

Ruby pomyślała, że to niemożliwe. To nie może być prawda.

Zajrzała za narożnik kuchennego aneksu i nogi się pod nią ugięły; przykurczyła się, zamknęła oczy, żeby chronić je przed makabrycznym widokiem, i objęła kolana ramionami; szeptała do siebie, że to musi być jakiś obraz z przeszłości, jakaś pozostałość po wojnie, tkwiąca w jej umyśle niczym szrapnel.

Do porwań rzadko dochodziło w Teksasie.

Przyjaciółki nie były zarzynane jak bydło, nie padały ofiarą egzekucji w swoich kuchniach.

Weź się w garść, Ruby. Weź głęboki oddech, napominała się w myślach.

Ale powietrze, które wypełniało jej płuca, skaził odór krwi, a kiedy otworzyła oczy, miała przed sobą ten okropny widok.

Umysł Ruby krzyczał: Tak samo jak Carrie Ann!, chociaż Elysse nie została poddana dekapitacji. Przynajmniej nie była to całkowita dekapitacja.

Przesunęła się na bok i zasłoniła usta, nie reagowała na komórkę, która znowu zaczęła dzwonić. I w tym momencie nagle przypomniała sobie żarzący się papieros na zewnątrz, przytłumione wibracje rozgrzewanego na jałowym biegu silnika motorówki.

- Ty sukinsynu! - wrzasnęła. Furia pomogła jej dźwignąć się na nogi, dodała jej sił, co sprawiło że była w stanie dotrzeć do kuchennego aneksu. Starając się, nie patrzeć na zwłoki przyjaciółki i nie wchodzić w kałużę, chwyciła drewniany stojak na noże i wysunęła drugie co do wielkości ostrze.

Zobaczyła, że szpara, w której zazwyczaj znajdował się największy nóż, jest pusta. Zawiadom szeryf, podpowiadał jej głos rozsądku, a może instynktu samozachowawczego. Jeśli zabójca tam jest, to czeka na ciebie. Jest zdolny do wszystkiego. Na myśl o Elysse ogarnął ją straszliwy smutek.

Kiedy sięgnęła do torby na ramieniu, żeby odszukać telefon komórkowy, zadzwonił trzeci raz. Mrugając załzawionymi oczami, otworzyła klapkę aparatu i krzyknęła:

- Proszę... Proszę, musisz mi pomóc! Potrzebuję szybkiej pomocy, w domu Elysse Steele. Zadzwoń pod 911 i powiedz im, że to jest, to jest na...

Kiedy usiłowała przypomnieć sobie nazwę ulicy, dzwoniący przerwał jej.

- Skoro wreszcie udało mi się wzbudzić twoje zainteresowanie - odezwał się nieznajomy męski głos - porozmawiajmy o czymś, co mam, i na czym zależy tobie. I o czymś, co ty masz i na czym również bardzo zależy mnie.

- Co... co? - jąkała się zszokowana, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała.

- Nie zgrywaj głupiej - powiedział ostrym, stanowczym tonem. - Wiemy, że masz te pliki, i chcemy je mieć z powrotem. A jeśli dowiemy się, że zostały otwarte, skopiowane albo w jakikolwiek sposób zmodyfikowane, to przyrzekam ci, że twoi bliscy poczują, jak bardzo jestem rozczarowany. W ten sam sposób...

- Nie! - Zakręciło jej się w głowie, bo uświadomiła sobie, że rzeczywiście zabrała do domu przemoc wojennej strefy, że przez to, iż podjęła niemądre ryzyko i przemyciła flashdrive'a z plikami, które dawały pewnej martwej kobiecie przewagę nad DeserTek - dokumentami podającymi nazwiska „kłopotliwych" pracowników, daty przydziałów zadań o podwyższonym ryzyku i tajemnicze wpłaty dokonywane po ich śmierci - naraziła swoją córkę i swoją siostrę. I to przez nią została zabita jej najlepsza przyjaciółka.

W dodatku dzięki „uprzejmości" jakiegoś złodziejaszka w terminalu Dallas - Fort Worth nawet nie miała przedmiotu, o który chodziło mężczyźnie. Gdyby przyznała się do tego, mogłaby go sprowokować do zabicia Zoe i Misty.

- Puść je. Dam ci, co zechcesz. Proszę. - Jeśli udałoby się wynegocjować warunki wymiany, na pewno coś wymyśli, znajdzie sposób, żeby wydobyć rodzinę z opresji. Jeżeli musiałaby zabić tego drania, zrobiłaby to. Zastrzeli go albo zarżnie, albo wysadzi, a potem zatańczy na jego przeklętych wnętrznościach.

- Dasz mi wszystko. Żadnych pertraktacji, żadnych sztuczek, i niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby powiadomić o tej rozmowie

władze albo polecieć z tematem do mediów. Będziesz się stawiać, kombinować, to ci gwarantuję, że pierwszy dowiem się o tym - syknął. - A następne zwłoki, które znajdziesz, będą zwłokami twojej córki.

- Pozwól mi z nią porozmawiać - wypaliła Ruby; odniosła wrażenie, że w jego odpychającym głosie jest coś znajomego. - Proszę cię, ona jest na pewno strasznie przerażona, a ja... ja muszę usłyszeć jej głos. Muszę, no wiesz, żeby... żeby się upewnić, że obie naprawdę czują się dobrze. Że je masz i że są bezpieczne.

- Ależ one nie są bezpieczne. I nigdy nie będą bezpieczne, jeśli nie wypełnisz co do joty moich instrukcji. Jesteś w stanie to zrobić, Ruby? Potrafisz dokładnie je zrealizować?

- Przysięgam, że je wypełnię. Tylko nie rób jej krzywdy...

- W takim razie czekaj na mój telefon. I pamiętaj: cokolwiek powiesz władzom, jakimkolwiek władzom, dotrze to do moich uszu, więc bądź ostrożna... Nie chcesz stracić głowy. Albo ich głów.

- Proszę. - Nie chciała błagać, ale ciało Elysse stanowiło wymowny dowód, że ten łajdak nie miał najmniejszych skrupułów i Ruby nie potrafiła już się kontrolować. - Proszę, pozwól mi usłyszeć jej głos. Pozwól mi porozmawiać z Zoe.

Nie doczekała się żadnej odpowiedzi, a kiedy spojrzała na telefon, uświadomiła sobie, że rozmówca już się rozłączył. Usłyszała syreny, policyjne pojazdy szybko nadjeżdżały. Zerknęła w stronę okna i dostrzegła błyskające czerwone światło.

Modliła się i miotała przekleństwa, nerwowo manipulowała przy swojej komórce, aż nacisnęła klawisz „oddzwoń". Musiała usłyszeć głos swojego dziecka, musiała przekonać kidnapera, że to jest konieczne.

Po drugim dzwonku jakiś mężczyzna powiedział:

- Wydział Szeryfa Preston County, w czym możemy pomóc?

Jej serce zamarto, ale zaraz powrócił naturalny rytm. Mężczyzna mówiący przez telefon wydawał się przyjazny, swojski, w niczym nie przypominał maniaka, z którym rozmawiała parę chwil wcześniej. Ale to nie miało sensu, chyba że...

Na zewnątrz syreny wyły coraz głośniej, a jej rozmówca powtórzył:

- Wydział Szeryfa Preston County. Czy ktoś tam jest? Czy jest potrzebna pomoc?

Rozłączając się, Ruby sprawdziła na swoim telefonie listę odebranych połączeń. I ku swojemu przerażeniu odkryła, że telefon z pogróżkami pochodził od kogoś z wydziału.

Drżała na myśl o sadystycznych pogróżkach... i o zapewnieniach ze strony mężczyzny, że „pierwszy się o tym dowie", jeśli ona zgłosi jego telefon.

Przejęta obrzydzeniem, zatrzasnęła klapkę telefonu i ścisnęła w ręku nóż, bo usłyszała na zewnętrznych schodkach kroki.

Rozdział 13

I będzie czas, i będzie czas, By przygotować twarz Na spotkanie tych twarzy, które ty widujesz; Będzie czas, by zabijać i tworzyć, Czas na działanie i czas rąk, Które nad twoim talerzem unoszą i ronią pytania.

T.S. Eliot

(T.S. Eliot „Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka". T.S. Eliot. Poezje wybrane. Przeł. Władysław Dulęba. Warszawa, Instytut Wydawniczy Pax, 1988.)

6 kwietnia

Kiedy o świcie rozległo się bębnienie do drzwi, Samowi śniło się, że tamci wracają, chcą go aresztować. Java zaczęła szczekać i go przebudziła. Kręciło mu się w głowie od szczegółów związanych z nocnymi poszukiwaniami, od upokorzenia, gdy stał bezradnie i patrzył, jak dwóch pomocników szeryfa przetrząsa jego rzeczy aż do momentu, gdy nagły telefon zmusił ich do przerwania wizyty. Nie słyszał rozmowy, którą prowadzili przez telefon komórkowy, ale na podstawie nielicznych zaobserwowanych detali wywnioskował, że w okolicach jeziora, które znajdowało się bliżej, doszło do zabójstwa.

Modlił się, żeby to nie dotyczyło żadnej z osób, które znał.

Hałas na dole trwał w najlepsze. Java ujadała w pobliżu frontowych drzwi, do których ktoś łomotał. Klnąc na czym świat stoi, Sam wciągnął dżinsy i wziął koszulkę ze sterty czystej, ale jeszcze nieposkładanej bielizny, którą wcześniej cisnął na wiklinowe krzesło obok łóżka.

Kiedy dotarł do frontowych drzwi, przynajmniej miał pewność, że nie zostanie wywleczony z domu półnagi. Spodziewał się ujrzeć surowe miny stróżów prawa, ale kiedy otworzył drzwi, zobaczył Ruby Monroe; wydawała się blada, bardzo wyczerpana i smutna, instynktownie wyciągnął do niej ręce.

- Ruby, wejdź do środka. Proszę. Usiądź, zanim się przewrócisz. - Zapominając o przestrogach swojego adwokata i dawnego partnera, żeby trzymać się od tej sprawy z dala, Sam objął Ruby ramieniem i pomógł jej podejść do sofy.

Zsunęła tenisówki i podciągnęła kolana, prawie jak w pozycji płodowej. Przez duże okno z widokiem na jezioro napływało szare

światło poranka, tak przyćmione, że Sam włączył małą lampkę, żeby lepiej widzieć swojego gościa.

- Ona nie żyje - wykrztusiła Ruby przez łzy. - On... on ją zabił.

Przemknął mu przez głowę obraz: roześmiana Zoe w pogoni za Java, Misty obserwuje ją z olśniewającym uśmiechem, jej włosy połyskują złotem w blasku słońca. Miał wrażenie, że żołądek skręca mu się ze strachu. Osunął się na sofę.

- Nie - wydusił błagalnym tonem przez ściśnięte gardło, widząc przez okno, jak biała czapla sunie w stronę wody. - Zoe?

Pokręciła głową.

- Elysse.

Odruchowo się odsunął. Nie docierało do niego, co przed chwilą powiedziała.

- Elysse?

- Wczoraj wieczorem... wczoraj wieczorem ją znalazłam. Po zmierzchu, w jej domu. To było straszne.

Przypomniał sobie dom Elysse na kanale, w pobliżu głównej części jeziora. Dom, który kojarzył mu się ze śmiechem i dobrymi czasami - a później bardzo niedobrymi czasami, bo Elysse stopniowo zapomniała o jego ostrzeżeniu, że żaden poważniejszy związek go nie interesuje.

- Elysse Steele? To nie może być prawda - powiedział. Elysse miała w sobie tyle życia i energii. Potrafiła czasem zmęczyć, jak te zwariowane dziewczyny, od których mężczyźni wiali, gdzie pieprz rośnie, i była bardzo pamiętliwa, jeśli ktoś ją zranił, ale jednocześnie taka żywiołowa i taka zabawna, i taka ... Do diabła. - Co się stało?

- On... on ją pociął. Zabił ją - bełkotała Ruby. Próbowała coś jeszcze z siebie wydusić, ale nie mogła.

- Kto ją pociął?

Potarła nos drżącymi palcami. Jakby nie usłyszała pytania, ciągnęła:

- Musiałam im powiedzieć, Sam. Przepraszam, ale musiałam. Oni i tak już wiedzieli i zapytali mnie...

- O co?

- Czy byłeś ostatnim mężczyzną, z którym Elysse się spotykała. Poczuł skurcz żołądka.

- Zdaje się, że byłem, tylko że kilka miesięcy temu zakończyłem ten związek. Ale to nie znaczy, że...

- Oczywiście, że nie. - Pochyliła się w jego stronę i spojrzała mu prosto w oczy. - Ponieważ wiem, że to nie byłeś ty.

Otworzył szufladę w stoliku, na którym stała lampa, i wyciągnął paczkę chusteczek. Wyszarpnął kilka i wcisnął Ruby do ręki.

- Dlaczego, Ruby? - zapytał cicho. - Dlaczego miałabyś mi zaufać, skoro policja mi nie ufa? Byli tu zeszłego wieczoru i przeszukiwali dom, kiedy ktoś do nich zadzwonił. Musiało chodzić o Elysse. Czego mi nie mówisz?

Otarła twarz, a potem zgniotła chusteczkę w dłoni.

- Wygląda na to, że mnie też nie ufają. Wofford i policjanci przesłuchiwali mnie przez pół nocy.

- Na pewno nie sądzą, że mogłabyś zrobić krzywdę swojej przyjaciółce. Dlaczego mieliby...

- Nie podejrzewają, że ją zabiłam. Żeby tak zmasakrować ciało, morderca musiał być bardzo silny. Elysse jest... była wyższa i ważyła dużo więcej niż ja. No i była wysportowana, a poza tym ja nie zostawiłam w kuchni tych wielkich krwawych śladów butów.

Sam miał ochotę dowiedzieć się więcej, ale widząc, że Ruby jest na skraju załamania, nie naciskał. Wiadomość o śmierci Elysse wstrząsnęła nim. Nie był pewien, czy zniósłby więcej szczegółów makabrycznej sprawy.

- Skoro wykluczają twój udział w morderstwie, dlaczego uważasz, że ci nie ufają? Jakie mają podejrzenia?

Zaczęła dygotać jeszcze bardziej.

- Nie wiem, co robić, Sam. Dziś rano pojechałam do przyjaciółki Misty, Crystal, ale ona bała się tak bardzo, że nie pozwoliła mi tam zostać. Ma małego synka i... już słyszała o morderstwie. Potem Myrtle Lambert, opiekunka Zoe, powiedziała, że musiałam uwikłać się w coś złego, że kara boska rzadko spotyka kogoś, kto na nią nie zasłużył, a ja... ja na pewno zrobiłam coś strasznego i zasłużyłam...

- Co za głupoty - Jak można powiedzieć coś tak okrutnego, zwłaszcza powołując się na imię litościwego stwórcy. - Przecież to niemożliwe, żebyś...

- On... on poderżnął ... Sam, jej gardło... Prawie odciął jej szyję. Była moją najlepszą przyjaciółką, uwielbiałam Elysse, a on zamordował ją z mojego powodu.

Powiedziała to zduszonym szeptem, była załamana, czuła się winna śmierci Elysse. Do tej pory jakoś się trzymała mimo

wstrząsających wieści o zaginięciu rodziny i mimo tego, że do jej domu wdarł się niebezpieczny intruz. Sam wziął ją w ramiona i przytulił, pozwalał, żeby się wypłakała; walczył z ogarniającym go przerażeniem.

- Ruby - szeptał w jej miękkie włosy blisko skroni. Głaskał ją po plecach okrężnymi ruchami; bardzo starała się panować nad sobą, płakała cicho. Czuł ciepło i bliskość jej ciała, i nienawidził siebie za to. Ostrożnie się odsunął.

- Proszę, Ruby, powiedz mi. Dlaczego obwiniasz siebie? Dlaczego ktokolwiek miałby sobie wyobrażać, że ty ponosisz winę?

Otarła twarz i wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, z których, jak mu się wydawało, wyzierało przerażenie. Podał jej paczkę chusteczek.

- O co chodzi? Odwróciła wzrok.

- Ja... nie powiedziałam o tym szeryfowi. Nie mogłam, ale zaraz po tym, jak znalazłam Elysse, zadzwonił mężczyzna. Ten, który ją zabił. Powiedział, że ma moją rodzinę, powiedział, że chce... pewnej rzeczy, którą przywiozłam z Iraku.

Patrzył na nią ze zdumieniem, a potem zapytał szorstkim tonem:

- W coś ty się wpakowała? - Oprócz tego, że zadajesz się ze mną, dodał w duchu.

Trudno sobie wyobrazić, żeby młoda matka, kobieta, którą zapragnął kiedyś poślubić taki porządny facet jak Aaron Monroe, była zamieszana w przemyt. Nie mógł pogodzić się z myślą, że ryzykowałaby wszystko w zamian za szansę gigantycznego zysku. Uświadomił sobie jednak, że tak naprawdę to wcale jej nie zna, i że pokusa łatwego zarobku potrafi cholernie ogłupić, ulegają jej i mężczyźni, i kobiety. Praca w branży zabezpieczeń komputerowych, gdzie udawało mu się namierzyć wielu oszustów, nauczyła go, że chciwość zaślepia ludzi.

- Kiedy byłam za oceanem, miałam trochę kłopotów - przyznała Ruby. - Byłam kierowcą autobusu. Przewoziłam przedsiębiorców budowlanych z chronionych osiedli na place budów i z powrotem, ale Jake Hennessy, mój bezpośredni przełożony... Co za koszmar. Unikałam go, robiłam, co mogłam, żeby trzymać się od niego z daleka, ale za każdym razem kiedy wjeżdżałam autobusem do bazy, on był na miejscu, przechodził obok mnie, ocierał się o mnie, robił obrzydliwe uwagi, że mój mundur za dużo zakrywa i że on strasznie

by chciał mnie rozebrać. I co by chciał zrobić, i jak by mnie skłonił, żebym też tego chciała. Powiedziałam, żeby dał mi spokój, ale nie przestał mnie molestować.

- Cholerny dupek. - Już tylko wysłuchiwanie tych rzeczy sprawiało, że Sam czuł się jak dupek, bo, kiedy przytulał Ruby, nie mógł nie zwrócić uwagi na jej ponętne kształty.

- Nie przemawia do mnie pomysł skarżenia się szefostwu, wolę załatwiać problemy sama. Ale ten facet stawał się niebezpieczny, czatował pod moją kwaterą, pojawiał się nieoczekiwanie w różnych miejscach, dążąc do tego, żebyśmy byli sam na sam. Zdawałam sobie sprawę, że sytuacja robi się coraz poważniejsza, że molestowanie może przerodzić się w gwałt, jeśli czegoś w tej sprawie nie zrobię, dlatego poszłam do ośrodka dowodzenia firmy i poprosiłam o wyznaczenie spotkania z kimś. Jednak kiedy wyjaśniłam powody, dla których przyszłam, pewna rudowłosa dwudziestoparolatka z Oklahomy, asystentka, która nazywała się Carrie Ann Patterson, spojrzała na mnie nerwowo i szepnęła mi do ucha, żebyśmy spotkały się w damskiej toalecie. Tam poradziła mi, że powinnam rozważyć inne opcje.

- Dlaczego? Wydawałoby się, że kobieta zawsze poprze drugą kobietę w takiej sytuacji.

- Powiedziała, że za dużo już kobiet informujących o molestowaniu, mężczyzn i kobiet, którzy mówili o naruszeniu zasad bezpieczeństwa i higieny pracy, zgłaszali nieprawidłowości. Winni nigdy nie ponosili żadnej odpowiedzialności, ale składający raporty byli przenoszeni na bardziej niebezpieczne tereny. I podejrzanie wielu z nich ginęło. Powiedziała też, że zrobiła listę takich osób. Że dokumentuje to, co się dzieje. Twierdziła, iż prowadzi w tej sprawie prywatne rozmowy z ludźmi w kraju - między innymi z kimś, kto ma powiązania z komisją Kongresu, która przygląda się działalności amerykańskich przedsiębiorców na terenach objętych wojną. Mówiła że nie chciałaby umieszczać mnie na swojej liście, jako jeszcze jeden przypadek niewyjaśnionej śmierci, i że przydałaby jej się moja pomoc.

- No i co odpowiedziałaś? Ruby poczerwieniała.

- Powiedziałam, że jestem tylko kierowcą autobusu, że mam na utrzymaniu rodzinę. Podziękowałam jej za ostrzeżenie, ale nie mogłam się w to zaangażować. Wyszłam stamtąd, oblana zimnym potem. Później rozmawiałam o moim problemie z paroma facetami,

których znałam z bazy, z niektórymi kierowcami i personelem obsługującym tiry. Byli pomocni - dorzuciła ironicznie. - Odbyli pogawędkę z Hennessym, po której problem się skończył. Powiedzieli mu, że jeśli się nie zmieni, to któregoś dnia obudzi się bez tej części ciała, która jest mu niezbędna do dręczenia innych kobiet.

- Dobrze się spisali. Ruby gładziła łeb psa.

- Jeśli to nie byłby zbyt wielki kłopot, bardzo chętnie napiłabym się kawy.

- Oczywiście. Zaraz nastawię czajnik. Za minutę będę z powrotem.

Kiedy wrócił, zobaczył, że Java leży razem z Ruby na sofie, z łbem na jej kolanach. Zmorzył je sen. Sam nie chciał budzić Ruby, dlatego czekał aż do chwili, gdy kawa się zaparzyła.

- Ruby - powiedział w końcu. Trzymając w rękach dwa wielkie kubki, trącił Javę bosą stopą. - No, ruszaj się, ty kłodo. Złaź.

Ruby przebudziła się gwałtownie, a labradorka rzuciła Samowi udręczone spojrzenie i zeskoczyła.

- Nie miałam zamiaru... Ile czasu spałam?

- Raptem parę minut. Potrzebujesz więcej snu. W tej chwili jeszcze jakoś funkcjonujesz tylko dzięki adrenalinie.

Sięgnęła po kubek i objęła go dłońmi.

- I kofeinie. Nie można o tym zapomnieć.

- Czarna jest w porządku? - dopytywał się. - Mam mleko i chyba trochę cukru.

- Tak jest dobrze, dziękuję. - Potrząsnęła głową, jakby chciała zupełnie się ocknąć, i odgarnęła włosy z twarzy. - O czym mówiłam?

- Jak został rozwiązany problem z twoim obleśnym szefem.

- Myślałam, że na tym koniec, ale pewnego dnia spotkałam Carrie Ann. Szła z torbą na ramieniu i wyglądała na bardzo zdenerwowaną i wystraszoną. Mówiła, że miała wracać do domu w następnym tygodniu, ale DeserTek właśnie zmienił jej przydział i będzie musiała pojechać do siedziby firmy w pobliżu jednego z najniebezpieczniejszych miast. Wyruszał tam konwój dostawczy i powiedzieli jej, że musi pojechać z kierowcą, bo inaczej wyrzucą ją z pracy i zostawią na pastwę losu w tym kraju.

- Mogą coś takiego zrobić? Amerykańskiemu obywatelowi?

- Duzi przedsiębiorcy sami stanowią prawo. Normalna ochrona prawna nie ma zastosowania poza krajem.

Westchnęła i spuściła głowę nad parującym kubkiem.

- Ale powinnam była znaleźć jakiś sposób, żeby im uniemożliwić zabranie Carrie Ann. Mogłam ją ukryć w mojej kwaterze i przekupić wścibską współlokatorkę, żeby nie puściła pary z gęby. Wstydzę się do tego przyznać, ale byłam zbyt wystraszona, żeby angażować się, zwłaszcza że Carrie Ann strasznie panikowała. Przyjechali i zgarnęli ją tak cholernie szybko, że nie zdążyłam nawet o tym wszystkim na spokojnie pomyśleć. I to był ostatni raz, kiedy ją widziałam. Kiedy ktokolwiek ją widział, z wyjątkiem powstańców, którzy zastawili pułapkę. Przez dwa dni ją i kierowcę uważano za zaginionych. A potem znaleziono ich ciała, bez głów, były spalone.

- Jak Elysse. - Sama przeszedł zimny dreszcz na myśl o tym, w jaki sposób poderżnięto jej gardło. Została brutalnie zamordowana tylko w jednym celu: żeby zastraszyć Ruby.

- Przed wyjazdem coś ci dała, prawda? - domyślił się Sam. - Przekazała ci jakieś dowody przeciwko nim.

Ruby przytaknęła.

- Wcisnęła mi do ręki flashdrive'a. Nie chciałam go, ale nie było czasu, żeby się z nią spierać. A potem... myślałam, że kiedy przyjadę do domu, po prostu wrzucę go do jakiejś skrzynki pocztowej. Anonimowo. Tylko teraz sytuacja wygląda tak, że jeśli go nie przekażę temu facetowi, ofiarami będą moja córka i moja siostra.

- Nikomu nie mówiłaś?

- Boże, nie. Telefon, który wczoraj odebrałam, pochodził z gabinetu szeryfa.

- Żartujesz.

- Kiedy ten mężczyzna przerwał połączenie, nacisnęłam klawisz „oddzwoń". Chciałam za wszelką cenę go przekonać, że muszę porozmawiać z Zoe. Ale telefon odebrał jakiś policjant i usłyszałam: „Wydział Szeryfa Preston County". Facet, który do mnie dzwonił, ostrzegł, że jeśli komuś powiem, powiadomię policję, on od razu dowie się o tym i zabije moją rodzinę.

- Sprawdziłaś książkę połączeń?

- Tak, jest do wglądu, jeśli ktoś chce zobaczyć. Dzwoniono do mnie z biura szeryfa.

Sam potarł kciukiem kłującą od zarostu szczękę.

- Nie można wykluczyć możliwości, że to była sfingowana rozmowa, Ruby. Są takie usługi internetowe, które pozwalają ci podać

na formularzu czyjś numer oraz numer osoby, do której chcesz się dodzwonić. Potem ta strona ciebie łączy, a fałszywy numer pokazuje się na wyświetlaczu osoby, do której dzwonisz.

- To jest zgodne z prawem? Skinął głową.

- Z tego, co wiem, tak. Niby można w ten sposób robić dowcipy przyjaciołom, ale spece od ściągania haraczów i kombinatorzy też świetnie się na tym znają. I działa to tak, że jeśli naciśniesz klawisz ponownego wybierania, wrócisz do tego fałszywego numeru, a nie do osoby, która naprawdę dzwoniła. Dlatego jest bardzo prawdopodobne, że ten facet nie ma nic wspólnego z policją, tylko po prostu zależy mu, żebyś nie zawiadomiła władz - co zresztą, moim zdaniem, absolutnie powinnaś zrobić. Nie zdołasz załatwić tej sprawy na własną rękę, w żadnym razie.

- Nie rozumiesz. Kiedy przerwał połączenie, oficer Savoy już był w mojej okolicy. Powiedział, że wysłała go sama szeryf i że ktoś zadzwonił pod jej prywatny numer z anonimowym zawiadomieniem o zajściu.

- Szeryf? - Sam przypomniał sobie, co przed laty mówił ojciec - i nieraz do tego wracał - o surowym traktowaniu przez wydział „niepożądanych" - wszystko mogło się zdarzyć, od pobić w środku nocy do podrzucania dowodów i potajemnego wpływania na publiczną obronę w rozprawach, w których wina podejrzanego była traktowana jako coś oczywistego. Ale chociaż Sam żywił nieufność do stróżów prawa i szczerze nie cierpiał indagowania ze strony Justine Wofford, trudno uwierzyć, żeby niepopularna wśród swoich ludzi outsiderka miała coś wspólnego ze spiskiem, którego częścią było morderstwo i uprowadzenie. Szczególnie trudno sobie wyobrazić, że wybrałaby współpracę z Rogerem Savoyem, człowiekiem, którego odrażająca taktyka wyborcza sprawiła, iż wiele osób zaczęło sympatyzować z wdową po byłym szeryfie.

- Nie masz pojęcia, jaka suma wchodzi w grę - powiedziała Ruby. - DeserTek bierze udział w przetargu na nowy, niezwykle intratny kontrakt rządowy - w grę wchodzą setki milionów. Nie twierdzę, że to akurat musi być ona, ale można kupić każdą liczbę szeryfów z pipidówek za ułamek tej kwoty.

Sam pomyślał o brylantach błyszczących w uszach i na palcu Wofford, o jej eleganckich, na pewno drogich strojach i o tym, jak bardzo była zakłopotana fatalnym stanem swojego służbowego wozu.

Przypomniał sobie również przebijający z jej słów żal, kiedy mówiła o dziecku potrąconym przez kierowcę, który zbiegł z miejsca wypadku. Czy Wofford naprawdę mogłaby być zamieszana w coś, co narażałoby na szwank zdrowie i życie małej dziewczynki?

- Można też przekupić innych policjantów albo federalnych i kogo tam jeszcze - zauważyła Ruby. - A ponieważ wszystkie agencje zaangażowane w śledztwo koordynują swoje wysiłki za pośrednictwem tego biura, nie mogę podejmować żadnego ryzyka. I nie podejmę go.

- A więc zamierzasz przekazać tego flashdrive'a? - Sam pomyślał, że Ruby może zostać zamordowana. Miał siedzieć bezczynnie? Chronić własny tyłek, podczas gdy ten łajdak będzie wyrzynał niewinnych ludzi?

Ruby pociągnęła nosem.

- Dałabym mu go już ze sto razy, ale... - Strach trzymał ją za gardło.

Walczył z pragnieniem, żeby wziąć ją w ramiona, poprosić, by dzieliła się z nim swoimi problemami.

Kiedy znów na niego spojrzała, jej oczy wydawały się jeszcze bardziej niebieskie w zestawieniu z zaczerwienionymi rogówkami.

- Nie mam tego flashdrive'a, Sam. I nie mogę go odzyskać. Opowiedziała mu o przepychance na lotnisku, o kradzieży plecaka, która wydawała się przypadkowa, ale skłaniała Sama do wyciągnięcia innego wniosku... Może ktoś inny niż DeserTek był skłonny uciec się do desperackich kroków, żeby zdobyć te pliki.

Rozdział 14

Podejmowaliśmy ryzyko, zdawaliśmy sobie z tego sprawę; wszystko się przeciw nam sprzysięgało, i dlatego nie mamy powodu, by się skarżyć. Możemy tylko pokłonić się woli opatrzności, wciąż pełni determinacji, by starać się ze wszystkich sił do samego końca.

Badacz Robert Falcon Scott, Z listu napisanego niedługo przed śmiercią podczas wyprawy na biegun południowy

Czując smak krwi, Ruby uświadomiła sobie, że przygryzła wargę. Zastanawiała się, czy właśnie popełniła największy błąd w swoim życiu. Pora była nieodpowiednia na podejmowanie tak ważnej decyzji, a szok i wyczerpanie bardzo źle wpływały na myślenie, zaś smutek i poczucie winy uniemożliwiały trzeźwą ocenę sytuacji.

- Nie daliby ci przeżyć. - Sam patrzył jej w oczy, patrzył na nią samą. - Nawet gdybyś miała tego drive'a i dała im go, i tak musieliby cię zabić, żeby zlikwidować świadka. Przecież na tym to wszystko polega, prawda? Zamierzają cię izolować wystarczająco długo, by zamknąć ci usta na zawsze.

Ruby odstawiła kubek z kawą i sięgnęła do torebki na podłodze. Wyciągnęła rewolwer.

- To się nie uda, jeśli dorwę go pierwsza. - Już samo trzymanie broni zapewniło jej przypływ energii, stało się lekarstwem na poczucie bezsilności. Była przerażona, bała się działać, ale czy bierna postawa kiedykolwiek przyniosła jej coś dobrego?

- Hej, uważaj! - zawołał Sam, podnosząc dłoń. - Może byś tak wycelowała w inną stronę, co?

Ruby opuściła rewolwer zakończony zadartą lufą, rumieniąc się ze wstydu. Jej ojciec, zapalony sportowiec, który uczył ją, jak bezpiecznie posługiwać się bronią, zapewne przewracał się w grobie.

- Przepraszam.

Sam pochylił się, żeby lepiej przyjrzeć się broni.

- Wygląda jak coś, co Humphrey Bogart nosiłby w starym, czarno - białym filmie. Co ty zrobiłaś? - zagadnął. - Buchnęłaś go z jakiegoś muzeum?

Ruby zdobyła się na słaby uśmiech.

- Nie martw się. Potrafi kogoś przedziurawić.

- Właśnie to mnie zaniepokoiło - burknął Sam. Ignorując jego uwagę, Ruby argumentowała:

- Pani Lambert powiedziała, że jej mąż bardzo o niego dbał. - Nie chciała dodawać, że ten człowiek zmarł piętnaście lat temu, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ojciec Ruby miał ostatni zawał, i właśnie wtedy matka zaczęła coraz więcej pić.

- Pani Lambert? Ta kobieta, która uważała, że Bóg jest na ciebie wkurzony?

- Wygląda na to, że postanowiła zmienić zdanie, na wypadek gdyby Najwyższy opowiedział się po mojej stronie. Albo była zadowolona, że może udzielić pomocy w taki sposób, żebym nie ściągnęła kłopotów na jej dom. - Ruby się skrzywiła. - Za to akurat nie mogę mieć do niej żalu, ani do Crystal. Tak się składa, że nie jestem najbezpieczniejszą towarzyszką.

- Próbujesz mnie odstraszyć? Wytrzymywała jego spojrzenie przez chwilę.

- Nie wyglądasz mi na strachliwego.

- Och, potrafię się wystraszyć, Ruby. Teraz boję się o ciebie i o twoją rodzinę. Boję się, że wszystkie skończycie martwe, jeśli choć przez chwilę będziesz myśleć, że pójdziesz prosto w zasadzkę i rzucisz się na zawodowca, albo całą zgraję zawodowców - kto wie, ilu ich jest - wywijając tym antykiem, który trzymasz w ręku. I obawiam się, że to ja będę tą osobą, która poniesie konsekwencje, kiedy już będzie po wszystkim.

Ruby wstrzymała oddech, zastanawiała się, czy źle go osądziła, czy Sam po prostu powie jej, żeby wyniosła się z jego życia. Ale zanim zdążył powiedzieć coś więcej, pies nadstawił uszu i zawarczał, bo na ulicy ktoś trzasnął drzwiami samochodu.

- Cholera - mruknął Sam. - Jeżeli to jest ktoś z biura szeryfa, będą mieć więcej pytań, kiedy zobaczą nas razem.

Ale Ruby już podeszła do frontowych drzwi i zerkała przez prześwitującą osłonę.

- Zakładając, że policjanci nie chadzają teraz przebrani w żółte kurtki kurierów DHL, powiedziałabym, że masz przesyłkę.

Kiedy znów na niego spojrzała, wciąż sprawiał wrażenie zmartwionego, ale przynajmniej nie wyrzucił jej tak jak Crystal czy pani Lambert. A przynajmniej jeszcze jej nie wyrzucił.

- Kiedy będziesz odbierać przesyłkę, ja chyba wypiję jeszcze jedną kawę, chcesz dolewki?

Pokręcił głową, a ona wzięła kubek, torebkę i się ulotniła. Pchnęła obrotowe drzwi i znalazła się w staroświeckiej, ale czystej kuchni.

Wiedziała, że Sam ma rację: śledczy zapewne potraktowaliby podejrzliwie jej wizytę w tym domu. Zwłaszcza pani szeryf, która nie tylko zakłada, że Sam jest jakoś w to wszystko zamieszany, ale jeszcze przypuściła atak na Ruby, kiedy przesłuchiwała ją zeszłej nocy.

- Nie mówi mi pani wszystkiego - stwierdziła Wofford, z miną jak burza gradowa; stanęła nad Ruby. - I dopóki pani będzie tak postępować, jest bardzo prawdopodobne, że nie odnajdziemy pani rodziny - a w każdym razie nieprędko. Poza tym oficer Balderach i pani przyjaciółka Elysse również nie doczekają się sprawiedliwości. Chce pani ich mieć na sumieniu, pani Monroe? Będzie pani mogła z tym żyć?

Ruby już chciała mówić, ale coś - może surowe spojrzenie niemal czarnych oczu - ostrzegało ją, że Wofford cały czas ją testuje, że zaraz zadzwoni do mężczyzny przetrzymującego jej rodzinę. Dlatego Ruby zaklinała się, że powiedziała wszystko, co wie. Pani szeryf dała za wygraną i, jak twierdziła, postanowiła skoncentrować się na próbach odnalezienia przyrodniego brata Elysse.

Nalała sobie drugą filiżankę kawy z napełnionego do połowy czajniczka na palniku, ale tym razem wzięła trochę cukru z cukiernicy, którą znalazła w szafce pomalowanej na biało. Usłyszała, że frontowe drzwi się zamykają.

Kilka chwil później do kuchni zajrzał Sam.

- Czysto na horyzoncie, jeśli chcesz... znów się pokazać. - Jego uwagę pochłaniała przesyłka wielkości pudełka od butów. Trzymał ją w rękach i wpatrywał się w nalepkę z informacjami.

- Nie pamiętasz, co zamówiłeś? - zagadnęła.

- Nie przypominam sobie, żebym coś ostatnio zamawiał, i nie rozpoznaję tego adresu. - Pokręcił głową i postawił paczkę na ladzie. - To chyba coś z tych wędkarskich gadżetów, które firmy od czasu do czasu mi przysyłają. Przyjrzę się temu później. Teraz zrobię nam śniadanie.

- Śniadanie? - Powtórzyła z niedowierzaniem. - Myślałam... myślałam, że martwisz się, że ktoś mnie tutaj zobaczy.

Spojrzał na nią.

- W tej chwili martwię się tym, że zaraz zemdlejesz, Ruby. Lepiej usiądź, bo się przewrócisz.

- Ale ja nie jestem... Nawet nie byłabym w stanie... Poklepał taboret stojący przy ladzie.

- Chodź tu. Możemy rozmawiać, kiedy będę przyrządzać jedzenie. Nie wymyślimy porządnego planu, mając puste żołądki.

Cały czas myślała, że on będzie dbać tylko o swoje interesy; zaskoczył ją, nawet nie wiedziała, jak potraktować zwyczajną życzliwość, którą wyczuwała w głosie Sama.

Kiedy podszedł do lodówki, w milczeniu usiadła na z barowym stołku i patrzyła, jak Sam wyjmuje wytłoczkę z jajkami., z szafki wyciągnął salaterkę w paski i wbijał jajka do naczynia. Jakby to był najzwyklejszy w świecie poranek. Jakby Elysse nie została zamordowana, a córka i siostra Ruby nie były zakładniczkami.

- Ja... jest mi niedobrze - wydusiła z trudem, bo zaczęło jej się robić ciemno przed oczami.

- Odwróć się ode mnie - poradził. - Wyjrzyj przez okno i zacznij mówić. Opowiedz jeszcze raz, co się zdarzyło zeszłej nocy. Opowiedz mi o wszystkim, co zapamiętałaś.

Obróciła się na taborecie i zobaczyła okno nad zlewem. W tej części domu miała widok na trawnik i gęste korony drzew, które stały między ich działkami od dziesiątek lat. Muskana pierwszymi promieniami słońca wilgotna trawa intensywnie połyskiwała, a pulchne czarne ptaki zawzięcie wydziobywały jej korzonki. Napełniając płuca świeżym powietrzem, syciła oczy wilgotną zielenią, zmuszała się do zapełnienia pustki, jaką zostawiły w niej wysuszone brązy i beże odległego, pustynnego kraju.

Jednak kiedy kolejny raz opowiadała swoją historię, uświadamiała sobie, że jest zupełnie wyprana z emocji. Zaczęła opowieść od silnika motorówki na jałowym biegu i rozżarzonego papierosa w ciemności, a skończyła na przybyciu oficera Savoya. Podczas gdy Sam gotował - zapachy i dźwięki o tym świadczące docierały do niej jak przez mgłę - ona cały czas mówiła, mając wrażenie, że jej nękana strachem dusza odpada płatami jak spieczona opalaniem skóra, odsłaniając czerwone ciało.

Trawa i drzewa na zewnątrz zaczęły mącić jej wizję, aż w końcu uświadomiła sobie ciepło i ciężar jego ręki, spoczywającej gdzieś między szyją i ramieniem. Kiedy spojrzała na Sama, gwałtownie się

odsunął - zaskoczenie widoczne na twarzy w mgnieniu oka ustąpiło miejsca konsternacji.

Było oczywiste, że nie zamierzał jej dotknąć. Karmił ją w taki sam sposób, w jaki człowiek rzucałby ochłapy głodującemu przybłędzie, lecz gdy w grę wchodził kontakt bardziej osobistej natury... dostrzegała w jego złocistobrązowych oczach wahanie. I wcale nie miała mu tego za złe.

Odwrócił się od niej i wkładał kromki chleba do tostera.

- Powiedziałaś, że on nie pozwolił ci porozmawiać z żadną z nich?

- Nie pozwolił. Zastanawiałam się nad tym; może kiedy dzwonił, Misty i Zoe nie było przy nim; musiał je gdzieś zostawić. Skrępował je albo zamknął na klucz w jakimś miejscu, albo... - Albo zabił, pomyślała. Sam wyjął z szafki dwa talerze.

- A jeśli on ich nie ma? Może w ogóle ich nie przetrzymywał?

Już otwierała usta, żeby się nie zgodzić, ale powstrzymała ją logiczność jego sugestii. Pocierając zmęczone oczy, oswajała się z tą myślą.

- Wydaje mi się... Przypuszczam, że to jest możliwe. Odkąd znalazłam Elysse i odebrałam telefon od niego, nie jestem w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym, co on zrobi mojemu dziecku i mojej siostrze, jeżeli dowie się, że straciłam tego flashdrive'a.

- Jeśli... - to bardzo ryzykowna hipoteza, ale wysłuchaj mnie cierpliwie - jeśli to połączenie telefoniczne nie było sfingowane i twój rozmówca naprawdę w jakiś sposób jest powiązany z instytucjami porządku publicznego? Jeżeli, znając szczegóły zniknięcia twojej rodziny, postanowił wykorzystać tę sytuację - udawać, że przetrzymuje twoją rodzinę, żeby cię zmusić do oddania dowodu?

- I dlatego zamordował Elysse w ten sposób? Po co? Żeby przekonać mnie, że to wszystko ma związek z DeserTek?

Smarując grzankę, Sam skinął głową.

- Właśnie po to, i chce ciebie tak zastraszyć, żebyś ślepo go słuchała i wykonywała jego polecenia. Chce cię wytrącić z równowagi, żebyś nie była w stanie rozważyć innych możliwości. Na przykład, dlaczego handlarze narkotyków postanowili zrobić sobie laboratorium w twoim domu.

Ruby westchnęła i odstawiła kubek.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, co DeserTek mogłaby mieć z tym wspólnego. I dlaczego moja siostra miałaby opróżnić nasze konta w banku.

Podczas gdy Ruby tłumaczyła, co powiedziała jej o tym Wofford, Sam za pomocą drewnianej łopatki przełożył smażone jajka na talerze i zmienił temat.

- Chcesz jeść przy ladzie, czy przy stole?

- Sam. Mówiłam ci, że nic nie przełknę...

- Daj spokój, Ruby. Prosisz mnie, żebym naruszył warunki mojego zwolnienia warunkowego. Ja tylko proszę cię, żebyś zjadła.

Pokręciła głową.

- Co? Przecież nie proszę cię, żebyś ...

Postawił jej talerz na ladzie, a obok niego swój wyciągnął z szuflady widelce i papierowe serwetki.

- Może nie wyraziłaś tego dokładnie w taki sposób, ale przyszłaś tu, szukając pomocy, prawda? Do faceta, który zna się na obsłudze komputerów, a nie giwer. Jak zawsze... nie ten McCoy, co trzeba. A może chodziło ci o moje kryminalne doświadczenie?

Cynizm w jego głosie rozzłościł Ruby. Czy Sam, który parę chwil wcześniej był tak bardzo współczujący, teraz wycofał się, próbował zdystansować od kłopotliwych emocji? A może po prostu ujawniała się jego paskudna natura?

- Co za bzdury - warknęła. - Przyszłam, żeby ci powiedzieć o Elysse i ostrzec, że Wofford ma cię na celowniku, ot i wszystko. - Rzuciła mu gniewne spojrzenie, ale jednocześnie uświadomiła sobie, że, być może, przynajmniej do pewnego stopnia, miał rację. Modliła się o cud i może, przynajmniej podświadomie, liczyła na to, że dzięki znajomości technologii Sam będzie w stanie wyszukać jakiś istotny detal czy wskazówkę.

Nie przyznała się do tych myśli; zaczęła kroić jajko brzegiem widelca, ugryzła malutki kawałek. Sam też zajął się jedzeniem.

- Nie martw się - zapewnił ją między jednym kęsem a drugim. - Chcę ci pomóc. Ale tylko dlatego, że jestem osobiście zainteresowany odnalezieniem twojej rodziny. Nie mam zamiaru dać się wrobić w tę historię.

- W porządku, Sam. - Przełknęła jeszcze jeden kęs, nie dlatego, że on jej tak kazał jeść, ale dlatego, że musiała być silna. Musiała mieć w sobie dość siły, by zaufać mężczyźnie, któremu nie powinna była ufać

ani trochę. - Przyjmę od ciebie każdą pomoc, bez względu na to, jakie możesz mieć powody. Nawet jeśli będzie udzielana niechętnie, z zastrzeżeniami. Bo stawką w tej grze jest dla mnie coś więcej niż tylko „własny interes". Nie mam nic do stracenia.

Wszystko się rozpada

Znowu płakała. Zoe. Tym razem głośniej, przedzierając się przez zamazane sny. Odrętwiałe sny, w których Misty wciąż pamiętała, jak się uśmiechnąć. W których nie schrzaniła nic tak strasznie, że...

Głos dziecka brzmiał świergotliwie jak u ptaka. Zapewne narzekała, że ogląda tę samą płytę DVD z Jasmine i Aladynem, filmowymi towarzyszami, którzy już dawno jej się znudzili. Prawdopodobnie źle się miała, chorowała, żywiona płatkami zbożowymi i wodą, i doświadczała przerażającej, wymuszonej izolacji.

Misty przebudziła się, dygocząc. Poczucie winy dodało jej sił i była w stanie zwalczyć efekt narkotyku. Mrugała w świetle żarówki i rozglądała się po pokoju. Chciała się przekonać, czy ktoś siedzi w kuchni albo nieprzytomny na kanapie.

Nie zauważyła nikogo, ale bynajmniej nie zakładała, że jego tu nie ma. Być może spał w drugiej sypialni i, jak zwykle, zostawił włączone radio, a dochodzący z odbiornika stłumiony szmer męskich głosów tworzył podkład jej snów.

Przez chwilę wstrzymywała oddech na myśl o tym, co zaszło tu ostatnim razem, kiedy został obudzony, kiedy rozwścieczony wybiegł z tamtego pokoju...

- Proszę, ciociu Misty. Proszę, odezwij się do mnie. - Głos Zoe brzmiał histerycznie.

Strach pomógł Misty przezwyciężyć inercję.

- Wszystko w porządku, kochanie - odparła chrapliwym głosem; gardło miała tak obolałe, że każde słowo przyprawiało ją o męczarnię. - Jestem tu. Już nie śpię.

- Mogę teraz wyjść? Mogę? Muszę iść siusiu, a to wiadro strasznie śmierdzi i...

- Mów cicho, Zoe. - Misty zerknęła za siebie, w stronę drugiej sypialni. - Jeśli on usłyszy...

- Ten różowy telefon nie działa. - Zoe sprawiała teraz wrażenie rozzłoszczonej. - Naciskałam numery tak, jak mnie uczyłaś, ale nikt nie przyszedł mi z pomocą.

Misty zamrugała. Serce waliło jej jak młotem, kiedy usiłowała sobie przypomnieć, czy wrzuciła swój telefon komórkowy na dno plecaka Zoe. Ale te ostatnie minuty w domu były tak chaotyczne, przerażające, nawet nie pamiętała, czy to zrobiła - ani czy udało jej się zapłacić zaległy rachunek telefoniczny, a tym bardziej czy naładowała komórkę.

Ale jedno nie ulegało wątpliwości. On wpadłby w szał, gdyby usłyszał, że dziecko ma telefon. A Zoe, jak każdy przeklęty czterolatek na tej planecie, nie potrafiła mówić ściszonym głosem.

Misty zdobyła się na ochrypły szept.

- Musisz go ukryć. Musisz go ukryć szybko, bo inaczej on się wścieknie.

- Mam to w nosie! Chcę stąd iść i chcę mamusi, i moje kotki, i... - Zbuntowany głosik załamał się, przeszedł w żałosny płacz.

W tym momencie Misty usłyszała ciężkie kroki na frontowym ganku. Ktoś szybko zmierzał w stronę drzwi.

Rozdział 15

To jest ta sama rzecz: zabijanie, umieranie, to jest to sama rzecz: w każdej z nich jest się tak samo samotnym.

Jean - Paul Sartre

(Jean - Paul Sartre Brudne ręce, akt V, scena 2)

Sam miał mieszane uczucia, obserwując Ruby, która odjeżdżała białą corollą. Szeryf Wofford pozwoliła jej korzystać z samochodu do czasu, gdy będzie możliwe skontaktowanie się z przyrodnim bratem Elysse, przebywającym w jednym z irakijskich osiedli DeserTek. Każdy ruch Ruby zdradzał ogromne wyczerpanie i Sam pomyślał, że powinienem był ją namówić, żeby została i odpoczęła, w żadnym razie nie należało jej wypuszczać w takim stanie.

Ale odczuwał również zadowolenie, słysząc, jak Ruby argumentuje, że nie ma czasu do stracenia. Po pierwsze, zgadzał się z nią; po drugie, musiał planować swoje poczynania starannie, ale ilekroć dostrzegał smutek w jej oczach, przestawał myśleć logicznie.

Niemal tyle samo bólu sprawiało myślenie o jej córce - córce Aarona. Zapewne była wystraszona albo ranna, albo związana, a może nawet martwa, i Misty też. Bardzo przeżył śmierć Elysse. Nie mógł też znieść tego, że okłamywał Ruby, kiedy powiedział, że pomaga jej tylko ze względu na siebie. Stojąc przy oknie, mówił sobie w duchu, że jest dorosłym mężczyzną, że już dawno minęły czasy, kiedy był tylko jeszcze jednym cholernym przybranym dzieciakiem z nosem przyciśniętym do szyby. Zawsze zaglądał do środka, ale tak naprawdę nigdy nigdzie nie pasował, zawsze tęsknił za miłością, za cholernym zaufaniem, które Aaron Monroe zawłaszczył jako należne pierworodnemu synowi.

Sukinsyn. Czy to mogło być prawdą? Czyżby jego niedawne kłopoty z wymiarem sprawiedliwości sprawiły, że wrócił do przeszłości, cofnął się do miejsca, w którym pożądał tej kobiety i dziecka tylko dlatego, że należały do „brata", który go zdradził?

- Co za głupota! - Wybuch złości przestraszył sunię, podwinęła ogon i wymknęła się do kuchni.

- Och, daj spokój, chodź tu, Java. Wszystko w porządku, mała. - Poszedł za suczką, która znalazła sposób, żeby ukoić swoje zranione uczucia. Oparła się przednimi łapami o ladę i węszyła w poszukiwaniu smakołyków.

- Złaź stamtąd. Nie wolno. - Chwycił Javę za obrożę i odsunął jej pysk od kawałka grzanki, zostawionego na talerzu. Zanim zdołał odciągnąć ją od przekąski, jęzor wystrzelił, szybko jak u żaby, chwyciła i połknęła chleb, nawet go nie przeżuwając. Jednak robiła postępy: tym razem przynajmniej było to prawdziwe jedzenie, bo dwa tygodnie temu wypatroszyła poduszkę na sofie i z przyczyn dla niego niepojętych połknęła jego zegarek. Okazało się, że zazwyczaj wytrzymały zegarek odmówił posłuszeństwa.

Zaspokoiwszy swoje pragnienie, Java przysiadła na zadzie i przechylała łeb, zerkając na wciąż nierozpakowaną paczkę. W obawie, że może być jeszcze głodna i spróbuje ją nadgryźć, Sam stanął tak, żeby nie miała do niej dostępu, a potem odwrócił się i spojrzał na przesyłkę.

Pudełko dzwoniło. Przytłumiony dźwięk stawał się coraz głośniejszy. Być może Sam mylił się, ale to chyba był telefon komórkowy. Kto i po co miałby mu przesłać coś takiego, i w ogóle komu przyszedłby do głowy pomysł wysłania pocztą uruchomionej komórki?

Chwycił nóż i rozciął opakowanie, ale wstrzymał się, zastanawiając się, czy to nie pułapka. A jeśli ktoś, na przykład faceci z Agencji Zwalczania Narkotyków, którzy tu byli, chcieli, żeby złamał zasady warunkowego zwolnienia? Może świadomie wepchnęli mu do rąk zakazany przedmiot i zaraz znów się zjawią - oni albo może Wofford i jej ludzie - z kolejnym nakazem rewizji?

Doszedł do wniosku, że głupio byłoby zamartwiać się taką ewentualnością, skoro już i tak dał Ruby gotówkę na zakup laptopa. Poza tym, gdyby władze chciały go wrobić, mogłyby tego dokonać na tysiąc sposobów, od podłożenia narkotyków do spreparowania „dziennika".

Kiedy wyciągnął z opakowania telefon komórkowy - tani model do jednorazowego użytku - przestał już dzwonić. Uważnie go obejrzał, ale kiedy popatrzył na „Nieodebrane połączenia", wyświetliły się tylko dwa - oba zaklasyfikowane jako niedostępne.

Sprawdził opakowanie w nadziei, że znajdzie jakiś list z wyjaśnieniem albo może fakturę. Zamiast tego usłyszał lekkie stukanie czegoś plastikowego o ladę. Java machała ogonem, próbując przyłączyć się do oględzin, ale Sam odsunął jej łeb i wyciągnął cienki czarny przedmiot. Nie miał nawet dziesięciu centymetrów długości,

był zaopatrzony w malutkie, błyskające zielone światło i małą zewnętrzną antenkę: to musiał być GPS. Dzięki temu urządzeniu ktoś mógł zdalnie sprawdzić, czy i kiedy przesyłka dotarła do adresata.

Telefon znów zaczął dzwonić. Tym razem Sam odebrał, ciekawość wzięła górę nad ostrożnością.

- McCoy.

- No, wreszcie, cholera jasna - odpowiedział schrypnięty kobiecy głos.

- Sybil? - Uśmiechnął się od ucha do ucha i podziękował Bogu za swojego dawnego partnera; Luke, jak widać, postanowił zaryzykować i wezwał na pomoc swoją „wspólniczkę". Sam nigdy nie poznał osobiście hakera, który mu pomógł w czasach, gdy „pozaprawne" metody dawały jedyną możliwość chronienia interesów klientów. Było bardzo prawdopodobne, że Luke - twierdził, że zna tę kobietę od lat - również nigdy jej nie spotkał, gdyż „Sybil" była znana nie tylko z ryzykownych przedsięwzięć, ale i z tego, że unikała bezpośrednich kontaktów.

Jednak kontakt elektroniczny traktowała inaczej, pod warunkiem że klient został przez kogoś polecony i chciał przestrzegać wymaganych przez nią środków ostrożności. I pod warunkiem że honorarium dla niej zostało przelane na konto w jakimś raju podatkowym, gdzie nie sposób do niego dotrzeć.

- A więc co mogę dla ciebie zrobić? - zapytała, a w jej głosie, jak zwykle, wyczuwało się zniecierpliwienie. Prawdopodobnie drażniło ją, że Luke zadzwonił z prośbą o osobistą przysługę i oderwał ją od jakiejś lukratywnej przewałki, którą właśnie przygotowywała.

Jej nastrój zmienił się, kiedy Sam wyjaśnił swoją sytuację, biorąc pod uwagę te elementy, które mogła zinterpretować dzięki bogatej wiedzy - jak również jej całkowity brak zainteresowania niuansami prawnymi.

- No, to ujmijmy rzecz wprost - wychrypiała. - Masz przedsiębiorcę budowlanego bandytę, który nie powstrzyma się przed niczym, żeby odzyskać swoją własność, nie masz tego czegoś, co ma być oddane, a w sprawę są zamieszani handlarze narkotyków, Agencja Zwalczania Narkotyków, biuro do spraw alkoholu, tytoniu, broni palnej oraz materiałów wybuchowych, i jeszcze miejscowa policja ...

- W grę wchodzi również FBI, zważywszy, że zaginęło dziecko.

- FBI... - powtórzyła.

Nagle Sam przypomniał sobie, co łączyło Sybil z Biurem: kiepskiej jakości zdjęcie, które potwierdzało jej główną rolę w pewnej historii i liczne związane z nią domysły, przedstawione w odcinku serialu o najbardziej poszukiwanych przestępcach w USA, America's Most Wanted. Słyszał, że od tamtego czasu stała się bardziej dyskretna i wręcz popadła w paranoję. Czyżby kompletnie zawalił sprawę i odstraszył Sybil, przypominając jej o zagrożeniu?

Ale ona wybuchnęła śmiechem, którego dźwięk kojarzył się ze szklanymi odłamkami błyszczącymi w świetle słońca.

- Już mi się to strasznie podoba.

Miał nadzieję, że to znaczy, iż cieszy ją sposobność zagrania na nosie przeciwnikom z rządowej agencji, a nie że właśnie wymyśliła sposób, w jaki sprzeda jego i Ruby władzom lub - co gorsza - firmie, której kieszenie były tak głębokie, jak płytka była jej moralność.

Albowiem bez względu na to, jakie zobowiązania miała tajemnicza Sybil wobec Luke'a Maddoksa, Sam zawsze podejrzewał, że poczuwała się do lojalności przede wszystkim, wobec samej siebie i swojego zamorskiego konta.

Bywają takie chwile, gdy nawet kofeina nie wystarcza. Ruby osiągnęła ten stan, kiedy znalazła się jakieś pięćdziesiąt kilometrów na północ od Dogwood; zjechała samochodem na żwirowe pobocze i dopiero wówczas oprzytomniała.

Krzyknęła i zaczęła manewrować samochodem, żeby nie wjechać w rów melioracyjny obok drogi wysadzanej drzewami. Przez chwilę nie mogła zorientować się, gdzie jest, nie miała pojęcia, kto posadził gęsty zielony las w samym środku irakijskiej pustyni.

Czując, jak wali jej serce, zwolniła, a następnie zatrzymała wóz przy pasie trawy tuż za poboczem. Na dwupasmowej drodze zatrąbił kierowca samochodu dostawczego, jakby chciał ją napomnieć, ale pojechał dalej, podczas gdy inni uczestnicy ruchu po prostu ją zignorowali.

Zdjęła dłonie z kierownicy i uderzyła się po policzkach, żeby oprzytomnieć, jakby nie wystarczał jej świeży przypływ adrenaliny. Kilkaset metrów dalej zauważyła znak od dawno zamkniętej firmy handlującej drewnem. Znajomy punkt świadczył o tym, że przejechała już ponad połowę drogi do miejsca przeznaczenia, miasta liczącego pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Mimo że obawiała się, iż kidnaper może w każdej chwili do niej zadzwonić, zgodziła się z Samem, że

zakup za gotówkę przyciągnie mniej uwagi w miejscowości liczącej więcej mieszkańców niż Dogwood.

Przyciągnie mniej uwagi, jeśli ona sama po drodze nie da się zabić. Żeby całkiem rozbudzić się, krążyła wokół zaparkowanego samochodu, popijając colę z puszki, którą dał jej przed wyjazdem Sam.

No, dalej, Ruby, poradzisz sobie. Nie robisz tego dla Sama, i nie dla siebie. Dla nich. - Chociaż czuła, że jest na skraju wytrzymałości nerwowej, nie była w stanie wypowiedzieć imion swoich zaginionych bliskich. Za to mogła z powrotem wsiąść do samochodu i to właśnie zrobiła, po czym włączyła jeden z kompaktów Elysse z dawnymi przebojami rockowymi. Chociaż próbowała skupić się na rytmie, a nie na dramatycznie wyśpiewywanym przez Pat Benatar tekście piosenki, przesłanie Love Is a Battlefield i tak przedarło się do jej świadomości, sprawiając, że pogrążyła się w łzach, zanim jeszcze dojechała do miejsca, w którym miała się znaleźć.

- Jeśli ktoś będzie pytać, nie masz pojęcia, dokąd pojechałem. - Sam instruował Pauliego Hammetta, który stał przed wejściem dostawczym do restauracji, trzymając w ręku pęk kluczy. Wcześniej Sam poprosił o ich pożyczenie. - Prawdopodobnie jestem na całonocnej wycieczce wędkarskiej ze starym klientem. Może być?

Zamiast rzucić klucze na wyciągniętą rękę Sama, Hammett ściągnął czapkę z głowy i podrapał zakrytą siwymi włosami bliznę.

- Muszę ci powiedzieć, Sam, że nie chcę mieć w związku z tym żadnych kłopotów. Anna nie pójdzie na taki układ.

- Jakiś czas temu pożyczyłeś mi klucze od domku - improwizował Sam, wiedząc, że musi przede wszystkim zwalczyć opór Pauliego, a nie jego żony. - Widocznie dorobiłem je bez pozwolenia. Właśnie takie wytłumaczenie podasz, jeśli kiedykolwiek zostaniesz o to zapytany.

Paulie wahał się i kręcił głową.

- Zbyt dużo pracy włożyłem w ten cholerny interes. Jeśli ludzie zaczną myśleć, że jestem w jakiś sposób zamieszany w sprawę...

- Dlaczego ktokolwiek miałby tak pomyśleć?

Hammett potarł bokobrody.

- No cóż, pożarliśmy się z Misty naprawdę ostro, na oczach personelu, klientów i Bóg wie jeszcze kogo, w dniu, w którym ona się zwolniła. No i jeszcze trzeba dodać, że jestem starym grubym facetem

z pieniędzmi, a ludzie plotkowali, że Misty prawdopodobnie spodziewa się dziecka.

- Twierdzisz, że Misty jest w ciąży? - Sam przeczuwał, że Ruby nic o tym nie wie.

Paulie pomasował kark.

- Skąd miałbym wiedzieć, u diabła? Nawet jeśli to prawda, nie mam pojęcia, kto był sprawcą. Wiem tylko o plotkach - nic nie jest w stanie ich powstrzymać. Ani pieniądze, ani wpływy, ani to, że jestem wierny mojej żonie od czasów licealnych, kiedy zabujałem się w dziewczynie na amen. A teraz muszę martwić się, że jakaś kelnerka się wkurzyła, może nawet specjalnie rzuciła robotę w taki sposób, żeby mi zaleźć za skórę.

- Daj spokój, Paulie. Wszyscy wiedzą, że była narwana a poza tym nikt by nie uwierzył, że ty i Misty.

- Dzięki, palancie. Twoje słowa bardzo mi poprawiły samopoczucie.

- Ponieważ jesteś człowiekiem honoru. Tylko to chciałem powiedzieć. A gdyby Anna dowiedziała się, że posuwasz kogoś z personelu... - Sam ułożył palce, jakby coś nimi ciął - ... powiem tylko, że specjalnością dnia byłyby wtedy Mopsiki.

- O, tak, jestem pewien, że właśnie to miałeś na myśli. - Paulie popatrzył na niego spode łba. - Ale dlaczego przesiaduję tu i sprzeczam się z kimś, kim interesuje się dziewięć instytucji związanych z pilnowaniem porządku? Może ty mi to powiesz?

Sam się skrzywił.

- Co słyszałeś?

- Przewinęło się tu trochę osób, zadawały pytania. Ludzie z błyszczącymi odznakami policji federalnej, nie mówiąc o lokalnych mundurowych i, Boże dopomóż nam wszystkim, o reporterach, którzy chcieli umieścić mój cholerny szyld w tle swoich opowieści. Pokazał się nawet ten dupek Roger Savoy. - Paulie nigdy nie wybaczył policjantowi, że wiele lat wcześniej aresztował Dylana za posiadanie narkotyków, i to pomimo hojnych donacji Hammetta na rzecz wydziału. - Dziwię się, że jeszcze nie miałeś tej szarańczy w domu.

- Skąd wiesz, że nie miałem? - Samochody zniknęły, ale podejrzewał, że przyjadą z powrotem i że będzie ich więcej, gdy tylko ktoś wpadnie na genialny pomysł grzebania w jego życiorysie.

- Anna zapytała mnie wprost, czy uważam, że jesteś w to zamieszany. - Paulie nie patrzył Samowi w oczy. - Czy byłbyś w stanie zrobić krzywdę młodej, uroczej damie i dziewczynce.

Sam odwrócił się i popatrzył na odbicie chmur w wodzie. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Odwrócił się w samą porę, by dostrzec starą czarną kobietę, która przenosiła za pomocą trzcinowej tyczki swoją wieczorną kolację - grubego suma - do mocno sfatygowanej drewnianej łodzi. Nawet z tej odległości

Sam słyszał, jak wielka ryba miota się i trzepocze. Wręcz czuł, jak sum walczy o życie.

- Co powiedziałeś żonie? - zapytał cicho, zniesmaczony tym, że ci ludzie, których znał kilkadziesiąt lat, z którymi kiedyś mieszkał, żartował, zadawali sobie pytanie, czy zła krew w nim przeważyła. Gdy Sam opuścił dom dziecka, Hammettowie przez jakiś czas zapewniali mu noclegi - mimo że Monroe'owie ostrzegali, by obserwować go bardzo czujnie. Paulie upierał się, w typowy dla siebie, bezceremonialny sposób, że Sam jest dla niego tanią siłą roboczą, ale oboje z żoną byli dumni, kiedy uzbierał dużo pieniędzy ze stypendiów i prac na pół etatu, by wrócić do szkoły. Zmarnował tę okazję, biorąc ślub w niedorzecznie młodym wieku i rzucił szkołę, kiedy związek rozpadł się po kilku burzliwych miesiącach. Jednak gdy wziął się w garść i zrobił karierę w świecie hightech, państwo Hammett pękali z zachwytu i nawet odwiedzili go kilka razy w luksusowym apartamencie, który kupił przy Travis Lake w Austin.

Jednak w ostatecznym rozrachunku, kiedy przychodziło co do czego, wciąż był dla nich jedynie McCoyem. Kimś, kogo traktuje się jak cholerne pasywa.

- Mówiłem jej, że omal nie wyleciałeś w powietrze, próbując pomóc sąsiadce. - Paulie rzucił mu klucze. - I jeśli o mnie chodzi, twój udział polegał wyłącznie na tym.

Sam zmusił się do spojrzenia mu w oczy.

- Dzięki, Paulie. Za wszystko. - Chociaż czuł, że Paulie zasługuje na wylewniejsze podziękowania, nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa więcej. - Ścisnął breloczek i wrzucił klucze do kieszeni. - Obiecuję, że nie dam ci żadnego powodu, żebyś tego żałował.

- Nie mów tak. - Głos Hammetta przypominał teraz warczenie niedźwiedzia, twarz mu stężała. - Nie waż się wypowiadać tych słów.

Sam wlepił w niego wzrok.

- O co ci chodzi?

Tym razem Paulie odwrócił się i patrzył na wodę, ale wcześniej Sam zauważył podejrzliwość w jego oczach.

- Przepraszam, młody. Dylan zawsze kiedyś tak mówił, ilekroć brał kluczyki do mojego wozu. Mały sukinsyn mówił to za każdym razem, gdy miał zamiar coś zbroić. Zawsze chciałem mu wierzyć, zawsze kłóciłem się z jego matką. I prawie zawsze kończyło się na tym, że musiałem naprawiać to, co on spieprzył.

- Znów się pokłóciliście? - Mimo różnicy wieku - syn Hammetta był ponad dziesięć lat młodszy - Sam zawsze jakoś dogadywał się z Dylanem. Jednak ojciec i syn ścierali się ze sobą ostro jak fronty burzowe, ale Paulie na swój gwałtowny sposób bardzo go kochał.

Stary ociągał się z odpowiedzią, więc Sam mu przypomniał:

- Posłuchaj, twój dzieciak jest od dawna wolny od uzależnień. Tworzy stabilny związek z Holly i, z tego co słyszę, a słyszę to z wielu miejsc, robi świetną robotę dla miasta - musisz przyznać, że jeśli chodzi o działalność gospodarczą, pod pewnymi względami bardzo się na tobie wzorował. Po kupieniu firmy remontowo - budowlanej od swojego szefa, który przechodził na emeryturę - za pieniądze rodziców, to nie ulegało wątpliwości - Dylan natychmiast zmienił jej nazwę na Tex - Appeal Exteriors i wykosztował się na duży szyld, na którym mrugający napakowany majsterkowicz trzymał cholernie długie narzędzie. Ten szyld wzbudził, albo raczej, jak podejrzewał Sam, pobudził, gniewną reakcję paru kościelnych dam, co z kolei zainteresowało reporterów i zrobiło się głośno - dzięki takiej reklamie Dylan miał mnóstwo klientów przez ładnych parę lat.

- Szyld był moim pomysłem. - Zatroskanie nie pozwoliło Pauliemu uśmiechnąć się swobodnie.

- Ludzie się zmieniają - ciągnął Sam - wymyślają siebie na nowo i naprawiają krzywdy. Jeden błąd czy nawet seria błędów nic nie przesądza.

Paulie utkwił w nim baczne spojrzenie.

- Właśnie to teraz robisz, Sam? „Wymyślasz siebie na nowo", tak jak to robi mój chłopak? A może powoli wracasz do tych samych zachowań, przez które kiedyś poszedłeś do mamra?

Sam odwzajemnił się ponurą miną. Zastanawiał się, jak mógłby zareagować na pytanie Hammetta, skoro sam nie znał na nie odpowiedzi.

Rozdział 16

Z pewnością nie ma lepszego polowania od polowania na człowieka, a tym, którzy polowali na uzbrojonych ludzi i polubili to, potem właściwie nie zależy już na niczym innym.

Ernest Hemingway

(Ernest Hemingway Na błękitnej wodzie, Esquire, kwiecień 1936)

W powrotnej drodze do Dogwood, z laptopem i innymi rzeczami, o które prosił Sam, Ruby usłyszała dzwonek komórki. Zaczęła jej gorączkowo szukać, czując przyśpieszony puls, i zatrzymała wóz w pobliżu mostu, który przecinał rzeczkę Cane Creek na północ od miasta.

Na wyświetlaczu pojawił się napis: „Numer prywatny" - co znaczyło, że to mógł być on. Kidnaper żądający wymiany, której ona i Sam jeszcze nie mieli czasu przygotować. Mimo że drżały jej ręce, zdołała wyłączyć muzykę i wychrypiała:

- Mówi Ruby Monroe.

- Czy jesteś grzeczną dziewczynką, Ruby Monroe? - zagadnął męski głos. W tle usłyszała płacz dziecka. Nie był to gwałtowny szloch, sugerujący, że dziecko boi się albo uskarża na ból, ale raczej nerwowe łkanie dziewczynki, która marudziła tak długo, że już straciła nadzieję.

- To moja córka? Czy to Zoe? - Nie doczekała się odpowiedzi i paniczny lęk przerodził się w furię. - Pozwól mi z nią porozmawiać, draniu! Pozwól mi porozmawiać z obiema, bo słowo daję, że...

- Musi pani postępować bardzo ostrożnie, bardzo rozsądnie, jeśli chodzi o dokończenie tego zdania, pani Monroe. - Lodowaty, ton przypominał Ruby, jak brutalnie została zamordowana Elysse. - Nigdy nie reaguję obojętnie na pogróżki. Zwłaszcza gdy jestem na skraju cierpliwości przez ten nieznośny hałas.

Ruby umilkła, czując, jak chłód przenika ją do szpiku kości. Czy Zoe była chora albo ranna? Na pewno zmęczona i przerażona uwięzieniem.

- Pozwól mi z nią porozmawiać. Proszę. Przekonasz się, ona przestanie płakać. Obiecuję, że wszystko ci ułatwię, jeśli tylko...

- Będziesz. Musiała. Poczekać. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię, Ruby Monroe? Rozumiesz?

Obraz w wyobraźni Ruby zmienił się: zwłoki, które znalazła w kuchni Elysse, skurczyły się do dziecięcych rozmiarów. Szczękała zębami tak, że nie mogła mówić. Ten człowiek, ten potwór trzymał w swoich rękach jej bijące serce.

- Rozumiem. Więc... k - k - kiedy chcesz dokonać wymiany?

- Zadzwonię dziś wieczorem. Ustalę szczegóły. Unikaj reporterów, jak do tej pory - powiedział tonem, w którym, o dziwo, wyczuwało się aprobatę - i nie gadaj z nikim o naszych rozmowach, bo i tak dowiem się o tym.

- Ale ja... - Połączenie zostało przerwane.

Przez kilka minut siedziała, kołysząc się w przód i w tył, i rozcierała ramiona. Przypomniała sobie, co mówił Sam - coś o tym, że kidnaper chce ją utrzymywać niepewności i zastraszyć, żeby nie była w stanie rozważyć innych możliwości.

Na przykład takiej, że wcale nie słyszała płaczu swojej córki, tylko jakiegoś innego dziecka. Albo że skoro ten facet potrafił zeszłej nocy sfałszować tożsamość dzwoniącego, to czy nie wpadł na pomysł, żeby nagrać płacz i odtworzyć go w tle, aby ją przekonać, że Zoe żyje?

Z pełnym udręki okrzykiem uderzyła wierzchem dłoni w deskę rozdzielczą, potem, dając upust bezsilnej wściekłości, próbowała zapanować nad paraliżującym ją lękiem. Zdawała sobie sprawę, że jeśli pozwoli terroryście ją zastraszyć, nie zdoła nic zrobić, żeby uratować tych, których kocha.

Trzydzieści minut później Ruby kierowała się narysowaną przez Sama mapą. Wiatr podwiewał srebrzystozielone spódniczki na gałęziach drzew i zasypywał drogę rdzawymi igiełkami. Na całej trasie widziała, jak chmury wiją się i wyginają, tworząc zwaliste szare wieże, które zapowiadały burzę z piorunami. Miała wielką nadzieję, że wiatr rozwieje burzę, bo nie chciała, żeby na pełnej dziur, zapyziałej drodze złapało ją coś więcej niż przelotny deszczyk. Droga miejscami obniżała się, a częste w tej okolicy powodzie gdzieniegdzie powymywały asfalt, dlatego żałowała, że nie znajduje się w samochodzie lepszej klasy, z napędem na cztery koła.

Niebo jeszcze bardziej pociemniało i Ruby dostrzegła biały rozbłysk po swojej prawej stronie. Świetnie.

Zmarszczywszy czoło, przejechała obok zjazdu i musiała cofnąć się, żeby skręcić w stronę błyskawicy. Rozłożyste drzewa opatulały

niemal klaustrofobicznie nieutwardzoną nawierzchnię. W górze konary jęczały, jakby odczuwały ból. Chociaż świeże ślady opon upewniły ją, że ktoś - miała nadzieję, że Sam - niedawno tędy przejeżdżał, to mimo wszystko martwiła się, że utknie w jakiejś dziurze i nie będzie mogła spełnić żądań anonimowego kidnapera.

Jechała dalej i drzewiasta pieczara pogrążyła ją w tak głębokim cieniu, że włączyły się automatyczne reflektory samochodu, żeby oświetlić drogę. Coś długiego i ciemnego spadło przed nią. Gwałtownie zatrzymała wóz i zobaczyła powalony konar.

Spojrzała w górę, westchnęła i przejechała po nim. Wypatrywała znaku „Kryjówka Hamma", o którym wspominał Sam. Nad rozlewiskiem miała znaleźć chatkę rybacką, typowy w tych okolicach, sponiewierany przez pogodę domek, jak wiele innych, przekazywany z pokolenia na pokolenie. Stał na uboczu i wyglądał jak rudera, dlatego nie można go było wynająć za godziwe pieniądze. Paulie nie pozbył się domku, bo miał do niego sentyment, poza tym mógł tu palić papierosy i siedzieć bezczynnie, nie narażając się na wymówki Anny. Ruby podejrzewała, że w azylu Pauliego musi panować okropny bałagan, skoro jego żona nie miała prawa tu przyjeżdżać.

Pierwsze duże krople deszczu już bębniły o samochód, gdy za zasłoną drzew Ruby dostrzegła coś czerwonego - mignął yukon Sama. Nie udało jej się zobaczyć znaku, ale jaskrawy kolor wozu poprowadził ją do domku, wznoszącego się niepewnie nad zakolem krętego, szerokiego strumienia, którego błotniste zielonobrązowe wody marszczyły się od wiatru.

Podobnie jak dom Elysse domek Hammetta stał na podwyższeniu. Ale na tym podobieństwa się kończyły. Miał ściany z wypaczonych niepomalowanych desek, poszarzałych od słońca i deszczu, gdzieniegdzie zielonych od alg. Hiszpański mech oplatał nie tylko zwisające gałęzie dębów, ale także dach i ganek chatki.

Zaparkowała wóz, a potem szybko wyciągała z bagażnika zakupy, żeby zdążyć przed ulewą. Spodziewała się usłyszeć grzmot albo całkowitą ciszę, bo to poprzedzało straszną burzę. Zamiast tego rozległo się buczenie generatora gazowego, dzięki któremu ujrzała przyjemną, żółtą poświatę za brudną szybą okna.

Sam wyszedł z domku i zbiegł po schodach. Twarz mu rozjaśniał promienny uśmiech wagarowicza, od razu zauważyła, że nawet

plastry, którymi pozalepiał rany na policzkach, nie ujmowały mu urody.

- Witaj. Pomogę ci to zanieść, zanim rozpada się na dobre.

Ledwo wypowiedział te słowa, spadł ulewny deszcz i bombardował ich piekącymi kroplami, bębnił o blaszany dach chatki i samochód, jakby z nieba spadały miliony małych monet. Zgarnęli plastikowe torby i pudełka, zatrzasnęli bagażnik i co sił ruszyli do chatki, potykając się na schodach. Zdyszani, ociekający wodą, wbiegli do kuchni, gdzie było duszno i brudno, zalatywało wilgocią, na podłodze leżało sfatygowane linoleum, ale i tak zaniedbane pomieszczenie sprawiło, że Ruby pomyślała o swojej babce, która obsesyjnie dbała o czystość.

Położyli paczki na podłodze i na drewnianym kwadratowym stole, po czym spojrzeli na siebie - wyglądali jak zmokłe kury. Wybuchnęli śmiechem.

Śmiali się jak dzieciaki na pełnej przygód wyprawie.

Szaleńczy bieg w deszczu przyniósł odprężenie, oczyścił im pamięć. Tyle że w tej radości wyczuwało się histerię, jakby śmiech przez łzy miał za chwilę doprowadzić do wybuchu tłumionych emocji.

Ruby zawstydziła się i umilkła. Sam spoważniał i utkwił w niej spojrzenie.

Kroplisty deszcz stukał o dach i bił w okno, przez które było widać kawałek ciemnoszarego nieba. Słabe światło starej, osłoniętej cynowym kloszem latarni i nieduże pomieszczenie dawały poczucie intymności.

- Przepraszam cię, Ruby. - Sam przemókł do suchej nitki, krótkie włosy miał ulizane, a koszulka lepiła się do wyraźnie zarysowanych mięśni. Wydawał się naprawdę skruszony i... niepokojąco atrakcyjny. - Nie chcę, byś sobie pomyślała, że traktuję sytuację niepoważnie, ale... Cholera, czasami człowiek musi się pośmiać, bo inaczej zupełnie by się załamał. Rozumiesz?

Kiwnęła głową i usiłowała przestać myśleć o tym, jak bardzo w głębi duszy ucieszyła się, gdy zobaczyła jego uśmiech, teraz czuła się jak na otwartym morzu w czasie sztormu, ale nie mogła sobie pozwolić na zawinięcie do portu. Nie mogła ryzykować, że choć przez chwilę nie będzie skoncentrowana.

- Potrzebny ci ręcznik. - Sięgnął do kartonowego pudła na ladzie starego kuchennego kredensu firmy Hoosier.

Z wdzięcznością go przyjęła, a Sam wyciągnął jeszcze ręcznik dla siebie i od razu go użył. Wycierając się, patrzyła na białą, emaliowaną kuchenkę oraz półki wypełnione rozmaitymi produktami, od puszek z żywnością po baterie i detergenty. W rogu stała duża, czerwono - biała chłodziarka.

- Przywiozłeś to wszystko? - zapytała, podczas gdy Java wykonywała entuzjastyczny taniec powitalny wokół jej nóg.

- Większość. Nie chcę marnować czasu na jeżdżenie do miasta po żywność ani ryzykować, że ktoś za mną tu przyjedzie, dlatego postanowiłem przywieźć wszystko, co może nam się przydać przez kilka następnych dni.

Potarła ręką miękkie, brązowe uszy labradorki; jakby gestem chciała rozładować napięcie.

- Nie sądzę, żebyśmy mieli kilka dni. Zadzwonił do mnie, kiedy byłam w samochodzie.

Opowiedziała o rozmowie z mężczyzną, który twierdził, że przetrzymuje jej rodzinę. Podzieliła się z Samem podejrzeniem, że porywacz mógł nagrać płacz innego dziecka, żeby uwierzyła, iż Zoe jest w jego rękach.

- Leżeć. - Sam spróbował przywołać Javę do porządku bo domagała się uwagi zbyt natarczywie. Kiedy usłuchała komendy, pochwalił suczkę, a w jego głosie wyczuwało się przyjemne zaskoczenie.

Odwrócił się do Ruby.

- Słyszałaś też Misty? Wspomniał coś o niej? Rozcierała ramiona.

- Nie, jej nie słyszałam, a on odmawia podawania szczegółów. Ogranicza się do gróźb, nawet przez moment nie wątpię, że jest zdolny do wszystkiego. Gdybyś tylko usłyszał ten głos...

Zadygotała, a wówczas Sam wyciągnął z pudła większy biały ręcznik, i zanim otulił nim Ruby, starł wilgoć z jej policzka, ujął ją pod brodę i delikatnie dotknął twarzy.

- Uda nam się, Ruby. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby odnaleźć twoją rodzinę, zdobędziemy billingi, dane o finansach twojej siostry, trafimy na jej ślad.

Patrzyła na Sama uważnie, potrzebowała jego pewności.

- W jaki sposób, Sam? Nawet mając do dyspozycji laptop i bezprzewodowy modem do łączności z Internetem, nie wyobrażam sobie, jak to możliwe.

- Jest możliwe. Ale nie bez pomocy, a taką udało mi się pozyskać. Najlepszą, jaką można sobie wyobrazić.

- Co masz na myśli?

- Nie chcę się wdawać w szczegóły. Po prostu bądź świadoma, że jest ktoś po naszej stronie. Ktoś, kto nie musi przejmować się zdaniem swojego szefa, albo załatwianiem zgody jakiegoś sędziego na każdą procedurę.

Zdała sobie sprawę, że mówił o jakimś przestępcy, lecz mimo to poczuła ulgę. W tej sytuacji liczyła się każda pomoc. Zwłaszcza taka, która nie łączyłaby się z przekupionym policjantem czy szeryfem.

- Najpierw użyjemy laptopa i flashdrive'a, żeby służył jako atrapa. Jest podobny do tamtego?

- Oba są czerwone i chyba nie różnią się kształtem - powiedziała bez przekonania. Nie przypominała sobie charakterystycznych cech flashdrive'a wszytego pod podszewkę plecaka. Tak bardzo śpieszyła się, żeby go ukryć, zanim ją z nim złapią, że nawet nie zwróciła uwagi na markę czy ewentualne oznakowanie.

Skinął głową.

- Nie będzie idealny, nie będzie wyglądać tak samo jak tamten, zwłaszcza jeśli chodzi o zawartość, ale musimy wierzyć, że zmyli faceta na jakiś czas.

Za oknem zajaśniała błyskawica, a zaraz potem tak huknął grzmot, że Ruby aż podskoczyła.

- Nic z tego nie będzie. - Zadrżała. - Powiedział, że zorientują się, czy pliki zostały skopiowane albo obejrzane. Skoro są w stanie to wszystko ustalić, szybko odkryją, że mają do czynienia z podróbką.

- Przecież na pierwszy rzut oka nie zorientuje się, co jest na tym sprzęcie. Dlatego musimy wymyślić sposób, żeby go obezwładnić, kiedy nie będzie skoncentrowany. Albo jakimś sposobem zainstalujemy mu GPS - mam takie urządzenie, którego możemy użyć, doprowadzi nas do miejsca, w którym przetrzymuje twoją rodzinę, jeśli rzeczywiście ją porwał.

- Ale jak możemy...

- Pst. - Zrobił krok w jej stronę. Był tak blisko, że czuła jego ciepło, czuła moc przyciągania mężczyzny do kobiety. I tak bardzo

pragnęła mu wierzyć, bez reszty na nim polegać, że nie cofnęła się, stała nieruchomo, nawet gdy uświadomiła sobie, że on pochyla się i zamyka jej usta pocałunkiem.

Serce mocniej jej zabiło. Lekko przechyliła głowę do tyłu, nie broniąc się przed dotykiem. Nie było w tym pośpiechu ani żadnych oczekiwań. Nie było żadnych fajerwerków, nie było nawet błyskawicy. Ale ciepło i pocieszenie, i poczucie zwyczajnej ludzkiej więzi pozwoliło odpłynąć znużeniu, przebiło szklaną skorupę rozpaczy i izolacji.

Mogła tak stać bardzo długo, spijając słodycz jego warg. Kiedy poczuła jednak, że wystarczy tej słodyczy, by w duszy obudziła się nadzieja i pozostała tam jeszcze przez jakiś czas, rozpostarła palce na jego klatce piersiowej, jakby to był mur, delikatnie nacisnęła; rozczarowanie pomieszało się z ulgą, kiedy cofnął się o krok i spojrzał jej w oczy.

- Chcesz, żebym cię okłamał, żebym ci powiedział, że jest mi przykro? - Uśmiechał się łagodnie. - Nie umiem kłamać, Ruby. W pokera nie ograłbym nawet sześciolatka.

Spuściła oczy. Paraliżował ją strach przed tym, co mogłaby powiedzieć. Zdawała sobie sprawę, że nie jest w stanie logicznie myśleć, w jego odruchu wdzięczności chce widzieć coś więcej, a nie powinna.

Uznała, iż najbezpieczniej będzie zmienić temat.

- Mamy niewiele czasu. Pokiwał głową.

- Oczywiście. - Odwrócił i zaczął rozpakowywać elektronikę, którą zakupiła.

Ale zdążyła zauważyć smutek na jego twarzy. Smutek i pożądanie, dławione siłą woli.

Rozdział 17

Kiedy masz dziecko, świat ma zakładnika.
Ernest Hemingway

Podczas gdy Ruby wkładała pożyczoną czystą, suchą koszulę w pokoju obok, Sam instalował komputer przy stole i przeklinał siebie, jakim jest głupcem. Uświadomiwszy sobie, że jeśli chodzi o związki, nie jest lepszy od żadnego McCoya, nauczył się zadowalać rozrywkowymi dziewczynami. Znajomość zawsze trwała krótko, więc nie przejmowały się jego przeszłością. I zawsze okazywały się zbyt powierzchowne albo zbyt samolubne, by mogły złamać mu serce, kiedy odchodziły.

Z bólem wracał myślami do Elysse, wiedział, że pierwsza zrobiła wyłom w tej serii. Nie była ani egocentryczna, ani powierzchowna, za jej największą wadę uważał skłonność do samooszukiwania się. Mimo że zawsze pragnęła mieć partnera na całe życie i rodzinę, zbyt szybko zadowoliła się mężczyzną, któremu w ogóle na tym nie zależało.

Ale chociaż popełnił wielki błąd, wiążąc się z nią, to nic nie mogło przebić grzechu igrania z uczuciami wdowy po jego przybranym bracie. Odwróciwszy głowę, nasłuchiwał, co robi Ruby, ale słyszał tylko przytłumione bębnienie kropel deszczu.

- Wszystko w porządku? - zawołał. Przyszło mu do głowy, że powinien powiedzieć jej, co mówi Paulie w związku z pogłoską o ciąży Misty, nie miał prawa utrzymywać tej informacji w tajemnicy, nawet jeśli nie było pewności, że jest prawdziwa.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, podszedł do otwartych drzwi i zajrzał do salonu. Uśmiechnął się, zaskoczony tym, że leżała skulona na czerwonej, przykrytej narzutą sofie, z głową na wyciągniętym ramieniu, i spała. Pomyślał, że musiała być naprawdę wykończona, skoro zasnęła tak szybko. Sen dobrze jej zrobi.

Zanim Ruby zapadła w drzemkę ściągnęła dżinsy, T - shirt i przebrała się w użyczoną jej za dużą koszulę. Sam przetrząsnął zawartość komody i wyjął stary, na szczęście czysty koc. Wahał się przez chwilę, podziwiając gołe nogi Ruby, ale zaraz ogarnęło go poczucie winy.

Kiedy ją przykrył i wyjął świeżą koszulę dla siebie, uświadomił sobie, że to jednak wcale nie chodziło o Aarona i nie miało nic

wspólnego z zazdrością albo z odpłaceniem mu za to, co się stało z Monroe'ami.

Ale nie mogło też chodzić o Ruby, nie po tak krótkim czasie, to niemożliwe. Po prostu nadzwyczajna sytuacja, splot okoliczności, zmusiły oboje do współpracy. Zmienił koszulę, poszedł do kuchni i znów uruchomił komputer - też zakazane pragnienie - żeby uaktywnić dopiero co zainstalowany bezprzewodowy modem.

Musiał skupić myśli na tym żądaniu, a nie na kobiecie. Wprowadzenie w ich relację jakichś elementów erotycznej gry byłoby wobec Ruby nieuczciwe, wręcz okrutne w sytuacji, w jakiej się znalazła. Tylko totalny dupek skorzystałby z okazji, wrócił do tamtego pokoju, wsunął ręce pod koc i pieścił tę delikatną skórę.

Patrzył na komputer, niezadowolony, że ładuje się tak wolno, i zmusił się do myślenia o tym, co teraz najważniejsze. Kilka minut później wykorzystał technologię telefoniczną i dane Ruby do logowania, żeby połączyć się z czymś, co było dla niego nirwaną: pozbawionym ograniczeń Internetem.

- To jest to - powiedział na głos, czując pulsowanie krwi i świerzbienie palców. Myśli o ciele Ruby, a także o przestrogach Pacheco, zupełnie się ulotniły.

Najpierw wszedł na darmowe konto pocztowe, które Sybil obiecała mu założyć do kontaktów na krótki okres. Nie miał żadnych wiadomości, więc otworzył inne okno i zajął się wyszukiwaniem i czytaniem wszystkiego, co dotyczyło DeserTek.

Spodziewał się, że będzie tego więcej. Chociaż firma figurowała w kilku biuletynach informacyjnych wymieniających zamorskich przedsiębiorców budowlanych, wydawało się, że krytyczne artykuły koncentrują się na największych i o najgorszej sławie korporacjach, czerpiących zyski z wojny. Kilka miało złożyć wyjaśnienia podczas przesłuchań w Kongresie, a te już się zaczęły. Publiczny wizerunek DeserTek i strona internetowa były bardzo dyskretne i Sam sporo musiał się natrudzić - a także wykonać kilka operacji, które dowiodły, że nie stracił talentu do omijania zapór - żeby znaleźć nazwiska dyrektora i członków zarządu firmy.

Z tego adresu próbował przejść do wątków niepewnych i delikatnych niczym najcieńsza pajęczyna. Ale dopiero zwykłe wyszukiwanie za pomocą Google'a, kiedy wszedł do działu Świętowanie Houston Chronicle, pozwoliło mu znaleźć naprawdę

istotny szczegół. W ogłoszeniu o ślubie widniało zdjęcie dyrektora DeserTek, Alexandra Jasona Merrilla, ze świeżo poślubioną żoną, Hollis Marie Leighton, którą poprowadził do ołtarza jej ojciec, senator Richard Leighton. Sam doszedł do wniosku, że szczęśliwy pan młody jest za młody, żeby zasiadać w zarządzie takiej firmy. Jego podejrzenie potwierdziło się, gdy znalazł nazwisko Merrilla w komunikacie stowarzyszenia absolwentów, w którym wylewnie gratulowano studentom prestiżowego prywatnego college'u ukończenia studiów z wyróżnieniem. Komunikat został opublikowany bardzo niedawno, pochodził z zeszłej wiosny...

To sprawiło, że Sam postanowił poszperać głębiej w przeszłości innych członków zarządu DeserTek i spróbować ustalić, do czyich pękatych kieszeni prowadziły sznureczki każdej z tych marionetek.

Kiedy Ruby otworzyła oczy, powietrze nad jej głową połyskiwało, przetykane żywymi, świetlistymi nitkami, włóknami słońca, które przesączało się przez unoszone wodą kolonie planktonu, przez algi, przez pasma falujące wokół niej. Złociste pasma włosów, jej włosów, chociaż nie były ani tak długie, ani tak jasne... Prawda, że nie były? I jak to się działo, że patrzyła do góry przez wodę, przez srebrzystą ławicę strzebli potokowych, błyszczących tuż pod powierzchnią, i jeszcze dalej, na uformowaną z lilii wodnych sylwetkę?

Panika wrzynała się w nią jak ostrze brzytwy i Ruby wciągnęła powietrze, żeby krzyknąć. Jednak nie mogła wydobyć z siebie głosu - nie oddychała, ponieważ przebudziła się zbyt późno. Ponieważ już była martwa, i zbyt długo leżała uwiązana na dnie.

Zakotwiczono ją niedaleko ciała małego, jasnowłosego, ukochanego dziecka.

Rozdział 18

Tak, umarli mówią do nas. To miasto należy do umarłych, do umarłych i do pustkowia.

Carl Sandburg

(Carl Sandburg, fragment wiersza Tak, umarli mówią do nas - Dym i stal.)

Sam zerwał się na nogi, gdy tylko usłyszał krzyk. Ukląkł przy sofie i zaczął potrząsać Ruby, wołając ją po imieniu.

- To tylko koszmar senny. - Z sercem walącym jak młotem usiłował ją uspokoić. - Miałaś zły sen. Już wszystko w porządku.

Patrzyła i wyciągała ręce do góry, a spojrzenie przepastnych niebieskich oczu skupiło się na czymś, czego on nie był w stanie zobaczyć.

- Nie mogę... nie mogę wydostać się na powierzchnię. Nie mogę oddychać - szeptała. - Coś mnie przytrzymuje.

- Obudź się, Ruby. To zły sen. - Zdjął rękę z jej ramienia. - Nie przytrzymuję ciebie. Możesz swobodnie oddychać.

Wywróciła oczami, zamrugała i spojrzała na Sama. Westchnęła głośno, siadając. Jej ciałem wstrząsały dreszcze.

- Misty. Misty tam jest. Na dnie jeziora. I Zoe...

- Tego nie wiesz. - Starał się mówić bardzo spokojnie, chociaż wcale nie był spokojny. - To tylko koszmar senny, nic więcej. Kiedy spałaś, do twojej głowy sączyły się lęki.

Poruszyła się gwałtownie, coś sobie przypomniała.

- Sprawdzają południowy kraniec jeziora w poszukiwaniu ciał. Słyszałam, jak mówiła o tym szeryf. Uważa, iż Zoe może...

Objął Ruby, pragnął ją pocieszyć, ale także uspokoić siebie. Wtulił usta w jej skroń i szeptał kojące słowa, ą potem twardo powiedział:

- Nie możesz teraz dać za wygraną.

- Ja... ja byłam Misty, w tym śnie. I coś bardzo ciężkiego ściągało mnie w dół. - Kołysząc się, dodała: - I... wydaje mi się, że ona martwiła się o Zoe... A jeśli Zoe jest z nią tam na dnie? A jeśli one...

- Nie możemy sobie pozwolić na takie myśli. Po prostu musimy działać i wierzyć, że obie żyją, że je odnajdziemy. Już coś wytropiłem. Ślad, który może nam pomóc.

- Naprawdę? - Zaczęła się podnosić i Sam pomógł jej wstać.

Kiedy przechodzili do kuchni, mówił Ruby o zięciu senatora, a także o powiązaniach członka zarządu DeserTek - kobiety, której doświadczenie na stanowiskach kierowniczych ograniczało się do pracy w komitecie szkoły podstawowej - z wysokiej rangi urzędnikiem Departamentu Stanu; miał pozycję i wpływy, tak się składało, że był jej bratem.

- Jeśli uda mi się znaleźć to, co łączy ich finanse, będziemy w grze.

Ruby potarła zaspane oczy.

- Nie rozumiem. Co masz na myśli?

- Chodzi o to, że jeśli nie mógłbym wgrać na kupionego przez ciebie flashdrive'a tych samych plików, które zostały skradzione, to ujawnię dostatecznie dużo obciążających materiałów, by móc zniweczyć szanse DeserTek na nowy, lukratywny kontrakt. Może nawet zdołam zdobyć tyle dowodów, że zupełnie zniknie z rynku. Potrzebujemy tylko dobrej karty przetargowej.

Nie zadał sobie trudu, żeby wyjaśnić, co konstruuje i jakie komponenty umieścił na bezpiecznej stronie internetowej. Miał jeszcze dość czasu, żeby ją o tym poinformować.

- Coś, co można byłoby przehandlować za wolność Misty i Zoe. - Ruby, kiwając głową, wpatrywała się w komputer. - Powinnam była ci pomagać. Dlaczego pozwoliłeś mi spać?

- Przysnęłaś raptem na parę...

- Minęły godziny. - Pokazała mu licznik czasu w rogu ekranu laptopa. - Jest już po czwartej.

Zakłopotany tym, że stracił rachubę czasu, zerknął na okno skąpane w słońcu.

- Naprawdę potrzebowałaś snu. Byłaś u kresu sił. Poza tym w pojedynkę pracuje mi się szybciej.

Dźwięk z komputera uświadomił mu, że ma w skrzynce nowego e - maila, o tytule sugerującym najpopularniejszy rodzaj spamu: Twój nowy, długi penis spełni jej najśmielsze oczekiwania^.

Uśmiechnął się od ucha do ucha. Rozpoznał poczucie humoru Sybil zarówno w nagłówku, jak i nazwisku nadawcy: Bogumił Wacek Orgazy. Ale przestał się śmiać, kiedy przeczytał treść elektronicznej wiadomości.

- O co chodzi? - zapytała Ruby.

- Nic takiego, czego bym się nie spodziewał. Właściwie nic takiego. Moja... hm, wspólniczka nie zdołała namierzyć sygnału z komórki twojej siostry. Znaczy to, że bateria się wyczerpała...

- Albo jest pod wodą. - Ruby miała w oczach strach.

- Albo w jakiś sposób uszkodzona, a może nawet wyłączona - dorzucił. - Dlatego teraz zaczniemy działać zgodnie z planem B.

Przy odrobinie szczęścia, korzystając z przesłanej przez niego e - mailem informacji, Sybil lada moment zacznie wyszukiwać dane o sytuacji finansowej najważniejszych osób w DeserTek. Chyba że można będzie rozważyć inną opcję.

- To zły znak, prawda? - zagadnęła go Ruby. - I to, że Misty nie korzystała ze swoich kart kredytowych.

- Możliwe, że wydaje gotówkę. - Taktownie przemilczał kwestię wyczyszczonych kont Ruby. - Nie chce zostawiać śladów.

Niekorzystanie z kart miało sens, jeżeli Misty była przetrzymywana. Albo nie żyła. Jednak Sam nie widział potrzeby mówienia tego, co było oczywiste. Ruby rozumiała sytuację.

- Zjesz kanapkę? - Podniósł się i sięgnął po bochenek chleba, po czym obejrzał inne produkty. Wybór był dość ograniczony, ale przynajmniej znalazły się chipsy ziemniaczane z papryczką jalapeno, strasznie uzależniające. Dzięki nim oraz zapasowi mrożonego dra peppera był w stanie funkcjonować, dopóki jego arterie nie zaczną błagać o zmiłowanie.

- Chyba tak - powiedziała, kiedy otworzył torbę. - Ale tym razem ja nakarmię ciebie. Ty pracuj.

- Jesteś pewna?

- Potrzebuję... Muszę coś robić. Myślę, że zacznę od włożenia spodni.

Chciał jej powiedzieć, że jeszcze są wilgotne, ale pomyślał, że i tak nie da się przekonać. Dlatego postanowił powiedzieć więcej - głośno, żeby Ruby go słyszała - o swoich podejrzeniach wobec prawdziwych liderów DeserTek.

- Wiedziałam, że oni wszyscy są ze sobą mocno powiązani - mówiła - ale nie miałam pojęcia, że zarząd to była tylko fasada. Ale co tam, dlaczego miałam przejmować się, skoro świetnie mi płacili za prowadzenie ich autobusów?

Usłyszał w jej głosie ironię, rozgoryczenie i poczucie winy.

- Możemy zachować kopię - powiedział. - Przesłać ją komuś, kto jest członkiem komisji Kongresu. Albo podsunąć trop prasie za pomocą e - maila.

Pokręciła głową.

- Jeżeli uda mi się sprawić, że Zoe i moja siostra wyjdą z tego cało, to chrzanię resztę. Jeśli tylko zostawią nas w spokoju, muszę tak postąpić, bez względu na osobiste koszty.

- A ile to kosztowało kobietę, która została zabita po tym, jak ciebie ostrzegła, i co się dzieje z wszystkimi innymi pracownikami? A co powiesz na cenę, którą zapłaciła Elysse Steele?

Skrzywiła się i spłonęła rumieńcem.

- Przykro mi z ich powodu... Jestem załamana, nie rozumiesz tego? Elysse... Znałam ją pół życia, Sam. Ale jeśli stanie się cud, jeśli kiedykolwiek odzyskam bliskie mi osoby, to jak mogę narażać ich życie? Zwłaszcza jeśli okaże się, że to rzeczywiście ja sprowadziłam na nich nieszczęście. Ci ludzie to naprawdę grube ryby, obracają setkami milionów, oni nie pozwolą, żeby jakiś mały trybik unieruchomił im całą maszynerię.

- Oni właśnie chcą, żebyśmy my wszyscy, „małe trybiki", tak myśleli. A jeśli nie jesteś w stanie wystąpić przeciwko systematycznemu mordowaniu, to przeciwko czemu wystąpisz?

- Występuję w obronie mojego dziecka, Sam, i siostry, którą właściwie sama wychowywałam, kiedy nasza matka popełniła samobójstwo. Gdybym miała na względzie tylko je, nie groziłoby im teraz niebezpieczeństwo. Gdybym pamiętała wyłącznie o nich. Dlatego możesz sobie darować ten wykład. Już i tak czuję się okropnie.

- No dobrze, Ruby - odparł Sam po namyśle. Trudno się dziwić, że stawiała swoją rodzinę wyżej niż potrzebę zemsty. Jak widać sprawiedliwość była luksusem, kwestią, możliwą do rozpatrywania przez tych, którzy mogli sobie na to pozwolić. Albo przez ludzi takich jak on nie musieli mieć na względzie rodziny, i nie mieli prawdziwego życia, czegoś, do czego mogliby powrócić.

Przerwał mu sygnał dźwiękowy w komputerze.

- Sprawdzę nową wiadomość.

- Jasne. Śmiało. - Głos Ruby brzmiał szorstko i kiedy odwróciła się w stronę zapasów żywności, była zdenerwowana.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, i zajął się wiadomością. Tym razem nazwisko autora tworzył ciąg przypadkowych liczb, a nagłówek zawierał tylko słowo: Wypadam.

- Co jest, do cholery? - mruknął. Kliknięciem otworzył wiadomość i szybko ją przeczytał.

„DT podpisała umowę z Hobsonem Bestem, żeby załatwił »problem kadrowy«. Widziałam robotę Besta, widziałam, w jaki sposób »rozwiązuje« (!!!) problemy ludzi, i nie stanę mu na drodze, nie zaryzykuję, że ten drań będzie mnie miał na swoim radarze. Ty masz dobre wyczucie, uporządkujesz tę hecę w jakiś sposób. Zwiewaj stamtąd, jeśli musisz. Zostaw tę kobietę i ukryj się. Teraz, bo będzie za późno.

Po prostu zniknij, a ja skontaktuję się z tobą później - przydałby mi się twój bystry umysł i umiejętności. Mogłabym ci zaoferować dobre warunki."

- DT - wycedził Sam przez zaciśnięte zęby; coraz bardziej nienawidził DeserTek. Jakże arogancka i niebezpiecznie głupia była ta korporacja, skoro wynajęła zawodowego zabójcę, żeby zniszczyć dowody świadczące przeciwko niej.

- Hobson Best. - Ruby, podeszła i oparła się o ramię Sama. - Mój Boże, to brzmi tak... jak małomiasteczkowy kaznodzieja albo lokalna piekarnia na Main Street. A tu proszę, okazuje się, że to tylko jedno z nazwisk tego diabła.

Sam podniósł głowę i zobaczył w oczach Ruby przerażenie; zaniepokoiło go to jeszcze bardziej niż chłód w jej głosie.

- Best to na pewno fałszywe nazwisko, a poza tym on nie ma ponadnaturalnych zdolności. Po prostu wynajęty zabójca.

- Twój przyjaciel, czy ktokolwiek to jest, tak nie uważa. Na mnie sprawia wrażenie porządnie przestraszonego.

Nie wyprowadził Ruby z błędu i nie powiedział, że Sybil jest kobietą. Było to zresztą nieistotne, gdyż hakerka wyraźnie dała do zrozumienia, że nie ma zamiaru angażować się w nic, co miałoby związek z Hobsonem Bestem.

Wzruszył ramionami.

- O dobrą pomoc nie jest łatwo. Zdaje mi się, że to będzie przedsięwzięcie z gatunku „zrób to sam".

Ruby uważnie mu się przyglądała.

- Chcesz powiedzieć, że nie posłuchasz jego rady i nie uciekniesz?

Pokręcił głową.

- Ani mi się śni.

Poczuła, że napięte mięśnie powoli się rozluźniają. Westchnęła.

- Mam nadzieję, że nie będziesz tego żałować.

Mógł, a nawet chciał powiedzieć jej więcej. O tym, że przez ostatnie dwa dni czuł większą swobodę niż przez ostatnie dwa lata, kiedy musiał chodzić na paluszkach skrępowany oficjalnymi pogróżkami i zakazami. O tym, jak szybko zaakceptował pomysł, by dokonać słusznej zemsty za śmierć Elysse i cierpienie Ruby. Że pomimo potwornych okoliczności czuł tutaj zadowolenie, bo robił to, co powinien, a wcześnie zbyt długo marnował swoje uzdolnienia, wręcz swoje życie. I że podwinięcie ogona i sprzedanie się chytremu najemnikowi, takiemu jak Sybil, nie kusiło go ani trochę.

Ale zachował zimną krew, po części wiedziony instynktem samozachowawczym, a po części dlatego, że uświadomił sobie, iż wciąż jeszcze nie rozmawiał z nią o Misty. Nawiązał do tematu, podzielił się z nią tym, co powiedział mu Paulie, aczkolwiek rozmyślnie nie wspomniał, jak wielką wagę Hammett przywiązuje do swojej reputacji.

Ruby zmarszczyła czoło.

- Crystal mówiła to samo, nawet wprost zapytała Misty. Ona wszystkiemu zaprzeczyła i bardzo się zdenerwowała. O wiele za bardzo, jeśli chcesz znać moje zdanie. Jej zachowanie naprawdę daje mi do myślenia...

W tym momencie zadzwonił telefon Ruby. Rzuciła się do wysuwanej lady w stylu Hoosiera i chwyciła aparat.

- Crystal? To naprawdę ty?

Rozluźniła się, język jej ciała zdradzał, że jeszcze przed sekundą spodziewała się usłyszeć głos mężczyzny, który twierdził, że ma jej rodzinę. Co miałoby sens, jeśli ten Hobson Best, czy jak mu tam było, znał się na technologii równie dobrze, jak na sianiu strachu.

Ale po chwili, jej głos drżał z napięcie:

- Co słyszałaś o mojej siostrze? Powiedz mi. - Przeszła z kuchni do malutkiego salonu.

- Kto? - pytała. - Przekaż jej, że muszę to wiedzieć teraz. - Upłynęło parę sekund. - Daj spokój, Crys, nie mam cierpliwości do

tych gierek. Świetnie, spotkam się tam z tobą za czterdzieści minut. Proszę cię, nigdzie nie odchodź, dopóki ja... Dobrze, i dziękuję. Dzięki, że zadzwoniłaś do mnie.

Odkładając aparat, zmarszczyła brwi.

- Crystal zasięgnęła języka, pogadała z jakąś nową kumpelką Misty, która wpadła na jedną z jej dawnych przyjaciółek, która... Nie mam pojęcia, jak oni wszyscy są powiązani, w każdym razie ta kobieta, ta przyjaciółka przyjaciółki, ma trzydzieści parę lat, ale wciąż ostro imprezuje i sypia z facetami, którzy zostawiają ślady... - Ruby odwróciła się od Sama i wyjrzała przez okno, na którym widniały smugi brudu i strużki wody. - No i mówi, że niedawno wyszła zabawić się razem z Misty. Twierdzi, że moja siostra uwiesiła się na ramieniu jakiegoś nawalonego facia, jeśli jesteś w stanie to sobie wyobrazić.

- Kiedy?

- Jakiś tydzień temu.

- Kupujesz to?

Wzruszyła z westchnieniem ramionami.

- Sama nie wiem. Chcę wierzyć, że ona i Zoe nie są z Bestem, a biorąc pod uwagę to, co działo się w moim domu... Muszę tę informację sprawdzić. Crystal mówi, że przyjaciółka zostawiła tę dziewczynę u Pauliego, i że ona jest nieźle pokręcona. Nie chce mieć do czynienia z policją, zaklina się, że zwieje, jeżeli Crystal spróbuje ją nakłonić do zeznań. Ale chce porozmawiać ze mną.

- Z tobą? Znasz ją?

- W tym rzecz. Crystal była totalnie spietrana, bo Paulie źle ją traktuje. Nie byłam w stanie wydusić z niej nazwiska. W tej chwili poi panienkę kawą, żeby wytrzeźwiała. Ale nie może trzymać jej długo w gabinecie Pauliego, więc powinnam dotrzeć tam jak najszybciej.

- Jesteś w stanie prowadzić samochód? Wciąż wyglądasz na zmęczoną.

- Czuję się lepiej, nic mi nie będzie. Pojadę i porozmawiam z nią. Przynajmniej zrobię coś pożytecznego, zamiast sterczeć tu i gapić się, a ty pracujesz. Jeśli będę mogła ci w czymś pomóc, po prostu do mnie zadzwoń.

- Zanim pojedziesz, wyświadcz mi przysługę. - Pomyślał o jej miękkich, ciepłych wargach, o tym, jak przyjemne w dotyku jest jej

ciało. I o tym, jak by to wszystko mogło wyglądać, gdyby byli innymi ludźmi i spotkali się w innych okolicznościach.

Przełknęła ślinę, patrząc na niego tak uważnie, że musiał odwrócić wzrok i skierować go na Hoosierowską szafkę, w której zostawiła na wierzchu chleb. Java próbowała udawać, że wcale nie jest zainteresowana bliskością ludzkiego jedzenia, ale tak się śliniła, że nie mogła nikogo zmylić.

- O co chodzi? - zapytała go Ruby.

- Chcę, żebyś zjadła kanapkę. Zanim poczęstuje się nią mój pies.

Zmarszczyła nos, wyciągając z kieszeni wciąż wilgotnych dżinsów kluczyki od samochodu.

- Niech się częstuje. Wcale nie jestem głodna.

- Java ma swoją miskę. Powinnaś coś zjeść - nalegał. - Przecież wiem, do cholery, że od rana nie miałaś nic w ustach.

Sprawiała wrażenie rozdrażnionej.

- A kim ty teraz dla mnie jesteś? Moją matką?

- Czy ci się to podoba, czy nie, jestem twoim partnerem w tej sprawie. - Sięgnął po masło orzechowe i nóż. - I nie zamierzam nadstawiać karku za jakąś kobietę, której brakuje rozumu, żeby o siebie zadbać. Dlatego posłuchaj mnie, Ruby.

- Dobrze. - chwyciła słoik z marmoladą i pomogła Samowi zrobić kanapki. Kiedy skończyli, zawinęła kanapkę w serwetkę:

- Zjem po drodze. A przy okazji... Myślałam, że ty nadstawiasz karku tylko dla własnej korzyści.

Skrzywił się, zły, że Ruby rzuciła mu w twarz jego własne słowa. Był również zły dlatego, że miał wrażenie, iż grunt pod jego nogami jest niewiele bardziej stabilny od wydmy. Uśmiech Ruby przywrócił mu równowagę.

- Bez względu na to, jakie masz powody - mówiła spokojnie, patrząc mu w oczy - chcę, abyś wiedział, że jestem wdzięczna, naprawdę wdzięczna, że mnie wspierasz. I jeśli pomożesz mi odzyskać rodzinę, przysięgam ci, że zamierzam spłacać dług wdzięczności przez całe życie.

Chciał powiedzieć, że jeśli zobaczy jej rodzinę całą i zdrową, to będzie dla niego najmilsza nagroda i że zależało mu tylko na tym, żeby go oczyszczono z zarzutów.

Jednak z jakiegoś powodu się zawahał. Przypomniał sobie czasy, kiedy ośmielił się zażądać więcej od życia. Przypomniał sobie te pierwsze, fantastyczne dni z Elysse, zanim wszystko się zepsuło.

I właśnie w tej chwili Ruby pożegnała się i wymknęła na dwór, i nawet nie zdążył dodać, żeby na siebie uważała. I nie miał też szansy powiedzieć, że to on powinien był rzucić się jej do stóp z podziękowaniami.

Rozdział 19

Bo krwią splamione są wasze dłonie, a palce wasze - zbrodnią. Wasze wargi wypowiadają kłamstwa, a przewrotności szepce wasz język.

Biblia Tysiąclecia, Księga Izajasza 59,3

Ruby nie przejechała nawet dwóch kilometrów, kiedy znów zadzwonił telefon. Spojrzała na wyświetlacz i od razu zatrzymała samochód.

DeserTek - nazwa, która wysysała z jej płuc powietrze. Nie mogła uwierzyć, że byli aż tak bezczelni, żeby bezpośrednio do niej dzwonić. Chyba że dzięki łapówkom i koneksjom stali się nietykalni dla wymiaru sprawiedliwości.

Starając się opanować drżenie głosu, przygotowywała się psychicznie na rozmowę z diabłem.

- Ruby Monroe.

- Tu Graham Michael Worth. Dzwonię z biura w Dallas. - Oficjalny, napuszony ton nie wzbudził w niej niepokoju. - Być może pamięta mnie pani, kiedy Jeremy Bray ściągnął panią na wstępną rozmowę...

- Pamiętam. - Ruby przypomniała sobie mężczyznę, którego zgarbiona sylwetka i siwiejące włosy kontrastowały z umięśnionym torsem i ciemnymi, ostrzyżonymi na jeża włosami przyrodniego brata Elysse. Czyżby ten rekrutant personelu średniego szczebla nie został poinformowany o uprowadzeniu jej rodziny? Worth chyba nie zamierzał ponowić tej samej niedorzecznej oferty, którą zdążyła już odrzucić w Iraku? - Co mogę dla pana zrobić?

- Trochę niezręcznie mi o tym mówić. Ale poproszono mnie, żebym pani przypomniał, w jak najbardziej stanowczy sposób, o poufnej umowie, którą pani podpisała, jako warunek pani zatrudnienia. Muszę podkreślić, że nasi prawnicy są przygotowani do wytknięcia wszelkich nieprawidłowości w najpełniejszym zakresie...

- Grozi mi pan? - Po co zadawali sobie ten trud, jeśli porwali jej rodzinę? Skoro życie Zoe i Misty było w niebezpieczeństwie, jakiś bliżej nieokreślony proces sądowy, znaczył dla niej nic. Domyślała się, że ten człowiek naprawdę nie miał zielonego pojęcia o porwaniu jej rodziny. No, ale przecież winowajcy nie byliby zainteresowani podawaniem tego typu informacji do wiadomości pracowników.

- Wiemy, że zabrała pani własność DeserTek i próbuje sprzedać tajemnice handlowe naszym konkurentom, którzy bardzo chętnie wykorzystaliby tę wiedzę, żeby nas wykluczyć z ubiegania się o...

- Wszystko pan pomylił. - Czyżby on myślał, że wywiozła pliki z tamtego kraju, bo zależało jej na pieniądzach?

- Na szczęście - ciągnął rzecznik korporacji - ukradzione pliki zostały odzyskane.

Serce podskoczyło jej do gardła.

- Odzyskane? Chce pan powiedzieć, że na lotnisku to wasz człowiek był tym...

Nie dokończyła tego pytania, zastanawiając się, po co ludzie z DeserTek mieliby porywać jej rodzinę, skoro już ukradli plecak i znaleźli w nim flashdrive'a. No i dlaczego, u licha, Best, zabójca do wynajęcia, żądał zwrotu drive'a? Nie potrafiła wyłowić sensu ze słów Wortha i bała się powiedzieć coś więcej. Lepiej, żeby domyśliła się, o co mu chodzi, zamiast ryzykować, że wyrwie jej się coś niewłaściwego.

Po prostu panuj nad sobą, Ruby. Dla dobra swojej rodziny.

- Jak już mówiłem, pliki zostały odzyskane. Ponieważ firma DeserTek wolałaby uniknąć wszelkich nieprzyjemnych skojarzeń na forum publicznym, jesteśmy gotowi wybaczyć ten oczywisty przypadek szpiegostwa korporacyjnego...

- Pan żartuje. Byłam kierowcą waszych autobusów, panie Worth. Kierowcy autobusów nie zajmują się szpiegostwem korporacyjnym.

- Biorąc pod uwagę, że pliki zostały znalezione w pani rzeczach osobistych, trudno przekonująco obronić taki punkt widzenia. W dodatku niewiarygodnie kosztowny punkt widzenia, gdybyśmy zostali zmuszeni złożyć pozew, który właśnie przygotowujemy.

Ruby kręciło się w głowie. To wszystko kompletnie nie miało sensu. Jeżeli DeserTek miała pliki, kto inny byłby skłonny posunąć się do porwania, żeby je odzyskać? A może należało winić wewnętrzny system komunikacji w firmie - może jedna sekcja nie wiedziała, co robi jakaś inna sekcja? Ruby zaczynała dostrzegać trzecią możliwość, której dotychczas nie brała pod uwagę: chodziło o coś innego niż ten flashdrive.

Chociaż była zdesperowana i chciała zażądać, żeby powiedział, co wie o jej rodzinie, zmusiła się do bardzo ostrożnego sformułowania następnego pytania.

- Czego pan chce? Cokolwiek to jest, słucham pana.

- Oczekujemy, że wypełni pani warunki swojego kontraktu. Czyli że żadne skopiowane tajemnice handlowe DeserTek nie pojawią się gdzieś indziej i że nie podejmie pani rozmów z nikim, kto będzie próbował zdobyć zastrzeżone informacje w celu zniszczenia pozycji firmy.

„Tajemnice handlowe". Doszła do wniosku, że musi tu chodzić o sporządzoną przez Carrie Ann listę zamordowanych pracowników. Założyła, iż Worth chce od niej zapewnienia, że nie ma zamiaru wystąpić przed komisją Kongresu albo mediami, że nie będzie skłonna opowiadać historii o młodej, ładnej rudowłosej kobiecie z Oklahomy, która została pozbawiona głowy przez „powstańców". Uchowaj Boże, żeby kilka martwych pionków mogło przeszkodzić firmie DeserTek w położeniu chciwych łap na nowym, z dawna upragnionym kontrakcie.

Prawie że słyszała w myślach pytanie Sama: „Jeżeli nie jesteś w stanie zaprotestować przeciwko mordowaniu ludzi, to przeciwko czemu zaprotestujesz?"

I już wyobrażała sobie rozczarowanie pojawiające się w jego oczach.

- A jeśli dam panu moje słowo? - Była gotowa obiecać wszystko, wyrzec się wszelkich ideałów, jeżeli Worth zapewni, iż jej rodzina zostanie uwolniona.

- W zamian za pani zobowiązanie - odparł Worth, głosem, który z każdym słowem wydawał się bardziej surowy - jesteśmy gotowi wstrzymać złożenie pozwu o zapłatę ponad sześciu milionów dolarów; nie wyjdzie pani z długów i niewykluczone, że proces będzie się ciągnąć dziesiątki lat. Zważywszy, że jest pani samotną matką - wydaje mi się, że przeczytałem to w pani aktach - jestem pewien, że nie chciałaby pani narażać swojej rodziny na taką udrękę.

Ruby zmarszczyła czoło, zastanawiając się, czy to jest również korporacyjna gadka człowieka, który miał dość rozsądku, by nie używać słowa „porwanie" w rozmowie telefonicznej. A może on naprawdę nie miał pojęcia o kidnapingu. Napięcie sprawiło, że straciła cierpliwość:

- Posłuchaj no, sukinsynu. Z nikim o tym nie rozmawiałam, absolutnie z nikim, i nigdy nie miałam ochoty, czasu albo odpowiedniego sprzętu, żeby cokolwiek skopiować czy przesłać e -

mailem. Macie to wszystko w swoich rękach. Wszystko, na czym wam zależy, do cholery. Mnie zależy wyłącznie na bezpieczeństwie mojej rodziny. I teraz, w tej pieprzonej chwili, słyszysz, co do ciebie mówię? Bo jak nie...

Głośno odetchnęła, myśląc: Ale zapanowałaś nad sobą, Ruby.

Nastąpiła długa przerwa, zanim menedżer powiedział ostrożnie:

- Zgadzam się, bezpieczeństwo rodziny rzeczywiście jest ważne. I właśnie dlatego, w dowód uznania za wzorową służbę na rzecz DeserTek, jesteśmy gotowi, w zamian za pani podpis na kolejnej umowie poufnej, zaproponować pani jednorazową premię w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Kolejną próba przekupstwa po tym wszystkim, co przeszła - to sprawiło, że Ruby ogarnęła jeszcze większa furia. Bycie szantażowaną to jedna rzecz, ale czymś zupełnie innym byłoby przyzwolenie, żeby ten sukinsyn wyobrażał sobie, iż ona zaangażowała się w to wszystko dla pieniędzy.

- Pięćdziesiąt tysiaków - warknęła. - Czy pan naprawdę myślał choć przez sekundę, że to zrekompensuje mi tę sytuację? Moja rodzina - ludzie, którzy są dla mnie najważniejsi na świecie - i mój cholerny dom, który musiał wybuchnąć akurat w noc, kiedy wróciłam do miasta i...

- Pani dom? - wyjąkał Worth ze zdumieniem. - Coś się stało... Ale co z pani rodziną, pani Monroe? Co się tam dzieje?

- Pech, zgadza się? A może dogodnie jest panu myśleć, że zasłużyłam sobie na złą karmę, bo przecież przeszkodziłam wam...

- Pani Monroe, chyba pani nie sugeruje... Firma o takiej renomie jak DeserTek nigdy nie posunęłaby się do... Proszę mi wierzyć - powiedział oschle. - Usta naszych prawników to jedyna broń, jakiej potrzebujemy.

Zapadło dłuższe milczenie. Ruby zastanawiała się, jaką szansę ma owdowiała studentka pielęgniarstwa ze wschodniego Teksasu w konfrontacji z takimi tuzami współczesnego świata jak DeserTek, mającymi na usługach hordy zawziętych prawników. Potentaci finansowi, dla których liczył się tylko zysk, byli ustosunkowani i czuli się bezkarni zajmując się brudnymi interesami. Mogli mordować, kraść, porywać, korumpować, najokrutniej niszczyć ludzi. I nikt nie ważył się ich tknąć, nawet amerykański Kongres. Co ona sobie

myślała, biorąc od Carrie Ann tego flashdrive'a, a potem jeszcze próbowała go wywieźć z tamtego kraju?

- Proszę przesłać mi ten formularz na adres urzędu pocztowego w Dogwood, zwykłą przesyłką - oświadczyła, wjeżdżając na parking przed posiadłością Hammettów. - Albo proszę go przywieźć samemu. Podpiszę. Chcę tylko, żeby to wszystko już się skończyło i żeby moja rodzina była bezpieczna, przy mnie.

Skończyła rozmowę, żałując, że nie jest w stanie uwierzyć, iż ten koszmar wkrótce się skończy. Nie ufała ani jednemu słowu Wortha. Wiedziała, że dopóki nie odzyska rodziny, będzie musiała sprawdzać każdą możliwość, śledzić każdą informację - i przygotować się jak najlepiej na spotkanie z Hobsonem Bestem.

Kiedy szła korytarzem do gabinetu Pauliego, usłyszała tubalny bas Hammetta, a potem zobaczyła go, stał przed drzwiami, odwrócony do niej plecami.

- Prowadzę interes, Crystal, i przetrzymywanie tu jakiejś cholernej ćpunki kryminalistki to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję. Wypuść ją, jeśli tego chce, i wracaj do roboty.

- Ale Ruby powinna...

- Ruby powinna usunąć się z drogi i pozwolić, żeby to Wofford i jej ludzie zajmowali się tą sprawą. Mam już dość zakłócania pracy mojej firmy, dość obcych ludzi, którzy tu węszą. Zdajesz sobie sprawę, jakie mogę mieć przez to wszystko kłopoty?

- Hej, Paulie. - Kiedy odwrócił się, Ruby popatrzyła gniewnie i wycedziła:

- Naprawdę mi przykro, że zniknięcie mojej siostry i mojej czteroletniej córki okazuje się dla ciebie taką pieprzoną niedogodnością.

Cofnął się gwałtownie, jakby zadała mu cios, a jego okrągła twarz pobladła.

- Przepraszam cię, Ruby. Naprawdę cię przepraszam. Nie chciałem, żebyś usłyszała coś takiego.

- Prawdopodobnie nie - warknęła - bo gdyby to się rozniosło, że jesteś aż tak gruboskórny, mogłoby źle wpłynąć na twoje interesy.

- Nie bądź taka - odparł błagalnym tonem. W niczym nie przypomniał siejącego postrach tyrana, którym czasami bywał. - Wiesz, że Anna i ja... oboje uwielbiamy Misty i twoją córkę. Modlimy się na klęczkach o to, żeby zostały odnalezione.

Ruby przypomniała sobie, że chociaż uwielbiał czcze pogróżki, to jednak pozwolił Samowi korzystać z prywatnego domku. Przez wiele lat był dla jej siostry może nie idealnym, ale dobrym szefem; pomyślała też, że każdy, także ona, czasem zasługuje na wybaczenie.

- Przepraszam, że tak na ciebie wsiadłam. - Przeszła na łagodniejszy ton. - Użycz mi swojego biura. Nie będę długo. Proszę cię, Paulie.

Kiedy skinął głową, Crystal obejrzała się nerwowo, rzuciła okiem w stronę drzwi, za którymi rozległ się łoskot, jakby coś spadło.

- Ruby, Jackie ma stracha. Już chodzi po ścianach.

- Znam tę dziewczynę? Crystal wzruszyła ramionami.

- Mówiła, że pamięta cię ze szkoły, ale jakoś jej nie wierzę. Przede wszystkim wygląda za staro.

- Jackie... - Zaczęła szperać w pamięci, usiłując dopasować imię do osoby. - Chyba nie mówisz o Jackie Hogan?

- Jestem prawie pewna, że chodzi właśnie o nią.

Ruby prawdopodobnie nie przypomniałaby sobie tego imienia, gdyby nie pogłoska, że Jackie, podówczas licealistka, związała się z dwudziestoczteroletnim handlarzem narkotyków, który czasami ją bił. Dziwne, że Jackie zapamiętała jej imię; Ruby była od niej o dwa lata młodsza i zupełnie nie miała czasu na życie towarzyskie, bo musiała się zajmować matką i młodszą siostrą.

- To śmieć - burknął Paulie. - Pracowała u mnie, kiedy miała szesnaście lat, wylałem ją na zbity pysk, bo podbierała gotówkę z kasy.

Ruby pokręciła głową, skonsternowana.

- Pozwól mi z nią porozmawiać.

- Jedyną osobą, która powinna zadawać jej pytania, jest Wofford - mówił Paulie. - Wcale bym się nie zdziwił, gdyby okazało się, że usłyszała o Misty i liczy, że wyłudzi od ciebie trochę pieniędzy na narkotyki.

- Nie chciałam przyprowadzać pani szeryf, bo bałam się, że Jackie zwieje - powiedziała niepewnie Crystal. - Ale być może Paulie ma rację.

- Skoro już tu jestem, to nic się nie stanie, jeżeli z nią pogadam - odparła Ruby, wodząc palcami po torebce, żeby się uspokoić.

Z gabinetu dał się słyszeć brzęk rozbitego szkła.

- Niech to cholera. - Paulie gwałtownie otworzył drzwi. Stojąca przy zbitej szybie koścista kobieta o brudnych mysich włosach, unosiła krzesło.

Obróciła się na pięcie, i trzymała je przed sobą odwrócone nogami w stronę drzwi, jakby chciała odstraszyć stado lwów. Jej blada twarz lśniła od potu, ramiączko brudnego topu zsunęło się z jej wychudzonego ramienia.

- Przecież ci mówiłam, do kurwy nędzy - powiedziała do Crystal schrypniętym głosem, palacza, a może kraczącej wrony. - Nie mogę tu ciągle tkwić. Mówiłam ci, że nie dam rady. Muszę iść.

- Postaw to krzesło i siadaj - odezwała się Ruby, zdumiona okropnym wyglądem kobiety; kiedyś była ładna, w liceum miała powodzenie. - Powiedziałaś, że się ze mną spotkasz, więc jestem. Bardzo bym się ucieszyła, gdybyś mi opowiedziała wszystko, co wiesz o mojej siostrze.

- Muszę iść - powtórzyła Jackie.

- Powiedz, co wiesz, i będziesz mogła sobie pójść - przekonywała Ruby. - Jeśli nie powiesz, Paulie poda cię do sądu za te szkody.

- Żebyś wiedziała, do jasnej cholery! - wrzasnął, a Jackie aż skuliła się ze strachu. - Wystarczy, że podniosę tę słuchawkę, a ludzie szeryfa zjawią się tu, jeszcze zanim przestaniesz mnie przeklinać.

Obrzuciła ich wściekłym spojrzeniem, a potem zerknęła na rozbitą szybę w oknie, jakby oceniała szanse wydostania się stąd, zanim ją schwytają.

- Proszę, opowiedz jej o Misty - odezwała się Crystal. - To może okazać się bardzo ważne. Może ocalić małą dziewczynkę.

- Chrzanić małą dziewczynkę - burknęła Jackie, i w tym momencie Ruby wyszarpnęła rewolwer z torebki.

- Nie chcesz odpowiedzieć, żeby pomóc mojej rodzinie, to chyba też nie chcesz, żebym ci odstrzeliła łeb od tej żylastej szyi?

- Ruby. - Crystal zrobiła wielkie oczy.

- Nie w moim lokalu, Ruby. Nie pozwolę tu na takie rzeczy! Zrozumiałaś mnie? - Paulie gotował się ze złości.

Jackie nie odrywała wzroku od broni, dopóki powoli nie odstawiła krzesła. Usiadła na brzeżku i ponuro patrzyła w górę, krzyżując posiniaczone ręce na chuderlawej klatce piersiowej.

- Dobra. Pogadam z tobą. - Utkwiła bladoniebieskie oczy w Ruby, a potem skinęła głową w stronę Pauliego. - Nie z tą świnią, i nie z tą

flądrą - tylko z tobą, Ruby Monroe. A potem spokojnie sobie stąd pójdę.

- Stoi. - Ruby zerknęła na Crystal i Pauliego. - Potrzebuję pół godziny.

- Ruby, nie możesz tego zrobić - zaklinała ją Crystal; kiedy patrzyła na swojego szefa, płakała rzewnymi łzami. - Nic nie wiedziałam o rewolwerze.

- To jest restauracja rodzinna - ostrzegł Paulie. - Mam tu małe dzieciaki, które jedzą kotleciki z kurczaka, do jasnej cholery. Dam ci piętnaście minut, żeby ta kobieta opuściła mój lokal. Powiedzmy, że dziesięć, a potem wzywam szeryfa.

Ruby domyślała się, że proponował jej aż tyle, bo chciał uniknąć sytuacji, w której klienci usłyszą syreny i zobaczą wozy policyjne pod knajpą.

- Dobrze - zgodziła się. - Załatwię to szybko, a potem się ulotnimy.

- Chodźmy, Crystal. - Paulie położył wielką dłoń na ramieniu kelnerki i powiedział łagodnie: - Musimy zająć się klientami.

Kiedy tylko wyszli, Jackie zapytała:

- Masz jakieś papierosy? Ruby pokręciła głową.

- A może dałabyś trochę forsy? Wiesz, na szlugi i takie tam. Zaczęła podejrzewać, że Paulie miał rację - ta kobieta po prostu próbowała wykorzystać tragedię, o której coś gdzieś usłyszała.

- Nie mam żadnych pieniędzy - zaczęła ostrożnie. - Powiedziano mi, że moja siostra uciekła z pieniędzmi. Pomyślałam, że być może miałabyś coś do powiedzenia na ten temat.

Jackie wzruszyła chudymi ramionami. Przypominała żywego stracha na wróble. Pochyliła się do przodu i zmrużyła oczy.

- No proszę, a ja myślałam, że będziesz taka cholernie czysta, idealna i wyszczekana. Jedno ci powiem: jeżeli powierzyłaś swojej siostrze pieniądze, to jesteś najzwyczajniej w świecie głupia. W dzisiejszych czasach nie można ufać nikomu. Za dużo cholernych pokus jest na świecie. Twój stary wiedział o tym doskonale.

Ruby omal nie udławiła się z wściekłości.

- Nie znałaś Aarona i nie znasz mnie, więc skończ tę gadkę, bo każę Pauliemu zawiadomić szeryfa.

Gdyby ta kobieta była warta wysiłku, Ruby dodałaby, że istnieją dobrzy ludzie - ludzie walczący z pokusami, którym ulegają tacy, jak

Jackie Hogan. Pomyślała o Samie i o Carrie Ann. Ryzykowali wszystko, by pomóc innym. Ann narażała życie, i być może utraciła je dlatego, że ostrzegła nieznaną jej osobę przed składaniem skargi na przełożonego.

Poczucie winy sprawiło, że Ruby zapiekły oczy, szeptało jej, iż mogła uratować tamtą dziewczyną, gdyby tylko odważyła się działać. Ocaliłaby ją albo sama zginęła za kogoś, kogo prawie nie znała.

Zaciskając mocno wargi, Jackie chwyciła się krawędzi krzesła i spojrzała w stronę drzwi.

- No, dalej - ponaglała ją Ruby. - Po prostu powiedz mi. Co skusiło moją siostrę? Powiedziałaś Crystal, że widziałaś Misty. A może to również było kłamstwem.

- Naprawdę widziałam Misty. - Jackie unikała jej wzroku. Ruby usiadła na brzegu drugiego krzesła.

- Moja córka była z nią?

Jackie skinęła głową, patrząc w górę; w jej spojrzeniu wyczuwało się dezaprobatę.

- Nie powinna jej była zabierać na tamtą imprezę. Nie powinna była przychodzić z żadnym dzieciakiem.

Chociaż Ruby usiłowała panować nad sobą, nie mogła powstrzymać drżenia ręki, w której trzymała rewolwer.

- Czy ona... czy Zoe dobrze się czuje?

- Ta mała? Chyba trochę bała się psów Coffina. Te wielkie pierdolce są wredne, a jego kumple nie są o wiele lepsi.

- Coffin ma na policzku 666? Zaczęła się śmiać, aż zakaszlała.

- To naprawdę coś, nie?

Ruby buchnęło gorąco do twarzy i zrobiło jej się słabo.

- Moja... moja córka była z ...

- Była tam, tak, po jakimś czasie się uspokoiła. Dylan przyniósł jej jakieś zabawki, żeby miała się czym zająć. A Misty wydrapałaby oczy każdemu, kto by krzywo spojrzał na tego dzieciaka. Jednak to nie było w porządku...

- Dylan? Mówisz o Dylanie Hammetcie? - przerwała jej Ruby.

Jackie znów zerknęła na drzwi.

- Tak, o Dylanie. Misty pokazała się tam, żeby go dorwać.

- Gdzie się pokazała? Wzruszyła ramionami.

- U laski Coffina, w jej domu z basenem. Ale nie mów staremu Dylana, że on się z nami zadawał. Dylan nie jest w stanie znosić durnych gadek seniora.

- Twierdzisz, że Misty jest związana z Dylanem Hammettem? - Ruby nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Kiedyś byli przyjaciółmi, ale przyjaźń zakończyła się, gdy odmówił wzięcia odpowiedzialności za ciążę Crystal. Poza tym, on przecież miał żonę, a Misty z zasady umawiała się tylko z kawalerami. Ruby zrobiło się niedobrze. Zastanawiała się, jak może przyjmować za dobrą monetę to, co mówi zdzirowaty, nafaszerowany narkotykami „świadek", a jednocześnie ignorować to, co ona wie o swojej najbliższej rodzinie.

Nie mogła jednak dłużej lekceważyć oznak, że z Misty stało się coś bardzo niedobrego, coś co bardzo starała się ukryć. I być może ukrywała też ciążę z żonatym mężczyzną, zwłaszcza takim, który spłodził dziecko z jej najlepszą przyjaciółką...

Jackie pokiwała głową.

- Kurde, zgadza się, miała bzika na punkcie Dylana. Wiecznie się kręciła przy nim. Wieszała mu się na ramieniu, ciągnęła go za rękę. A kiedy nie chciał z nią wyjść, zostawała i trochę imprezowała. Więc gadałyśmy o paru ludziach, których obie kiedyś znałyśmy. I powiedziała mi, że to ty jesteś tą, z którą w końcu związał się mój Aaron Monroe.

Ruby poczuła, że skóra cierpnie jej na karku, ale przypomniała sobie, że to nie jest właściwa pora, żeby przejmować się wynurzeniami Jackie na temat Aarona. Wracając myślami do Zoe i Misty, zapytała:

- Kto jeszcze tam był? Ktoś, kto nazywał się Best? Hobson Best?

- Nigdy o nim nie słyszałam.

Nie była pewna, czy powinna jej wierzyć. Z drugiej strony, myśl, że zawodowy zabójca przysłany przez DeserTek zadawałby się z miejscowymi ćpunami, wydawała się niedorzeczna.

- Czy moja siostra zażyła coś na tym przyjęciu? Widziałaś, żeby brała jakieś...

- Chodzi ci o to, że po jednej wizycie u Coffina zrobiła się z niej kokainowa dziwka? Co jest, martwisz się, że jestem zaraźliwa?

- Nie, nie martwię się... - Ale Ruby nie wiedziała, co Jackie ma na myśli. Wiedziała tylko, czego pragnie najbardziej w świecie. - Muszę dowiedzieć się czegoś o mojej córce, proszę cię...

Wyraz twarzy Jackie złagodniał, jej blade oczy nie wydawały się już takie puste.

- Słuchaj, odłóż tę cholerną giwerę. Jestem tu, bo usłyszałam, że zaginął dzieciak Aarona i dlatego że... - Postukała się w klatkę piersiową, niczym nieprzypominającą swojej dawnej świetności - ...dlatego że, kurde, wciąż mam tu serce, wiesz?

Ruby wsunęła rewolwer do torebki.

- Przepraszam za tę broń. Ostatnie kilka dni, to dla mnie piekło i jestem zdesperowana. Szeryf uważa, że niewykluczone, iż Coffin je przetrzymuje. Mógł je zranić, w zależności od tego, jak rozwinęła się sytuacja.

- Coffin? Ten sukinsyn sprzedałby nerki własnej matki, gdyby tylko znalazł się chętny. Podobała mu się Misty, ciągle gadał „fajna dupa", co, szczerze mówiąc, mnie wkurwiało. Dylan powiedział jasno Coffinowi, że ona jest jego i bez względu na to, ile jest mu winien, ona i dzieciak są nietykalne.

Gdyby odnalazły się całe i zdrowe, gdyby okazało się, że to wszystko ma związek z jakimś układem między handlarzami narkotyków, Ruby chybaby ucałowała oszukańcze usta Dylana, zamiast skręcić mu kark.

- Czy twoim zdaniem Dylan i Misty mogą teraz być razem? Mógł zwiać od żony i zabrać moją siostrę i moją córkę w jakieś miejsce? - Jakieś bezpieczne miejsce..., pomyślała.

Jackie wzruszyła kościstymi ramionami.

- Nie wiem. Całkiem możliwe. Naprawdę powiedziałam ci wszystko, co o tej sprawie wiem.

- A co z moim domem? Ty i twoi przyjaciele kiedykolwiek byliście w moim domu? - Ruby podejrzewała, że dwóch z nich nigdy tam nie zawitało.

Jackie zerknęła na okno.

- Myślisz, że Hammett już wezwał gliny? Ten gruby gnojek zawsze mnie nienawidził, oskarżał o kradzieże, a ja wcale nie kradłam.

- Mamy jeszcze kilka minut - zapewniła ją Ruby, chociaż nawet nie spojrzała na zegarek. - Więc odpowiedz na moje pytanie, Jackie. Czy kiedykolwiek byliście u mnie?

- Grasz na czas, Ruby, prawda? Próbujesz mnie wsadzić do więzienia.

- Czy kiedykolwiek byliście w moim domu? - powtórzyła ostrym tonem.

Jackie obrzuciła ją wściekłym spojrzeniem i uśmiechnęła się chytrze. Ruby szybko pożałowała tego pytania.

- Wygląda na to, że twój mąż nigdy o mnie nie wspominał, co? Nigdy nie mówił o naszej przeszłości? Tak, bywałam u ciebie. Przekradałam się przez okno na tyłach domu.

- Dlaczego mnie okłamujesz?

Wybuchnęła śmiechem, rozbawiona jej zaprzeczaniem.

- Rżnęliśmy się na całego w jego sypialni, podczas gdy mamusia i tatuś spali jak zabici na drugim końcu korytarza. Ten przybrany dzieciak też - ryliśmy ze śmiechu, słysząc, jak Sam chrapie w pokoju obok, niczego się nie domyślał, a my pieprzyliśmy się jak...

- Nie muszę tego słuchać. - Ruby mówiła sobie, że nawet jeśli to prawda, teraz nie ma znaczenia. Wtedy nawet nie mieszkała w Dogwood i nie znała swojego przyszłego męża. Kiedy Aaron dowiedział się, iż ona jest dziewicą, stwierdził, że jego zdaniem to jest słodkie, ale sam nigdy nie udawał świętoszka, nigdy nie okłamywał ją w tych sprawach.

Jednak szyderczy ton tej kobiety i jej obrzydliwe sugestie sprawiały, że Ruby miała ochotę wyciągnąć rewolwer z torebki i zdzielić ją w łeb.

- Nie przejmuję się - ciągnęła Jackie. - Skończyło się w mig, gdy tylko pasek zabarwił się na niebiesko.

- Kłamiesz, suko. - Ruby już sięgała do torebki, a Jackie krzyknęła i poderwała się z krzesła. Jednak wcale nie przejmowała się Ruby. Jej spojrzenie padło na parking, gdzie oficer Savoy właśnie wysiadał z oznakowanego SUV - a.

- O cholera! - Przepchnęła się obok Ruby, żeby dobiec do drzwi. - Podły szczur z tego Hammetta.

Jackie puściła się pędem przez korytarz. Nie próbowała jej zatrzymywać; wcześniej Ruby wymachiwała bronią, żeby skłonić dziewczynę do mówienia, ale mimo tego blefowania nie wyobrażała sobie, że mogłaby nacisnąć spust i zranić albo zabić kogoś, kto ucieka. Co więcej, miała wrażenie, że Jackie doskonale o tym wiedziała, bez względu na to czy była na głodzie, czy nie.

Mimo że Ruby nie interweniowała, Jackie nie zaszła daleko. Zrobiło się wielkie zamieszanie, ale nie na parkingu, jak się obawiał

Hammet, ale w jadalni, na oczach gości. Ludzie wpadli w panikę, kiedy Jackie zgarnęła w biegu nóż ze stolika. Oficer Savoy szybko dokonał oceny sytuacji i wrzasnął: „Stój, bo strzelam. Wydział Szeryfa!", po czym pognał za nią z wyciągniętą bronią.

Wyłoniwszy się z kuchni w fartuchu opasującym jej grubą talię, Anna Hammett krzyknęła na widok kobiety, która biegła w jej stronę z nożem w ręku. Klienci też krzyczeli i spychali głowy dzieci pod stoliki. Jakiś mężczyzna zaczął miotać przekleństwa pod adresem oficera, a bystra kelnerka - ta młoda, czarnoskóra kobieta, która dzień wcześniej przyprowadziła Crystal do Ruby - popchnęła krzesło tak, że zagrodziło drogę Jackie.

Spoglądała z niedowierzaniem to na oficera, to na Annę, zaskoczona sytuacją. Zawadziła o nogę krzesła, przeleciała nad nim i zwaliła się na posadzkę, wyjąc z bólu.

- Ona jest na nożu! - krzyknęła kelnerka. - O Boże, ona przewróciła się na...

- Nie! Do diabła. - Usiłując dźwignąć się na nogi, Jackie klęła i przyciskała rękę do uda, z którego tryskała krew.

Nóż upadł z brzękiem na podłogę i kelnerka natychmiast go kopnęła, żeby znalazł się poza zasięgiem Jackie.

- Uspokój się, Jackie. Proszę cię, uspokój się. - Z powagą i godnością, chociaż ciężko dysząc, oficer Savoy podszedł do rannej kobiety. Ruby podejrzewała, że już parę razy była przez niego aresztowana.

Przesunęła się do tyłu, bo już dość się napatrzyła. Czyjaś ręka dotknęła jej ramieniu.

- A ty dokąd?

Podniosła głową i spojrzała na Pauliego Hammetta.

- Mam zamiar odwiedzić twojego syna. Jackie twierdzi, że widziała go z moją siostrą. Na jakiejś imprezie. I był naćpany, Paulie. Tak samo jak kiedyś...

- Gówno prawda. Dylan już od dawna nie ma z tym nic wspólnego. - Paulie wyglądał groźnie. - Przecież nie możesz jej wierzyć. Jackie zawsze sprawiała kłopoty, odkąd zobaczyłem ją pierwszy raz. Pewnie próbuje namówić tego zadufanego glinę, Savoya, do sfabrykowania zarzutu przeciwko mojemu dzieciakowi, tylko dlatego, żeby mi dokuczyć, bo w wyborach opowiedziałem się po stronie Justine.

Paulie obejrzał się za siebie, na jadalnię, gdzie rodzice zbierali swoje dzieci, a niektórzy goście głośno domagali się przyniesienia rachunku, podczas gdy Anna lawirowała między nimi, apelując o spokój i rozsądek.

- Muszę tam wrócić, spróbować przekonać ludzi, że restauracja Hammettów jest bezpiecznym miejscem. A ty nie mieszaj w to Dylana.

- Posłuchaj, Paulie, jeśli on widział moją rodzinę, jeśli ma układ z handlarzami narkotyków...

Twarz Pauliego zrobiła się karmazynowa. Patrzył na nią gniewnie i wydawał się groźniejszy niż kiedykolwiek przedtem.

- Dylan zostawił to wszystko za sobą. Ma dopiero dwadzieścia siedem lat, a już prowadzi własną firmę remontowo - budowlaną. Poślubił cudowną dziewczynę i myślą o tym, żeby powiększyć rodzinę, dać nam prawdziwego wnuka. Chcesz mu to zepsuć, Ruby? Chcesz mu rozwalić życie, które udało mu się odbudować tak cholernie dużym wysiłkiem? Zniweczyć wszystko to, co zrobiła Anna, i moją pracę - i pracę twojej siostry też - a nie zapominajmy o tych dziesiątkach tysięcy, które wydaliśmy na odwyk i na to, żeby mógł wykupić udziały swojego szefa. Chcesz to wszystko zniszczyć, bo jakaś cholerna ćpunka coś chlapnęła?

- Oczywiście, że nie. I dlatego muszę z nim porozmawiać. Gdzie teraz mieszka?

Paulie obejrzał się na klientów i powiedział:

- No dobrze, Ruby. Dam ci adres pod jednym warunkiem.

- Jaki to warunek?

- Pistolet, którym wymachujesz, zamkniesz na klucz w szufladzie mojego biurka, żeby nikomu nie mógł zrobić krzywdy.

Rozdział 20

Blondynki to najlepsze ofiary. Są jak dziewiczy śnieg, na którym świetnie widać zakrwawione odciski stóp.

Alfred Hitchcock

Myślał, że świetnie ją rozpracował. Przerażona, słaba i prawdopodobnie niezbyt rozgarnięta: ta mała kobieta szofer powinna była przypaść do ziemi jak wystraszony królik i tam zostać, czekać, aż wyznaczy jej następny ruch. Długoletnie doświadczenie podpowiadało mu, że granie na czas powoduje, iż panika dręczy ludzi jak zaciskająca się pętla na szyi. Niepewność tylko pogarszała stan ofiary, a on robił wszystko, żeby ciągle ją zaskakiwać. Strach ofiary, poczucie bezradności były dla jego pracodawcy niemal tak ważne jak poszukiwany przedmiot.

Wiedzieli, że kiedy nadejdzie odpowiednia pora, trzeba będzie rozgłosić wieści, jakby to była ropa na wodzie, toksyczny koszmar, o którym będzie się mówić latami.

A jednak zauważył Ruby Monroe na drodze, w hałaśliwym samochodzie jej ukochanej przyjaciółki. Jechała bardzo szybko, jakby chciała uciec z miasta... albo była w trakcie wykonywania jakiegoś planu.

Wcisnął pedał hamulca w samochodzie, który wcześniej „przywłaszczył", i zrobił zawracanie na trzy. Ponieważ miał obowiązek dowiedzieć się, co planowała. I sprawić, by zrozumiała, że to on kontroluje sytuację, a ona jest kompletnie bezradna.

Musiał dać kobiecie do zrozumienia, że jej poczynania nic nie zmienią. Że jak drapieżniki tego królestwa, on będzie wymierzać śmierć zgodnie z własnymi upodobaniami.

I że kiedy to wszystko się skończy, kiedy zdobędzie ukrywany przez nią przedmiot, zostawi ją załamaną, krwawiącą: ot, jeszcze jedne zakrwawione zwłoki, którymi pożywią się mrówki i robaki, i które będą stanowić ostrzeżenie. Kolejna szansa, żeby udowodnić, iż on zawsze, bez jakichkolwiek wyjątków, robi to, co zapowiedział.

Przez większość swojego zawodowego życia Sam odgrywał rolę hakera, testując systemy zabezpieczeń dla rządów, firm i, najczęściej, instytucji finansowych. Pracował całymi godzinami, czasami nawet całymi dniami bez przerwy, sprawdzał, gdzie kryją się słabe punkty,

wycinał sobie drogę do środka, a potem zszywał brzegi tych samych luk w zabezpieczeniach, które wcześniej wykorzystał.

Ale dziś nie zamierzał poprawiać jakichś kiepskich zabezpieczeń. Zależało mu jedynie na przedarciu się przez labirynt systemów obronnych pewnego banku. Ponieważ nie miał czasu, żeby na nowo wynajdywać koło, podjął ryzyko - zalogował się i wygenerował kod, który przechował w internetowej skrytce, zanim został aresztowany. Kod, który zmodyfikował, żeby przeprowadzić atak SQL injection.

Bez pomocy Sybil można byłoby dojść do niego jak po nitce do kłębka, gdyby odkryto włamanie i gdyby śledztwo w sprawie ataku przeprowadził ktoś kompetentny. Sam oceniał, że jego akcja byłaby warta co najmniej dwadzieścia lat w areszcie, ponieważ federalni mieli zerowe poczucie humoru, jeśli chodziło o włamania do banków.

A wszystko to dla jakiejś kobiety, kobiety i dziecka po Aaronie, który doprowadził do wyrzucenia Sama z jedynego stabilnego domu, jaki ten znał. Sam prawie słyszał pokrzykiwania swojego adwokata, wyobrażał sobie, jak tamten wyzywa go od głupich gringo. I prawie że widział samego siebie, kiwającego głową na znak, że się z nim zgadza.

Bo rzeczywiście poszedł na całość, utwierdził się w przekonaniu, że utrzymywanie własnej, dość żałosnej egzystencji nie jest aż tak istotne, skoro na drugiej szali znajdowało się bezpieczeństwo dwóch kobiet i dziecka.

Java skamlała i szurała łapami, a potem posłała mu cierpiętnicze spojrzenie labradora, który ma pełny pęcherz. Chociaż nie chciał przerywać pracy, jednak wstał od stołu, pieszczotliwie podrapał psa za uchem, a potem wyprowadził najlepszego przyjaciela na dwór.

Dopiero w tym momencie zauważył, że chociaż niebo jest czyste, zaczyna ciemnieć. Czy nie powinien już mieć wiadomości od Ruby?

Wróciwszy do domu, skorzystał z przysłanego przez Sybil telefonu i zadzwonił do Ruby. Poczuł ulgę, kiedy odebrała po drugim dzwonku.

- Halo?

- Tu Sam. - Wyczuwał, że jest zaniepokojona. - Dowiedziałaś się czegokolwiek? Spotkałaś się z tą dziewczyną?

- Tak, i była niezła jazda. Przekazała mi pewne informacje. - Ruby szczegółowo streściła rozmowę, włącznie z twierdzeniem kobiety, że

Misty była w związku z Dylanem Hammettem, który przypuszczalnie wrócił do nałogu.

- Paulie na pewno się wścieknie. - Sam domyślał się, że Paulie i Anna mocno nadszarpnęli finansowe zasoby, żeby ich syn mógł kupić Tex - Appeal Exteriors. A mimo że Paulie Hammett był człowiekiem zamożnym, nie lubił rozstawać się z pieniędzmi.

- Już się wściekł, ale to, czy Jackie mówiła prawdę, zaraz będę miała okazję sprawdzić. Jestem teraz na osiedlu Dylana.

- Jedziesz do niego? Zadzwoniłaś do niego, upewniłaś się, że jest w domu?

- Bałam się, że jeśli go uprzedzę, od razu zwieje przede mną - przyznała - zwłaszcza jeśli jest z nim żona.

- Holly uważa go za chodzący ideał - przestrzegł ją Sam, przypominając sobie, jak szczęśliwa i pełna życia była ta pogodna brunetka na swoim weselu. I wyobrażał sobie, jak jej radość gaśnie jak paląca się zapałka upuszczona do wody. - Więc może lepiej spróbuj się z nim spotkać w cztery oczy, bo inaczej w ogóle nie będzie chciał gadać.

Sam uświadomił sobie, że Dylan prawdopodobnie i tak by nie chciał rozmawiać. Ludzie przyłapani na powrocie do uzależnienia często kłamali. Pomyślał o swoim ojcu, łamiącym kolejne obietnice. Pomyślał o tym, jak jego klęski - włącznie z przemocą fizyczną, której się dopuszczał - sprawiały, że w oczach matki gasło światło.

- Postaram się, żeby Dylan porozmawiał ze mną. - Jakoś go przekonam. Oczywiście pod warunkiem, że nadal tu jest. Że nie uciekł gdzieś z moją rodziną.

- Spróbuję go namierzyć od tej strony, na wszelki wypadek go sprawdzę.

- Jeszcze jedna rzecz. Miałam dziwny telefon od faceta z personelu DeserTek, nazywa się Graham Michael Worth. Twierdzi, że mają tego flashdrive'a.

- Co? - Mózg Sama zaczął intensywnie pracować. Jeżeli DeserTek naprawdę miała tego flashdrive'a, to w jakim celu jej ludzie decydowaliby się na coś tak drastycznego jak porwanie? - Jesteś pewna, że ten Worth pracuje dla DeserTek?

- Absolutnie pewna. I też nie mogłam tego pojąć. Najpierw zagroził mi konsekwencjami prawnymi, jeżeli nie będę trzymać buzi na kłódkę, a potem zaproponował mi pięćdziesiąt tysięcy „premii",

jeżeli podpiszę kolejną umowę o poufności. Mówił w taki sposób, że nie mogłam zorientować się, czy proponuje bezpieczeństwo mojej rodziny, czy nie ma pojęcia, co tak naprawdę się dzieje.

- Co mu powiedziałaś?

- Bałam się za dużo ujawnić, więc powiedziałam, że podpiszę wszystko, co zechce. Zależy mi wyłącznie na bezpieczeństwie moich bliskich.

- To jest naprawdę dziwne - stwierdził Sam. - Zastanawiam się, kto... Do diabła, nie mam pojęcia, co o tym myśleć. Czy to może być taki przypadek w firmie, kiedy lewica nie wie, co robi prawica?

- To logiczne, że taką wiedzę miało tylko kilku najważniejszych graczy. Bóg jeden wie, co się stanie, kiedy przyrodni brat Elysse odkryje, że jego firma była zamieszana w jej śmierć. Czy wiedziałeś, że Jeremy pracuje dla DeserTek? Pomógł paru ludziom z okolicy zaczepić się u nich.

- Bray? - Sam przypomniał sobie tego dupka z liceum. Nie było to przyjemne wspomnienie. Trzeci bazowy miał ksywkę „Łamignat" z racji licznych obrażeń, które powodował na boisku. Jeremy szybko zorientował się, że Sam jest akurat tym McCoyem, który nie może sobie pozwolić na odgryzanie się. I szybko tę okoliczność wykorzystał. - Nie dziwi mnie, że DeserTek chciała zatrudnić takiego oprycha.

- Jest teraz inżynierem od zabezpieczeń. W dalszym ciągu zachowuje się trochę jak palant - uwielbia kreować się na pana i władcę wobec każdej osoby, której pomógł - ale rzeczywiście uruchomił trochę znajomości i zadbał o to, żebym miała dobry start.

- To dopiero była przysługa - skonstatował ironicznie Sam. Nastąpiła długa przerwa, a potem odezwała się Ruby:

- Posłuchaj, jestem już prawie pod domem Dylana. Dlatego spróbujmy zastanowić się nad tym wszystkim później.

- Zadzwoń do mnie, kiedy tylko z nim pogadasz. I chcę, żebyś była ostrożna. Dlatego że w obecnej sytuacji Dylan Hammett ma wiele do stracenia.

- A ja mam wiele do odzyskania. - Ruby była zawzięta, pełna determinacji. - Więc może to on powinien uważać.

Rozdział 21

Morderstwo bowiem, choć nie ma języka, Przemawiać umie sposobem cudownym.

William Szekspir

(William Szekspir Tragiczna historia Hamleta, księcia Danii. Przeł. Maciej Słomczyński. Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1978.)

Zanim Ruby znalazła właściwą ulicę, cienie mocno już się wydłużały, ale było dość jasno, żeby przekonać się, iż Dylan mieszka na nowym osiedlu, a sporo domów jest jeszcze w budowie. Jak na Dogwood było to luksusowe osiedle; przy wejściu stał dumnie wielki kamienny znak i fontanna, której strumień nieustannie oblewał słowa „Apartamenty Lakeview Village". Ruby zauważyła też, że większość starych drzew, włącznie z rozłożystymi, sędziwymi dębami, nie została zniszczona przez buldożery, jak to często bywało na mniej kosztownych placach budowy.

Albo nowa żona miała dużo pieniędzy, albo firma budowlana Dylana przynosiła znacznie większy dochód, niż zakładała Ruby; nigdy nie oczekiwała, że kiedykolwiek będzie mogła zamieszkać w takiej dzielnicy.

Ładny jednopiętrowy dom Hammettów z garażem na dwa samochody stał w jednym z najwyżej usytuowanych punktów w Preston County. Dylan i jego narzeczona dobrze wybrali miejsce, tyły domu wychodziły na szeroką, połyskującą odnogę dużego jeziora kilkadziesiąt metrów niżej. Co więcej, teren za domem był niemal nieskażony cywilizacją, a to dzięki zalesionym terenom na przeciwległym brzegu, które miały status rezerwatów przyrody.

Ruby, gdyby miała lornetkę, mogłyby wyszukać dwa wyjątki od tej reguły: sąsiadujące ze sobą działki, gdzie dom Sama wciąż zdawał się stać na straży ruin jej domu. Motorówką ktoś - powiedzmy, niewierny mąż - mógł dotrzeć do tych zgliszczy od przystani osiedla w niespełna dwadzieścia minut, aczkolwiek na tej samej trasie jazda samochodem zajęłaby dwa razy więcej czasu.

Zastanawiała się, czy Dylan ma łódkę, ale szybko uświadomiła sobie, że trudno byłoby znaleźć kogoś, kto dorastał w tej okolicy i nie miał łódki. Zwłaszcza mężczyznę, od dzieciństwa wykonującego rozmaite prace związane z firmą Hammettów, włącznie z konserwacją

łodzi i pływaniem z turystami, na długo przed dniem, w którym Dylan przećwiczył cierpliwość Pauliego o jeden raz za dużo.

Patrząc na dom, starannie utrzymany trawnik i rabaty pełne wiosennych kwiatów, Ruby zaczęła powątpiewać, że właściciel domu powrócił do nałogu. Ludzie uzależnieni nie grabili ziemi i nie usuwali chwastów, nie kosili i nie wyrównywali trawników. Jednak kiedy podeszła do frontowych drzwi, zauważyła bardziej subtelne oznaki, że miejsce jest zapuszczone. Na białym podjeździe walały się nierozpakowane, pożółkłe gazety. Wszystkie rolety były zasunięte, na parapetach leżały wysuszone pancerzyki martwych much, a przy wejściu rozpościerały się delikatne nici pajęczyn.

Czy to znaczyło, że coś było nie w porządku, personel sprzątający nie był w stanie czegoś uprzątnąć albo zasłonić? A może nowożeńcy byli bardziej zafascynowani sobą nawzajem niż domowymi porządkami?

Słusznie, pomyślała Ruby, bo w jej hierarchii seks stał znacznie wyżej niż doglądanie domu. Nie żeby go uprawiała, odkąd Aaron... Nawet nie umawiała się na randki od czasu, gdy on...

Poczerwieniała na twarzy, uświadomiwszy sobie, że po raz pierwszy w życiu to nie mąż stał się obiektem jej seksualnych fantazji, lecz Sam McCoy, który narażał swoją wolność, żeby pomóc jej rodzinie - Sam, który troszczył się o nią, żeby spała i jadła, i którego pocałunek rozpalił długo tłumione pragnienia w najbardziej nieoczekiwanym momencie. Chociaż w tamtej chwili miała wrażenie, że pocałunek muska jej usta delikatnie jak ważka, to wciąż czuła trzepotanie jej skrzydeł: przezroczystych, ciągle w ruchu, i sprawiających, że miłe wrażenie ciepła pojawiało się w miejscach, o których istnieniu już prawie zapomniała.

„McCoyowie kradną, wszyscy o tym wiedzą". Głos Elysse szeptał w jej pamięci, przypominał i ostrzegał: „Jeśli nastawiasz się na coś innego, to możesz mieć pretensje tylko do siebie".

Ogarnął ją smutek, przez chwilę nie była w stanie oddychać, łzy stanęły jej w oczach. Opanowała jakoś emocje i zmusiła się do naciśnięcia dzwonka.

Ponieważ nikt nie podchodził do drzwi, domyślała się, że mogli wyjechać na wakacje. Albo oboje pracowali do późnych godzin. Albo... Zaczęła sobie wyobrażać zupełnie niedorzeczny, ale bardzo wyrazisty scenariusz: młoda para pakuje się do dużego samochodu

wraz z Misty i Zoe i jedzie na Florydę, żeby spędzić tam wakacje pod znakiem Disneya.

Wyciągnęła z torebki komórkę i zadzwoniła do restauracji, prosząc do telefonu Pauliego.

- Masz numer Dylana do pracy?

- Nie ma go jeszcze w domu?

- Nikt nie odpowiada. Nie mówił ci, że dokądś wyjeżdża?

- Nie, ale prawdę powiedziawszy, nie widziałem go od paru tygodni. Jest bardzo zajęty, jesteśmy zajęci - to nie znaczy, że chłopak ma kłopoty - pośpiesznie zapewnił Paulie. - To nie znaczy nic, do cholery, z wyjątkiem tego, że on i Holly wolą trochę prywatności od rodzinnych wizyt.

Nie miała ochoty wysłuchiwać gadek Hammetta.

- Nie twierdzę, że to cokolwiek znaczy, ale co z tym numerem? Mam dzwonić do informacji?

- Nie musisz na mnie warczeć. Dam ci numer jego komórki. Używa go w sprawach firmy.

Wyrecytował numer, a Ruby zapisała wiecznym piórem na wierzchu dłoni.

- Kiedy do niego zadzwonisz, nie czepiaj się - ostrzegł Paulie. - Mam w dupie, co ci powiedziała ta zdzira Jackie. Mój chłopak nie ma nic wspólnego ze zniknięciem twojej siostry i Zoe. Absolutnie nic. Słyszałaś?

- Jasne, Paulie - powiedziała Ruby. Tak się wydzierał, że chyba słyszała go połowa Dogwood. - Skoro mowa o Jackie, jak ona się czuje?

- Zabrali ją do szpitala, ale niedługo znajdzie się w okręgowym więzieniu. Żeby taką zabić, nie wystarczy ciachnąć udo. - W głosie Hammetta można było wyczuć niemal rozczarowanie.

Podziękowała mu za informację, zakończyła rozmowę i wystukała numer Dylana, a potem odwróciła się, słysząc odgłos przejeżdżającego samochodu. Kiedy starszy model forda mustanga z przyciemnionymi oknami zniknął za rogiem, znów skoncentrowała uwagę na telefonie.

Po czterech sygnałach u Dylana włączyła się poczta głosowa. Ruby zawahała się, nie mając pewności, czy powinna nagrać wiadomość, która mogłaby spłoszyć Dylana. Jednak zanim podjęła

decyzję, włączyła się automatyczna sekretarka: skrzynka klienta jest zapełniona, proszę zadzwonić później.

Zmarszczyła brwi. Żałowała, że nie poprosiła o numer żony Dylana, tylko że Paulie zapewne i tak kazałby iść Ruby do diabła, a poza tym jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić, że zapytałaby kompletnie obcą osobę: „Czy twój nowy mąż posuwa moją siostrę? Czy ostatnio natknęłaś się w bieliźniarce Dylana na amfę albo kondomy? Albo może nie kondomy. Myślę sobie, że mógł wcale ich nie używać z Misty".

Ależ jest niemądra, skoro pozwalała, by nadmierna wrażliwość stanowiła przeszkodę w osiągnięciu celu. A może nie chodziło o to, może po prostu Ruby dobrze pamiętała czasy, kiedy była świeżo poślubioną żoną i całkowicie ufała mężowi. Kojarzący się ze świtem blask dnia przydawał przeszłości ciepła i koloru, idealizował wspomnienia czasów, kiedy jeszcze nie mieli kłopotów finansowych i ich szczęścia nie zmąciła śmierć rodziców Aarona... Jak głupia, założyła, że został im czas, żeby wszystko odbudować, i w ogóle nie podejrzewała, iż czekają ją kolejne tragedie.

Sam nie miał czasu do stracenia, pobrał wszystkie pliki z danymi, które zdołał zdobyć, zanim ktokolwiek mógłby się zorientować, po czym zamknął system. Miał dostęp nie tylko do szczegółowej informacji o kontach Misty Bailey i Ruby Monroe, ale także o kontach wielu mieszkańców Dogwood, którzy prowadzili interesy z największym bankiem w mieście.

Na jego liście figurowały znane rodziny reprezentujące różne profesje, od stróżów prawa po polityków i liderów lokalnego biznesu. Podzieliwszy ekran monitora, wyświetlił dwa zestawy danych i uważnie je porównywał, a potem przejrzał kilkanaście kolejnych...

Natrafił na pewną parę, zaklął i natychmiast sięgnął po telefon, żeby zadzwonić do Ruby. Musiał ostrzec, że grozi jej niebezpieczeństwo z zupełnie nieoczekiwanej strony.

Nie chcąc, żeby ktokolwiek widział jej wilgotną twarz, Ruby nie odwróciła się w stronę samochodu, który przejeżdżał za jej plecami. Czekała, aż samochód przejedzie, i przyglądała się domowi.

Ponieważ jedyną oznaką życia okazały się dwie wiewiórki, Ruby postanowiła obejść dom dookoła. Ale najpierw stanęła z boku i wspięła się na palce, żeby zajrzeć przez malutkie szpary między roletą i okienną ramą. Pokoje wewnątrz wydawały się ciemne i nawet kiedy

osłaniała oczy, żeby zablokować coraz słabsze światło, nic nie mogła zobaczyć.

Była już prawie na podwórzu, kiedy usłyszała hałas. Jakby szczęknięcie, ale nie miała pewności, z której strony dochodził. Znieruchomiała, serce mocno jej biło; rozejrzała się dookoła; lekki wiatr poruszał gałęziami drzew i niósł głosy dzieci, które być może bawiły się na sąsiedniej ulicy. Czy hałas, który ją spłoszył, to było uderzenie kijem baseballowym w piłkę? A może opona roweru sunącego po żwirze?

Żadna z możliwości nie wzbudziła jej niepokoju, dlatego szła pewnie wzdłuż klombu obsadzonego białymi azaliami, w stronę podwórka na tyłach domu. Tam zobaczyła patio, a także duże okna, które nie były zasłonięte, żeby nowożeńcy mogli rozkoszować się wspaniałym widokiem jeziora u stóp wzgórza.

Chociaż zachód słońca, rozpoczynający się właśnie z tej strony, zapowiadał się bajkowo, Ruby nie była zainteresowana kontemplowaniem widoku. Szybko podeszła do okien i stanęła jak wryta, widząc, że wejściowe drzwi od tyłu są otwarte na oścież.

Serce zaczęło bić ostrzegawczym staccato. Czy ktoś ukrywał się w środku, ktoś, kto zignorował dzwonek u drzwi? Czy ten sam człowiek mógł obserwować jej spacer wokół domu?

To nie miało sensu, bo gdyby ktokolwiek ją zobaczył, czy nie zamknąłby tylnych drzwi na klucz? Poza tym kiedy zajrzała przez duże okna do środka, nie dostrzegła żadnego światła.

Zauważyła jednak, że wnętrze wyglądało tak, jakby przeszedł przez nie huragan/Starała się zachowywać ostrożnie, ale ciekawość wzięła górę i Ruby podeszła jeszcze bliżej, tak że mogła przycisnąć twarz do szyby.

Wszystkie szafki w kuchni były pootwierane, a ich zawartość wysypano na blaty, skorupy naczyń leżały rozbite na posadzce. Szuflady, chyba podwójnej komody, zostały wyciągnięte i wyrzucone do salonu, a ponadto ktoś pociął poduszki dużej i chyba zabytkowej sofy, poprzewracał doniczki z kwiatami. Ruby zaparło dech w piersiach. Instynktownie cofnęła się o krok i w tym momencie zobaczyła akwarelowy widok odbitego blasku zachodzącego słońca...

A także ciemniejsze odbicie postaci dużego mężczyzny, który podbiegał do niej od tyłu.

Krzyknęła, odwróciła się do niego twarzą i odruchowo schyliła, widząc jakiś przedmiot - może kij baseballowy - którym mężczyzna się zamachnął. Unik ocalił jej czaszkę, ale zanim zdążyła odsunąć się od napastnika na bezpieczną odległość, rzucił się na nią i straciła równowagę.

Kątem oka dostrzegła tatuaże, a potem linia horyzontu przechyliła się i Ruby uderzyła tyłem głowy o szybę okna. Osunęła się, jakby on wyrwał jej kręgosłup. Kiedy leżała na betonie, oślepiona bólem, który poraził całe ciało, poczuła, że szorstkie ręce zaplątują się w jej ubranie, usłyszała czyjeś odrażające dyszenie i rozdzieranie jej koszuli.

Gdy ręce dobrały się do suwaka jej dżinsów, z gardła wydobył się niemy krzyk niepohamowanej wściekłości - to nie miało się zdarzyć. Poczuła skok adrenaliny; drapała i kopała, wbiła zesztywniałe palce w oko napastnika.

- Pieprzona suka! - ryknął. Chwycił ją za porwany kawałek koszuli i trząsł nią jak terier przynoszący w pysku gryzonia.

Starała się podciągnąć kolana i z całej siły kopnąć go w żebra, ale napastnik uderzył ją na odlew tak mocno, że znów zobaczyła fajerwerki o barwach czerwieni, bieli i sinego fioletu.

Zanim kolory zniknęły, Ruby poczuła coś jeszcze - trzask, tak głośny, jakby obok niej uderzył piorun. Trzask nie pachniał jednak świeżym ozonem, ale ostrym swądem spalenizny, która zdawała się krzyczeć do niej: Kule!

A potem cicho szepnęła...

Śmierć.

Rozdział 22

Nie godzę się, by grzebano bijące serca w ziemi, Chociaż to los jest wspólny tych, którzy się rodzą. W ciemność zstępują mądrzy i piękni. Ozdobieni kwiatem lilii i liściem lauru, lecz ja się nie godzę.

Edna St. Vincent Millay

(Edna St. Vincent Millay „Tren bez akompaniamentu". Przeł. Halina Poświatowska. [W:] Julia Hartwig, Dzikie brzoskwinie. Warszawa: Wydawnictwo Sic!, 2003, s. 54.)

Kiedy Sam wciskał z całej siły pedał gazu yukona, w głowie wciąż słyszał głos Pacheco, wdzierał mu się do mózgu pełny bluźnierstw pastisz przygranicznego slangu i angielszczyzny. „Próbujesz wysłać mnie na Tahiti na moje następne wakacje, ese? Bo kopiesz sobie najgłębszą pieprzoną dziurę, jaką kiedykolwiek widziałem. Estupido! Cabron! Bierz dupę w troki i wracaj do siebie".

Wyobrażał sobie adwokata jako paradującego dumnie, wąsatego Gadającego Świerszcza. Zanim w umyśle rozdeptał swoje „sumienie" butem.

- Teraz nie ma drogi odwrotu - burknął i wjechał w ostry łuk. Skręcił SUV-em tak gwałtownie, że tuman żwiru uderzył w bok czarnego mustanga, który przemknął obok Sama i wyjechał z osiedla.

Sam wiedział, że jest za późno, wiedział, że FBI w najlepszym razie będzie tak zajęta wsadzaniem go do więzienia i kwestionowaniem jego motywów, że zbyt wolno zareaguje na to, co będzie miał tej agencji do powiedzenia. Było za późno również dlatego, że podejrzewał, iż informacje dotrą do szeryf Wofford, której stan kont bankowych ostatnio rósł.

Ale przede wszystkim było za późno dlatego, że nie wyobrażał sobie, iż mógłby odwrócić się od Ruby, kobiety, która nie tylko powierzyła mu swoje życie, ale także osób, które znaczyły dla niej najwięcej. Może to ta sama ufność obaliła wszystkie mechanizmy obronne, jakie zgromadził przez lata, żeby móc znieść podejrzenia. A może po prostu uznał, że jego samotność nie jest warta ceny, jaką płacił, odgradzając się od ludzi.

Bez względu na to, jaki był powód, nie wahał się ani chwili, kiedy Ruby nie odebrała jego telefonu. Złapał laptopa i flashdrive'a. Zostawienie ich byłoby zbyt ryzykowne. Zawołał Javę, która zapewne umilałaby sobie godziny samotności w domu i pożarła coś, co by ją

zabiło, po czym wskoczył do yukona. W czasie jazdy zadzwonił do Pauliego, żeby zdobyć numer telefonu i nowy adres Dylana.

Nie tylko na kontach Justine Wofford zauważył niezwykły ruch. W wypadku młodego Hammetta ruch było ściśle skorelowany z wypłatami z kont, które kontrolowała Misty Bailey. Rozmaite kwoty, od czeku na piętnaście tysięcy po mniejsze wpłaty w gotówce, które wpływały na konto Dylana Hammetta, chroniły go przed bankructwem.

Co znaczyło, że ten głupi łajdak nie ucieszyłby się, gdyby Ruby odwiedziła go i zaczęła zadawać pytania. Nie wydawał się skłonny do przemocy, ale Bóg jeden wiedział, do czego mógłby się posunąć, gdyby został przyparty do muru i za wszelką cenę chciał uciec. Zwłaszcza jeżeli zabił Misty - może nawet przypadkowo, żeby dziewczynę uciszyć, kiedy już całkowicie ją oskubał.

Sam zwolnił, sprawdzał numery na domach, ale kiedy robił zakręt, zauważył biały samochód Elysse, zaparkowany pod latarnią. Poczuł uścisk w żołądku, zerknął na ciemny dom, ale nie zobaczył ani Ruby, ani żadnej innej osoby.

Wjechał za samochód Elysse, spróbował dodzwonić się do Ruby, a potem do Dylana, i zaparkował wóz. Włączyła się poczta głosowa. Zostawił Javę w yukonie i wysiadł.

Zrobił dwa kroki, ale zawrócił po latarkę. Kiedy otworzył tylne drzwi, sunia zwęszyła okazję i wyskoczyła z wozu. Sam był wściekły, bo narobiła hałasu szczekaniem, ale nie łapał psa, zmarnowałby zbyt dużo czasu. Przede wszystkim mężczyzna uganiający się za spuszczonym ze smyczy psem był mniej groźny niż obcy intruz, przemykający z latarką wokół ciemnego domu. Żeby wzmocnić to wrażenie, zagwizdał na Javę, która szalała z radości że po dniu spędzonym w domu wreszcie może pobawić się w nową grę.

Głośno zapukał do drzwi, a potem jeszcze zadzwonił. Nie doczekawszy się reakcji, zawołał głośno:

- Dylan? Dylan, tu Sam McCoy. Zeszło mi powietrze z opony, stary. Pomożesz mi?

Uważnie nasłuchiwał, ale do jego uszu dochodziło tylko bzyczenie owadów i skrzypienie otwierających się gdzieś w pobliżu automatycznych drzwi garażu. Nie mógł zobaczyć nic w środku, dlatego zdecydował się obejść dom. Java rozdokazywana, z wywieszonym językiem biegła przed nim.

Sam zauważył w trawie jakiś przedmiot. Podniósł telefon komórkowy i rozpoznał futerał Ruby, w kolorze wiosennej zieleni... a potem, parę kroków dalej, zobaczył pęk kluczy, wśród których był klucz z logo Toyoty.

- A niech to. - Zaschło mu w ustach. Zgarnął klucze i zaraz usłyszał dziwny odgłos, dochodził zza rogu, jakby ktoś jęczał.

Java stała, cicho powarkując, sierść zjeżyła jej się na grzbiecie. Przebiegła parę kroków, ale stchórzyła, skuliła się i schowała za swoim panem, Sam zgasił latarkę, przywarł do ziemi i się czołgał. Chociaż strasznie bał się o Ruby, nie chciał biec na oślep i znaleźć się w sytuacji, której nie rozumiał i którą mógł jeszcze pogorszyć.

Ale cichy, kobiecy płacz sprawił, że Sam zapomniał o środkach ostrożności.

- Ruby? - zawołał, włączył latarkę i rzucił się pędem za róg. Miotał się jak szalony, rozglądając się za kobietą.

Wreszcie jasny snop światła zatrzymał się na półnagiej, zakrwawionej ludzkiej postaci; leżała obok okna na tyłach domu. Wykonywała nieskoordynowane ruchy, usiłowała dźwignąć się na dłonie i kolana.

Wpatrywał się w nią z przerażeniem, nie był w stanie pojąć, co tak naprawdę widzi, oszołomiony widokiem pochylonego karku kobiety i ociekających czymś włosów.

Wreszcie odwróciła twarz i Sam miał wrażenie, że to on zaraz umrze ze strachu.

- Misty? - Padł na kolana. - Misty? Czy to ty?

Muszę dotrzeć do powierzchni. Przebić ją. Zrzucić łańcuchy z nóg i podpłynąć do góry, w stronę powietrza i światła. W stronę życia.

Ale ból tworzył grubą warstwę wokół niej. Grubą i ciężką jak oślizgła kupa gnijącej roślinności, kleista niczym smolisty szlam; wsysał jej stopy i ściągał ją na dno Jeziora Kości.

Czuła, że nogi zapadają się coraz głębiej, czuła, jak ciało prześlizguje się przez warstwy ciemnej mazi. Wpadła w panikę, próbowała stawić opór, ale jej wysiłek był daremny, pogrążała się, aż została czerń, którą przełamywała tylko szydercza twarz księżyca w pełni.

Rozdział 23

Światło księżyca jest dziwnie niepokojące; ma w sobie beznamiętność odcieleśnionego ducha i coś z jego niepojętej tajemnicy.

Joseph Conrad

(Joseph Conrad, Lord Jim. Przeł. Aniela Zagórska. Warszawa: PIW, 1968, s. 271.)

Sam odruchowo wyciągnął rękę, żeby pomóc wstać kobiecie. Wzdrygnęła się przed dotknięciem i zwiesiła głowę, jęcząc z bólu.

- Spokojnie. To ja, Sam. - Odgarnął zesztywniałe włosy z jej twarzy. - Misty, czy jesteś... Czy Zoe nadal jest...

Gdy otworzyła oczy, zaparło mu dech w piersiach, bo zrozumiał, że kombinacja nietypowego oświetlenia, strachu i genetycznego podobieństwa sprawiła, iż popełnił błąd. To była Ruby.

Czuł i ulgę, i przerażenie. Położył rękę na jej nagich plecach. Unikał najbardziej krwawiących miejsc, żeby nie zadawać jeszcze więcej bólu. Odepchnął skamlącą Javę.

- Dzwonię po pomoc, Ruby; ktokolwiek to zrobił, już go tu nie ma. Nie ruszaj się, leż spokojnie, oddychaj.

- Tak głęboko - jęczała. - Pod wodą. Brakowało powietrza. Nie mogłam...

- Jesteś daleko od jeziora. - Przy świetle latarki, szukał głębokich ran na ciele Ruby, śladów kuli, jakiegoś dużego skaleczenia, które tłumaczyłoby, dlaczego Ruby jest tak zakrwawiona i dlaczego na betonie utworzyła się wielka kałuża krwi. Gdyby znalazł ranę, mógłby ją ucisnąć, zatamować krwotok i zadzwonić po karetkę.

Masz nie pozwolić jej umrzeć.

Chociaż oglądał ciało Ruby dokładnie, nic nie znalazł.

- Gdzie jesteś ranna, Ruby? Co ci zrobił Dylan? - Miał ochotę udusić tego drania, zbić mu gębę na miazgę - a kiedy dostrzegł rozpięte dżinsy Ruby, do targającej nim wściekłości i okropnego lęku dołączyły jeszcze młodości.

Dotknęła tyłu głowy i skrzywiła się z bólu.

- Nie Dylan. To był tamten facet z domu, ten straszny człowiek z szóstkami na twarzy. Zobaczyłam jego odbicie, gdy rzucił się na mnie. Próbowałam uciec, ale kiedy na mnie skoczył, uderzyłam głową w okno.

Sam skierował światło latarki na okno i zobaczył plamę krwi, do której przykleiło się kilka włosów. Pół metra w lewo i trochę niżej w szybie była dziura wielkości piłki. Miał wyobrażenie o bałaganie, który musiał panować w środku, szybko oświetlił kobietę...

Tymczasem ku jego zdumieniu Ruby usiadła; obejmowała kolana i drżała.

- Słyszałam wystrzał - powiedziała, zaskakująco przytomnym głosem. - Ale nie jestem pewna, musiałam stracić przytomność. On i ja... walczyliśmy. Broniłam się, nie mogłam mu pozwolić, żeby zdarł ze mnie ubranie. Próbowałam... próbowałam go powstrzymać, ale on... Powinnam była go zmusić, Sam. Powinnam była.

Samowi serce się krajało na widok jej oczu, na myśl o tym, że prawdopodobnie padła ofiara gwałtu. Zdjął koszulę i narzucił na nią.

- Boże, Ruby. To nie twoja wina. Przecież nie byłabyś w stanie... Wytrzymaj jeszcze minutę, a ja zadzwonię, gdzie trzeba.

Zaczął wciskać klawisze, ale ona chwyciła go za przedramię zakrwawioną ręką.

- Proszę, nie rób tego - błagała. - Nie chcę, żeby ktokolwiek...

Uciszył ją, bo zaczął mówić dyspozytor. Ponieważ użył swojego telefonu satelitarnego zamiast komórki Ruby, trzeba było go przełączyć na dyspozytornię Preston County.

- Nie jestem ranna, Sam, naprawdę - upierała się Ruby, gdy on czekał na połączenie. Ostrożnie wsunęła rękę do rękawa koszuli. - Żadnych skaleczeń, żadnej krwi, tylko ten guz na głowie.

Nie rozumiesz? To nie jest moja krew. Gdybym straciła jej aż tyle, już bym nie żyła albo byłabym cholernie blisko śmierci.

- Będą musieli zrobić ci parę prześwietleń - odparł, czekając na połączenie. - No i będziesz musiała przejść badanie... test na wykrywanie śladów gwałtu.

Pokręciła głową i skrzywiła się, zaczęła rozcierać szyję.

- Nie wydaje mi się, żeby ten drań mnie zgwałcił. Sadzę, że nie miał dość czasu, zanim ktoś go zastrzelił.

Sam zwrócił uwagę na sporą dziurę w oknie, która mogła być od kuli. A zatem gdzie był wytatuowany mężczyzna? I co się stało z człowiekiem, który najprawdopodobniej go zastrzelił?

- Dziewięćset jedenaście dyspozytornia - usłyszał głos operatora. - Jaki jest problem?

- Potrzebuję karetki. Kobieta została ranna na...

- Nie. - Ruby wyrwała mu telefon, zanim zdążył podać adres, i przerwała połączenie.

- Nie mogę sobie pozwolić na marnowanie czasu w szpitalu albo w jakimś chrzanionym pokoju przesłuchań, gdzie będę musiała odpowiadać na niekończące się pytania. On ma zadzwonić dziś wieczorem. W sprawie tego, co chce dostać w zamian za moją rodzinę.

Zamiast się spierać, Sam zapytał:

- A więc naprawdę sądzisz, że ktoś zastrzelił faceta, który ciebie zaatakował?

- Słyszałam huk, kiedy traciłam przytomność. I kiedy patrzę na tę kałużę krwi, to myślę, że ktoś cierpi bardziej niż ja. Ale ciekawa jestem, dokąd on poszedł. Nie wyobrażam sobie, żeby był w stanie biec.

- Chyba że powlókł się w jakieś inne miejsce i tam skonał, albo może snajper miał powody, żeby zabrać go ze sobą... - Sam przerwał, bo Ruby próbowała wstać. - Leż, Ruby. Nie mamy pojęcia, gdzie jest snajper ani jak poważne są twoje obrażenia.

- Prawdopodobnie lekkie wstrząśnienie - Skrzywiła się z bólu rozcierając głowę. - Znam objawy. Studiowałam pielęgniarstwo.

Dał za wygraną i wziął ją za rękę, żeby pomóc wstać.

- W takim razie powinnaś wiedzieć, że wstrząśnienie może się bardzo źle skończyć.

- O to będziemy martwić się później, kiedy już stąd odjedziemy. Ktoś jeszcze mógł usłyszeć ten strzał i zawiadomić szeryfa. - Poklepała się po biodrach, zobaczyła, że jej kieszenie zwisają, wywrócone na lewą stronę. - Co się stało z moimi kluczami?

- Znalazłem je obok domu, razem z twoim telefonem.

- Pewnie ma też moją kartę kredytową. Może właśnie na niej mu zależało, a nie na gwałcie.

Sam podejrzewał, że być może napastnik szukał flashdrive'a.

- Proszę, daj mi klucze - powiedziała stanowczo.

- Jeśli myślisz, że pozwolę ci prowadzić...

- Nie zamierzam porzucić samochodu Elysse. - Mimo że posiniaczona i zakrwawiona, była w tym momencie żywym wcieleniem uporu.

Ale trafiła na godnego siebie rywala.

- Elysse nie żyje, Ruby, i nie mam zamiaru dawać ci kluczyków. A teraz pozwól, że pomogę ci wsiąść do mojego wozu i wynośmy się stąd, zanim ktoś się tu przypałęta.

Wyrwała się z jego uścisku, ale po kilku niepewnych krokach pochyliła się, stękając z bólu. Chwycił ją za rękę, żeby nie upadła.

- No dobrze. - Rzuciła mu zawstydzone spojrzenie.

Kiedy przychodzili obok domu, Sam rozglądał się, wypatrywał na ziemi karty kredytowej Ruby, czy nie została wyrzucona razem z innymi rzeczami.

Złapała go za rękę i szepnęła:

- Sam. Słyszysz?

Najpierw do uszu Sama dobiegł jakiś mechaniczny dźwięk, który przypominał mu borowanie u dentysty, ale zaraz zorientował się, że to warkot silnika na jałowym biegu. Jedyne, co był w stanie dostrzec, to ciemny zderzak jakiegoś niepozornego auta, zasłoniętego przez jego SUV - a.

- Wydział szeryfa? - zapytał, sądząc, że Ruby być może lepiej przyjrzała się pojazdowi.

- Światła nie błyskają - zauważyła.

- Przejdźmy tu, to może uda się go obejrzeć od innej strony... Hej! - Sam usłyszał plusk cieczy i zbyt późno zrozumiał, z czego wziął się odgłos wiercenia.

Puścił Ruby i rzucił się W stronę yukona, a za nim pobiegła Java.

Kiedy dotarł do SUV - a, usłyszał szczęk zamykanych drzwi samochodu i pisk opon. Kierowca starego mustanga, tego, którego Sam zauważył zaledwie kilka minut wcześniej, odjechał.

- Sukinsyn! - wrzasnął Sam, czując zapach benzyny, która tryskała z okrągłej dziury zrobionej w dnie baku.

Zobaczył idącą powoli w jego stronę Ruby i ogarnęło go poczucie winy. Szybko do niej podszedł.

- Nigdzie nie pojedziemy. Drań przebił bak.

- Co ty wyrabiasz, biegasz bez żadnej osłony? Ten facet mógł cię zastrzelić.

Otworzył yukona i nagle przyszło mu do głowy, że kierowca czarnego samochodu mógł odjechać z kartami przetargowymi. Kiedy przekonał się, że ich rzeczy są tam, gdzie je zostawił, w szufladzie pod fotelem, poczuł wielką ulgę.

- Dzięki Bogu, nic nie zginęło. Gdybyśmy stracili laptopa i flashdrive'a...

Ruby pokiwała głową. Miała ponurą minę.

- Lepiej teraz zapomnieć o tym wozie. Weźmiemy samochód Elysse, chyba że on też został załatwiony.

Sam ukląkł przy corolli, ale nie dostrzegł żadnych uszkodzeń... ani żadnych podejrzanie wyglądających przewodów czy kasetek, który mogłyby wyjaśnić, dlaczego snajper chciał ich zmusić do użycia tego samochodu. Wstał i otworzył dla Ruby drzwi po stronie pasażera.

Zawahała się, patrząc na fotel.

- Nie chcę uwalać krwią całego samochodu.

Ciekawe, że wcześniej ta sama kobieta powiedziała mu, że lepiej zapomnieć o prawie nowym SUVie. Być może odnotowałby ironię tej sytuacji, gdyby Ruby nie wyglądała tak żałośnie, zagubiona i przemoczona, gdyby nie przeraziła go tak bardzo, kiedy zobaczył ją bez koszuli, ociekającą krwią. Pomyślał, że jeśli przyjdzie mu kończyć życie w więzieniu - ta opcja z każdą minutą wydawała się coraz bardziej realna - taki obraz Ruby będzie mu towarzyszyć dzień w dzień.

- Nie martw się - powiedział. - Później posprzątamy jej samochód. Uważaj przy wsiadaniu.

Kiedy usiadła, jęknęła z bólu i dotknęła ręką tyłu głowy. Opadła z sił i nie była w stanie skoordynować ruchów, Sam wyciągnął jej pas bezpieczeństwa i zapiął go. Światełko u góry uwydatniało ślady łez, przecinające plamy z krwi na bardzo bladej twarzy.

Pochylił się i pocałował Ruby w skroń.

- A teraz zabiorę cię stąd.

Java wskoczyła na tylne siedzenie, i wyjechali z osiedla.

- Światła alarmowe jeszcze się nie palą. Może nikt nie słyszał, albo nie zorientował się, co to za hałas, i nie uważał za stosowne dzwonić.

- Kolejny szczęśliwy traf. - Posłała mu zmęczony uśmiech. - Czuję się wyróżniona.

Odwzajemnił się uśmiechem; odnotował z ulgą sarkazm w jej głosie. Znaczy że wciąż miała w sobie wolę walki, a miała jej więcej, niż mógłby przyznać, kiedy przyglądał się filigranowej, zupełnie zwyczajnej dziewczynie z sąsiedztwa. Ale co takiego powiedziała mu

kiedyś Elysse? Jakiś cytat o kobietach i torebkach herbaty: że nigdy nie domyślisz się, jak są silne, dopóki nie znajdą się w gorącej wodzie.

Bez wątpienia właśnie w takich sytuacjach ujawniła się słabość jego matki. Kiedy zrobiło się naprawdę ciężko - ojciec pił i znikał na całe tygodnie, pieniędzy nie wystarczało, akt przemocy trudno było opanować, Brenda McCoy porzuciła jego i J.B.. Bawili się w swoim pokoju w miejscowym motelu, podczas gdy ona wybrała sobie wygodniejszą opcję w postaci autokaru sieci Greyhound.

Sam próbował otrząsnąć się ze wspomnień, zapomnieć jak J.B. - już w wieku dwunastu lat znęcał się nad innymi - rozciął mu goleń stalową krawędzią zardzewiałego szpadla, który gdzieś znaleźli. Rana krwawiła jak diabli, ale to było nic w porównaniu z bólem i straszliwym wstydem, kiedy uświadomił sobie, że zostawiła im tylko siedem pogniecionych banknotów jednodolarowych i pożegnalną wiadomość składającą się z sześciu słów, nabazgranych na kawałku papieru: „Sorry, chłopaki. Wasza mamusia miała dość".

Kiedy jechał z Ruby po ciemnej drodze, myślał o tamtym azylu, o jedynym miejscu, w którym jego żałosna rodzina była nadal mile widziana, nawet gdy przeżywała najgorsze godziny. Przez wiele lat unikał tego miejsca i unikał jedynej osoby, z wyjątkiem jego brata, która znała całą tę ponurą historię i rozumiała, co znaczyło bycie McCoyem.

- Zawsze będziesz tu bezpieczny - powiedziała mu tamtego ostatniego, strasznego dnia. - Przyrzekam ci, dopóki będę żyła.

Poprzysiągł sobie, że nigdy nie skorzysta z jej oferty, nigdy nie postawi się w sytuacji, w której będzie zmuszony upaść tak nisko. Ale postanowił, że dzisiejszego wieczoru zapomni o dumie, i zerknął na Ruby. Na pewno teraz czuła się fatalnie, fizycznie i psychicznie, ale jakimś cudem wciąż siedziała wyprostowana, mrużąc błękitne oczy - nie miał wątpliwości, dla swojego dziecka była gotowa pójść do samego piekła.

- Powiedz mi wszystko, co pamiętasz - poprosił, chociaż w głowie ciągle mu dudniło i przypominał mu się dawny koszmar motelu. - Wszystko od momentu, gdy się tu znalazłaś. Może razem łatwiej ustalimy, co tak naprawdę się dzieje.

Ruby zadygotała i objęła się rękami. Przez chwilę nie starała się udawać, że jest silna, a potem zaczęła mówić. Odtwarzała fakty powoli, poświęcając dużo miejsca szczegółom. Za każdym razem, gdy

groziło jej, że ulegnie emocjom, brała głęboki oddech i po chwili kontynuowała opowieść.

- Dylan był czysty przez ile czasu? - dopytywał się Sam. - Jakieś cztery, pięć lat, prawda? Nie złamał się...

- W każdym razie nikt o tym nie wiedział. Wydawało się, że wreszcie odnalazł siebie, swoje powołanie, kiedy wszedł w branżę budowlaną.

- Ale kiedy z jakiejś przyczyny coś mu się nie układa, zawodzi na całej linii, wdaje się w finansowe przekręty z podejrzanymi typami. I jakimś sposobem wciąga w to wszystko dawną przyjaciółkę - twoją siostrę.

- Po prostu nie mogę tego pojąć. - Misty i Dylan razem dorastali, pracowali w restauracji Hammetta, zawsze świetnie się dogadywali. To był układ typu brat - siostra, a nie romans.

Sam od dawna tu nie mieszkał w czasie opisywanym przez Ruby, ale słyszał podobną wersję wydarzeń. Jednak dane finansowe sugerowały, że prawda jest zupełnie inna.

- Ona dawała mu pieniądze, Ruby. W sumie prawdopodobnie jakieś trzydzieści patyków, według tego, co znalazłem w jej dokumentacji bankowej.

- Włamałeś się na jej konta bankowe? Jakim sposobem? Wzruszył ramionami.

- Zarabiałem na życie, testując zabezpieczenia banków Powiem tylko, że Pierwszy Bank Dogwood dostał ode mnie bardzo złą ocenę. I naprawdę przykro mi to mówić, ale większość pieniędzy, które Misty mu przekazała, należała do ciebie.

- Cóż za szczodrobliwość z jej strony - stwierdziła ponuro Ruby. - Ale to musiałyby być moje pieniądze. Misty wydawała każdego zarobionego centa na szkołę i drogi sprzęt, którego potrzebowała na kurs dla reporterów sądowych. Domyślam się, że to również przepadło. Ale nie dbam ani o to, ani o dom, jeśli tylko zdołam odnaleźć Zoe i upewnić się, że z Misty wszystko jest w porządku. Potem ją uduszę za piekło, jakie przez nią przeszłam.

- A więc co twoim zdaniem zdarzyło się u Dylana? - zagadnął Sam. - Myślisz, że wytatuowany mężczyzna chciał go dopaść? Może chodziło o pieniądze?

- Domyślam się, że wytatuowany świr - jestem pewna, że to Coffin - szukał w tym domu kosztowności, ponieważ wiedział, że

Dylana od dawna tu nie ma. I pojawia się pytanie: gdzie jest jego żona? Przecież nie uciekłby z nią, i z moją siostrą.

- To nie wydaje się prawdopodobne. Ruby odwróciła wzrok.

- Ciągle nie daje mi spokoju ten płacz dziecka gdzieś w tle podczas rozmowy telefonicznej z Bestem, jeśli to rzeczywiście jest on. A jeśli on nie blefuje? Jeśli Zoe naprawdę z nim jest, wystraszona albo ranna, albo... A co będzie, jeśli ludzie z DeserTek powiedzą mu, że mają tego flashdrive'a? Dobija mnie to, że nie wiem, w jaką stronę pójść, gdzie szukać.

Kiedy Sam skręcał, Ruby rozejrzała się na boki.

- Zaczekaj. Nie jedziesz... To nie jest droga powrotna do domku Pauliego. Mówiłam, że nie mogę ryzykować pobytu w szpitalu ani w biurze szeryfa. Nie mogę ryzykować, że kiedy Best zadzwoni...

- Nie martw się. Nie ma mowy, żebym pozwolił ci przebywać w pobliżu Wofford. - Opowiedział jej o niedawnych przelewach bankowych, opiewających na dziesiątki tysięcy dolarów, które znalazł na jej kontach.

- Wofford? Nie mogę w to uwierzyć. Wydaje się taka...

- Uczciwa? Ludzie potrafią udawać. Niektórym wychodzi to naprawdę całkiem nieźle.

- Bystra - poprawiła Ruby. - Czy banki nie mają obowiązku informowania skarbówki o dużych wpłatach?

Spojrzał na nią z uznaniem. Był pod wrażeniem, że o tym wiedziała.

- Tak, jeśli w grę wchodzą wpłaty gotówkowe, ale przelewy z podejrzanych kont mogły ujść jej na sucho, jeśli nie było ich tak dużo, by zaalarmować system śledzący podejrzane transakcje.

- Skąd pochodziłyby te pieniądze? Byłbyś w stanie to stwierdzić?

- Od jakiejś fikcyjnej firmy - Sunrise Happy Doodle International - prowadzącej interesy przez bank na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych. Oczywiście, nie da się namierzyć.

- Sunrise Happy Doodle, akurat - burknęła Ruby. - To wszystko wygląda na sprawkę DeserTek. Nadal wydaje mi się dziwne, że Wofford nie miałaby świadomości, iż te przelewy mogłyby wzbudzić zainteresowanie władz.

- Wofford jest przedstawicielką lokalnego prawa, i to niezbyt doświadczoną. Poza tym spędziłem sporo czasu na prowadzeniu komputerowych śledztw po to, by złapać pracowników, którzy

wyłudzali pieniądze, i to nauczyło mnie jednej rzeczy: chciwość ogłupia ludzi, bez względu na ich status społeczny czy zawodowy. Zaczynają pokazywać się w pracy w luksusowych samochodach i ekstraciuchach. Noszą roleksy zamiast zegarków na baterie, kupują apartamenty dla swoich ukochanych. Nie uwierzyłabyś, do jakich idiotyzmów posuwają się ludzie...

- Dokąd jedziemy, Sam? Jeszcze mi tego nie powiedziałeś.

- Do motelu Z Haczyka do Piekarnika. - Starając się ignorować niepokój, który ściskał mu żołądek, Sam myślał o zbudowanym na planie podkowy motelu z lat pięćdziesiątych, który tak dobrze zapamiętał. Wiedział, że ostatnimi czasy pokoje były wynajmowane tylko starym rybakom, ewentualnie jakiemuś zagubionemu kierowcy ciężarówki, ale jedynie to miejsce wydawało mu się teraz odpowiednie.

- Myślałam, że ten motel został zamknięty.

- Dopóki Opal Carmichael wciąż jeszcze oddycha, nie ma o tym mowy.

- To ona żyje? Ta kobieta musiała być... Boże, ona była strasznie stara już w czasach, kiedy moja rodzina przeprowadziła się do Dogwood.

Sama nie zaskoczyło, że Ruby znała Opal albo o niej wiedziała. Może i zbliżała się do dziewięćdziesiątki, ale to postać legendarna w całym Dogwood. Była znana z niewyparzonej gęby i ekscentrycznych form promowania swojego interesu.

Sam doszedł do wniosku, że mogłaby być wzorem dla Pauliego Hammetta.

- Jak na swój wiek, jest w świetnej formie, a co więcej, nawet nie drgnie jej powieka, kiedy wejdę bez koszuli i zapłacę za pokój gotówką. Nie wiem, co musiałoby się zdarzyć, żeby wyprowadziło Opal z równowagi. - W każdym razie nigdy nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej, ilekroć porąbana rodzina Sama sprowadzała się z powrotem po eksmisji. - Nikomu nie rozpowie o naszych sprawach.

- Ale to jest tak blisko miasta - protestowała Ruby. - Ktoś zobaczy samochód, albo że wchodzimy do środka. Domek Pauliego...

- W domu Pauliego nie ma gorącej wody ani sprawnego prysznica; nawet łóżka, tylko jakiś ohydny materac w rogu pokoju. Ani myślę tam cię zabierać, nie w takim stanie. Z Haczyka to stary

motel i może śmierdzi jak środek do dezynfekcji, ale Opal utrzymuje tam czystość, i jak już mówiłem...

- Sam, kiedy władze zorientują się, że nie ma ciebie w domu, na pewno dojdą do wniosku, że uciekłeś. Wytropią cię i złapią z laptopem i telefonem komórkowym.

Pokręcił głową.

- Nieważne, Ruby. To, co dziś zrobiłem, można namierzyć, jeśli zajmą się tym właściwe osoby. A mogę ci zagwarantować, że ktoś się tą sprawą zajmie.

Ruby spojrzała mu prosto w oczy.

- Kiedy to się skończy, Sam...

- Kiedy to się skończy, mnie nie będzie. Muszę jak najszybciej ulotnić się z miasteczka.

- Och, Sam, nigdy nie chciałam, żebyś... Jesteś pewien? Jeśli wyjaśnię, dlaczego...

- Ostatnim razem też miałem słuszne powody. Próbowałem pomóc parze starszych ludzi, których znam, próbowałem pomóc odzyskać ukradziony fundusz emerytalny. Ale wtedy moja motywacja nic nie znaczyła, teraz będzie jeszcze gorzej. - Musnął jej brodę opuszkami palców.

- Posłuchaj, Ruby, nie martw się o mnie. Tu chodzi o twoje dziecko.

- Robisz to także dla Aarona; myślę, że w gruncie rzeczy zależało ci na nim, naprawdę ci na nim zależało.

- Prawda jest taka, że nienawidziłem tego sukinsyna - oświadczył beznamiętnie. W każdym razie starał się nie zdradzać emocji.

- Ty... ty nienawidziłeś Aarona? Dlaczego? - Nie kryła, że wyznanie Sama bardzo ją zaskoczyło.

- Nieważne, nie w tym momencie. - Stres sprawiał, że odzywały się stare rany i istniało niebezpieczeństwo, że zostaną na nowo otwarte, ale w tej chwili pora była zupełnie nieodpowiednia, żeby wracać do spraw sprzed lat. - Ważne jest to, że nie nienawidzę ciebie ani Zoe, a jeśli chodzi o rodziców Aarona, nie ma znaczenia, w czyją wersję zdarzeń uwierzyli - jestem ich wielkim dłużnikiem. A to jest tylko ułamek mojej spłaty za tamten dług.

- Kiedyś - powiedziała Ruby - skłonię cię do tego, żebyś wytłumaczył się z tej uwagi.

Sam minął nisko położony sklepik spożywczy zabity deskami i opuszczony od czasu, gdy niedaleko stąd powstał nowy duży supermarket. Większość firm przy tej ulicy podzieliła los sklepiku, z wyjątkiem restauracji sieci Dairy Queen i motelu, którego żółty szyld z czarnym napisem był w opłakanym stanie, brakowało nie tylko żarówek, ale i liter. Dobrze, że paliło się przynajmniej część starych świateł.

- Zaczekaj tu, pójdę zobaczyć się z Opal. Jeśli ktoś będzie przejeżdżać, schowaj się. Ktokolwiek cię zobaczy, na pewno wezwie karetkę, tego możesz być pewna.

Z zamkniętymi oczami skinęła głową.

- Dasz sobie jakoś radę? - Zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić na pogotowie.

- Spokojnie. Nic mi nie będzie.

Wahał się jeszcze chwilę, a potem szybko wszedł do środka, zostawiając samochód na jałowym biegu.

Za upstrzonym muchami oknem wisiała tabliczka z napisem „Zamknięte", ale Sam zobaczył, że ktoś jest w środku, i gdy nacisnął klamkę, drzwi się otworzyły. Szczupła kobieta z grubym, brązowym kucykiem stała odwrócona do Sama plecami. Wyciągała jakieś rzeczy z biurka i pakowała je do kartonowych pudeł.

- Jeśli pan chce wynająć pokój, mamy teraz zamknięte - zawołała przez ramię. Z jej ust zwisał papieros. - A jeżeli pan przychodzi nas obrabować, to nie mamy pieniędzy... ale może pan sobie wziąć tyle tych ohydnych ozdób, ile zdoła udźwignąć.

- Czy jest tu Opal? - zagadnął Sam, przyglądając się tatuażowi na ramieniu kobiety. Składała się nań makabryczna mieszanina czaszek, serc i sztyletów i był osobliwie piękny, w stylu harleyowców starej daty. - Muszę się z nią zobaczyć.

Odwróciła się do niego i zobaczył w jej oczach strach, który wzbudził swoim wyglądem - nie miał koszuli i był pokrwawiony. Szybko odzyskała panowanie nad sobą, a jej zdumiewająco młodzieńcze rysy zastygły niczym betonowa zaprawa.

- Wynoś się stąd. Kimkolwiek jesteś, moja babcia nie czuje się dobrze i na pewno nie potrzebuje kłopotów.

- Muszę się z nią zobaczyć - nalegał Sam. - Dawny przyjaciel. Powiedz jej, że przyszedł jeden z McCoyów.

Wyjęła z pudła spluwę, mały pistolet automatyczny, który trzymała w sposób świadczący o tym, że zna się na rzeczy. Wycelowała w Sama, a ćwiek w jej nosie zalśnił od odbitego światła.

- Może mnie nie słyszałeś?

- Który McCoy? - Głos starej kobiety dochodził z pokoju oddzielonego zasłonką z paciorków.

Pomimo niewesołych okoliczności Sam się uśmiechnął.

- Pani Opal, to ja, Sam. Sam McCoy. Potrzebuję pani pomocy.

Paciorki zagrzechotały, kiedy kobieta wyjrzała przez zasłonkę. Jej włosy przerzedziły się i zupełnie zbielały, a ręce wystające z rękawów podomki przypominały raczej gałązki niż ludzkie kończyny, ale ten uśmiech Sam rozpoznałby wszędzie.

- Prawidłowa odpowiedź. Gdybyś powiedział, że to jego brat, mogłabym kazać mojej Trishy, żeby cię zastrzeliła.

- Obiecałaś, że pójdziesz odpocząć, babciu. - Trisha spojrzała spode łba na Sama. - A twój wzrok musi być gorszy, niż myśleliśmy, jeśli nie widzisz, że czekają nas kłopoty.

Opal tylko machnęła ręką i ostrożnie podeszła do lady.

- Chodź no tu, Sam. Podejdź bliżej, żebym cię mogła zobaczyć.

Trisha wywróciła oczami, ale nawet nie drgnęła, celując w mężczyznę.

- On jest cały we krwi. Nie ma koszuli. Możliwe, że kogoś zabił.

Babka zmarszczyła wargi i położyła zaciśniętą dłoń na chudym biodrze.

- Ile razy mi mówiłaś, że nie znosisz, kiedy ludzie cię osądzają po twoim tatuażu albo tych dziurach, które uparcie sobie robisz w ładnej twarzy danej ci przez matkę i Wszechmogącego?

Trisha znów wywróciła oczami.

- Mówimy o krwi, a nie o wyrażaniu siebie.

- Jest ze mną ranna kobieta - odezwał się Sam, a potem opowiedział pierwszą lepszą historyjkę, jaka przyszła mu do głowy. - Mąż ją pobił. I jeśli nas znajdzie, to jesteśmy martwi. Wiedziałem, że tylko tu mogę przyjść. Bo to jedyne miejsce, w którym będzie bezpiecznie.

- I co ci mówiłam? - wtrąciła się Trisha. - To są kłopoty. Dzwonię na policję.

Zanim zdążyła sięgnąć po słuchawkę, babka posłała jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Jeszcze nie należę do ciebie, Trisha, ani do tych ludzi z hospicjum, ani do kostnicy. Wciąż należę do siebie, a to znaczy, że sama podejmuję decyzje. Przez jeszcze co najmniej jedną noc, a także dzisiejszej nocy zamierzam dotrzymać dawnej obietnicy, którą złożyłam wystraszonemu chłopcu. Dlatego w tej chwili odłóż gnata, bo jak nie, to cię wydziedziczę.

- Czyżbyś zapomniała? Dziś zdążyłaś mnie wydziedziczyć już trzy razy. - Trisha uśmiechnęła się ironicznie.

- Proszę. - Głos Opal zadrżał, gdy wypowiadała to słowo, obnażając żal i upór, i jeszcze resztki dumy.

Trisha westchnęła, opuściła broń i skinęła głową.

- No dobrze, babciu. W porządku. Pokój 12 jest sprzątnięty i przygotowany. Zajęłam się nim, kiedy myślałyśmy, że Nick da radę wyrwać się z pracy i pomoże nam cię przeprowadzić.

Zgniatając papierosa w popielniczce, spojrzała na Sama.

- Mój brat. Jeszcze nigdy nie miał takiego rodzinnego zobowiązania, z którego nie udałoby mu się jakoś wyplątać.

Sam pokiwał głową, chociaż myślał w tej chwili tylko o Ruby, która cierpiała w samochodzie.

- Zastanawiałem się, czy może któraś z was ma jakieś środki przeciwbólowe? Przydałyby się nam również czyste rzeczy.

- Och, na miłość boską - odparła Trisha. - Co jeszcze, ekscelencjo? Może samochód do ucieczki albo jakieś alibi?

Opal już grzebała w kartonowym pudle.

- Wydaje mi się... niech no zobaczę. Tu jest coś. Próbki, które czasem wysyłają wraz z kuponami. Mogą być trochę przeterminowane, ale...

Zerknąwszy przez drzwi na swój samochód, Sam wziął dwa promocyjne listki ibuprofenu i podziękował jej.

- Jestem pewna, że uda nam się znaleźć dla was jakieś stare ciuchy - mówiła Opal. - Goście czasami zapominali czegoś zabrać. Uprałam i trzymam w pudle rzeczy zostawione niedawno, z myślą o organizacji Dobra Wola, ale to mi zajmie parę minut... Trisha, kochanie, wiesz, gdzie je położyłyśmy?

Wnuczka z ponurą miną ściągnęła klucz z haczyka na ścianie za ladą.

- Idź i zajmij się swoją przyjaciółką. Ja wybiorę parę rzeczy i zostawię je w torbie albo pudle przed drzwiami waszego pokoju.

- Dziękuję wam obu - powiedział. - Jeśli ktoś przyjdzie tu i będzie szukać...

- Nie powiemy ani... - zaczęła Opal. Trisha wpadła jej w słowo, mrużąc oczy.

- Pewien jesteś, że to nie ty zrobiłeś krzywdę tej kobiecie?

- Do diabła, nie zrobiłem jej krzywdy. Nigdy bym...

- Dowiem się, że było inaczej, to... - Popatrzyła znacząco na pistolet, który zostawiła na rogu lady. - Nie ma zmiłuj i nie licz na bezpieczeństwo. Zrozumiałeś?

Sam skinął głową.

- Jaśniej nie trzeba.

Zabrawszy klucz i tabletki, wyszedł na zewnątrz... i od razu przekonał się, że samochód i siedzącą w nim kobietę pochłonęła noc.

Rozdział 24

Rozstanie: tylko tę rzecz znamy z nieba, Tylko ją nam wystarczy znać z piekieł.

Emily Dickinson

(Emily Dickinson „Dwakroć przeżyłam życia koniec", przeł. Stanisław Barańczak [w:] Emily Dickinson. 200 wierszy. Kraków, Drukarnia Wydawnicza im. W I. Anczyca, 1990.)

- Gdzie pani jest? - Głos szeryf Wofford w słuchawce zabrzmiał jak syk. A może to tylko sygnał telefoniczny ulegał zakłóceniom.

Tak czy owak, Ruby zadrżała i schyliła się za kierownicą, chociaż miejsce, w którym zaparkowała samochód, żeby nie zauważyli go dwaj mężczyźni kręcący się w okolicy, było pogrążone w cieniu, między tyłami motelu i skrawkiem ziemi porośniętym drzewami.

- Nie odpowiedziała pani na mój ostatni telefon - pani szeryf sprawiała wrażenie bardzo poirytowanej - a kiedy próbowałam dodzwonić się do pani Lambert, gdzie, jak pani twierdziła, na razie mieszka, powiedziała, że przeprowadziła się pani gdzieś indziej.

- Przepraszam, że naraziłam panią na kłopoty. - Te słowa grzęzły Ruby w gardle, przyprawiały ją o takie samo obrzydzenie, jak krew zasychająca w jej włosach. Myślała w tej chwili tylko o brylantach Justine Wofford, drogich kostiumach. O jej kontach bankowych, które świadczyły, że sprzedała swoją uczciwość - a może nawet rodzinę Ruby. - Zatrzymałam się u innego przyjaciela. Co się dzieje?

- Jakiego innego przyjaciela? - zapytała szeryf chłodnym, podejrzliwym tonem. - Potrzebne nazwisko, pani Monroe.

- Dlaczego dzwoniła pani do mnie? - naciskała Ruby. - Ma pani jakieś wieści? Są jakieś nowe tropy? Czy może postanowiła pani skupić się na przesłuchiwaniu mnie?

Na drugim końcu słuchawki zapanowała cisza, ale Wofford szybko doszła do siebie.

- Jesteś teraz z Samem McCoyem, prawda? I to po wszystkim, co ci powiedziałam.

- Samem? - Ruby mocno starała się, żeby udawać zdumienie. - Dlaczego miałabym... Nie, nie widziałam go. Nie.

Skrzywiła się, słysząc swoje kłamliwe słowa. W rozmowach z rodzicami też nie umiała kłamać.

- Grozi ci niebezpieczeństwo, Ruby. Wiem, że wydaje ci się, że znasz tego mężczyznę, ale historia McCoya...

- Sam zawsze udzielał mi pomocy.

- Posłuchaj, dla własnego dobra - odparła niecierpliwie pani szeryf. - Nie dość, że brat McCoya został oskarżony w aferze narkotykowej, to jeszcze Sam żywił zadawnioną urazę do twojego męża. Próbował obwiniać Aarona, ale McCoyowi zarzucono kradzież trzystu pięćdziesięciu dolarów Monroe'om, kiedy obaj uczyli się w liceum.

„Sam próbował obwiniać Aarona". Ruby zmarszczyła brwi; nie potrafiła sobie wyobrazić, że jej mąż wziął te pieniądze, zwłaszcza od takich rodziców, którzy daliby mu wszystko, o co by poprosił. Chyba że...

Prześladował ją schrypnięty od papierosowego dymu głos, okrutna i złośliwa satysfakcja w oczach narkomanki, kiedy mówiła o swoim związku z Aaronem. „Nie przejmuję się. Skończyło się w mig, jak tylko pasek zabarwił się na niebiesko".

Czy te trzysta pięćdziesiąt dolarów to była cena aborcji? Pomyślała o krzyżach i reprodukcji Ostatniej Wieczerzy, która wisiała w domku nad jeziorem, zanim zaczęli z Aaronem prace remontowe, o tym, że mąż aż do śmierci rodziców chodził do kościoła co najmniej raz na tydzień. Wiedząc, że nigdy by nie pojęli jego upadku, być może Aaron pozwolił Samowi wziąć winę za swoje grzechy?

Nie mogła przełknąć śliny. Czyżby wyrzuty sumienia skłaniały Aarona do bronienia Sama, ilekroć poruszany był temat „kradzieży"? Poczucie winy, bo to sam Aaron zgrzeszył?

Wciąż brzmiały jej w uszach słowa Sama: „Prawda jest taka, że nienawidziłem tego sukinsyna". Jeśli to wszystko było prawdą, nie dziwiła się. Ale niewartą rozważania niedorzecznością byłoby wyobrażać sobie, że Sam chce się zemścić na czteroletnim dziecku i szwagierce, której mąż zmarł.

- Naprawdę powinnaś w to wszystko uwierzyć. To zdarzyło się w domku Monroe'ów nad jeziorem, który jest teraz twoją własnością - mówiła Wofford.

- Był moją własnością - poprawiła ją Ruby, przypominając sobie płomienie trawiące jej dom. - A to, co się między nimi działo dawno temu, teraz jest bez znaczenia. Nie ma nic wspólnego z...

- Nie bądź głupia, Ruby. Posłuchaj mnie, jestem pewna, że uda się przetrzymać cię w bezpiecznym miejscu.

Ruby powędrowała myślami do wizji srebrzystego strumienia, bąbelków wydostających się z dna Jeziora Kości. Czy sny stanowiły intuicyjne ostrzeżenie, że to nie Misty i Zoe leżą pod wodą, ale że grozi jej niebezpieczeństwo z najbardziej nieoczekiwanej strony?

- Mnie nie można przetrzymywać w bezpiecznym miejscu. - Zdawała sobie sprawę z wrogiego tonu, ale nie była w stanie się powstrzymać. - Nie mogę siedzieć bezczynnie, podczas gdy ty wygłaszasz głupie teorie i ukrywasz przede mną tajemnice.

- W porządku, Ruby. Jeżeli chcesz to rozegrać w taki sposób, pójdę na całość i powiem ci, co znaleźliśmy. - Głos pani szeryf złagodniał. - Wolałabym nie załatwiać sprawy w ten sposób, ale...

- To wy... znaleźliście je? - Czuła się tak, jakby coś zaczynało ją rozdzierać od żołądka po serce. - Zrobiliście to, prawda? Znaleźliście moją rodzinę i one... one są martwe, prawda?

Kiedy Wofford wyjaśniła sytuację, Ruby nie mogła zaczerpnąć dość powietrza, żeby krzyczeć, nie mogła nawet zareagować na nagłe bębnienie w szybę po stronie kierowcy, tuż obok niej.

- Ruby? - Głos Sama był stłumiony przez szybę. Ale teraz wszystko wydawało się stłumione.

Wyciszone...

Zniszczone...

Utracone...

Rozdział 25

Zamykam oczy i świat umiera; Otwieram powieki i wszystko rodzi się na nowo. (Myślę, że stworzyłam cię w mojej głowie).

Sylvia Plath

(Sylvia Plath, fragment wiersza Pieśń miłosna szalonej dziewczyny.)

Sam zdołał przekonać Ruby, żeby otworzyła drzwi samochodu. Odsunęła telefon od ucha, nie mówiąc ani słowa, i unikała kontaktu wzrokowego. Siedziała wyprostowana na fotelu kierowcy i błądziła gdzieś spojrzeniem.

- Best znów zadzwonił? - Zdawał sobie sprawę, ile kosztowała ją każda rozmowa z tym mężczyzną. Nie zareagowała, więc lekko potrząsnął ją za ramiona. - Ruby? Ruby, powiedz coś do mnie, pokiwaj głową, cokolwiek.

Kiwnęła głową, tak lekko, że prawie niezauważalnie.

- Dobrze, a teraz pomogę ci wstać. Będzie prysznic i czyste łóżko. Grube zasłony na oknach i solidny zamek w drzwiach. - Nie odpowiedziała. Wygonił psa z tylnego siedzenia, wrócił do Ruby, wyciągnął ją z samochodu i kolanem zatrzasnął drzwi. Upewnił się, że został włączony alarm.

Kiedy niósł Ruby do pokoju, przytuliła się, wciąż ściskając w ręku telefon. Przekręcił kontakt i włączyły się dwie lampy z papierowymi abażurami, które dawały mało światła. Pokój wyglądał tak samo jak w czasach dzieciństwa Sama. Te same ściany wyłożone sosną, pożółkłe, akustyczne płytki tworzące wzór szachownicy na obniżonym suficie, ta sama cienka wykładzina w błotnistym kolorze, z ciemniejszymi, wydeptanymi ścieżkami między malutką kuchnią i ciasną łazienką.

Jakiś cień, duch kilkuletniego Sama przycupnął za dużym łóżkiem. Sam z wrażenia zrobił gwałtowny wdech i od razu zrozumiał, że to był błąd, ponieważ zapachy jego dawnej oazy uruchomiły kolejną falę wspomnień, i to tych niespecjalnie przyjemnych. Krzywiąc się, wszedł do środka i posadził Ruby na drewnianym krześle.

Java przysiadła obok niego i machała ogonem. Ukląkł przed Ruby i delikatnie wyjął jej z ręki telefon. Chyba nawet nie zauważyła, że położył go na niskim, okrągłym stoliku, którego blat był kiedyś biały,

a teraz pokrywały go czarne kręgi po kubkach z kawą i puszkach coli, tworzące osobliwy wzór.

Ruby nie zareagowała, gdy ujął jej zimne jak lód dłonie i spojrzał w oczy. Pustka, którą w nich zobaczył, przeraziła go tak samo, jak ostatnia noc, którą spędził w tym miejscu.

- Mów do mnie - błagał Sam. - Daj mi znać, czy nawaliłem przywożąc cię tu zamiast na pogotowie.

Pokręciła lekko głową.

- Wszystko w porządku. - Apatyczny głos przypominał ciche szemranie. - W tym pokoju będzie dobrze.

Uścisnął ją, jakby chciał upewnić się, że ona naprawdę istnieje, a nie tylko po to, żeby ją pocieszyć.

- Wnuczka Opal zostawi nam trochę rzeczy pod drzwiami pokoju. Dlatego nie przestrasz się, jeśli za jakieś dziesięć, piętnaście minut usłyszysz pukanie.

- Jakie rzeczy?

- Powiedziała, że przyniesie trochę ciuchów, które powinny pasować. Może nie będą specjalnie gustowne, ale za to czyste. I przyniosłem ci też coś na ból głowy. Chcesz trochę wody?

Kiwała głową, ale wciąż patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. W małej kuchni Sam znalazł szklankę, napełnił ją wodą i przyniósł Ruby, a potem podał jej dwie tabletki, chociaż podejrzewał, że taka dawka co najwyżej nieznacznie uśmierzy ból.

- Teraz muszę wrócić do samochodu - tłumaczył - żeby zabrać komputer. Zostań tu i nigdzie się nie ruszaj.

Kiedy wrócił, przekonał się, że rzeczywiście się nie ruszyła. Nie przesunęła nawet o milimetr. Ale jakoś dziwnie oddychała, jakby z trudnością.

- Z kim rozmawiałaś przez telefon? - zapytał. Podniosła głowę i spojrzała na niego błyszczącymi oczami.

- Z szeryf Wofford. Twierdzi, że znaleźli samochód mojej siostry. Jest pod wodą. Pod wodą i...

Zachowywanie dystansu było niemożliwe. Przyciągnął ją do siebie i delikatnie kołysał.

Powiedz mi, że tylko samochód, prosił bezgłośnie.

- Wyciągnęli portfel Misty z jej prawem jazdy i jakieś podarte ubrania. A nurkowie wydobywają resztki... czegoś, co wygląda na

ludzkie ciało, niedaleko od Podwórza Kości, przy Kanale Łysek, tej małej przesiece niedaleko restauracji Hammettów.

- Znam to miejsce. - Wyobraził sobie zakątek, który miejscowi nazywali Podwórzem Kości, zalane wgłębienie wypełnione pobielałymi szkieletami drzew. Przechodzący przez środek tej niebezpiecznej nawigacyjnie trasy Kanał Łysek zawdzięczał swoją nazwę podobnym do kaczek wodnym ptakom o czarnym upierzeniu, które często tu się spotykało, ale Samowi miejsce kojarzyło się z dużymi, czarnymi okoniami i sumokształtnymi.

Także z bardzo dużymi aligatorami, takimi jak ten gigantyczny okaz, którego porykiwanie słyszał dwa tygodnie temu. Któregoś wieczoru, kiedy wypłynął na wodę łódką, zobaczył, że ciemnoszary potwór, długi na jakieś cztery i pół metra porywa oszołomioną sarnę, która odważyła się podejść na brzeg; to był jej ostatni łyk wody przed okrutną śmiercią. Sam nie mógł wymazać z pamięci obrazu tego wielkiego nieruchomego jak kłoda stworzenia. Widywał je wcześniej, jak wylegiwało się w słońcu, a teraz zwierzę wyskakiwało z płycizny jak pułapka o stalowych szczękach. Klient w łodzi Sama, doświadczony pięćdziesięcioletni podróżnik, wrzasnął jak nastolatka, a widok śmierci w jej najbardziej pierwotnym wydaniu sprawił, że Sam poczuł lodowaty ucisk w żołądku.

Starał się nie myśleć o tamtym epizodzie, wmawiał sobie, że jeśli Misty i Zoe zginęły, to stało się tak nie za sprawą Boga czy natury. Ręka człowieka potrafiła być tak samo okrutna jak scenariusze wymyślane przez opatrzność, jak szpony drapieżnika.

- Powiedziałam Wofford, że muszę tam być - ciągnęła Ruby. - Muszę zobaczyć... Ale ona oświadczyła mi, że droga została zagrodzona, że dopóki nie uporządkują miejsca, żadne osoby cywilne nie będą wpuszczane.

- Nie miałabyś tam nic do roboty. A poza tym absolutnie nie nadajesz się...

- Czy myślisz... - Spojrzała mu prosto w oczy. - Czy oszukuję samą siebie, żeby podtrzymywać nadzieję, że one żyją? Czy jestem tylko jednym z tych żałosnych członków rodziny, których widujesz w telewizji, tych, którzy zawsze myślą, że znalezione zwłoki w magiczny sposób zmienią się w zwłoki kogoś innego? Że to właśnie im będzie dane zaznać cudu?

- Nie ma nic żałosnego w nadziei, Ruby. I absolutnie nic żałosnego, jeśli chodzi o ciebie.

Dotykając pozlepianych krwią pasm jej włosów, czekał dłuższą chwilę, a potem dodał:

- No, może z wyjątkiem twojego wyglądu, który chwilowo kojarzy mi się z death metalem albo neopunkiem.

Wypowiedział tę żartobliwą uwagę bardzo ostrożnie, przypominało to rzucenie koła ratunkowego pływakowi, który gwałtownie osłabł. Poczuł ulgę, kiedy Ruby „chwyciła" koło, reagując krótkim, smutnym uśmiechem.

- Powinnam się umyć - powiedziała. - Mam takie uczucie... To śmierdzi... Muszę to z siebie zmyć. Przygotować się na kolejne wydarzenia.

Dźwignęła się z krzesła, zanim Sam zdążył jej pomóc. Jednak kiedy już stanęła, zachwiała się i zmarszczyła czoło, zamykając oczy.

- Powoli, krok po kroku - mówił Sam. - Skup się tylko na tym.

Kiedy powoli szła, ściskało mu się serce na widok jej bólu.

- Musisz pozwolić, żebym ci pomógł. Bo inaczej będę cię zeskrobywać z dna wanny.

- Och, do diabła. - Zabrzmiało to tak, jakby pogodziła się z koniecznością pomocy, ale w żadnym razie nie było to nic miłego. - Przyjaciele nie potrzebują godności w swoim gronie?

Pomógł jej wejść do łazienki, podniósł ją jak dziecko i posadził na ladzie.

- A więc teraz jesteśmy przyjaciółmi, tak? - Ruby ciągle powinna coś mówić. Powinien odwrócić jej uwagę od bólu fizycznego i udręki wyobrażania sobie, co nurkowie właśnie odnajdują. Rozpiął i ściągnął jej buty:

- Oczywiście, że jesteśmy przyjaciółmi, Sam. To, co zrobiłeś... Ryzyko, na jakie się narażasz... pomimo tego, co zaszło między tobą i Aaronem.

Zawahał się, marszcząc brwi.

- Wofford usiłowała mi sugerować, że żywisz do niego urazę.

- Żywiłem urazę, i to całkiem długo.

- Czy on zrzucił winę na ciebie, Sam? Czy to rodzice tak uznali, a on nic nie powiedział? Może dlatego, że był wystraszonym dzieciakiem, albo po prostu w tamtej chwili okazał słabość?

Pokręcił głową, zastanawiając się, czego Ruby domyśliła się, i walczył z pokusą przyznania, że on również był przerażony perspektywą opuszczenia domu po sześciu latach spędzonych z Monroe'ami. Jednak empatia Ruby, jej chęć słuchania mimo okropnych okoliczności tylko utwierdziły go w przekonaniu, że nigdy nie powie jej, co zrobił mężczyzna, którego kiedyś kochała.

- Nie rozmawiamy o tym, słyszysz? Teraz zajmujemy się tobą.

Zaczął rozpinać koszulę, którą miała na sobie; koszulę, umazaną krwią. I na przekór wszystkiemu, mimo że byli brudni i ranni, mimo lęku, którego doświadczali, nie wiedząc, co przyniosą najbliższe godziny - jak przystało na nikczemnego McCoya, Sam zwrócił uwagę na ukryte pod ubraniem kobiece krągłości.

- Nie rozumiem - wyszeptała. - Nie wiem, dlaczego to wszystko robisz. Dlaczego mi pomagasz, skoro ty i Aar...

- Miałem na celu tylko ratowanie własnej skóry - przypomniał jej, traktując to kłamstwo jako karę za lubieżne myśli.

Kiedy pomagał jej ściągnąć bluzkę, wykrzywiła twarz w grymasie bólu. Skupił się na tym bólu i na twarzy Ruby, kiedy stawiał ją na nogi, żeby rozpiąć dżinsy.

- Może właśnie tak to się zaczęło - powiedziała.

Dotknęła jego palców, tuż przy zamku błyskawicznym, i natychmiast cofnęli ręce, jakby poczuli wstrząs. Jak gdyby przypomnieli sobie pocałunek sprowokowany ich fizyczną bliskością.

- Poczekaj, puszczę wodę. - Szybko odwrócił się od niej, za wszelką cenę próbował uniknąć seksualnego napięcia. - Może kąpiel, a nie prysznic, to nie będziesz musiała stać?

- Myślę, że prysznic. Chcę, żeby ta krew i ten dzień całkowicie ze mnie spłynęły.

Poruszył zasłonkę w kolorze kości słoniowej, żeby odkręcić kurek z wodą, i zabytkowe rury jęknęły tym samym zbolałym tonem, który pamiętał sprzed lat. Pomyślał, że właśnie w tym miejscu pragnie zasłużyć na łaskę. Pragnął uwierzyć w mężczyznę, którego zobaczyła Ruby, a nie w chłopca, którym wcześniej był i który odrzucił wszystkie dobre rzeczy podsuwane mu przez los.

Chciał przezwyciężyć ciągnącą się za nim historię podejrzeń i rozczarowań, których przez niego doznawali inni ludzie; chciał być silniejszy nawet od własnego DNA, dać jej czułość i opiekę, której potrzebowała. Od przyjaciela.

Kiedy odwrócił się do Ruby, była naga i drżały jej usta, chociaż głowę miała podniesioną.

Przełknął ślinę.

- Pozwól mi... pozwól, że sprawdzę wodę. Podsunął rękę pod kran, ale woda była zimna.

Ruby, która cały czas za nim stała, chwyciła go za ramię, wpijając w nie paznokcie.

- Przepraszam. Niechcący przejrzałam się w lustrze. Zakręciło mi się w głowie, kiedy zobaczyłam krew.

- Nie tylko tobie się zakręciło. - Sam odpakował mydło i postawił buteleczkę szamponu na brzegu wanny, obok Złożonego ręcznika. - Poradzisz sobie?

- Jeśli mi pomożesz.

Woda robiła się coraz cieplejsza, więc odsłonił zasłonkę i przeniósł Ruby do wanny. Jednak zamiast stać, osunęła się na kolana, nie była w stanie utrzymać się na nogach. Pochylił się razem z nią, próbując ją podtrzymać, a przy okazji też się zamoczył.

- Cholera. - Miał na myśli całą sytuację. - Chcesz, żebym ci pomógł Ruby? - dorzucił po chwili wahania.

Stęknęła i odwróciła się, żeby usiąść na brzegu wanny, a ciepła woda spływała jej po plecach. Włosy były teraz ciemne, zasłaniały oczy, a strumyki krwi ściekały z jej ciała, i wirując, wpadały do otworu wanny.

Miał wrażenie, że to samo stanie się zaraz z jego silną wolą, ale zdecydował się wejść do wanny w dżinsach.

- Pochyl się do przodu. Możesz to zrobić?

Kiedy usłuchała, wszedł do wanny i ukląkł za nią, próbując nie zwracać uwagi na czysto fizjologiczną reakcje swojego ciała. Skupił się na ruchach rąk: na zakrętce od butelki z szamponem, na chłodnej cieczy gromadzącej się w jego dłoni. Na potrzebach Ruby, a nie na jego.

- Odchyl się trochę do tyłu. - Głos miał ochrypły.

- Dziękuję - powiedziała cicho. Wcierał szampon w jej włosy, wsuwał palce między zesztywniałe pasma, z których emanowało ciepło. W łazience rozniósł się lekki, świeży zapach lasu, wypierał gryzący, metaliczny odór krwi.

Ruby westchnęła.

- Jakie to... jakie to przyjemne. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz ktoś zrobił dla mnie coś takiego... - Syknęła.

- Przepraszam. - Odsunął rękę od obolałego miejsca i delikatnie rozplątał palcami spłukiwane wodą włosy. - Wszystko w porządku?

- Jeśli będę mogła zostać w tym miejscu. - Wyciągnęła szyję, żeby mu się przyjrzeć. - Właśnie tu, w tej sekundzie. Jeśli nie będę myśleć o przeszłości ani o przyszłości. Jeśli nie będę myśleć o niczym oprócz...

Spojrzała na niego w taki sposób, że poczuł gwałtowne pożądanie. Zdusił jęk i sięgnął po mydło i gąbkę.

- Skończmy to mycie. - Żądza sprawiała, że wypowiedział te słowa schrypniętym głosem, ale udało mu się skupić uwagę na oczyszczaniu jej skóry. Na tym, żeby zmyć z jej ciała każdą plamkę krwi, brudu i przemocy.

Przeżywał męki, patrząc na nią; jedną ręką pomagał jej utrzymać równowagę, w drugiej trzymał białą myjkę i pocierał nią kremową skórę albo przesuwał po małych, ale pięknie uformowanych piersiach, których różowe sutki twardniały pod wpływem jego dotyku. Jeszcze raz namydlił jej piersi, usprawiedliwiając się myślą, że musi mieć pewność, iż jest w tym miejscu czysta.

Zacisnął zęby, gdy poczuł, że mokre dżinsy robią się coraz bardziej obcisłe, zamknął oczy, w nadziei, że łatwiej opanuje pożądanie, jeśli nie będzie jej widział. Jednak wciąż dotykał jej szczupłych rąk i nóg, zapamiętywał zarys pleców, ponętne krągłości bioder.

Kiedy dotarł do miejsca między nogami, powiedział:

- Przepraszam, ale będziesz musiała...

- Idzie ci świetnie - szepnęła i poprowadziła jego rękę. Prowadziła, przedłużała kontakt i pozwoliła, żeby myjka wypadła mu z dłoni.

- Ruby... - Nie mogąc już dłużej się kontrolować, pocałował ją w szyję, wcisnął nos w czyste, słodko pachnące włosy.

Wykręciła się, zabrała mu mydło. Powiodła palcem w stronę jego rozporka.

- Proszę, Sam.

Poczuł ulgę. Rozbierał się, podczas gdy ona go myła. Tyle że kiedy ubranie spadało, tym razem nie zadawała sobie trudu, żeby je podnosić.

Całowała go namiętnie, przesuwała śliskimi rękami po klatce piersiowej, wpełzała na niego, dotykając szczupłym udem o nabrzmiały członek. Nie czuł w jej ruchach znużenia, nie czuł choćby odrobiny ostrożności, co najwyżej rozpaczliwe pragnienie, by zatracić się, zapomnieć o wydarzeniach ostatnich dni, choćby na krótką chwilę.

Gorący strumień bombardował skórę Sama. Odnalazł wargami jej piersi i zanurzył w niej palce, i wtedy całkowicie stracił poczucie rzeczywistości. Pozostał mu jedynie instynkt i rytm, moc łączących się ciał, nieubłagany, wzburzony maelstrom, którego nie byli w stanie kontrolować, sztorm, który rozpętał się na dobre, gdy Ruby wykrzyknęła jego imię, podczas gdy on, o wiele za szybko, dał upust swojej żądzy i wytrysnął w niej, nie mogąc się dłużej powstrzymywać.

Ruby przytuliła się do Sama, kiedy wyniósł ją z wanny. Była opatulona białymi ręcznikami, które trochę drażniły zaróżowione ciało. Odsunął kołdrę i położył ją na miękkim posłaniu. Miała wrażenie, że jej ciało jest bezwładne, rozluźnione i całkowicie odprężone. Chociaż w głowie odczuwała ból, umysł odpływał, oczyszczony i senny, gotowy pozwolić Samowi robić to, na co miał ochotę.

To, na co miał ochotę Sam, wiązało się z wolniejszymi, delikatniejszymi pieszczotami, które zaczęły się od niewinnych pocałunków.

Poddała się bez reszty emocjom, a wszelkie myśli zupełnie zanikały w oazie smaku i zapachu, i każdego doznania, jakie była w stanie zaakceptować, kiedy kochali się ze znużoną swobodą, która powoli przeradzała się w oszałamiającą, niszczącą kulminację.

Niszczącą, bo gdy świat dookoła niej walił się w gruzy, to samo działo się z cienką jak impuls telefonu komórkowego granicą między szokiem i bólem, między dobijającym ciosem i zrozumieniem. Dlatego po tym fizycznym wyzwoleniu świadomość sytuacji, w jakiej się znalazła, uderzyła ją jak cios zadany siekierą.

Krzyknęła z rozkoszy, łzy, które popłynęły jej z oczu, wsiąknęły w poduszkę. Kiedy Sam oplótł ją ramionami, odepchnęła go.

- Nie byłam z nikim... To mój pierwszy raz od... - Nie mogła dokończyć zdania, nie mogła wymówić imienia Aarona; słowa uwięzły w ściśniętym rozpaczą gardle. - I robię coś takiego teraz,

kiedy moja córka jest gdzieś tam... Wciągam cię w to wszystko jeszcze głębiej, zamiast zajmować się sprawą samodzielnie...

Sam leżał na boku, twarzą do Ruby. Ostrożnie podciągnął kołdrę, żeby przykryć jej nagie ciało, a potem położył rękę na jej plecach.

- Przestań, i to zaraz. Jesteś człowiekiem, Ruby, a ludzie szukają pociechy, kontaktu, kiedy cierpią. Bo nikt nie jest w stanie przejść przez coś takiego samodzielnie.

Wpatrywała się w niego, jej emocje zmieniały się jak w kalejdoskopie, od poczucia winy, które przeplatało się z pragnieniem, aż po stopniowo wyłaniającą się z tego chaosu wdzięczność. W oczach Sama w jego dotyku, jego głosie odnajdywała akceptację i zrozumienie, jakiego nigdy dotąd nie zaznała.

- Nie jesteś sama - mówił - bez względu na to, jak ciężko może być. Bo przysięgam ci, że zamierzam iść z tobą tak daleko, jak będę mógł.

- Dziękuję. - Chciała powiedzieć coś więcej, ale szczerość jego przyrzeczenia odebrała jej mowę.

- Miło to słyszeć. - Delikatnie musnął jej podbródek i na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiech. - Ale poświęcanie mojej cnoty w ten sposób to cholernie fajna robota.

Uśmiech, który rozjaśnił jej twarz, zaskoczył ją samą. I po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuła, że gdzieś poza linią horyzontu, może kryć się szansa na radość, blada łuna niewidocznego skraju świtu.

Justine Wofford bardzo nie chciała opuszczać miejsca poszukiwań, zwłaszcza że zostawiała tam Savoya, który w ten czy inny sposób zamierzał to przeciw niej wykorzystać. Ale zadzwoniła do niej Harriet Wickenfield, skrzecząc chrapliwie jak sowa płomykówka, że syn Justine, Noah, dziwnie się zachowuje. Chociaż bardzo starała się uspokoić starszą kobietę, pani Wickenfield powtarzała jak katarynka, że chłopak coś sobie uszkodził. Kiedy Justine włączyła sygnał i na pełnym gazie ruszyła do domu, modliła się, żeby to nie był kark.

Justine już była wstrząśnięta makabryczną sceną wzdłuż Kanału Łysek i telefonem do Ruby Monroe. Co gorsza, przerażało ją podejrzenie, że jej brak profesjonalizmu, jej własna słabość, mogły odegrać pewną rolę w smutnym zakończeniu tej sprawy. Robiło jej się niedobrze na myśl, że wszystko, co robiła, wszystko, czego się

dotknęła od czasu wyborów, było splamione. Włącznie z jedyną czystą relacją, jakiej dotychczas doświadczyła.

Skręciła na oddaloną od wody drogę, usianą dziurami jednopasmówkę, która biegła wzdłuż rzadko rozstawionych, starszych domów, otoczonych ogrodzonymi pastwiskami. Pomimo niepokoju nastrój trochę jej się poprawił na widok koni rozmaitych ras, od brązowo - białych koników do czarnych i gniadych morganów pasących się na bujnej wiosennej trawie. Kiedy para wielkich białych psów Lou wybiegła jej na spotkanie, przekonywała samą siebie, że wszystko jest w porządku, że jej syn nie rozbił nic oprócz kolejnej szklanki, którą ktoś bezmyślnie zostawił w jego zasięgu. Jednak kiedy zaparkowała wóz obok białego, piętrowego domu, Harriet Wickenfield wypadła przez tylne drzwi, wymachując rękami.

- Co się dzieje? - Justine wyskoczyła z tego samego sfatygowanego wozu expedition, o który Lou pieklił się bez przerwy.

- Noah nie chce wyjść. Zamknął się w środku...

- Jest ranny? - Biegła w stronę tylnych drzwi piętrowego domku z cegły. Przypływ adrenaliny sprawił, że zupełnie zapomniała o zmęczeniu, którego wcześniej nie udało jej się zwalczyć kawą.

Opiekunka, zdyszana, podążała za nią, testując swoimi krótkimi nóżkami wytrzymałość spodni z poliestru w limonowym odcieniu zieleni.

- Nie... nie, proszę pani - sapała pani Wickenfield. - Miałam na myśli, że on wybił okno. Może pani zobaczyć stąd, jak wygląda jego sypialnia.

Justine spojrzała w górę i serce jej stanęło, kiedy dostrzegła dziurę po szybie. Zbyt mała, żeby mógł się przez nią wydostać dziewięciolatek, ale to nie gwarantowało bezpieczeństwa synowi.

- Gdzie teraz jest? Chyba nie zostawiła go pani z rozbitym szkłem?

- Jakimś sposobem zablokował drzwi. Jest...

Nie czekając, aż pani Wickenfield skończy, Justine rzuciła się pędem do domu. Dotarłszy do drzwi, otworzyła je zamaszystym ruchem, po raz tysięczny żałowała, że nie udało jej się znaleźć kogoś lepiej przeszkolonego niż emerytowana sprzedawczyni w sklepie, kogoś lepiej przygotowanego do radzenia sobie z dziećmi takimi jak Noah. Przyrzekła sobie, że się tym zajmie. Chrzanić kłopoty. Mogła złamać prawo uniemożliwiające jej korzystanie z konta, które miała z

Lou. Wyprzedawała biżuterię po matce, żeby zapłacić rachunki. Bez względu na ryzyko musiała sięgnąć po te pieniądze.

- Noah! - krzyknęła, odruchowo zerkając na kuchenną podłogę, gdzie mały spędzał całe godziny, brzęcząc garnkami i pokrywkami, bo uwielbiał ten ostry, metaliczny łoskot. Hałas zniechęcił co najmniej dwie poprzednie opiekunki, a czasami doprowadzał Justine do szału, ale w tej chwili dałaby wszystko, żeby móc go usłyszeć, absolutnie wszystko, żeby zobaczyć dziecko, które nie pozwalało jej się dotykać i wydawało się niezdolne do okazania, że ją kocha.

Ruszyła w stronę schodów, wołała go, nasłuchując. Nie po to, żeby uzyskać odpowiedź - nauczyła się niczego takiego nie oczekiwać - ale żeby usłyszeć uspokajający brzęk pęku kluczy albo grzechotanie puszki z kamykami, śrubkami i drobnymi monetami, które Lou zespawał, żeby były bezpieczne podczas zabawy.

Powiedziała sobie, że nie może roztkliwić się, wracając do wspomnień; sięgnęła do drzwi i spróbowała je otworzyć. Chociaż klamka przekręciła się, coś blokowało drzwi, jakby ktoś podparł je od wewnątrz czymś ciężkim, na przykład kredensem.

Nie umiała sobie wyobrazić, że Noah, który był zawsze trochę za mały, miał dość siły, by przesunąć ciężki mebel i mniejsze sprzęty, zwłaszcza że część z nich została na stałe przytwierdzona do podłogi. To znaczyło, że zamiast użyć ciężaru, chłopiec zaklinował sprzęty. Syn, pod wieloma względami opóźniony w rozwoju, akurat w tych sprawach przejawiał dużo sprytu.

Zaczęła walić do drzwi.

- Noah, otwórz mamie. Pora na twój ulubiony ser z grilla. Uświadomiła sobie, że to nie zadziała. Noah, którego rozkład

dnia musiał się zgadzać co do nanosekundy, na pewno będzie wiedział, że to nie był wieczór, nie pora na ser z grilla, i zorientuje się, iż mama chce go oszukać. A to znaczyło, że nigdy nie otworzy drzwi, nawet gdyby założyła, że do malca dotrze krzyk i walenie w drzwi.

Zawołała panią Wickenfield, która czekała na dole, żeby przyniosła śrubokręt z szuflady w kuchni, ale spanikowana kobieta nie potrafiła go znaleźć, szlochała i jęczała, że ta praca jest nie na jej nerwy.

Justine znalazła nożyczki w zabezpieczonej przed dzieckiem szafce w łazience. Wsunęła ostrze pod drzwi i wygrzebała zabawkę, którą tam wcisnął. Otworzyła drzwi, spojrzała na pomieszczenie, w

którym zabarykadował się Noah, i krzyknęła na widok ogromnej ilości krwi.

Rozdział 26

Ciekaw jestem, jak się zabija strach? Jak przestrzelić serce upiora, odrąbać mu upiorną głowę, chwycić go za upiorne gardło?

Joseph Conrad

(Joseph Conrad Lord Jim, przeł. Aniela Zagórska. Warszawa, PIW, 1968.)

Ruby usiadła na łóżku, kiedy zaczął dzwonić jej telefon. Jej serce ścisnęło się ze strachu, że to ktoś z biura szeryfa, z jeszcze gorszymi informacjami. Odruchowo spojrzała w stronę Sama i włączyła głośnik aparatu, żeby on również słyszał rozmowę.

- Halo?

- Mamo, przyjedź i zabierz mnie. Strasznie się boję. Chcę do domu...

- Zoe? Zoe, kochanie... - Ruby nie mogła zdusić szlochu.

Sam zapalił światło i przysunął się do telefonu, ale Ruby nie zwracała na to uwagi:

- Gdzie ty jesteś, kochanie? Powiedz mi, to...

- Mamo, nie pozwól...

- Niepokoiłem się o ciebie, Ruby Monroe - przerwał jej lodowaty głos kidnapera. - Niepokoiłem się, że twoja córka nie będzie mogła wrócić do domu i zastać tam swojej matki.

- Oddaj jej słuchawkę, proszę! Muszę porozmawiać z Zoe. Muszę...

- Porozmawiasz z nią jutro, jeśli zrobisz to, co ci każę. Przede wszystkim, chcę, żebyś trzymała się z dala od miejsc publicznych i niebezpiecznych sytuacji. Uprzedzam, następnym razem nie zdarzy się cud, który w ostatniej chwili cię uratuje.

- Byłeś tam. - Miała wrażenie, że ta pewność zaciska się wokół jej żołądka pierścieniem zamarzniętych odłamków, wyszczerbionych kryształów, białych jak śnieg. - W domu Dylana Hammetta, prawda?

Oczyma wyobraźni widziała rzucającego się na nią wytatuowanego mężczyznę, czuła szorstkie ręce Coffina, kiedy rozdzierał jej ubranie. Nie po to, żeby, jak się obawiała, ją zgwałcić, ale żeby przetrząsnąć kieszenie w poszukiwaniu przedmiotu, którego nie znalazł w jej bagażu.

- Zamierzałeś ukraść tego flashdrive'a - powiedziała oskarżycielskim tonem, chociaż teraz nie miała pewności, że

rozmawia z tym samym mężczyzną, który ją zaatakował. Bardziej prawdopodobne, że rozmawiała ze snajperem.

Było oczywiste, że nie miał pojęcia, iż jego pracodawca już ma pliki. Gdyby mu o tym powiedziała, zabiłby Zoe, tak jak zapewne zamordował już Misty. Instynkt oraz okrucieństwo w głosie podpowiadały Ruby, że podzielenie się z nim tą informacją mogłoby mieć zabójcze konsekwencje.

- To prawda, że gdybyś okazała się tak głupia i miałabyś ten przedmiot przy sobie, to już byś nie żyła i nie prowadzilibyśmy tej rozmowy - mówił mężczyzna, którego znała pod nazwiskiem Best - ale to nie jest teraz ważne, bo przyniesiesz mi go. Jutro po południu, dokładnie o dwunastej trzydzieści pięć. Przyjedziesz sama i włożysz ten przedmiot do jasnopomarańczowej torby marynarskiej, którą zostawiłem w miejscu o następujących współrzędnych...

- Dlaczego jutro? Dlaczego nie teraz? - Wyobraziła sobie, jak zabiera broń od Pauliego i załatwia Besta w taki sam sposób, w jaki załatwiła atakującego mastiffa. Może miała niewielkie szanse, ale nie widziała żadnej korzyści w zwlekaniu. - Mam tego drive'a. Chcę mojej córki.

- Sugeruję, żebyś zapisała te współrzędne - Ignorował jej słowa. - Nie będę powtarzać.

Sam otworzył gwałtownym ruchem szufladkę stolika i wyciągnął pióro oraz pożółkły arkusz papieru firmowego motelu. Wyrwała mu je z rąk, gdyż Best już zaczął powoli, wyraźnie, odczytywać długie szeregi cyfr informujących o długości i szerokości geograficznej.

Zdołała zapisać, mimo że trzęsły jej się ręce, a nawet starczyło jej przytomności umysłu, żeby odczytać je kidnaperowi na głos, jakby robiła coś zupełnie przyziemnego, na przykładu podawała numer karty kredytowej, żeby zamówić jakiś katalog.

- Słuchasz pięknie. - Zjadliwie słodki ton Besta zdawał się wślizgiwać w jej ucho niczym język węża. - Słuchaj dalej, to twoja rodzina przeżyje.

Ruby dygotała.

- Będziesz tam czekał z Zoe? Pozwolisz mi zabrać ją do domu, tak? I moją siostrę... Czy moja siostra...

- Wypełnisz moje instrukcje, to znów będziecie razem. Przypominała sobie wyraziste obrazy z głębi jeziora, które jej się śniły. Rozpoznała głos Zoe - nie miała wątpliwości. Sam położył rękę

na jej kolanie i spojrzał na nią w sposób, który podziałał na nią uspokajająco.

- Kiedy? - naciskała na Besta. - Muszę wiedzieć, kiedy do mnie wrócą.

- Kiedy będę miał pewność, że nie zmodyfikowałaś ani nie skopiowałaś materiału. Kiedy będę miał pewność, że z nikim nie rozmawiałaś.

- Oczywiście, że z nikim nie rozmawiałam. Nigdy nie chciałam tego flashdrive'a. Nawet mu się nie przyglądałam i nie mam pojęcia, co na nim jest.

- Nie zgrywaj idiotki, Ruby Monroe. Nie udawaj, że wszystko jest takie proste.

Usiłowała odgadnąć, co wiedział, a czego nie wiedział. Sam naśladował ręką ruch kołowrotka, pokazując Ruby, żeby podtrzymywała rozmowę.

- To jest proste - upierała się. - Spotkasz się ze mną dziś wieczorem. Przywozisz moją rodzinę. Daję ci tego flashdrive'a, ty pozwalasz im odejść. - Wyobraziła sobie nowy scenariusz: Sam ukrywa się w pobliżu miejsca wymiany, uzbrojony i gotowy... Kiedy upewnia się, że jej rodzina jest bezpieczna, strzela do kidnapera. Pod warunkiem że Sam dałby się namówić na podjęcie kolejnego ryzyka. Czyż nie powiedział jej - bardzo dobitnie - że nie używa broni?

- Jutro po południu - powtórzył Best. - Dwunasta trzydzieści pięć, masz wszystko robić tak, jak cię poinstruowałem.

- Jaką mam pewność, że nie zwabisz mnie w zasadzkę? I że ich nie zabijesz?

- Chcesz gwarancji? - Wyczuła pogróżkę w jego spokojnym głosie i żołądek zrobił salto. - Co powiesz na gwarancję stanu, w jakim odnajdziesz swoją rodzinę, jeżeli nie wypełnisz dokładnie moich instrukcji?

- Nie, ja... - Ruby brakowało powietrza, pomyślała, co zrobił jej przyjaciółce, żeby dowieść, że nie rzuca słów na wiatr. Miała przed oczami błyszczącą kałużę krwi i poderżnięte gardło Elysse, upiorny uśmiech... A jeśli to samo zrobił Misty... Może już była martwa? Może Ruby znajdzie tylko kawałki swojego jedynego dziecka? - Nie to miałam na myśli. Proszę... bardzo proszę mi tego nie mówić.

- Możesz sprawdzić bagażnik swojego samochodu - powiedział i zaraz potem linia zamarła, podobnie jak wola walki, którą Ruby dotychczas miała w sobie.

- Ruby? Słyszysz, co mówię? - Sam wziął jej rękę i ścisnął, a potem okrył Ruby kocem, żeby się rozgrzała. Ale najbardziej martwiła go jej twarz: blada, naznaczona zobojętnieniem i porażką.

- Nie chcę tego widzieć. - Gorączkowo kręciła głową, przypominała bardziej zagubione dziecko niż zmysłową kobietę, z którą niedawno się kochał - silną kobietę, którą obserwował nieraz, jak stawiała czoło koszmarowi z niebywałą odwagę. - Ja... nie jestem w stanie patrzeć.

Sam włożył spodnie, a potem zajrzał za drzwi pokoju, gdzie, zgodnie ze słowem danym przez Opal, stała torba z ubraniami. Wniósł ją do środka i zaczął przeglądać zawartość, aż natrafił na wyblakły granatowy T - shirt, który wydał mu się odpowiedni pod względem rozmiaru. Większość rzeczy była za duża na Ruby, ale znalazł parę uciętych dżinsów i top w paski; ciuchy wyglądały tak, jakby należały dla wrażliwej na modę dwudziestoparolatki, a zarazem jednej ze specyficznych właścicielek motelu. Bielizny nie było, ale Ruby nie protestowała, kiedy pomagał jej się ubierać.

- Nie musisz wychodzić - powiedział. - Pozwól mi wziąć klucze i sprawdzić to.

- Jeżeli... jeżeli tym razem to jest moja siostra... Jeżeli to ktoś z moich znajomych...

Sam dotknął jej policzka i delikatnie pocałował ją w skroń.

- Zaraz wracam.

Objęła się ramionami i przewróciła na drugi bok, twarzą do ściany, gdy on wymknął się w noc.

Z wyjątkiem przyćmionego światła gwiazd panowała teraz zupełna ciemność, zwłaszcza w miejscu, gdzie mały sedan stał pod sosnami niczym przyczajone zwierzę. Nie widząc nikogo w okolicy, Sam podszedł do wozu. Strach rozpalał mu żyły jak kwas, przyprawiał go o suchość w ustach.

Snop latarki spoczął na cieczy wolno sączącej się spod tylnego zderzaka. Z wycieku utworzyła się na żwirze spora ciemna plama. Sam zrozumiał teraz, dlaczego został uszkodzony jego wóz. Powód, dla którego kidnaper chciał mieć pewność, że oni odjadą samochodem Elysse. Przykucnął za nim i korzystając ze światła, potwierdził to,

czego już i tak się domyślał. Na białym tle były widoczne smugi błyszczącej czerwieni.

Wciąż przypominał sobie, jak wrzeszczał na niego Pacheco: „Zadzwoń na policję, estupido. Nie dotykaj zamka tego bagażnika. Nie dotykaj niczego. Tylko zadzwoń anonimowo i w drogę".

- Za późno - burknął Sam, rozmyślając o śladach, które zostawił w całym samochodzie i o tym, że jego wóz stał pod domem Dylana Hammetta. Pod domem, w którym ktoś został zamordowany - stwierdziłby to nawet ostatni idiota. Jeżeli Wofford miała powód, żeby zwalić winę na niego, albo nawet jeśli tylko powiązała wydarzenia i nie drążyła sprawy dalej, najprawdopodobniej znaczyło, że Sam będzie potrzebować zupełnie innego adwokata - adwokata specjalizującego się w bronieniu klientów oskarżonych o morderstwo.

Nie mając wiele do stracenia, postanowił, że dowie się, kto jest ofiarą zbrodni, która rzekomo obciążała jego konto.

- Niech to nie będzie Misty. Ze względu na Ruby... proszę - modlił się w duchu. Otworzył bagażnik i zajrzał do środka.

Rozdział 27

Ołowiana Godzina - Kto przetrwał, ten ją wspomina Tak jak ktoś, kto zamarzał, wspomina Biel Śnieżną - Ziąb - potem Odrętwienie - potem wszystko jedno.

Emily Dickinson

(Emily Dickinson „Wielki ból zastępuje rutyna cierpienia", przeł. Stanisław Barańczak [w:] Emily Dickinson. 200 wierszy. Kraków, Drukarnia Wydawnicza im. W.I. Anczyca, 1990.)

Ciało było w fatalnym stanie, rany śmiertelne wyglądały okropnie. Jednak to obrażenia zadane po śmierci - w każdym razie Sam miał nadzieję, że po śmierci - sprawiły, że odszedł na bok i zaczął wymiotować.

Te zwłoki - z poderżniętym gardłem, wyrwanym z niego językiem, i klatką piersiową rozerwaną przez kule - stanowiły ostrzegawcze przesłanie, tak samo czytelne jak wiadomość zostawiona przez Elysse Steele.

Ale chociaż to wszystko było takie okropne, ani on, ani Ruby nie musieli opłakiwać ofiary - wytatuowanego mężczyzny, który wdarł się do domu Ruby i zaatakował tuż przed śmiercią. Sam kilkakrotnie spluwał, żeby pozbyć się obrzydliwego smaku w ustach, i zastanawiał się, czy prześladowca Ruby świadomie postanowił uratować jej życie.

Temu mężczyźnie zależało na jej życiu przynajmniej do momentu, gdy zabierze jej flashdrive'a - albo uświadomi sobie, że Ruby ma nie tego flashdrive'a, o którego mu chodziło.

Uwagę Sama przykuł odgłos szybko zbliżających się kroków. Odruchowo zatrzasnął maskę samochodu, a w uszach czuł dudnienie mocno bijącego serca. Po chwili wyłączył latarkę, ale najwyraźniej zrobił to za późno.

- Sam McCoy? - Głos należał do młodej kobiety, która trochę się zasapała. - Sam, tu Trisha. Moja babcia poprosiła mnie... poprosiła, żebym przyszła wam powiedzieć...

Musiała przerwać, żeby złapać oddech.

- Spokojnie - odparł cicho, żeby ją uspokoić, chciał żeby jak najszybciej odeszła, zanim poczuje zapach krwi i wymiocin, zanim zorientuje się, że stoją zaledwie parę metrów od trupa.

- Kurczę, wiedziałam, że z tobą będą tylko kłopoty. W każdym razie babcia chciała, żebym dała wam znać, że jacyś ludzie z policji

dopytują się o was - wydaje mi się, że to faceci z Agencji Zwalczania Narkotyków. Właśnie z nimi rozmawia, udaje przed nimi bezradną staruszkę, ale...

Wychylając głowę zza rogu, Sam dostrzegł światła samochodu. Zareagował błyskawicznie, rzucił się nie w stronę pokoju, bo wówczas znalazłby się w polu widzenia agentów i zaprowadziłby ich prosto do Ruby, ale do zagajnika za motelem.

W ciągu kilku sekund zobaczył, jak jego cień rozciąga się przed nim i kołysze, gdy tymczasem z tyłu nadjeżdża wóz agentów. Wyobraził sobie, że kiedy biegnie, szyba SUV - a opuszcza się i snajper bierze go na celownik. To przeczucie było tak wyraziste, że Sam poruszał się teraz zygzakiem, mając nadzieję, że biegnie we właściwą stronę. Czuł instynktownie, że dosięgnie go kula, zaraz będzie martwy jak wytatuowany nieboszczyk w bagażniku.

Panika sprawiała, że serce łomotało mu w piersi, dławił go żal, że nie zdążył ostrzec Ruby, pomóc jej przygotować się na...

Kiedy padł strzał, Sam usłyszał ostry i gwałtowny trzask, zatoczył się do przodu i runął w ciemność - gładką i szklistą niczym jego niedawne staczanie się w przepaść.

Ruby czekała i z każdą chwilą coraz bardziej obezwładniał ją strach. Czuła się tak, jakby niepokój skuł ją lodem: nie była w stanie poruszyć żadnym mięśniem, ani nawet zerknąć na zegarek, żeby zorientować się, ile czasu upłynęło, odkąd Sam wyszedł.

A jeśli znalazł Misty? Jeśli Best zrobił jej to sarno co Elysse? Czy Zoe patrzyła, jak jej ciocia jest zabijana? A co ze szczątkami ciała wyłowionymi wraz z hondą Misty? Ogarniało ją coraz większe przerażenie. Umysł nie mógł uwolnić się od obrazu ciała, które zerwało się z więzów i wypłynęło na powierzchnię Jeziora Kości, od gadzich ślepi obserwujących ofiary z oddali. Ślepia połyskiwały zimno o zmierzchu, podpływały coraz bliżej, z pomocą grubego ogona, który wił się jak wąż.

Westchnęła głośno, wciągając powietrze. Wstała, wepchnęła stopy do rozsznurowanych butów i podbiegła do drzwi. Nie mogła już czekać ani chwili dłużej, musiała dowiedzieć się, co Sam znalazł w bagażniku samochodu.

Nagła zmiana pozycji sprawiła, że Ruby zrobiło się ciemno przed oczami, a przytłumiony dotąd ból w czaszce osiągnął rozdzierające

crescendo. Zaciskając zęby, oparła się rękami o ścianę, bo strasznie kręciło jej się w głowie.

Czekała, aż pokój przestanie wirować, aż przypływ bólu w głowie zacznie się cofać. Czekała i zastanawiała się, czy Sam postanowił zredukować straty i skorzystać z jej kluczyków po to, aby móc uciec jak najdalej od tego bałaganu. To podejrzenie raniło jej serce, ale wmawiała sobie, że mimo krótkich chwil rozkoszy w ramionach tego mężczyzny nie miała prawa oczekiwać od niego więcej ani zarzucać mu, że postanowił walczyć o przetrwanie.

Powtarzała to sobie, ale i tak nie była w stanie uwierzyć, nie mieściło jej się w głowie, że być może utraciła Sama na zawsze, tak jak wcześniej utraciła Elysse.

Otworzyła szeroko oczy, kiedy przyszła jej do głowy inna myśl niż porzucenie. I była to myśl bardziej przerażająca. A jeśli Sam został zaatakowany? Może kiedy rozmawiał przez telefon, zabójca już na niego czyhał?

Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby użyć jako broni, utkwiła wzrok w sfatygowanym drewnianym krześle. Podniosła je i, pod wpływem adrenaliny, z całej siły wyrżnęła nim o podłogę. Odłamała nogę i uderzała krzesłem dalej, aż została jej w ręku ostro zakończona część. Może to była skromna broń w konfrontacji z pistoletem, nożem albo szaleńcem, ale pocieszała się myślą o wampirach, przebijanych kołkiem. Żeby zabić Goliata wystarczyła proca i kamień.

Uświadomiła sobie, że wszystko świadczy przeciw niej, ale jaką miała szansę, że uratuje rodzinę bez pomocy Sama? Nie chcąc zostawiać flashdrive'a, wyciągnęła go z gniazda USB laptopa, a potem wepchnęła do kieszeni i pobiegła do drzwi. Gdy opuściła pomieszczenie, próbowała sobie wmawiać, że to jedyny powód, dla którego tam idzie, że serce nie popycha jej do narażania własnego życia - i życia córeczki - z innej przyczyny...

Nie ma prawa tworzyć związku z mężczyzną, który już ją uprzedził, że ucieknie z miasteczka, kiedy tylko będą sprzyjające warunki.

Wyczerpany rabanem, którego narobił, i zapewne również utratą krwi, Noah zasnął na podłodze w szpitalnej poczekalni. Justine siedziała obok niego ze skrzyżowanymi nogami i ignorowała

mordercze spojrzenia osób w kolejce, chociaż miała wielką ochotę pokazać każdej z nich środkowy palec.

Potrafiła myśleć o całej sytuacji w racjonalny sposób; wiedziała, że wszyscy ci ludzie zastanawiali się, jaka matka pozwala swojemu dziecku - które wyglądało całkowicie, do bólu normalnie - wycinać sobie wzory na przedramionach, a potem nawet nie zetrze zasychającej krwi. Nie mogli zrozumieć, że ten chłopiec najprawdopodobniej nie czuł bólu, kiedy kaleczył swoje ciało odłamkiem szkła, ale wył z udręki, gdy ktoś przyciskał mu do skóry ciepłą, wilgotną szmatkę albo, Boże broń, próbował go objąć.

Poza tym gdyby rozniosło się, że Justine Wofford, szeryf Preston County, pokazywała obsceniczne gesty na terenie szpitala, musiałaby się pożegnać z szansami na ponowny wybór za niespełna dwa lata. A po tym, co zrobiła, żeby choć na krótko zaznać przywileju dokończenia kadencji Lou... Przełknęła ślinę, żeby nie czuć niesmaku na myśl o nieuczciwych metodach, jakie stosowała, o niewinności, którą gdzieś po drodze zaprzedała.

Nie miała wyjścia: musiała zadzwonić do swojego ojca, chociaż wiedziała, że zacznie ją bombardować tekstami w stylu: „a nie mówiłem". I że gdyby ten emerytowany szeryf Morton County zorientował się, co zrobiła, pierwszy zameldowałby o jej poczynaniach, a może nawet osobiście aresztował. Wciąż czuła zażenowanie, gdy przypominała sobie, jak chciał okazać jej wsparcie, kiedy mu powiedziała, że chce przejąć urząd po Lou.

- Nawet jeśli starczy ci odporności, nawet jeśli wygrasz te wybory, ci policjanci nigdy nie zaakceptują kobiety jako zwierzchnika, zwłaszcza kogoś, kto nie musiał, tak jak oni, pokonywać kolejnych szczebli kariery. I jeśli chcesz znać moje zdanie - ostrzegł, ani przez chwilę nie przejmując się tym, że nie chciała go znać - lepiej by było dla ciebie, żebyś z powrotem wprowadziła się do domu i znalazła sobie coś bardziej odpowiedniego. Wciąż jeszcze liczę się w Morton County. Chcesz, to zajmę się wyszukaniem zajęcia, które będzie lepsze dla samotnej matki. Słyszałem, że technik od zabezpieczania dowodów przechodzi na emeryturę. Ta praca jest bezpieczna...

I diabelnie nudna, pomyślała Justine, gładząc miękkie brązowe włosy Noah, za długie, bo ich obcinanie było koszmarem. Chociaż jej syn spał, mogła go dotykać tylko pod warunkiem zachowania

ostrożności. Tak strasznie pragnęła wziąć malca w ramiona, zapytać, czy postąpiła słusznie, domagając się więcej, niż zaoferował jej ojciec. Wyzwania związanego z zawodem, w którym sukcesy odnosił jej mąż. Poczucia spełnienia, które zostawiła za sobą, kiedy zrezygnowała z pracy w policji Morton County, żeby drugi raz spróbować szczęścia w małżeństwie. No i pieniędzy, bowiem pensja szeryfa zapewniała jej finansową niezależność.

Przełknęła dumę i zadzwoniła. Telefon odebrał ojciec.

- Potrzebuję twojej pomocy, tato, i to natychmiast.

- Tamten pokój jest wciąż wolny, kochanie. I wiesz, że Noah jest zawsze mile widziany.

- Wiem i doceniam to - powiedziała. Pomyślała, że jego akceptacja dla autystycznego wnuka - i niechęć do dawania rad na temat wychowywania - stanowiła jedyny powód, dla którego ojciec i córka wciąż ze sobą rozmawiali. Niestety, zawsze bardzo chętnie dzielił się z nią swoimi opiniami na temat innych aspektów jej życia, od spraw zawodowych po jej okropny brak gustu, jeśli chodziło o mężów. - Ale teraz chcę, żebyś jak najszybciej przyjechał. Proszę cię, to tylko czterdzieści minut, jeśli się uwiniesz.

Chociaż często żałowała, że nie został w Morton County, dzisiejszego wieczoru dziękowała Bogu, że po przejściu na emeryturę zamieszkał na wiejskim ranczu niedaleko stąd.

- Co się stało?

- Jesteśmy w szpitalu, czekamy na założenie szwów. Noah się skaleczył.

- Jak mu się to udało? - Ojciec wiedział, jakie środki ostrożności stosowała, żeby chłopiec nie zrobił sobie krzywdy.

- Podejrzewam, że wybił głową szybę w oknie, a potem pociął sobie odłamkiem ręce.

- Jak poważny jest jego stan?

- Głowa chyba w porządku, a większość skaleczeń wydaje się powierzchowna. Ale jest też trochę większych skaleczeń... Sądzę, że tym razem będzie nie więcej niż osiem, dziesięć szwów. Rzecz w tym, że opiekunka Noah zrezygnowała, a ja akurat tkwię po uszy w tej wielkiej sprawie...

- Stan przedalarmowy? Widziałem w telewizji. Widziałem cię też na konferencji prasowej. - Ojciec odczekał chwilę, a potem dorzucił złośliwość: - Wydawałaś się trochę przytłoczona.

- Po prostu zmęczona. - Zmęczona tym, że zakładasz, iż ty albo jakikolwiek szeryf mężczyzna poradziłby sobie lepiej, pomyślała. - Ta sprawa już i tak jest trudna, a w dodatku mam na karku media i agencje z zewnątrz. Poza tym straciłam dobrego człowieka.

Oscar Balderach bardzo starał się wyperswadować jej ubieganie się o miejsce po mężu, a w dodatku miał czelność powiedzieć, że Lou nigdy by tego nie zaakceptował. Mimo wszystko był jednak dobrym przyjacielem męża, a co ważniejsze, to na jej barkach spoczywała odpowiedzialność za jego bezpieczeństwo i za dobre funkcjonowanie wszystkich, którzy służyli w jej departamencie.

- Takie rzeczy się zdarzają, Justine. Zdarzają się nawet najlepszym. - Ton głosu ojca nie pozostawiał wątpliwości, że nie zaliczał jej do tego ekskluzywnego grona. - A więc wreszcie przyznajesz, że sytuacja cię przerasta.

Niemal poczuła, jak opada jej kącik ust.

- W porządku, a więc miałeś rację, tonę tu, do kurwy nędzy. Pytanie jest takie, tato: rzucisz mi kamizelkę ratunkową czy kamień?

- Zaraz będę. Czy kiedyś nie przyjechałem, kiedy raczyłaś poprosić?

W głosie wyczuwało się rozczarowanie, że nie korzystała z jego doświadczenia częściej. Co tylko potwierdzało obserwację Justine, że kompletnie nie miał pojęcia, dlaczego tak się dzieje.

Kiedy kończyła rozmowę, zadzwonił ktoś inny; przełączyła się.

- Wofford przy telefonie.

- Pani szeryf, mówi Ichabod.

Justine uniosła brwi, zaskoczona, że Larry Crane użył znienawidzonej przez siebie ksywki.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Te szczątki ciała wyłowione z jeziora... Pomyślałem, że będzie pani chciała wiedzieć, że zostały zidentyfikowane.

- Jesteś pewny? - Z ostatnich informacji, które słyszała, wynikało, że znaleziono tylko kawałki.

- Później wyłowiono głowę, i to nawet w niezłym stanie. Była wepchnięta w korzenie cyprysa. Aligatory lubią robić takie rzeczy, lubią, żeby ich posiłek trochę dojrzał...

- Czyją głowę? - przerwała mu Justine. - Czy ktokolwiek był w stanie stwierdzić, czyją głowę wyłowili nurkowie?

Ktoś w poczekalni zakaszlał. Zobaczyła, że kilkoro pacjentów i członkowie ich rodzin przyglądają się jej uważnie. Jakaś para wpatrywała się w nią z przerażeniem, podczas gdy reszta zdradzała niezdrową fascynację typową dla gapiów obserwujących wypadek z ofiarami śmiertelnymi. Chociaż wolała już to niż spojrzenia mówiące „jesteś najgorszą matką na całej kuli ziemskiej", którymi była częstowana po ataku histerii swojego syna, to jednak nachmurzyła się i odwróciła od ciekawskich, po czym zasłoniła ręką aparat, podczas gdy Noah poruszył się, westchnął i położył jej głowę na udzie.

Gdy Crane podał nazwisko ofiary, Justine zacisnęła powieki.

- Jesteś pewien?

Kiedy upierał się, że to sprawdzona informacja, zaklęła pod nosem. Myślała, że jest przygotowana na każdą ewentualność. Ale coś takiego? Czuła, że ta sytuacja okaże się dla niej niewyobrażalnie trudna.

- Roger jest już gotowy, żeby poinformować najbliższą rodzinę - mówił podwładny, mając na myśli oficera Savoya - ale biorąc pod uwagę...

- Powiedz Rogerowi, że sama przekażę tę wiadomość tak szybko, jak to będzie możliwe, a do tego czasu o niczym nie informujecie. Są tam już jakieś media?

- Nie. Mieliśmy fart. Większość dziennikarzy pojechała relacjonować ten wypadek kościelnego autokaru na autostradzie I - 10.

Wprawdzie Justine również była zadowolona, że reporterzy opuścili okręg, ale była poruszona wiadomością o tragicznym wypadku.

- No cóż, musimy dopilnować, żeby nie usłyszeli o tej historii przez kilka następnych godzin, a jeśli dowiesz się czegoś - czegokolwiek - chcę, żebyś najpierw zadzwonił do mnie.

- Ale Savoy zajmuje się...

- Jego wersją również jestem zainteresowana. Głównie interesuje mnie to, jak bardzo odbiega ona od faktów. A więc czy jesteś gotów mi pomagać w tej sprawie, Larry, czy też w gruncie rzeczy wolisz być dupkiem, któremu inni będą wciskać kit aż do jego usranej śmierci?

Zakończyła rozmowę pytaniem, zostawiając swojemu podwładnemu dość czasu, by mógł powoli rozważyć jego implikacje... i zdecydować, kogo chce popierać.

Rozdział 28

Struga krwi jest poezją, Nie da się jej zatrzymać...
Sylvia Plath
(Sylvia Plath, fragment wiersza Uprzejmość.)

Sam z bólu nie mógł złapać tchu. Przygryzał wargi, żeby nie kląć, i czuł, jak leje się z niego pot. Lewa kostka szybko puchła - pamiątka po kontakcie z grubą gałęzią, która trzasnęła pod jego ciężarem, jakby ktoś strzelił z pistoletu, i sprawiła, że runął na ziemię. Przez kilka chwil leżał nieruchomo, modlił się, żeby agenci go nie zauważyli. Jednak nadzieje okazały się płonne, w jego stronę jechał ciemny SUV - a w nim zapewne ludzie z Agencji Zwalczania Narkotyków, niszcząc kępy trawy i kopce utworzone przez mrówki.

Odwrócił się i pokuśtykał głębiej w zarośla. Kiedyś nurt rozlewiska płynął za motelem Z Haczyka do Piekarnika. Przed kilkoma dekadami jego wody w tajemniczy sposób zmieniły bieg, co przysporzyło motelowi kłopotów i zostawiło nisko położony teren, na który nie dawało się wejść; teraz porastały go drzewa i krzewy i okupowało robactwo, nie brakowało też węży. Ale Sam był gotów przystosować się do tego dzikiego świata, znieść obolałe protesty swoich gojących się ran, zrobić dosłownie wszystko, żeby zgubić pościg.

Bieg okazał się trudniejszy, niż to sobie wyobrażał. Każdy krok był torturą dla zranionej nogi, Sam miał ochotę wrzeszczeć wniebogłosy.

Ale jakoś posuwał się do przodu, zagłębiał w parny labirynt, gdzie unosiły się roje moskitów, a dziesiątki małych gałązek zdawały się mieć jeden cel: drapać go, wbijać się w niego i utrudniać mu ruchy. Kiedy znów gałązka zaczepiła o koszulę, przystanął, żeby ją odczepić, i wciągnął haust wilgotnego powietrza. Obejrzał się przez ramię, nie zauważył żadnych zbliżających się świateł, ale zaalarmował go trzask i chrzęst czegoś, co sunęło w jego stronę przez podszycie. To coś poruszało się tak szybko, że zastanawiał się, czy agenci są wyposażeni w okulary noktowizyjne albo celowniki termowizyjne, które mogłyby wychwycić ciepło jego ciała. Czy mieli też snajperski sprzęt, który pozwoliłby im go sprzątnąć, kiedy tylko wzięliby go na cel?

Na miłość boską, nie bądź dla nich łatwym celem.

Adrenalina natychmiast dała o sobie znać i zapomniał o spuchniętej kostce, o tym, że gałązka może mu się wbić w oko, albo że wpadnięcie w jakąś dziurę grozi skręceniem karku. Zapomniał o wszystkim. Liczyło się tylko jedno: być ciągle w ruchu, utrzymywać przewagę nad dwoma mężczyznami, którzy co prawda mieli do dyspozycji rozmaite narzędzia, ale nie znali terenu, byli świetnie wyszkoleni, ale brakowało im zmysłu orientacyjnego, który on wyrobił sobie przez lata pływania łódką po skomplikowanej sieci tutejszych kanałów.

Używał motelu za plecami jako punktu orientacyjnego, wszedł głębiej w zarośla i modlił się, żeby zwolniły pościg agentów. Zdawał sobie jednak sprawę, że przez nie jemu też będzie trudniej się wymknąć, co da agentom czas na ściągnięcie posiłków i szczelne otoczenie terenu, a w razie potrzeby nawet całego Dogwood.

Dlatego musiał jak najszybciej się stąd wydostać.

Musiał, bo znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Jego wóz został porzucony w pobliżu miejsca, gdzie popełniono morderstwo, a w bagażniku samochodu, który dopiero co prowadził, znajdowały się zwłoki. Jeśli zostanie aresztowany, to jaki będzie z niego pożytek dla Ruby? Nigdy nie obiecywał jej - ona zresztą tego nie oczekiwała - że ze względu na nią pójdzie siedzieć.

Zaczepił opuchniętą nogą o zwalone drzewo i mocno się uderzył, kolano odmówiło posłuszeństwa. Wylądował w plątaninie zarośli, z trudem łapiąc oddech, a szew z boku sprawiał mu dodatkowy ból. Ale fizyczna udręka była niczym w porównaniu ze świadomością, że uciekł i zostawił Ruby na pastwę Besta, albo i Wofford. A może nakryją dziewczynę w pokoju hotelowym, skoro już zauważono corollę? Czy zabiorą ją do aresztu, wraz z laptopem i flashdrive'em? Jeśli Best dowie się, że Ruby nie będzie mogła przyjść na spotkanie, czy zabije Zoe, a także Misty, jeśli ją też przetrzymywał?

Leżąc zupełnie nieruchomo, zobaczył snop światła, którego ruch przecinały niezliczone gałęzie. Zamiast zerwać się i biec dalej, zamarł i nasłuchiwał, modląc się, żeby zarośla i zwalone drzewo zapewniły mu dobrą kryjówkę.

Omal nie wyskoczył ze skóry, kiedy tuż obok zaświergotał nocny ptak. Z oddali napływały hałasy typowe dla ruchu drogowego, ale Sam nie słyszał policyjnych syren. Minęła minuta i do jego uszu

zaczęły docierać stukot butów, ciężkie kroki, a potem odgłosy z krótkofalówki.

- Namierzyłeś go? - zapytał metaliczny głos, który skojarzył się Samowi z twarzą agenta specjalnego Acosty.

Poczuł ukłucie w kark i z trudem powstrzymał się od uderzenia natarczywego owada. Albo owadów, sądząc po tym, jak mocno szczypanie dawało mu się we znaki. Wredne małe dranie.

- Nie. - Mówiący te słowa zatrzymał się dosłownie metr dalej i stał odwrócony plecami do Sama. - Zgubiłem go.

Sam przywarł do ziemi, wystraszony bliskością agenta, i usiłował sobie przypomnieć nazwisko partnera Acosty, gościa z rudawym zarostem i drogimi okularami typu wraparound. Partner poruszał się w zaroślach z gracją i dyskrecją słonia na szczudłach.

- Nie widzę go - powiedział Acosta przez krótkofalówkę. - Wracajmy do motelu, tam poprosimy K - 9 o wsparcie. Niech psy go wygrzebią z tego syfu.

- Albo niech go pożrą pieprzone aligatory - burknął ten z rudawym zarostem.

- Dla mnie może być.

Kiedy agent wycofał się, Sam ściskał w ręku gruby kij. Wyobrażał sobie, że wstaje i atakuje nim agenta, który go ściga, a potem odbiera mu broń, żeby uratować z opresji Ruby i siebie, nie wspominając o Javie.

Czuł narastającą w nim zdolność do przemocy, gwałtownej i podłej jak wszystkie nikczemne czyny, których dopuszczał się J.B. Zdawał sobie sprawę, że ma ją w sobie przez całe życie, tyle że w stanie uśpienia. Miał wrażenie, że owa zdolność wyczekuje właściwego momentu, zwinięta w kłębek jak żmija.

I przez całe życie bał się jej, izolował ją, bowiem, w przeciwieństwie do swojego brata, a nawet obleśnego ojca, który ich spłodził, rozumiał, jakie są konsekwencje używania pięści i broni, rozumiał, jak szybko sprawy potrafią wymknąć się spod kontroli.

Rozumiał, że nawet gdyby jakimś cudem nie dał się zabić, to zamachnięcie się kijem na czyjąś czaszkę i zaatakowanie uzbrojonego mężczyzny z pistoletem w ręku świadczyłoby o zamiarze popełnienia morderstwa.

To byłoby morderstwo, a nie samoobrona, pomyślał, i, o ironio, przypomniał sobie swoje słowa.

Nie jestem taki jak mój brat. Nie jestem jak on. Za nic w świecie taki nie będę.

Te myśli przemykały mu przez mózg jak błyskawica, aż wreszcie agent odszedł, a wraz z nim zniknęła pokusa zrobienia czegoś nieodpowiedzialnego.

Teraz zastanawiał się, jak, do diabła, ma się wykaraskać z tarapatów. W samotności nasłuchiwał wycia syren i szczekania psów.

Poruszając się cicho, Ruby obeszła motel. Trzymała w rękach nogę od krzesła, jakby to był kij baseballowy. Java pracowicie węszyła dookoła, bardziej przejęta znalezieniem idealnego miejsca na odpoczynek niż nieobecnością swojego pana.

Ruby zauważyła corollę, zaparkowaną w cieniu, tam gdzie ją zostawiła. A zatem Sam nie skorzystał z kluczyków i nie odjechał. Ale dokąd poszedł?

Zerkała w złagodzoną światłem gwiazd ciemność. Chociaż nie zobaczyła ani nie usłyszała nic w pobliżu samochodu, jej wzrok przykuły tylne światła wozu - chyba to był SUV - stojącego na jałowym biegu w pobliżu drzew, w odległości mniej więcej czterdziestu, pięćdziesięciu metrów.

Obecność wozu bardzo ją zdenerwowała, chociaż niewykluczone, że należał do pary kochanków na schadzce czy jakichś zajętych popijaniem nastolatków. Mogła przez cały wieczór wymyślać rozmaite warianty, ale żaden nie tłumaczył, dlaczego Sama nie ma ani dlaczego odszedł bez słowa.

- Sam? - zawołała cicho i przysunęła się do bagażnika samochodu. Czyżby coś, co znajdowało się w środku, mogło odstraszyć mężczyznę, któremu starczyło odwagi, by zaryzykować śmierć w płomieniach? Mężczyznę robiącego dla niej rzeczy, za które mógł trafić z powrotem do więzienia?

Z trudem przełknęła ślinę i mocniej ścisnęła swoją broń.

- Boże, proszę, pomóż mi - szepnęła. - Nie pozwól, żeby i on zginął.

Poczuła zimno w żołądku i dreszcze na karku. Czyżby jej modlitwa przyszła zbyt późno dla Sama? Pokręciła głową i zaraz tego pożałowała, bo ból omal nie rozerwał jej bębenków. Stęknęła i poczuła ciepły, wilgotny jęzor Javy na wierzchu dłoni.

- Przecież nie zostawiłby ciebie. - Pogłaskała psa, nie spuszczając wzroku z SUV - a na skraju lasu. Dygotała na myśl o tym,

że naraża nie tylko swoje życie, ale także życie swojej córki, przyjmując niemal zerowe prawdopodobieństwo, że uda jej się uratować swojego „partnera" za pomocą nogi od krzesła. I to przy założeniu, że Sam przebywał gdzieś w pobliżu i jeszcze żył.

Włoski na jej karku zjeżyły się, jakby ostrzegały, że nie powinna się stąd ruszać, a najlepiej, jeśli pobiegnie z powrotem do pokoju i zamknie drzwi na klucz. Jakby napominały Ruby, że musi się skupić na Zoe, że ponosi odpowiedzialność przede wszystkim za córeczkę.

Java podniosła głowę, warknęła, i w tym momencie Ruby usłyszała serię wystrzałów, od strony lasu.

Dokonała wyboru w mgnieniu oka: odwróciła się na pięcie i rzuciła przed siebie, chcąc wrócić do bezpiecznego miejsca...

Była zupełnie zaskoczona, gdy wpadła na człowieka, który był całkowitym zaprzeczeniem bezpieczeństwa.

Rozdział 29

Nie mogę słyszeć - że ktoś zbiegł - Żeby puls nie bił żywiej - Żeby przypływ nadziei - Do lotu mnie nie zrywał!

Emily Dickinson

(Emily Dickinson „Nie mogę słyszeć, że ktoś zbiegł", przeł. Stanisław Barańczak [w:] Emily Dickinson. 200 wierszy. Kraków, Drukarnia Wydawnicza im. W.I. Anczyca, 1990.)

Wyczerpany i pokrwawiony, Sam brnął, płynął i przedzierał się przez błotniste, niekończące się rozlewisko, pozostałość po czasach świetności motelu Z Haczyka. Było obrzydliwe, ale wiedział, iż miał cholerne szczęście, że podczas ucieczki poślizgnął się i wpadł właśnie tu - być może moczary uratowały mu życie.

Strzelanie ustało tak szybko, jak się zaczęło. Łudził się nawet, że agent, który zauważył go na krótką chwilę, stracił go z oczu. Albo może ten człowiek uznał, że nagłe zniknięcie Sama świadczy o jego śmierci - błąd zupełnie naturalny, ponieważ ze swojego miejsca agent nie mógł dostrzec obniżenia terenu.

Domyślał się, że niebawem agenci zorientują się, dokąd mógł się udać. Jednak nie mogli wiedzieć, że nie został trafiony kulami - co najwyżej podrapany i pokaleczony na skutek upadku. Nie mogli wiedzieć jeszcze jednej rzeczy, której on był świadomy: ta cuchnąca błotnista dziura łączyła się z jednego końca z nowym szlakiem wodnym, a on byłby w stanie do niego dotrzeć, pod warunkiem że nie ugrzęźnie w bagnie, nie podda się zmęczeniu... albo nie wpadnie na coś potężnego i wygłodzonego.

Z przeczytanego kiedyś artykułu dowiedział się, że rzadkie są ataki aligatorów na terenie stanu Teksas, i że brak jakichkolwiek wiarygodnych danych o zgonach. Tych gadów nie obciążano odpowiedzialnością za żerowanie na istotach już martwych. Mimo to nie był w stanie zapanować nad odwiecznym ludzkim strachem, że zostanie się zjedzonym, że aligator pochwyci, połamie i rozedrze ciało ofiary na drobne kawałki dające się połknąć jednym kłapnięciem. W świadomości Sama nagle pojawił się obraz skazanej na śmierć sarny i starał się szybciej posuwać naprzód.

Rozchmurz się, pomyślał, zmagając się z nogą, która znów ugrzęzła w bagnistej koleinie. Zanim cokolwiek zdoła cię pożreć, prawdopodobnie wcześniej się utopisz.

Chociaż ta uwaga była żałosna, sama myśl wydała mu się tak śmieszna, że nie wytrzymał i parsknął cichym śmiechem. To dało mu zastrzyk energii, której bardzo potrzebował, żeby się przedostać na głębsze wody. Kiedy znów zaczął płynąć, zmusił się do wolniejszego oddychania, do koncentrowania się na płynnych ruchach rąk, a nie na paraliżującym strachu. Martwienie się o to, żeby nie pożarł go aligator, nie trafiła kula Agencji Zwalczania Narkotyków i o to, co się dzieje z Ruby, nie uratuje jego, i nie pomoże jej. Chociaż brał to wszystko pod uwagę, potrzeba było dużo czasu, żeby zimna woda zwolniła gorączkową gonitwę myśli.

I jeszcze więcej czasu, żeby stłumić samobójczą pokusę zawrócenia.

Chociaż Best bardzo dokładnie odmierzył dawkę środka uspokajającego dla zwierząt i wstrzyknął całą w przedramię swojej ofiary, Ruby wciąż z nim walczyła, przypominała mu, że nawet schwytany królik jest w stanie zranić do krwi.

Powinien był wiedzieć, do kurwy nędzy, powinien był zdać sobie z tego sprawę, bo przecież widział, jak rzucała się na Coffina. Z ogromną przyjemnością zabijał wrednego drania, którego już dawno temu wykorzystał do własnych celów. Ale ponieważ Ruby nie dawała za wygraną, Best zaczął się obawiać, że będzie musiał ją zabić, żeby nie wydrapała mu oczu albo nie ugryzła ręki, którą tłumił jej krzyki. Pragnął za wszelką cenę podporządkować ją sobie, dlatego przygniótł swoim ciężarem tak mocno, że nogi, którymi go kopała, już tylko lekko podrygiwały, w końcu zrobiły się bezwładne.

I w tym momencie usłyszał syreny. Kopnął dużego psa, który usunął mu się z drogi, głośno skomląc, cisnął kobietę do bagażnika, a potem pobiegł za róg domu i przekonał się, że drzwi do pokoju są uchylone. Po kilku chwilach wynurzył się stamtąd z laptopem i natychmiast zajął się wyszukiwaniem szczegółowych informacji na temat swojej zdobyczy.

Rozdział 30

Idea śmierci, lęk przed nią, prześladują ludzkie zwierzę bardziej niż cokolwiek innego; stanowią one zarzewie ludzkich działań... mających na celu przede wszystkim uniknięcie śmiertelności śmierci, przezwyciężenie jej poprzez zaprzeczanie, w ten czy inny sposób, że jest ona ostatecznym przeznaczeniem człowieka.

Ernest Becker

(Ernest Becker, Wypieranie śmierci.)

7 kwietnia

Tym razem leżała podtopiona zaledwie kilka centymetrów pod powierzchnią wody, i tylko oczy i nozdrza miały dostęp do powietrza, kiedy obserwowała wiosło, które zanurzało się i wykręcało, tworząc spieniony nurt przy każdym dotknięciu wody.

Podwinąwszy krótkie odnóża, użyła swojego ogona, żeby popłynąć w ślad za intruzem, nie dlatego, że rozpoznała w metalowej bestii potencjalną zdobycz, ale dlatego że jej rozmiar i kształt budziły w niej inny instynkt: ten, który zmuszał ją do obrony własnego terytorium przed innymi osobnikami tego samego gatunku co ona.

Hałasy i odgłosy, które docierały, zmniejszyły jej zaciekawienie: te dźwięki kojarzyły jej się z ludźmi, a nie z jaszczurami. Znieruchomiała pośród nenufarów, ale nie wycofała się, przede wszystkim dlatego, że wiedziała, iż ludzie na łodziach czasami na miejscu oczyszczają swoją zdobycz i wyrzucają do wody łby i wnętrzności. O taki posiłek nie trzeba było specjalnie się starać. Jeszcze dziesięć lat wcześniej zapewne odstraszyłby ją coraz głośniejszy hałas: skrobanie, walenie i dziwne ludzkie posapywania.

Ale ponieważ osiągnęła tak duże rozmiary, nie bała się prawie niczego, dlatego dopiero kiedy coś ciężkiego niezdarnie chlupnęło do wody, zamachała potężnym ogonem i zniknęła w głębinach...

Kilka godzin później wywabił ją zapach krwi sączący się z plastiku. Podejrzewała pułapkę, podobną do tej, która wiele sezonów temu odcięła jej połowę tylnego odnóża, dlatego odpływała i wracała do niego kilka razy, aż wreszcie słodkawa woń rozkładającego się ciała skusiła ją na dobre.

Po wielu, wielu latach Sam wreszcie zasłużył - nieskończenie w pozytywnym sensie - na nazwisko, z którym się urodził. Chociaż całe życie walczył z piętnem złej sławy, jaką cieszyła się jego rodzina, czuł

jedynie euforię, kiedy odwiązywał łódkę od przystani, uruchamiał silnik i odpływał, wdzięczny właścicielowi za to, że tak niestarannie ukrył zapasowy kluczyk zapłonu.

Napisze liścik z podziękowaniami z więzienia albo... jeśli bardzo mu się poszczęści, z jakiegoś kraju za granicą, który sobie wybierze, będąc emerytem. Dygotał w zabrudzonym ubraniu, doszedł więc do wniosku, że będzie to jakiś kraj w strefie tropikalnej. Jednak te scenariusze były tylko fantazją, marzeniem włóczęgi o znalezieniu w rynsztoku wygranego losu na loterię. Oceniał sytuację realistycznie: jego dni - a może godziny - jako wolnego człowieka były policzone.

Przede wszystkim ludzie z Agencji Zwalczania Narkotyków, którzy zaczęliby go ścigać, nie byli głupi, podobnie jak wszyscy inni funkcjonariusze wymiaru sprawiedliwości, którzy zostaliby wyznaczeni do pomocy w poszukiwaniach. Gdyby uznali, że jest w to zamieszany i być może dopuścił się zabójstwa, żeby chronić swoją produkcję metamfetaminy, z pewnością nie szczędziliby wysiłków, żeby go dopaść.

Nawet gdyby Ruby, która niemal na pewno znalazłaby się w areszcie, protestowała, raczej nie uwierzyliby w żadną historię, którą by im przedstawiła. Nawet gdyby stróże sprawiedliwości mieli do dyspozycji laptopa i flashdrive'a, potrzebowaliby dni albo tygodni, żeby znaleźć odpowiedzi na wszystkie pytania. Dni i tygodni, podczas gdy los Zoe Monroe mógł być kwestią godzin.

A więc co zamierzasz z tym zrobić? Co jesteś w stanie w tym momencie zrobić?

Kiedy nad bagiennym rozlewiskiem oświetlonym gwiazdami powiał wiatr, Sam zaczął szczękać zębami. Chociaż w normalnych warunkach temperatura w granicach szesnastu stopni nie stwarzałaby problemów, to jego mokre ubranie, doznane obrażenia i zmęczenie wywołane wysiłkiem tworzyły bardzo niewygodną, potencjalnie zabójczą kombinację.

A to znaczyło, że zanim rozważy ewentualny plan działania, będzie musiał znaleźć jakieś schronienie i suche ubranie. Potrzebował pomocy kogoś, komu mógł zaufać. W dodatku musiał spróbować znaleźć pomoc na wodzie, w ciemności, wiedząc, że czyhają na niego zawodowcy, którym zależy, żeby go złapać.

A może bardziej na tym, żeby go dobić.

- Ruby. Ruby, obudź się. Proszę... minęły już godziny. Obudź się, bo on zaraz wróci.

Jak na zmoczonej deszczem gazecie krawędzie słów ulegały zamazaniu. Emocje zaczęły sączyć się niczym krew. Niepokój, żal, niepohamowany strach. A także zapachy: pleśni, błota, może drewna. Czegoś, co kojarzyło się z zapachem chatki Pauliego, tylko że... czy to mogła być krew?

Ta ostatnia woń przyciągnęła Ruby bliżej powierzchni jeziora ze snu, tak blisko, że wreszcie była w stanie rozpoznać ten głos. Poruszyła się gwałtownie i wciągnęła powietrze... a raczej próbowała to zrobić, a potem, potwornie spanikowana, zaczęła się dusić, dopóki nie uświadomiła sobie, że ktoś zakleił jej usta taśmą. Miotała się i szarpała, prężyła przeciwko czemuś, co ją utrzymywało w pozycji pionowej, a zarazem krępowało ruchy.

- Nie próbuj z tym walczyć - ostrzegła ją jakaś osoba. - Proszę cię, nie walcz z tym. Jeśli się uspokoisz, będziesz w stanie oddychać przez nos. Nie denerwuj się, bo zablokujesz sobie gardło i się udusisz.

Misty, uświadomiła sobie Ruby. To jej siostra mówiła do niej, pomagała jej oddychać pod wodą. Ruby poddała się nowej sytuacji, pozwalała, żeby powietrze swobodnie wentylowało płuca.

Ale tym razem pozostała mocno zakotwiczona w swoim ciele. Wyraźnie czuła niezdrowe pulsowanie w skroniach i okropny ból w stawach. Próbowała się przesunąć, skulić w mniej bolesną pozycję, ale więzy krępujące ciało były takie niewygodne, tak wytrzymałe i tak bardzo rzeczywiste.

- Przykleił cię taśmą do krzesła. Nie siłuj się - wybełkotała Misty. Mówiła w taki sposób, jakby była zmęczona albo oszołomiona narkotykami, a może chora. Z jakiegoś dalszego miejsca, być może z pobliskiego pokoju, dochodziły odgłosy radia, przez które właśnie nadawano reklamę firmy sprzedającej samochody.

Rozpaczliwie pragnąc zobaczyć Misty, upewnić się, że jej siostra naprawdę żyje, Ruby usiłowała otworzyć oczy. Ale w tym miejscu było ciemno... całkowicie ciemno, albo może ona została oślepiona?

Albo może już nie żyła. Tak jak Misty; teraz są parą rozkładających się ciał na dnie jeziora.

- Twoje... twoje usta i oczy są zaklejone taśmą. Ale jeśli... jeśli przechylisz głowę w stronę mojego głosu, jeśli przysuniesz się do

mnie choć trochę - szeptała Misty - to może zdołam dotknąć krawędzi taśmy na twojej twarzy.

Robiła wszystko, co w jej mocy, bo bardzo chciała widzieć, swobodnie oddychać i mówić. No i musiała... mimo ogromnego strachu... zapytać o swoją córkę. Usłyszała jęk Misty, jakby to, co teraz robiła, sprawiało jej ból.

- Nie mogę... Brakuje raptem paru centymetrów, ale w ten sposób nigdy cię nie dosięgnę. - Misty mówiła takim tonem, jakby miała się rozpłakać, ale pozostawała osobliwie rozkojarzona. - Tak mi przykro... Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo. To wszystko jest moja wina, co do joty. Nie rozumiem, ale... O Boże... Ruby. Naprawdę zawaliłam sprawę.

Nie chcąc dać za wygraną, Ruby sprawdzała, jak słabe są krępujące ją więzy, i jak silna jest ona sama. Wyniki tych testów nie dały jej wiele nadziei. Mogła poruszać palcami, ale nadgarstki i łokcie były mocno przyklejone do oparcia krzesła. Kostki u nóg trochę się przesuwały, więcej, kiedy je napinała. Ponieważ nie miała nic innego do roboty, cały czas nimi poruszała, a jednocześnie słuchała szeptu Misty.

- Dałam Dylanowi dużą zaliczkę na materiały budowlane. Miał pojawić się wraz z ekipą i zająć się dachem oraz innymi rzeczami, o których wcześniej rozmawiałyśmy. Ale on wiecznie zasłaniał się jakimiś wymówkami, a potem w ogóle przestał odbierać moje telefony.

Ruby była zaskoczona, ale przede wszystkim rozdrażniona. Nie chciała teraz wysłuchiwać tej historii, bo zależało jej przede wszystkim, żeby dowiedzieć się czegoś o Zoe. Dlaczego siostra nie mogła tego pojąć? I dlaczego mówiła tak dziwnie? Zażyła coś, czy może Best przymusowo zaaplikował jej tę samą substancję, którą wstrzyknął w ramię Ruby?

- Powinnam była pójść z tym do Pauliego albo porozmawiać o sprawie z tobą, ale zamiast tego wyśledziłam Dylana i przyparłam go do muru w domu. Był kompletnie rozwalony, Ruby, w kompletnej rozsypce... Nigdy w życiu nie widziałam go w takim stanie, nawet dawno temu, po liceum, kiedy przeżywał kiepski okres. Zajęło to sporo czasu, ale powiedział mi, że to on był tym kierowcą, który w zeszłym roku potrącił dziewczynkę Bradleyów. - Misty płakała, opowiadając tę historię. - Wiedział, że bardzo mocno ją poturbował,

ale wpadł w panikę i odjechał furgonetką. Potem przesiadywał w domu i płakał, czekał i czekał, aż ktoś zjawi się w domu i go zaaresztuje. Ale nikt nie zjawił się i to zamieszało mu w głowie jeszcze bardziej.

Ruby słyszała współczucie w głosie siostry, ale go nie podzielała. Dlaczego Misty jeszcze nie wspomniała o Zoe? Czyżby celowo unikała tematu? A może była zanadto przytłoczona własnymi emocjami, by pojąć, że w tej chwili Ruby myśli wyłącznie o córce?

- Mijały miesiące, a poczucie winy rosło - mówiła Misty. - Nie mógł jeść ani spać. Właśnie wtedy zaczął brać kokainę i przepuszczał na nią pieniądze, zaniedbywał klientów. Wreszcie Holly nie była już w stanie dłużej tego znosić. Parę tygodni temu wyprowadziła się do rodziców w Longview.

Próbowałam mu pomóc. Słowo daję, to wszystko, czego tak naprawdę chciałam. Myślałam, że razem jakoś pokonamy nałóg, tak jak pomogłam mu kiedyś i udało się, wyszedł z tego. Wówczas mógłby wyremontować twój dom i wszystko wróciłoby do normy. I nie musiałabyś się dowiedzieć, że omal nie straciłam twoich pieniędzy.

Ruby nie rozumiała. Jeśli tu chodziło o Dylana... i o naiwną skłonność jej siostry do idealizowania ludzi... to jakie miejsce w tym wszystkim zajmowała firma DeserTek? DeserTek i flashdrive, niepotrzebnie przemycony z Iraku.

- Ale tym razem miał dużo większe kłopoty. Ludzie od narkotyków, z którymi się zakolegował, jakoś dowiedzieli się o wypadku i zaczęli go szantażować, a on chciał to ukryć, zwłaszcza przed ojcem. Oskubali Dylana kompletnie i nie chcieli mu wierzyć, kiedy tłumaczył, że nie ma już pieniędzy. Grozili mu, może nawet zemściliby się na Holly, jeśli nie dałby rady zebrać pieniędzy. Ale tych pieniędzy nigdy nie było im dość, Ruby. Nieważne, ile by im dał, zawsze chcieli więcej.

Ruby wreszcie była w stanie sięgnąć podłogi stopami, więc zdołała przysunąć się do siostry. Nawet przy najmniejszym ruchu czuła ból, ale zacisnęła zęby i wytrzymała.

- Tak, właśnie tak - szepnęła Misty. - Właśnie o to chodzi, kawałek po kawałku... Ostrożnie. Nie przechyl się zanadto. Jeśli się przewrócisz, on nas usłyszy, a jeśli nas usłyszy... to koniec.

Coffin był okropny, ale ten facet jest jeszcze gorszy... Kiedy spojrzysz mu w oczy, nie ma w nich nic, absolutnie żadnej ludzkiej emocji.

Ruby ścierpła skóra. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że Misty mówiła o Beście. Przypominając sobie okropność ich rozmów telefonicznych, koszmar tego, co zrobił Elysse, miała ochotę wrzasnąć do swojej siostry: Gdzie on jest?

Czy był w pokoju z radioodbiornikiem, gdzie Ruby usłyszała stłumione dźwięki czegoś, co brzmiało jak mecz baseballowy? Czy był tam z Zoe, czy coś jej robił? Na samą myśl o tym zaczynały ją piec zaklejone taśmą oczy. Oddychanie stało się trudniejsze. Znów użyła stóp, żeby przesunąć się kilka centymetrów dalej.

Serce jej podskoczyło, kiedy poczuła, że Misty próbuje zerwać jej taśmę z ust. Bolało, cholerna taśma musiała zostać owinięta wokół głowy, ale Misty znalazła jej końcówkę i zaczęła ją odwijać.

Nie płacz. Ruby czuła, że się dusi. Bez względu na to, jak strasznie to boli, nie możesz płakać. Taśma okazała się bardzo oporna; rwała się na kawałki. Ale wreszcie, gdy Ruby zaczynało się robić ciemno przed oczami, usta zostały prawie uwolnione, wciągnęła haust powietrza.

- Zoe - próbowała wydusić z siebie, ale chociaż tak bardzo pragnęła wypowiedzieć to imię, zabrzmiało niewyraźnie.

Misty jednak zrozumiała.

- Zoe jest tu, zamknięta na klucz w pokoju obok. Widziałam ją niedawno. Przyprowadził małą do mnie i przyniósł miskę z wodą i myjkę, żebyśmy mogły się umyć. Możesz być z niej dumna, dzielnie się trzyma.

Ruby po cichu dziękowała Bogu, że jej córka żyje. Znajdowała się tak blisko niej, a jednocześnie tak daleko. To wszystko było nieznośnie okrutne. Naprężyła taśmę, jakby sama siła woli mogła ją rozerwać.

- Pst, bądź cicho - ostrzegła Misty. - Muszę odlepiać powoli. Ale jeśli on wyjdzie z pokoju, jeśli zobaczy, co zrobiłam... - Głos Misty zdradzał ogromne napięcie.

Spory kawałek taśmy odkleił się od ust Ruby, udało jej się zapytać:

- Czy on skrzywdził Zoe?

- Boli ją ramię. Ten drań Coffin wykręcał je, próbując zmusić mnie do... Fizycznie już lepiej się czuje. Ale jest bardzo wystraszona.

Zamknięta na klucz, przestraszona, płakała za mamą, która nie mogła do niej przyjść. Jakie to mogło mieć skutki dla psychiki dziecka? Ruby poruszała zesztywniała szczęką, podczas gdy głowę rozsadzały setki pytań.

- Już prawie to mam - szepnęła Misty - ale musisz obiecać, że będziesz się zachowywać bardzo cicho. On jest w drugiej sypialni. Wyjął coś z twojej kieszeni i zamknął się tam z komputerem.

Ruby uświadomiła sobie, że Best ma flashdrive'a, i poczuła, jak jej serce miota się w piersi. Nie była pewna, co przeraża ją bardziej: myśl o tym, co by zrobił, gdyby uwierzył, że ma właściwy egzemplarz, czy sposób, w jaki by się zemścił, gdyby pojął, że wszedł w posiadanie bezwartościowej kopii.

Ostatni skrawek taśmy odkleił się gwałtownie, urywając pasmo włosów. Ruby przygryzła język, żeby nie wrzasnąć z bólu.

- Przepraszam. - Misty lekko pogładziła ją po policzku. - Ale skoro jesteś w stanie to znieść, popracuję również nad twoimi oczami. Poszłoby szybciej, ale mam do dyspozycji tylko jedną rękę.

- Też jesteś zaklejona taśmą?

- Przykuł mnie do łóżka, za nadgarstek i kostkę, czy co tam z nich zostało.

- Co masz na myśli, Misty? Czy oni cię skrzywdzili?

- Teraz to nie ma znaczenia. Tylko... Próbowałam się uwolnić i tam, gdzie skóra została uszkodzona, wdała się paskudna infekcja.

Ruby czuła ruch palców siostry; ostrożne poszukiwała końcówki taśmy zakrywającej jej oczy. Myśląc o Beście, który był tak blisko i miał flashdrive'a, usiłowała wyobrazić sobie jakiś scenariusz wydarzeń, w którym wszystko skończyłoby się dobrze. Może on zdecyduje, że skoro dostał to, co miał zdobyć za wynagrodzenie, to zostawi je na miejscu. Ludzie z Agencji Zwalczania Narkotyków albo ci od szeryfa, nieważne kto, przyjadą tu i uratują je. Albo może zjawią się wcześniej i aresztują Besta, albo jeszcze lepiej: wpakują w Besta więcej kulek niż w tarcze na strzelnicy.

Kiedy Ruby doszła do fantazji, w której Sam rozbijał drzwi, poczuła ból w klatce piersiowej. Intuicja podpowiadała jej, że nie ryzykowałby aż tyle i nie przekreślał swojej przyszłości tylko po to, żeby stchórzyć i wycofać się z gry... że kiedy wspiął się na dach

płonącego domu, kiedy przyjechał za nią pod dom Dylana, kiedy złagodził potworność sytuacji, kochając się z nią, pokazał, kim jest naprawdę mimo złej reputacji: mężczyzną, który już kiedyś zniszczył sobie życie, żeby pomóc komuś w potrzebie.

Mężczyzną, za którym będzie tęsknić już zawsze, bo tym razem zginął, udzielając pomocy. Został zamordowany przez Hobsona Besta, żeby nie mógł przeszkodzić złoczyńcy w porwaniu Ruby. Ruby dygotała, a gorące łzy mocno ją piekły. Modliła się. Chciała wierzyć, że śmierć Sama nastąpiła szybko, że Best był zbyt zdekoncentrowany, nie skazywał go na cierpienie, miał za mało czasu, by pociąć go tak, jak zaszlachtował Elysse.

Pod wpływem wilgoci taśma łatwiej oderwała się od oczu. Ruby zamrugała i usiłowała skupić wzrok na twarzy siostry.

Najpierw widziała tylko niewyraźną sylwetkę, podświetloną tanią fluorescencyjną świetlówką z pomieszczenia, które zapewne było kuchnią. Odniosła wrażenie, że widzi stare panele i wciśniętą w róg pokoju brzydką sofę w musztardowo - brązowe pasy, ale koncentrowała uwagę na Misty, która siedziała na jakimś łóżku z kutego żelaza. Po pewnym czasie zobaczyła ją całkiem wyraźnie i aż zadrżała.

Siostra w niczym nie przypominała zadbanej blond piękności, którą Ruby żegnała rok wcześniej. Starała się nie reagować zbyt emocjonalnie, ale nie mogła powstrzymać łez, widząc jej posiniaczoną twarz, splątane włosy i wychudzone ciało, dosłownie ginące w za dużym, podartym ubraniu. Misty unikała spojrzenia Ruby, wzmagając w niej podejrzenie, że siostra mogła zostać zgwałcona.

- Och, Misty.

- Coś ci powiem, siostrzyczko. - Misty siliła się na uśmiech. - Ty też niezupełnie przypominasz miss Ameryki.

Odgryzała się żartobliwie. To był dobry znak.

- Tak, no cóż, kiedy tylko wydostaniemy się stąd, na pewno zamówię nam całodzienny pobyt w Spa - obiecała Ruby. - Z maksymalną liczbą zabiegów upiększających.

Siostra odwróciła wzrok.

- Zmusili mnie do zabrania twoich pieniędzy, Ruby. Coffin i jego dziewczyna Jackie, i ich podejrzani przyjaciele odebrali mi Zoe, nie pozwolili mi się z nią zobaczyć, dopóki nie przyniosę...

- Nie dbam o pieniądze, Misty, nie dbam o żadną rzecz, którą musiałaś zrobić, żeby przeżyć i zapewnić bezpieczeństwo mojej córce - odparła Ruby, chociaż w głębi duszy czuła wściekłość, dowiedziawszy się, jaką rolę odegrała w tych wydarzeniach Jackie. Miała nadzieję, że ta podła suka zraniła się naprawdę mocno, upadając na nóż, miała nadzieję, że Jackie zmarła, a jej ciało toczyło robactwo.

Ruby udało się jeszcze trochę poluzować stopy, próbowała przysunąć się do siostry.

- Ale ja... - Misty zaraz zorientowała się, co siostra chce zrobić. Przechyliła się w stronę spętanego nadgarstka Ruby i szepnęła:

- Boli mnie, kiedy się nachylam, ale jeszcze.... tylko... troszkę...

Słysząc odgłos przekręcanej klamki, spojrzały na drzwi. Zanim Ruby zdążyła zareagować, przytłumiony głos zawołał:

- Ciociu Misty, z kim rozmawiasz? Czy moja mamusia już przyjechała, żeby nas stąd zabrać?

Ruby rozbłysły oczy. Wstrzymała oddech, żeby zwalczyć pokusę zawołania córeczki, ale Misty natychmiast zasłoniła jej usta i zerknęła nerwowo w stronę zamkniętych drzwi na drugim końcu korytarza. Światło sączyło się przez szczeliny między drzwiami i framugą, co świadczyło, że mężczyzna w środku nie spał.

- Jeżeli położysz się spać jak grzeczna dziewczynka - mówiła Misty, a z oczu Ruby ciekły łzy - to myślę, że mama przyjedzie jutro.

- Ale ja chcę jechać do domu teraz. Chcę być w swoim łóżku i mieć moje własne...

- Cicho, Zoe, bo on cię usłyszy. - Rzuciwszy Ruby ostrzegawcze spojrzenie, znów rozmawiała z małą. - Po prostu idź spać i niech ci się przyśni coś miłego. Liczę na to, że rano opowiesz mi o swoich snach. I że opowiesz mi wszystko o kociaczkach.

- Dziś będą mi się śnić hamburgery - oznajmiła Zoe. - I makaron, i kurczaki, i groszek, i ziemniaki piure. Wszystkie dobre rzeczy do jedzenia.

- Mhm. Przez ciebie robię się strasznie głodna. No, już do łóżka, kochanie. Uściski i całuski.

- Uściski i całuski - odpowiedział cienki, senny głosik. Ruby koncentrowała uwagę na słowach córki i na tym, że

dziewczynka wciąż jest przygnębiona, głodna i zniewolona, a co najgorsze, znajduje się zaledwie kilka metrów dalej, a jednak wciąż poza jej zasięgiem. I narastała w niej wściekłość, mordercza furia.

Wszystkich winnych tej sytuacji dosięgnie kara. Do siebie też miała żal, bo siedziała tu w poczuciu całkowitej bezradności.

Nie chciała, żeby zawładnęły nią emocje, więc wyobraziła sobie, że zamyka swoje serce w skrzyni, którą spycha na dno jeziora. Później, kiedy wszystko się ułoży, zanurkuje i wydobędzie je z głębin. Wtedy będzie całymi godzinami opłakiwać Sama, Elysse i straszliwe przejścia, jakie stały się udziałem jej dziecka i siostry. Ale teraz rozumiała, że potrzebna jest jej siła i determinacja. A także odwaga, której nie czuła, ale którą jakoś musiała w sobie odnaleźć.

- Przykro mi - szepnęła Misty, zniżając głos jeszcze bardziej. - Jeśli ona cię usłyszy, nie zdołamy nad nią zapanować... Wówczas ratunek nie będzie możliwy.

Znów zajęła się taśmą na nadgarstku Ruby, a jej wzrok co jakiś czas wędrował do drzwi, zza których było słychać jakąś audycję radiową.

Ruby pokiwała głową.

- To, czego chciał, już mi zabrał. Ale to nie jest rzecz, której żądał. Dlatego muszę... musimy się stąd wydostać, zanim on się zorientuje...

- Właśnie tego nie rozumiem. O co tu chodzi? Dlaczego on przyjechał szukać ciebie? Ja tkwiłam w tym już zbyt głęboko, bo pozwoliłam Dylanowi zamieszkać z nami w domu... twoim domu... żeby spróbował wziąć się w garść. Ale ten durny gnojek zaprosił Coffina i resztę tych świrów, żeby się gościli, powiedział, że to są jego przyjaciele. Kiedy Dylan brał, wszyscy okazywali się jego przyjaciółmi. Nie potrzebowałam dużo czasu, żeby całkowicie utracić nad tym kontrolę. - Misty pokręciła głową. - A kiedy ci dranie zaczęli gotować narkotyki, nie pozwolili, żebym zabrała Zoe i odeszła.

- Miałam coś - wyznała Ruby. - Przywiozłam ze sobą coś, co mogło zniszczyć firmę, dla której pracowałam. Z powodu tej rzeczy została zamordowana pewna dziewczyna, ale najpierw mi ją przekazała. Misty, im chodzi właśnie o tę rzecz. Przepraszam, że cię w to wpakowałam. Gdybym miała pojęcie, że oni o wszystkim wiedzą, to nigdy bym nie...

- Mężczyzna w drugim pokoju W zeszłym tygodniu pojawił się w domu i rozmawiał z Coffinem. Pomyślałam sobie, że znali się z więzienia. Mimo to próbowałam namówić tego nowego gościa, żeby pomógł mnie i Zoe. Zamiast pomocy zaproponował nam górę

pieniędzy - tłumaczyła Misty - żeby kupić nas i wynająć Coffina, który miał mu wyświadczyć parę przysług. Kompletnie nie wiedziałam, w czym rzecz. Myślałam, że chodziło o coś obleśnego, związanego z seksem, dlatego wpadłam w panikę, wzięłam Zoe i chciałam uciec. Kiedy Coffin próbował mnie zatrzymać, Dylan skoczył mu do gardła.

- Ponieważ nosiłaś jego dziecko - domyśliła się Ruby. Misty spojrzała na nią ostro.

- Może i byłam zestresowana, a ostatnio nawet humorzasta, ale bez względu na to, co słyszałaś, nie jestem... Dylan i ja nigdy... Łączyła nas przyjaźń. To mój... - Wzruszenie ją dławiło, ale kontynuowała. - Czy był skrzywiony psychicznie, czy nie był, to omal nie zabił Coffina, tylko że facet z pieniędzmi - domyślam się, że to jego nazywasz Bestem - zastrzelił go. Strzelił mu prosto w gardło.

- Zabił Dylana?

Kiwnęła głową. Na jej twarzy lśniła wilgoć,

- Boże, to było straszne... to charczenie, wierzganie nogami. Ale wtedy Best strzelił do niego jeszcze raz, tym razem w klatkę piersiową, a potem razem z Coffinem zawinęli ciało i włożyli do łódki. Przypuszczam, że Best wrzucił je do jeziora.

Ruby pomyślała o wyłowionych z wody kawałkach ludzkiego ciała, o swojej rozpaczy, kiedy uwierzyła, że to są zwłoki Misty.

- Twój samochód został porzucony niedaleko stąd. A także twoje prawo jazdy. Kiedy je znaleźli, pomyślałam... Wszyscy myślą, że nie żyjesz.

- Bo ja nie żyję... Wszystkie jesteśmy martwe, jeśli nie uda nam się od niego uciec. On nas zabije, poświęcając temu mniej uwagi niż człowiek, który ogania się od much.

Ruby poczuła, że taśma odrywa się od nadgarstka. W tej samej chwili usłyszała ciężkie kroki, a potem radio za drzwiami umilkło.

Znów odgłos kroków: jakiś postawny mężczyzna szedł w ich stronę.

Przez zapierający dech w piersiach moment Ruby i Misty patrzyły sobie w oczy. Nie były w stanie zrobić nic, żeby ukryć zerwaną taśmę, obie udawały, że są nieprzytomne, modliły się, żeby stały się niewidoczne, były bezradne, jak nowo narodzone jelonki, którym zagraża wilk.

Ceremonia niewinności

Zoe usiłowała zasnąć, ale nie mogła przestać myśleć o tym, że mama tu jedzie i zabierze ją stąd. Mama była bardzo dzielna. Misty i pani Lambert zawsze tak mówiły... więc może powstrzyma tych niedobrych panów, a potem zabierze ją i ciocię Misty daleko. Albo może przyprowadzi dużo policjantów, a policjanci wsadzą tych panów do więzienia. A w drodze do domu kupi wszystkim pizzę.

Przewróciła się na bok. Czuła, że lepi się z brudu, a pod kocem było jej za gorąco. Zaczęła rozmyślać o złym człowieku, który zmusił ją do przerwania rozmowy telefonicznej prawie w momencie, gdy zaczęła mówić. Aż ją rozbolał żołądek, bo miała mamie tyle do powiedzenia. Nie mogła się doczekać jutra, kiedy będzie mogła jej opowiedzieć o różnych rzeczach.

Dlatego tak cicho, jak tylko potrafiła, przekradła się do szafy i ją otworzyła. Wślizgnęła się w jeszcze czarniejszą ciemność i miała nadzieję, że pająki śpią w swoich łóżeczkach.

Kiedy już znalazła się tam, odszukała telefon cioci Misty i zaczęła naciskać klawisze, udając, że wybiera numer mamy.

Tylko że tym razem coś się stało. Nie wiedziała, co zrobiła inaczej niż przedtem, ale telefon zaświecił się i śmiesznie syczał, nigdy wcześniej tak nie robił, nawet wtedy, kiedy ciocia podała szeptem instrukcję, jak trzeba go włączyć. Może coś wtedy źle nacisnęła, bo ciocia Misty powiedziała, że na pewno bateria się wyczerpała, i chociaż Zoe nie mogła jej zobaczyć, to po tamtej rozmowie ciocia strasznie długo płakała, chociaż w pobliżu akurat nie było tych złych panów.

Ale teraz telefon zadziałał... naprawdę zadziałał... Zoe nacisnęła trzy klawisze, trzy klawisze z piosenki, którą ciocia śpiewała razem z nią. Te trzy klawisze, tak mówiła ciocia, zawsze miały sprowadzić pomoc.

Rozdział 31

Konsekwencje naszych zbrodni ciągną się długo po ich popełnieniu i, niczym duchy pomordowanych, po wsze czasy będą prześladować złoczyńcę.

Sir Walter Scott

(Sir Walter Scott, fragment powieści Więzienie w Edynburgu - cykl Opowieści mojego gospodarza.)

Justine Wofford doszła do wniosku, że kiedy jest się mieszkańcem Preston County, los lubi mścić się na kimś takim z wyjątkową zjadliwością. Przytrzymywała swojego wyjącego, wierzgającego jak dziki kot syna podczas zakładania szwów - zabieg był torturą dla wszystkich osób w pomieszczeniu - i nie mogła odebrać telefonów. Zapomniała nastawić komórkę na alarm wibracyjny i powtarzający się sygnał - drażniący, natarczywy dzwonek, wybrany przez Noah - jeszcze powiększał chaos w gabinecie lekarskim.

- Nie tykać, nie tykać! - wołał chłopiec. To było jego ulubione powiedzenie, odkąd wreszcie zaczął mówić, a było to trzy lata wcześniej, kiedy miał sześć lat.

- Słuchaj, Noah, słuchaj - powiedziała Justine najłagodniejszym głosem, na jaki była w stanie się zdobyć. - Posłuchaj dźwięku, który wybrałeś. Posłuchaj tego ładnego dzwonka.

Ucichł i przesunął głowę w stronę dźwięku, a ona zaczęła żałować, że ten prosty pomysł na odwrócenie uwagi nie przyszedł jej do głowy dziesięć minut wcześniej. Lekarz uniósł ramiona i kiedy zajmował się pacjentem, jego usta zdawały się szeptać dziękczynną modlitwę. Tymczasem w pobliżu stanęła siwiejąca pielęgniarka z kilkoma podbródkami. Rozcierała sobie łokieć - kopnął ją Noah - i uraczyła Justine wyjątkowo nienawistnym spojrzeniem.

Justine była wyczerpana i zestresowana, i wciąż dudniło jej w uszach, ale zmusiła się do powiedzenia pielęgniarce:

- Przykro mi, że panią uderzył, pani Del Monte. Autystyczne dzieci nigdy świadomie nie krzywdzą ludzi. Noah po prostu reaguje w ten sposób na swój lęk i uczucie niewygody.

- Reaguje na rozpieszczanie, moim zdaniem - burknęła kobieta.

Podczas służby w policji Justine zdarzyło się już być popychaną przez narkomanów, uderzył ją wojowniczo usposobiony facet, który

bił swoją żonę, a pewnego szczególnie pamiętnego razu została nawet obsiusiana przez jakiegoś pijaka. Mimo to nigdy dotąd nie miała tak wielkiej ochoty kogoś zastrzelić jak w tej chwili... Wpatrywała się w plakietkę przypiętą do obwisłego biustu kobiety... Marguerite Del Monte, dyplomowana pielęgniarka.

Zanim zdążyła powiedzieć coś, czego mogłaby później żałować, Noah wyręczył ją, powtarzając słowa pielęgniarki i odtwarzając ich pełną wyższości intonację:

- Rozpieszczanie, moim zdaniem.

Zbita z tropu idealnym naśladowaniem Noah, Justine wybuchnęła śmiechem, widząc oburzenie w oczach zdumionej kobiety. Jak było do przewidzenia, jej reakcja rozsierdziła pielęgniarkę jeszcze bardziej.

- Co za brak szacunku. Jeszcze nigdy...

- Wystarczy, Marguerite - uciął lekarz. Był wysokiego wzrostu i atletycznej budowy, chyba lepiej pasowałby do uczelnianego boiska niż małomiasteczkowego pogotowia. - Idź i zrób sobie przerwę, dobrze? Przyłóż trochę lodu do łokcia.

- Bardzo chętnie. - Wyszła z gabinetu, mrucząc coś pod nosem.

Kompletnie niewzruszony, Noah z zafascynowaniem patrzył, jak lekarz zakłada ostatni szew.

- Błysk, błysk - podśpiewywał sobie.

Justine uśmiechnęła się, zadowolona, że rozumie, o co chodzi synowi.

- On ma na myśli igłę - przetłumaczyła. - Podoba mu się, jak błyszczy, kiedy się nią porusza. Proszę uważać, żeby nie znalazł dojścia do kieszeni, kiedy będzie pan patrzył na coś innego.

Lekarz, który wcześniej przedstawił jej się jako Ross Bollinger, podniósł głowę i zerknął na Justine.

- Przepraszam za niestosowne zachowanie pielęgniarki. Mogłem jej dać upomnienie na piśmie albo, co gorsza, przypomnieć, jak należy traktować naszych pacjentów specjalnej troski.

Justine się uśmiechnęła.

- Czy to cokolwiek by poprawiło?

- W przypadku tej osoby? - W szarych oczach, otoczonych siateczką zmarszczek zatliły się iskierki humoru. - Chce pani usłyszeć ode mnie prawdę, czy to, co każą mi mówić przełożeni?

Zanim zdążyła odpowiedzieć albo ustalić, czy on z nią flirtuje, ktoś do niej zadzwonił.

- Przykro mi z tego powodu - powiedziała, zerkając na wyświetlacz. - Czasami praca potrafi być cholernie upierdliwa.

- Cholernie upierdliwa - powtórzył Noah, a ona miała tylko nadzieję, że te słowa nie staną się jego kolejnym ulubionym powiedzonkiem, które będzie powtarzać bez końca miesiącami. Również w jego ostatniej szkółce niedzielnej, gdzie już za nim nie przepadano.

- Śmiało, proszę odebrać - zachęcił ją doktor Bollinger. - Noah i ja radzimy sobie zupełnie dobrze.

- Jest pan pewien?

- Absolutnie tak, jeśli to nie potrwa zbyt długo.

Justine poczuła, że ucisk w jej żołądku trochę się zmniejszył. Skinęła głową i zapewniła lekarza.

- Będę za drzwiami.

Dzwonienie ustało, więc skorzystała z chwilowego spokoju, żeby odsłuchać pocztę głosową. Zmarszczyła brwi, słuchając wieści o tym, co zastano w domu Dylana Hammetta, a także o stojącym w pobliżu pikapie zarejestrowanym na Sama McCoya, którego nie udało się znaleźć. Kiedy usłyszała o świeżej krwi na patio na tyłach domu Hammettów i o dziurze wywierconej w baku wozu, zaczęła się zastanawiać, czy McCoy jest ofiarą, czy może sprawcą morderstwa.

W kolejnej wiadomości jej człowiek informował, że nigdzie nie można znaleźć Holly Hammett, żony Dylana. Oficer Caruthers, kompetentny policjant z ośmioletnim doświadczeniem, zameldował, że zobaczy się z rodzicami Hammetta, spróbuje ustalić, co wiedzą o zaistniałej sytuacji...

- O cholera - szepnęła. Caruthers nie mógł pojechać do restauracji Hammettów przed nią, nie mógł być tą osobą, która przekaże restauratorowi informację, że ciało jego syna - a raczej szczątki zwłok - wyciągnięto z jeziora. Zerknęła na zegarek, żeby zobaczyć, ile czasu upłynęło od nagrania i przesłania tej wiadomości.

Za późno, uświadomiła sobie. Niech to wszyscy diabli, już jestem spóźniona. Ale to nie był koniec fatalnych wieści. Z następnej wiadomości dowiedziała się, że ktoś był świadkiem porwania Ruby Monroe, która została wrzucona do bagażnika ciemnego mustanga. W pobliżu stał zaparkowany inny samochód - biała corolla, używana ostatnio przez Ruby. W środku znajdowało się wytatuowane ciało

mężczyzny, który odpowiadał rysopisowi domniemanego zabójcy Balderacha.

Liczba ofiar zdawała się wzrastać z godziny na godzinę i Justine nawet nie czuła satysfakcji, że zabójcy jej człowieka wymierzono sprawiedliwość. Zanadto pochłaniały ją rozmyślania o tym, jakie inne klęski szykuje jej los w ramach odpłaty za nieuczciwie wywalczoną kadencję... kadencję, której ostateczna cena mogła przekroczyć najbardziej pesymistyczne przewidywania.

Ruby zdawała sobie sprawę, że nie może spojrzeć temu człowiekowi w twarz, że jeśli to zrobi, będzie musiał ją zabić.

Z drugiej strony, wiedziała, że w ostatecznym rozrachunku to nie będzie miało żadnego znaczenia, że jej los i los członków rodziny nie miał nic wspólnego z tym, co robiła, i zależał wyłącznie od kaprysu mordercy... łub, co bardziej prawdopodobne, od rozkazów wydanych przez jakąś szychę w DeserTek, a może nawet przedstawiciela amerykańskiego rządu albo senatora.

Dlatego podniosła głowę i spojrzała na łajdaka, który wykupił jej siostrę i córkę od dilera narkotykowego jako kartę przetargową. Na drania, który zaszlachtował Elysse Steele tylko po to, żeby przesłać Ruby wiadomość - na samą myśl o tym zrobiło jej się niedobrze. I zabił Sama McCoya, żeby nie mogła korzystać z jego pomocy.

Patrzyła mu prosto w twarz, niemal wyzywająco. Miał krótkie włosy, ciemne oczy i posturę ciężarowca. Zaślepiał ją gniew

i potwornie bała się o rodzinę, dlatego nie od razu dotarło do niej, jak rozwścieczony jest jej adwersarz.

Ponieważ była zszokowana całą sytuacją, potrzebowała jeszcze więcej czasu, żeby pojąć, kto to taki, ale w końcu uświadomiła sobie, jaka jest prawdziwa tożsamość Hobsona Besta.

Ogarnęło ją przerażenie, zrozumiała, że jej szanse przeżycia są bliskie zeru.

- Ty... to ty zabiłeś... On był twoim... - zaczęła.

- Myślałaś, że będę taki nieostrożny... - Podszedł do niej, obrzucając ją bezlitosnym wzrokiem myśliwego. - ... Tak kurewsko niekompetentny, że nawet nie sprawdzę tego flashdrive'a?

Otworzyła szeroko oczy i krzyknęła, kiedy złapał ją za gardło.

- Myślałaś, że jestem żałosnym cieniem, zaakceptuję umowę bezmyślnie... - Podniósł wolną rękę i wtedy zobaczyła zwinięty, pomarańczowy kabel przedłużacza, którego rozwidlona metalowa

końcówka opadła przy niej złowieszczo jak głowa węża. - ... Myślałaś, że w ogóle nie będę miał zamiaru dotrzymać słowa.

Puścił jej szyję i chwycił za kabel około metra od gniazdka. Nie zadał Ruby nawet jednego pytania i zanim zdążyła nabrać powietrza, z całej siły zaczął ją smagać, zadając z furią ciosy, które kaleczyły jej klatkę piersiową, łokieć, udo i twarz. Wyjąc z bólu, już nawet nie wiedziała, gdzie spadają razy. Czuła tylko strach, że umrze tu i nie zobaczy swojego dziecka ani nawet nie zdąży pomodlić się, by zostało uratowane.

Misty wrzeszczała, błagając go, żeby przestał... Przecież Ruby nie będzie w stanie odpowiedzieć na pytania, nie przyda się na nic, jeśli umrze. Ale on, czerwony na twarzy, nie słuchał, bił, dopóki Misty nie krzyknęła:

- I jak dotrzymasz teraz swojego słowa? Jak uda ci się nie zostać żałosnym cieniem, skoro nie jesteś w stanie przestać?

Zastygł w bezruchu z uniesioną pięścią, a skręcona jak wąż linka zwisała bezwładnie, ociekając krwią Ruby.

Dopiero w tym momencie poczuła ból, ból, który wymazał wszelką świadomość: od przeraźliwych krzyków Zoe za zamkniętymi drzwiami aż po jej rozpaczliwe pragnienie, by wymyślić coś... jakiekolwiek kłamstwo czy obietnicę, które pomogą im się uratować.

Rozdział 32

Pomiędzy pomysłem A dziełem Pomiędzy wzruszeniem A odczuciem Kładzie się Cień

T.S. Eliot

(T.S. Eliot, „Próżni ludzie" [w:] T. S. Eliot. Poezje wybrane, przeł. Andrzej Piotrowski. Warszawa, Instytut Wydawniczy Pax, 1988.)

Samowi tak drżały pałce, że prawie nie był w stanie nacisnąć klawiszy komórki, którą wydobył z pomieszczenia dla ptactwa. Znalezienie się w tej części jeziora było ryzykowne, gdyż potrzebował więcej czasu, żeby gdzieś się schronić, a w dodatku w każdej chwili mogli go złapać agenci, ale z drugiej strony bardzo potrzebował sprawnego aparatu.

W końcu dotarł do domku Pauliego i dygotał pod stosem ręczników i koców, którymi się owinął. Żałował, że nie może liczyć na ciepło Ruby. Albo chociaż Javy, czy nawet ogrzewanie w samochodzie. Wszystkie te możliwości były teraz poza jego zasięgiem.

- McCoy? To ty? - wybełkotał Paulie. Jego głos brzmiał dziwnie, jakby mężczyzna był pijany. - Czy już wiesz? Czy już, kurwa, wiesz...?

- Ja... wiem, że mnie szukają. - Samowi tak strasznie szczękały zęby, że rozmawiał z trudem. - Wiem, że muszę zdobyć jakiś samochód, zanim będzie za późno.

- Ten skurwysyn Savoy przysłał kogoś, żeby mi powiedzieć, że Dylan... Oni twierdzą, że mój syn nie żyje, Sam. - Paulie mówił te słowa w taki sposób, jakby ktoś odpiłowywał mu ramię tępym ostrzem.

- Dylan nie żyje? - Wiadomość dobiła Sama i żywioną od dłuższego czasu nadzieję, że Dylan dba o bezpieczeństwo Misty, że tych dwoje wyjechało gdzieś razem. Przykucnął na piętach i jeszcze mocniej owinął się ręcznikami. Musiał się ogrzać, żeby w pełni dotarło do niego, co powiedział przyjaciel.

- Znaleźli jego... znaleźli kogoś w jeziorze, ale to przecież nie może być on, prawda? Niby jakim cudem miałby tam być... ponoć od wielu dni? Przecież wiedziałbym o tym, do kurwy nędzy. A Anna jest

przecież jego matką. Nie miałaby żadnych przeczuć? Jak rodzice mogą nie wiedzieć, że ich dziecko odeszło?

Sam przypomniał sobie scenę ze ślubu Dylana, kiedy Paulie klepał syna po ramieniu i przechwalał się, że ukradnie mu narzeczoną, przy czym obaj uśmiechali się od ucha do ucha.

- Nie wiem, co powiedzieć. Przykro mi, Paulie, bardzo mi przykro z powodu twojej rodziny.

Czy ciało Dylana... albo jego części... czy to były zwłoki znalezione w pobliżu samochodu Misty? A może zostali zamordowani oboje... Dwie przeszkody, które kidnaper musiał usunąć, żeby mieć dostęp do idealnej zakładniczki, czyli Zoe?

- Przykro ci? Co ty, kurwa, możesz o tym wiedzieć? - zaperzył się Paulie. - Co wiesz o moim chłopaku? Przysłali... Szeryf przysłała jakiegoś cholernego pionka, żeby mi przekazać... Przysłała swojego pieprzonego przydupasa, po tym wszystkim, co zrobiłem dla tej suki.

Sam zastanawiał się, dlaczego Hammett mówił z taką wściekłością i co znaczy: „Po tym wszystkim, co zrobiłem dla tej suki". Wiedział, że Paulie był absolutnie przeciwny, żeby jego dawny wróg Roger Savoy przejął urząd szeryfa. Podejrzewał również, że gdyby Savoy został wybrany, mógłby za bardzo interesować się działalnością hołubionego przez Pauliego salonu gier - pomieszczenia, którego Sam konsekwentnie unikał. Jednak nie miał pojęcia, że Paulie odegrał kluczową rolę w zwycięstwie Justine Wofford nad tym facetem.

- Mówią mi, że znaleźli twój cholerny wóz u Dylana. Miał powybijane szyby i krew w bagażniku. Mówią, że ty mogłeś mieć coś...

- Musisz mi uwierzyć. Nie miałem nic wspólnego z tym, co się przydarzyło Dylanowi. Tego wieczoru pojechałem tam, żeby znaleźć Ruby.

- Ona miała zamiar zobaczyć się z nim ... - wyjąkał Paulie. - Wybierała się do niego, bo ta zaćpana dziwka Jackie powiedziała, że widziała Dylana z Misty. Ruby łyknęła te kłamstwa, chociaż powiedziałem jej, że mój syn nie ma z tym absolutnie nic wspólnego. Jest szczęśliwym mężem i ma... i ma firmę, a ja... ja go kocham, Sam. Kocham mojego chłopaka...

Zupełnie się załamał. Sam zamknął oczy, przytłoczony ogromem rozpaczy przyjaciela. Nie mógł znieść myśli, że wszystko, przez co

Paulie i Anna przeszli w związku z Dylanem, cała ich miłość i walka zakończyły się w ten sposób.

Pomyślał o Ruby, która toczyła walkę o uratowanie dziecka.

- Czy Ruby mogła zrobić krzywdę mojemu synowi? Czy mogła... Ludzie robią różne rzeczy, kiedy są zdesperowani. Potrafią wariować.

- Przecież oficer powiedział ci, że Dylan znajdował się w jeziorze od wielu dni. Poza tym ktoś zaatakował Ruby tamtego wieczoru w domu twojego syna. Prawdopodobnie ta sama osoba, która zrobiła krzywdę Dylanowi.

- Kto, Sam? Kto to, kurwa, jest? Bo jak się dowiem, zabiję drania.

- Za późno. - Sam myślał o wytatuowanych zwłokach, które znalazł w bagażniku. - Jestem pewien, że ktoś już o to zadbał.

- Co masz na myśli, kiedy mówisz takie rzeczy? Co masz z tym wszystkim wspólnego, Sam?

Uświadomił sobie, że nie może liczyć na pomoc Pauliego, że jego rozpacz szybko przeradza się w podejrzenia.

- Nic. Ale proszę cię, powiedz Annie, że jest mi przykro. Będę myślał o was obojgu.

- Będziesz myślał o nas obojgu? Uważasz, że takie pieprzone banały są...

W tym momencie włączył się sygnał telefonu i Sam uświadomił sobie ze zdumieniem, że ktoś dzwoni do niego pod numer, którego nie podawał nikomu. Numer, którego do tej pory użył tylko raz.

- ...cokolwiek warte? - dokończył Paulie. - Ja tylko chcę odpowiedzi - na niczym innym mi nie zależy i wiem, do kurwy nędzy, że ty te odpowiedzi znasz. Gdzie teraz jesteś, do diabła? Z powrotem w domku?

- Wyjeżdżam z miasta. Muszę się teraz śpieszyć, Paulie. - Sam miał wyrzuty sumienia, ale musiał przerwać rozmowę, żeby odebrać drugie połączenie.

- Jestem - powiedział. Nie był pewien, kogo powinien się spodziewać: Luke'a, a może Sibyl, jeśli jego dawny wspólnik podał jej ten numer.

Zresztą, równie dobrze to mogli być ludzie z rządowej agencji, z informacją, że właśnie stoją przed domkiem, a snajper ma jego tyłek na muszce.

- Sybil ostrzegała mnie, żebym trzymał się od tej sprawy z dala, ale namówiłem ją na przekazanie informacji - oznajmił Luke. - Kiedy

tylko zorientowałem się, w co jesteś wplątany, nie mogłem pozwolić na to, żebyś... Posłuchaj, telefon komórkowy Misty Bailey został dziś wieczorem włączony i namierzyłem współrzędne GPS. To jest niedaleko twojego domu... Wygląda na to, że bardzo blisko.

Sam niezdarnie szukał w zgromadzonych wcześniej rzeczach czegoś do notowania. Czuł ogromną wdzięczność w stosunku do przyjaciela, który bardzo narażał się, zwłaszcza biorąc pod uwagę jego obecną sytuację rodzinną. Bez względu na to, czy Luke włamał się do systemu telefonii komórkowej, czy do biurowych komputerów szeryfa, podjął ryzyko, które w normalnych okolicznościach, jak przystało na człowieka rozsądnego, przerzucał na Sybil.

- Dzięki, Luke, i poczekaj, aż zapiszę te informacje.

- Wiesz, ratownicy również mogli namierzyć to miejsce - zapewnił Luke. - Będzie im strasznie zależało, żeby uratować tego dzieciaka, albo przynajmniej dorwać faceta, który zamordował jednego z ich ludzi. Każdy gliniarz na kuli ziemskiej żyje dla takiej szansy.

- Chyba że ich szefowa została opłacona, żeby zatajać informacje. - Sam pokrótce wytłumaczył mu, co znalazł na kontach bankowych szeryf Wofford. - Albo, co gorsza, mogła ostrzec kidnapera, że ktoś korzysta z telefonu komórkowego Misty.

- Nie możesz sam się w to pakować - zawyrokował Luke. - Jeśli musisz pominąć wydział szeryfa, to wykonaj anonimowy telefon do jednej z agencji, które zajmują się tą sprawą.

W umyśle Sama roiło się od ryzykownych scenariuszy. Niepokoił się, że informacja wycieknie do lokalnych władz, i miał świadomość, iż rozmowa telefoniczna zdradzi jego miejsce pobytu. Rozważał te zagrożenia i przeciwstawiał je szaleństwu jedynego planu działania, który przychodził mu teraz do głowy.

Upływający czas przeważał szalę decyzji. Sam instynktownie przeczuwał, że zabójca może w każdej chwili dowiedzieć się o połączeniu z telefonu Misty. Kiedy dowie się o nim, czy zniszczy telefon i zmieni miejsce pobytu? A może wpadnie w furię i zamorduje osobę, która dzwoniła?

- Potrzebuję tych współrzędnych - nalegał Sam. - I jeśli możesz, przejdź do swojego komputera i wpisz je do Google Earth. Zdobądź dla mnie adres albo jakiś charakterystyczny punkt.

Nie mając pod ręką systemu GPS, musiał polegać na oprogramowaniu do globalnego mapowania, żeby znaleźć miejsce, o które mu chodziło. Liczył, że będzie ono blisko linii wody, wtedy mógłby tam dotrzeć łodzią.

- Sam, do jasnej cholery, czy ty myślisz, że dzwonię, żeby dać ci się zabić? Nie możesz szarżować, zwłaszcza w pojedynkę. Sybil osobiście ze mną rozmawiała, opowiedziała mi o paru rzeczach, które słyszała o Beście. Ten psychopata rozedrze cię na strzępy. Dosłownie. I co więcej, sprawi mu to cholerną przyjemność. Bez regularnej armii nie wchodziłbym tam.

- Podaj mi te informacje, a już zajmę się zwoływaniem kawalerii - obiecał Sam, chcąc jak najszybciej mieć Luke'a z głowy.

- Kogo? Kogo zamierzasz wezwać na pomoc? Albo powiesz mi teraz, albo kończymy rozmowę.

- Rangerów z Teksasu. - Sam przypomniał sobie, że kiedyś przeczytał gdzieś, iż ci legendarni stróże prawa czasami prowadzili dochodzenia w sprawie urzędników wydziału szeryfa oskarżonych o korupcję. Miał więc nadzieję, że jego historyjka wyda się Luke'owi przekonująca.

- Lepiej, żebyś to zrobił. Bo Susan twierdzi, że brakuje jej twoich wizyt tu, na ranczu. Powiedziała mi, żebym przestać krążyć po pokoju i załamywać ręce, i zrobił wszystko, co jakoś może ci pomóc.

Sam się uśmiechnął. Poczuł ulgę na myśl o tym, że Maddoksowie postanowili mu przebaczyć.

- Dzięki, chłopie, i uściśnij ode mnie swoją cudowną żonę.

Wymienili się informacjami. Luke podał Samowi odpowiednie współrzędne, a także numer telefoniczny najbliższej placówki Rangerów, natomiast Sam przekazał Luke'owi hasło dające dostęp do jego skrytki internetowej, a także instrukcje dotyczące uruchomienia tego samego automatycznego programu e - mailowego, jakiego kiedyś użył do zdemaskowania kalifornijskiej firmy, która oszukała tysiące swoich własnych emerytowanych pracowników.

- Czy to nie przez takie rzeczy omal nie wylądowałeś w więzieniu ostatnim razem? - przypomniał mu Luke. - Daj spokój, McCoy. Dobrze wiesz, że federalni nabrali dużej wprawy w tropieniu tego rodzaju...

- Nie chodzi o to, żeby go uruchomić. To tylko zabezpieczenie, coś w rodzaju karty przetargowej. - Objaśnił dawnemu partnerowi swój plan, pomijając jeden istotny szczegół.

- Jeżeli to wróci do mnie... Jeżeli to w ostatecznym rozrachunku zaszkodzi mojej rodzinie...

- Nie zaszkodzi - obiecał Sam. Zdawał sobie sprawę, że wszystkie szczegóły operacji i sposób działania będą wskazywać na niego. I gdyby program został uruchomiony, znaczyłoby, że on sam został zabity, a wówczas nie musiałby się przejmować tym, co by mówiono o jego planie.

Zresztą nie miał dobrej reputacji, nie musiał się o nią martwić, ani żadnych zobowiązań rodzinnych, bliskich, którzy mogliby ucierpieć.

Myślał z żalem o córce Aarona, swojej prawie bratanicy, i o więzach z rodziną Luke'a, tak wątłych i kruchych, że mógłby je zniszczyć najlżejszy wiatr. I pomyślał też o Ruby Monroe. Jeśli chodziło o tę relację, miał do niej jeszcze mniejsze prawa, chociaż serce podpowiadało mu coś innego.

- Co zrobiłaś z flashdrive'em, który dała ci twoja przyjaciółka? - Dygocząc z wściekłości, Best stał nad Ruby Monroe. Z jego ręki zwisał kabel przedłużacza.

Jedno oko Ruby było tak opuchnięte, że nie mogła go otworzyć, a głowa opadła bezwładnie. Była ranna i wciąż zamroczona. Czuła, że umiera.

Cóż on, do licha, wyrabiał? Porzucił swoje zobowiązania i wszelką logikę, żeby dać upust atakowi złości? Może to coś wracało tu, może ropiało w tym samym bagnie, które go spłodziło? Tak bardzo starał się zachować spokój, tak ciężko pracował, by zawsze nad sobą panować, a teraz został z tego spokoju odarty. Ale jak mógł nie dotrzymać obietnicy, którą dał swojemu pracodawcy? Jak mógł znieść resztę życia, opuszczony w królestwie cieni?

- Proszę. - Po brudnej twarzy Misty Bailey ciekły łzy. - Rozkuj mnie, żebym mogła zająć się siostrą. Jeżeli ona umrze, po co było to wszystko? I w jaki sposób dowiesz się, czego szukasz?

Wpatrywał się w nią podejrzliwie, ale za wszelką cenę chciał odzyskać kontrolę nad sytuacją... i nad sobą.

- Mogę ci pomóc - powiedziała . - Mogę ją skłonić, żeby powiedziała, co zrobiła z... Co to było? Flashdrive? Na pewno mi powie... kiedy tylko będzie w stanie mówić.

Krzyknęła i zrobiła unik, gdy nagle opuścił kabel przedłużacza i rozdarł prześcieradło, które zakrywało dolną część jej ciała. Przerażenie w jej oczach sugerowało, że bała się, iż zedrze z niej brudne spodenki i zgwałci ją - że sądziła, iż on jest taki sam, jak ten odrażający bydlak, którego nieraz od niej odrywał.

Best nawet nie tknął spanikowanej kobiety, tylko przyglądał się jej przykutej łańcuchem kostce u nogi. Była czerwona, bardzo opuchnięta i ciągle coś się z niej sączyło. Gdyby Misty uciekła, nie zaszłaby daleko, a poza tym już dawno temu udało mu się ją zastraszyć, zniszczyć nie tak znowu wielką wolę oporu.

- Jeśli cię rozkuję, a ty spróbujesz uciec... - Patrzył jej prosto w błękitne oczy. - ...Znajdę cię i zmuszę do patrzenia, jak będę je zabijał. Potrafię sprawić, żeby to trwało bardzo długo. Wierzysz mi?

Skinęła głową i dostrzegł w niej kobietę złamaną, całkowicie podporządkowaną jego woli.

- Wierzysz?! - ryknął, przysuwając się tak, że dzieliło go od jej twarzy najwyżej kilka centymetrów.

- Tak, naprawdę ci wierzę i obiecuję...

- To ja obiecuję tobie - szepnął, podekscytowany poczuciem władzy, totalnej dominacji. Już czuł erekcję, która nie miała nic wspólnego z rozpostartym przed nim gibkim ciałem, tylko ze słabością, którą mógł wykorzystać. - Obiecuję ci, że to ty będziesz musiała poderżnąć temu dziecku gardło, i że kiedy zaoferuję ci tę możliwość, podziękujesz mi za to, że dałem ci narzędzie, żebyś mogła uciszyć jej krzyki.

- Będziesz miał wszystko, co tylko zechcesz - przyrzekła Misty. - Tylko pozwól mi pomóc siostrze. I pozwól mi pomóc tobie. Proszę.

Przeświadczony, że całkowicie kontroluje sytuację, Best poszedł do swojej sypialni, żeby zabrać stamtąd miskę z wodą, ostry nóż i klucze do dwóch zamków, których użył do skucia Misty.

Po powrocie z sypialni oznajmił;

- Masz godzinę na wydobycie tej informacji. Dokładnie jedną godzinę, a potem zabieram się do prący.

Rozdział 33

Wiara w ponadnaturalne źródło zła nie jest konieczna; ludzie sami są zdolni do każdej niegodziwości.

Joseph Conrad

Kiedy przyjechał ojciec Justine i wreszcie miała szansę odsłuchać wiadomości z poczty głosowej, przepojona rozpaczą furia Pauliego Hammetta zmroziła jej krew w żyłach. Skrzywiła się, słysząc potok wulgaryzmów. Rozłączyła się, wskoczyła do swojego SUV - a i zaczęła jechać w stronę Jeziora Południowego, nie zważając na krew swojego syna, którą była usmarowana jej biała jedwabna bluzka.

W obecnym stanie Hammett mógł zrobić wszystko, powiedzieć wszystko komukolwiek. Przybity nieznośnym, niewysłowionym bólem, był kompletnie nieobliczalny.

Do pewnego stopnia musiał zdawać sobie sprawę z tego, że nie miała nic wspólnego ze śmiercią Dylana. Ale przez wszystkie te lata, ilekroć młodszy Hammett coś zbroił, zawsze czuwał nad nim ktoś z Woffordów, kto chronił go przed skutkami lekkomyślnych poczynań. W każdym razie z pewnością robił to jej mąż, pozwalając Pauliemu dyskretnie umieszczać syna na odwyku, zamiast postawić mu zarzuty.

Dlatego kilka tygodni po śmierci Lou Paulie powiedział Justine, że czuje się pewniej, wiedząc, iż odznakę szeryfa przejął członek rodziny Woffordów, a nie ten „upierdliwy Savoy". Kiedy Paulie pierwszy raz zaproponował jej poparcie, myślała, że ojciec Dylana oraz jego przyjaciele - najbardziej wpływowi biznesmeni w regionie - mieli na myśli tylko pomoc przy zbieraniu funduszy. Może gotowanie raków w restauracji Hammett's nad jeziorem Lake, a w najlepszym razie uroczystą kolację w miejscowym klubie.

Nie zrozumiała, co tak naprawdę znaczyła „propozycja poparcia" w tym lokalnym wyścigu, i nie pojęła szokującej łatwości, z jaką ktoś z zewnątrz mógł zostać wessany w lokalną machinę wpływów. Sprawę komplikowało przeświadczenie Hammetta i jego kumpli, że ona musiała wiedzieć, o co chodzi, bo przecież, jak to sami określali, „blisko współpracowali" z jej mężem przez sześć kadencji z rzędu.

Zanim zrozumiała, że jej nowi sojusznicy zamierzali ukraść dla niej wybory, było już za późno, żeby się wyplątać z tej sieci wpływów. Gdyby to zrobiła, zniszczyłaby swoją karierę, a może

nawet poszła do więzienia, w dodatku wyszłyby na jaw rozmaite przestępstwa Lou.

Dlatego pozwoliła namówić się na zaakceptowanie czegoś, co było nie do pomyślenia. Wmówiła sobie, że to dla dobra obywateli Preston County, że taki zakłamany palant jak Roger Savoy nie powinien dowodzić miejscową policją. Że kiedy ona obejmie władzę, uda jej się zmienić układy, pokaże tutejszym ważniakom, że stoi na straży prawa.

Była to beznadziejnie naiwna myśl, podręcznikowy przykład tego, jak publiczny urzędnik uległ pokusie korupcji.

- Myślisz, że możesz przyjąć naszą pomoc, a potem odgrywać dziewicę Maryję? - zapytał ją kiedyś Hammett. - Będziesz się stawiać, to wszystko się wyda, i oboje wiemy, czyje cholerne nazwisko pojawi się w nagłówkach. A co się stanie z tym twoim chłopaczkiem, kiedy będziesz odsiadywać wyrok?

Pocieszała się myślą, że przecież ci mężczyźni, najbardziej wpływowi biznesmeni Dogwood, nie domagali się wiele za swoje pieniądze. Ot, „zagubiony" mandat za wykroczenie drogowe, wzmocnione patrole wokół ich posiadłości, osobista uwaga, kiedy oni mieli problemy albo ich rodziny były w potrzebie.

I dzisiejszego wieczoru ta niepisana umowa została złamana. Hammett myślał, że ona celowo go zlekceważyła, wysyłając swojego podwładnego z informacją, że znaleziono zwłoki jego jedynego dziecka. A co gorsza, kiedy Dylan poniósł konsekwencje swoich działań, ona była na służbie.

Ale parę minut drogi od Hammettów odebrała wiadomość: meldunek o tym, że zadzwoniono na policję z telefonu zarejestrowanego na zaginioną Misty Bailey.

Nie mając armii, której konieczność sugerował Luke, ani nawet dostępu do jakiejkolwiek broni z wyjątkiem nożyka, Sam zaryzykował anonimowe zgłoszenie do Teksaskich Rangerów, a potem wrócił do ukradzionej łodzi. Mając za przewodnika tylko księżycową poświatę i latarkę o silniejszym świetle, szybko ruszył w stronę dobrze znanego rozlewiska; wyprawa, w biały dzień zajęłaby tylko dwadzieścia minut.

Zanim ruszył w drogę, zawahał się, a potem znów zadzwonił, tym razem do informacji, gdzie poprosił, żeby go połączono z biurem motelu Od Haczyka do Piekarnika.

Opal odebrała po szóstym sygnale. Kiedy zorientowała się, że to on, w jej starczym głosie wyczuł napięcie.

- Tamta kobieta... kobieta, która była z tobą... Trisha widziała, jak on ją zabierał. Wrzucił ją do bagażnika i odjechał.

Samowi serce podeszło do gardła. Ruby.

- Kto to zrobił? Kto? Zadzwoniłaś, żeby to zgłosić?

- Samochód to ciemny mustang... Tyle wie. I są tam już jacyś ludzie szeryfa. Znaleźli... Mówią, że znaleźli ciało w bagażniku tego białego samochodu, który prowadziłeś. Samie

McCoy, czy zabiłeś tego mężczyznę? Czy dałam schronienie zabójcy?

- Nie. Przysięgam, że to nieprawda. Wszystko ci wyjaśnię, kiedy tylko Ruby będzie bezpieczna.

- Trisha zobaczyła, że drzwi do twojego pokoju zostały wyważone. Jeśli zostawiłeś tam jakieś cenne rzeczy, to już ich nie ma. Z wyjątkiem... Znalazła psa, skamlał pod drzwiami.

- Żyje? - Sam był bliski załamania.

- Nic suni nie jest. Będziemy ją trzymać w recepcji, Przynajmniej do jutra wieczorem, potem musimy wyjechać.

Podziękował jej, rozłączył się i uruchomił silnik łódki. Jeżeli Best przetrzymywał Ruby, miał laptopa i flashdrive'a - to Sam musiał działać natychmiast. Powziął decyzję. Nie mógł siedzieć bezczynnie ani uciekać, żeby ratować własną skórę, podczas gdy kobieta, na której mu zależało - którą być może nawet kochał - była w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Ruszył w szalonym tempie, licząc na swoją pamięć i znajomość kanałów, i modlił się, żeby łódź nie roztrzaskała się o jakiś powalony konar, albo nie natrafiła na inną przeszkodę, bo wtedy zginąłby na miejscu i nie miałby szansy dotrzeć tam, gdzie zamierzał.

I jeśli zostanie zauważony przez policjantów, oby nie został poczęstowany kulami, zanim uda mu się przekonać ich, żeby ratowali Ruby.

Woda obudziła Ruby, fale jeziora przelewały się po jej twarzy, kiedy leżała na plecach.

Tylko że tym razem senny koszmar miał jeszcze ścieżkę dźwiękową - ponurym obrazom towarzyszył głos Misty.

- Musisz się obudzić, Ruby. Musisz ze mną porozmawiać. Znów wilgoć. Ale Ruby rozpoznała chłód wilgotnej ściereczki, którą

przyłożono jej do twarzy. To powodowało straszliwy ból ledwie widziała.

Misty chwyciła ją za ramię i potrząsnęła.

- Nie, Ruby, nie możesz zemdleć.

- Nie dotykaj... nie dotykaj mnie - błagała Ruby. - Boli. Tak strasznie boli. Pozwól mi wrócić do...

- Nie. Czy ty nie rozumiesz? On zabije Zoe. Jeśli nie powiesz mu o tym flashdrive'ie, potnie ją na kawałki!

Natychmiast otworzyła oczy. A przynajmniej jedno oko. Nie była nawet pewna, czy wciąż jeszcze ma lewe oko.

Przypływ adrenaliny przesunął granice wytrzymałości, dał jej tyle siły, że usiadła wyprostowana na łóżku. Zobaczyła, że Misty siedzi na krześle, nie była skrępowana, a kidnaper gdzieś wyszedł.

- Powiedz mi - błagała Misty. - Powiedz mi, zanim on wróci. Co z tym przedmiotem zrobiłaś, Ruby? Mamy tylko kilka minut, zanim on...

- Musimy wziąć Zoe i wynosić się stąd natychmiast.

- Czyś ty zwariowała? Ledwo mogę chodzić, a ty absolutnie nie jesteś w stanie.

Nadludzkim wysiłkiem Ruby stanęła na nogach. Poczuła mdłości, ale zmusiła się do zrobienia paru kroków i, zataczając się, dotarła do drzwi dzielących ją od córki. Miała wrażenie, że pokój wiruje, a gwiazdy wybuchają jedna po drugiej.

- Po prostu daj mu to, czego chce - wyszeptała Misty ze złością. - Czy ty choć raz w życiu nie możesz mnie posłuchać?

Ruby przytrzymała się klamki, żeby zachować wyprostowaną pozycję, a potem odparła zniżając głos:

- Czy nie sądzisz, że dałabym mu tę cholerną rzecz, gdybym ją miała?

Chociaż klamka przekręciła się, drzwi tylko zagrzechotały, kiedy próbowała je otworzyć. Po drugiej stronie Zoe zawołała:

- Mamo, przyszłaś nas zabrać? Czy przyszłaś mnie zabrać, tak jak obiecałaś?

- Jestem tu, Zoe. Jestem tu, kochanie. - Prawie nie widziała na oczy i na oślep szukała spojenia drzwi. W końcu znalazła klamkę i zamek kombinacyjny, który ją zabezpieczał.

Za plecami usłyszała metaliczne szczęknięcie. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś właśnie odbezpieczył broń.

- Może ja ci pomogę - odezwał się głos, który wzbudził w niej jeszcze większy niepokój. - Pozwól, że otworzę drzwi i wyprowadzę twoją córkę.

Rozdział 34

To, czego się lękamy, przychodzi szybciej niż to, na co mamy nadzieję.

Publiusz Syrus, Sentencje

Ruby była tak przytłoczona emocjami, że osunęła się na kolana. Ulga, że po dwunastu miesiącach i podróży przez piekło wreszcie zobaczyła swoje dziecko. Furia na widok splątanych włosów i chudości Zoe, przerażenie w jej oczach. Miłość i strach, i obezwładniający ból, znacznie gorszy od fizycznej udręki, jaką wcześniej znosiła.

Objęła córeczkę krwawiącymi rękami i pocałowała ją w skroń. Zoe płakała i krzyczała na porywacza, okazując największe oburzenie, na jakie może się zdobyć czteroletnie dziecko.

- Zrobiłeś krzywdę mojej mamusi! Jesteś bardzo złym człowiekiem.

- Zamknij się, jeśli nie chcesz, żebym jej zrobił jeszcze większą krzywdę. - Złapał Zoe za ramię i pociągnął do siebie.

Nie chcąc jej puścić, Ruby wstała i wbiła się klinem między tych dwoje. A kiedy odwracała się plecami do uzbrojonego mężczyzny, poczuła zimny metal przy skroni. Słyszała już wcześniej, jak odbezpieczył pistolet.

- Naprawdę chcesz, żeby ona patrzyła, jak umierasz w ten sposób? - szepnął przez zaciśnięte zęby mężczyzna, który mówił, że nazywa się Best, chociaż Ruby rozpoznała w nim J.B. McCoya. - Chcesz ją zbryzgać swoim mózgiem i kośćmi, i krwią, zanim potnę ją na kawałki?

Poczuła taką wściekłość, że puściła Zoe i odwróciła się, żeby zmierzyć go gniewnym wzrokiem. Zaledwie centymetry dzieliły ją od dobrze znajomej twarzy. Ale teraz twarz J.B. nie była podobna do twarzy jego brata, Sama.

- Chore pogróżki naprawdę cię podniecają, co? - Ponieważ było oczywiste, że mężczyzna zamierza je zabić, że musiałby je zabić, nawet gdyby mogła mu dać tego przeklętego flashdrive'a, upatrywała jedynej nadziei w tym, że na moment uda jej się go przewrócić. Modliła się w duchu, żeby ten moment dał jej choćby minimalną szansę na uratowanie rodziny. - Rzeczywiście, jesteś świrem, J.B.

McCoy. Nawet do pięt nie dorastasz takiemu mężczyźnie, jakim był twój brat. Z tego, co widzę, nie jesteś nim wcale.

Jak w zwolnionym tempie, zobaczyła, że bandyta wykrzywia twarz, porusza ręką, kładąc palec na spuście, podczas gdy lufa wędruje w stronę klatki piersiowej Zoe. Zbyt późno uświadomiła sobie, że J.B. zamierzał ją ukarać, zabijając Zoe. Zbyt wolno opuściła ramię, żeby z całej siły wyrżnąć nim napastnika w brzuch.

Stała zbyt blisko, uderzyła zbyt wolno i zbyt słabo, by mógł odczuć cios.

Za to jej siostra Misty wyrżnęła go w potylicę miską do wody. Zatoczył się, wymachując rękami. Kula, którą wystrzelił, odbiła się rykoszetem od czegoś i rozbiła szybę w pobliżu frontowych drzwi.

J.B. runął na ziemię, a wraz z nim Ruby, która krzyczała do Misty:

- Zabierz stąd Zoe! Natychmiast!

Jednym kolanem Ruby z całej siły naparła na tę rękę J.B., w której trzymał pistolet. Był od niej dużo wyższy i silniejszy, nie miała szansę na chwycenie czy przytrzymanie broni. Mogła co najwyżej zacisnąć pięści i zrobić wszystko, żeby absorbować jego uwagę tak długo, jak to możliwe.

Gdy tylko Sam usłyszał wystrzał z pistoletu, przedarł się przez zarośla i skoczył na frontowy ganek, gdzie przystanął i zajrzał przez rozbite okno do środka.

Usłyszał krzyk Ruby: „Zabierz stąd Zoe! Natychmiast!" Zobaczył, że ogląda się za siebie, zbyt oszołomiona, by zaciągnąć wrzeszczące dziecko do okna. Widział szamotaninę na podłodze. Zrozumiał, że Ruby zagrała o najwyższą stawkę, poświęciła szansę przeżycia, byle tylko umożliwić swojej rodzinie ucieczkę.

Ale Misty i Zoe stały nieruchomo, zbyt przerażone, żeby zareagować.

Wykorzystując światło latarki, rozbił resztę szyby i przechylił się, żeby chwycić Misty.

- Wyłaź. Rusz się! - wrzasnął.

Odwróciła się i spojrzała na niego wielkimi oczami. Wyciągnął na zewnątrz najpierw ją, a potem Zoe.

- Ruby! - krzyknęła Misty.

- Bierz ją. Uciekaj! - krzyknął Sam, kiedy wewnątrz domu rozległ się drugi strzał.

Rozdział 35

Niech się mężczyzna boi kobiety, gdy ta kocha:

wówczas ponosi ona wszelkie ofiary, a wszystko inne wydaje się jej bez wartości.

Fredrich Nietzsche Tako rzecze Zaratustra

(Fredrich Nietzsche Tako rzecze Zaratustra. Książka dla wszystkich i dla nikogo, tłum. Wacław Berent. Vesper, Poznań, 2006.)

Brzęk rozbijanego szkła mieszał się z krzykiem Zoe. Ruby usłyszała drugi męski głos... Sama? Sam żył i był tutaj?

A potem nastąpił trzask, zupełnie jakby cały świat rozbił się na kawałki. Gryzący odór dymu. Wstrząs wywołany najsilniejszym ciosem, jaki kiedykolwiek jej zadano.

Oszołomiona, odruchowo chwyciła się za bok, czując potworny ból. Prawa dłoń lepiła się od ciepłej krwi. Mózg oswajał się ze świadomością, że to nie był jednak silny cios - została postrzelona. Dobiło ją to bardziej niż kula, i znów miała szare plamy przed oczami i znieruchomiała, nie mając odwagi nawet zaczerpnąć oddechu, bo każdy nerw zdawał się wrzeszczeć bezrozumnie.

J.B. musiał wiedzieć, że jest skończona, bo jednym szybkim ruchem wstał na nogi. Rzucił się do okna, w stronę Misty i Zoe, a ręką, w której trzymał pistolet, zatoczył łuk i wycelował broń w twarz Sama. Ten rzucił się na niego, padły strzały.

Uświadomiła sobie jednak, że tym razem strzał padł z zewnątrz, a na dworze była jej rodzina. Nie mogła zrobić nic, żeby ocalić swoich bliskich.

I nawet nie miała szansy, żeby się z nimi pożegnać.

Sam przypuścił gwałtowny atak na mężczyznę, tak że obaj runęli na podłogę, i natychmiast dotarło do niego, że J.B, ten okrutny dupek, który był jego bratem, jakimś cudem tu jest. Że nie został aresztowany w Nowym Meksyku, jak sugerował agent o rudawym zaroście, ale pracuje dla zabójcy, Hobsona Besta, i pomaga mu rozeznać się w terenie.

Nie dbał ani trochę o szczegóły, nie w sytuacji, gdy z zewnątrz dochodziły strzały. Wzbudziły w nim lęk, że Best gdzieś tam jest i chce zabić Misty i Zoe.

Chwycił J.B. za nadgarstek, usiłując wyrwać mu pistolet, podczas gdy brat starał się podnieść kolano i kopnąć go w czułe miejsce.

- Zawsze byłeś... - Sam wykręcił się, żeby uniknąć tego manewru, i znalazł się na J.B. - ...gotowy walczyć nieczysto, popaprańcu.

Kiedy przygwoździł do podłogi przedramię brata, usłyszał trzask pękającej kości i kątem oka dostrzegł Ruby.

Leżała nieruchomo. Patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Przez palce, które rozcapierzyła na boku, sączyła się krew. Była zalana krwią. W jednej chwili dotarł do niego, że mogła już nie żyć.

Z okrzykiem niepohamowanej wściekłości, Sam uciekł się do przemocy, której wyrzekał się przez całe życie. Mimo że wymierzył bratu kilkanaście mocnych ciosów, nie zmusił go do wypuszczenia z ręki broni, dlatego użył swojej wolnej ręki, żeby z kieszonki na pasie wyjąć nożyk.

- Jesteś tylko cieniem. Mniej niż nikim - ryknął J.B., w momencie gdy jego lewa pięść lądowała na głowie Sama.

Siła uderzenia była tak potężna, że Sam zatoczył się i wypuścił z ręki nożyk. Poczuł, że świat się przewraca, i zbyt późno uświadomił sobie, że jego brat odzyskał przewagę i przewrócił go na plecy, spocony i zadyszany z wysiłku, wepchnął mu pod brodę lufę pistoletu. Na jego oczach niezdarna zajadłość nikczemnego pijaka przeradzała się w coś, co kazało Samowi zastanowić się, jaką piekielną metamorfozę jego brat przeszedł w więzieniu, i jak można byłoby wytłumaczyć te mordercze ogniki w niewzruszonych, absolutnie trzeźwych oczach J.B. Czy był... Czy niepozorny opryszek mógł przemienić się w zabójcę znanego jako Hobson Best?

- Ty zawsze... zawsze myślałeś - mówił szyderczym tonem J.B. - że tylko ty jesteś coś wart. Że tylko ty, popaprańcu, zasługujesz na porządną rodzinę i pieprzoną naukę w college'u. Jedyny McCoy, który mógł zostać prawdziwym zawodowcem albo zająć się na dobre komputerami.

- Jeśli uważasz, że sfałszowanie kilku rozmów telefonicznych robi z ciebie...

- A teraz spójrz no tylko na siebie, nieudaczniku - ciągnął J.B., jakby w ogóle nie usłyszał słów Sama. - Zdechniesz jak pierdolony pies, kiedy tylko powiesz mi, gdzie są te pliki. Powiesz mi, co z nimi zrobiłeś, bo teraz wiem, że tkwisz w tym po uszy. Wiem, że ty je od niej zabrałeś.

Skinął głową w stronę Ruby, która leżała za nim na podłodze. Poruszyła ręką i przekręciła się na bok. A więc ona żyje, przynajmniej na razie. Jednak Sam nie miał pojęcia, jak utrzymać ją przy życiu.

Justine wciąż była przyczajona. Oddychała płytko, wpadając w panikę... Musiała zebrać w sobie wszystkie siły, żeby jej nie ulec.

Nadal nie miała pojęcia, kto do niej strzelił. W świetle latarki dostrzegła dwie poruszające się osoby, obie ubrane na czarno, w goglach noktowizyjnych, które również były czarne. Krzyknęła: „stać!", przedstawiła się i patrzyła, jak tych dwóch się rozdziela. Krążyli i strzelali, aż w końcu zniknęli w zaroślach. Z pewnością byli to zawodowcy, a nie jakaś żałosna zbieranina ćpunów ze wschodniego Teksasu, których, prawdę mówiąc, spodziewała się tu zastać. Wyłączyła latarkę i włożyła ją do kabury, podniosła upuszczoną przez siebie broń. Ręka dygotała jej tak mocno, że Justine pomyślała, iż będzie miała dużo szczęścia, jeśli trafi w jakiś nieruchomy cel.

Wiedziała, że czekają ją tu wielkie kłopoty, że w każdej chwili jakiś snajper może ją zdjąć. I sama była sobie winna, bo złamała reguły postępowania swojego wydziału. Zamiast poczekać na wsparcie, jak powinna to była zrobić - wsparcie ze strony jej ludzi, a także agentów z Agencji Zwalczania Narkotyków, z którymi współpracowała - ona uciekła, gdy tylko usłyszała strzał.

Uciekła w poszukiwaniu możliwości odkupienia, a tego nie da się nabyć za pieniądze. To była głupia, odruchowa reakcja, przez którą jej dziecko mogło zostać sierotą. Snajperom wystarczyłoby ją okrążyć, żeby zastrzelić albo przechwycić, kiedy wracała do SUV - a, zaparkowanego przy drodze, z wyłączonymi światłami. Pomyślała, że być może trafiła albo nawet zabiła jednego z nich podczas wymiany ognia - świetnie zdawała sobie sprawę, że noktowizory, praca zespołowa i znakomite wyszkolenie dawały im wielką przewagę.

Ale ona również przeszła szkolenie w Morton County, szkolono ją, by przestrzegała procedur bezpieczeństwa, które ustalono z ważkich powodów. W wyobraźni mignęła jej twarz Noah i pomyślała: Niech mnie szlag, jeśli pozwolę, żeby państwo wsadziło cię do jakiejś gównianej placówki i faszerowało cię tam środkami uspokajającymi.

Poderwała się i zrobiła krok w stronę drogi, ale zaraz okręciła się na pięcie, bo usłyszała, że ktoś przedziera się przez zarośla za jej plecami.

Zanim zdążyła strzelić, jakaś kobieta zawołała:

- Pomocy... Musisz nam pomóc! Moja siostra... Ruby jest tam na tyłach i on ją zabije.

- Misty? Misty Bailey? - Zdumienie sprawiło, że serce Justine, które już i tak biło zbyt szybko, zaczęło pracować jak oszalałe. - Masz ze sobą Zoe?

- Szeryf Wofford? - Misty potknęła się na oświetlonej księżycem ścieżce, trzymając w ramionach dziecko.

W ułamku sekundy Justine dostrzegła szansę, o którą modliła się przez kilka ostatnich miesięcy. Szansę, by nadać sens swojej karierze - i diabelskiemu paktowi, na który przystała, żeby zdobyć wymarzone stanowisko.

- Tędy - komenderowała, bardziej niż kiedykolwiek pewna siebie i swoich umiejętności. - Zabieram cię do jakiegoś bezpiecznego miejsca.

- Ale moja siostra... - protestowała Misty, zagłuszana płaczem Zoe.

- Zaraz przyjedzie pomoc. - Justine natychmiast wyznaczyła priorytety. Najważniejsze jest bezpieczeństwo dziecka, potem Misty, a potem jej. Nie mogąc liczyć na przewagę liczebną ani na lepszą broń, wiedziała, że postąpiła najlepiej, jak tylko mogła.

I z tego, co zauważyła w zachowaniu Ruby Monroe, dla tej kobiety bezpieczeństwo jej rodziny byłoby zapewne jedyną ważną rzeczą.

Rozdział 36

Tam gdzie jest tajemnica, zazwyczaj podejrzewa się również, że musi istnieć zło.

Lord George Byron

Skoro jest już martwa - oświadczył lodowatym tonem Sam - sprzedam ci to, na czym ci zależy. Za pół miliona.

Wszystko płynęło przed oczami Ruby. Ból zdawał się tworzyć wiry, które w każdej chwili mogły ją pociągnąć na dno: ten ból był silniejszy niż poczucie ulgi, że Sam jednak żyje. Czy myślał, że ona nie żyje? I czy mógł być naprawdę tak gruboskórny, żeby chcieć obrócić jej tragedię w zysk? A może po prostu rozpaczliwie szukał sposobu, żeby uratować swoje życie?

I co z tego? Czy nie postąpiłaś tak samo, kiedy pozwoliłaś Carrie Ann pojechać ciężarówką dostawczą? Czy nie wmawiałaś sobie, że jej problemy nie są twoimi problemami?

Sam przez ułamek sekundy patrzył w jej stronę. W tym momencie pojęła, na czym polega jego manewr - zrozumiała, że szukał jakiejś szansy, żeby ją uratować.

Nie rób tego, Sam. Uciekaj stąd. Przecież nawet nie walczyłeś o swoje.

J.B. usiadł i trzymał Sama na muszce, odwrócony plecami do Ruby, co znaczyło, że przynajmniej nie dostrzegał już w niej żadnego zagrożenia. Zresztą, całkiem słusznie, bo każdy oddech był udręką, uchodziło z niej życie, wciąż powiększała się kałuża krwi na podłodze.

Zupełnie jak Elysse... Pomyślała o przyjaciółce, konającej samotnie i w przerażeniu, świadomej tego, jak wiele marzeń już nigdy się nie spełni. Ruby nagle poczuła wściekłość, aż zazgrzytała zębami i zawzięcie walczyła o to, by nie stracić przytomności.

I przypomniała sobie o czymś, co przesunęło się po podłodze, kiedy bracia walczyli. Modląc się, żeby to był telefon, omiotła ręką podłogę, próbując go znaleźć. Wprawdzie rozmowa przez telefon byłaby zbyt dużym ryzykiem, ale może przynajmniej udałoby się wykręcić numer na policję. Dla niej może było już za późno, ale miała nadzieję, że przynajmniej uda się uratować Sama i jej rodzinę. I że J.B. McCoy zapłaci za to, co zrobił.

- Jeśli cię zabiję, to i tak wezmę go sobie razem z komputerem, którego użyłeś, żeby spreparować fałszywkę. - Best, albo J.B., bo pod taką ksywką go znała - wydawał się diabelnie ubawiony sytuacją. - Poza tym mojemu pracodawcy tak naprawdę zależało na zademonstrowaniu czegoś. Chodziło o przykład, jak daleko DeserTek jest skłonna posunąć się, żeby chronić swoich...

- Chyba nie myślisz, że przyjechałem tu z prawdziwym drive'em - powiedział Sam. - Poza tym jeśli mnie zabijesz, nie zapobiegniesz automatycznemu rozsyłaniu e - maili, które ujawnią tajemnice DeserTek wszystkim ważniejszym mediom w tym kraju. Proces już się zaczął i nie da się go powstrzymać, jeśli pieniądze nie znajdą się na koncie założonym... J.B. wybuchnął śmiechem.

- Dlaczego sądzisz, że pracuję dla DeserTek? I dlaczego myślisz, że ujawnienie ich tajemnic nie było od początku naszym celem?

Ruby opuszkami palców natrafiła na coś. Nie mogła tego dosięgnąć. Nie zważając na niedorzeczne zaprzeczenia ze strony J.B., zacisnęła zęby i spróbowała przysunąć się do tego przedmiotu.

Ból sprawił, że przez chwilę nic nie widziała, ale zacisnęła zęby i udało jej się, objęła palcami coś twardego i plastikowego, co ani kształtem, ani wielkością nie przypominało telefonu.

Łzy pociekły jej po twarzy. Żal, że tyle cierpienia - zaznanego przez Carrie Ann i przez jej rodzinę, i przez nią samą - pójdzie na marne, że poświęcenie Sama i możliwości, które się przed nimi roztaczały, zostaną zgniecione pod kołami korporacyjnej chciwości.

Sam głośno spierał się teraz z J.B., ale teraźniejszość ustąpiła pod naporem wspomnienia. Czuła, że wędruje na dno Jeziora Kości, gdzie wzbierające lekko małe fale powtarzały wcześniejszą rozmowę:

„A jeśli nie jesteś w stanie wystąpić przeciwko systematycznemu mordowaniu, to przeciwko czemu wystąpisz?... Przeciwko czemu?... Przeciwko czemu?"

Ruby powoli traciła świadomość, ale palce muskały chłodny metal, a nad nią mieniły się jej słowa, błyszczały w świetle słońca.

„Występuję w obronie mojego dziecka, Sam, i siostry, którą właściwie ja wychowywałam..."

Występuję...

Występuję...

Wstała z ogromnym wysiłkiem, przedarła się na powierzchnię, dźwignęła na nogi. Krótki okres przypływu przed odpływem.

Wbiła ostrze w szyję J.B., zachwiał się, idąc w jej stronę i strzelił na oślep. Ruby padła na ziemię.

Sam kopnął broń upuszczoną przez J.B., który zawył z bólu i wyszarpnął nóż z szyi; trysnęła krew, zalewając Sama. Schylił się po broń, ale J.B., który wciąż słaniał się, zignorował ten ruch, odwrócił w stronę Ruby i podniósł nóż, jakby chciał zadać cios.

Runął jednak na podłogę, przyciskając rękę do rany na szyi.

Sam nie zwracał na niego uwagi. Zatknął pistolet za pasek i podszedł do Ruby. Kiedy zobaczył jej obrażenia, poczuł pieczenie w oczach.

Wziął ją za rękę.

- Udało ci się. Uratowałaś Misty i Zoe. I uratowałaś nas.

Nie był pewien, czy uratowała swoją rodzinę, a co dopiero czy ocaliła własne życie. Nie był pewien niczego oprócz jej odwagi i tego, jak ścisnęło mu się serce, kiedy spojrzała na niego, zaprzepaszczone przez chciwą korporację. Ruby szepnęła:

- Udało się nam. Dzięki tobie.

Nagle, z ogłuszającym trzaskiem otworzyły się frontowe drzwi i do środka wpadli dwaj mężczyźni ubrani na czarno, z odbezpieczonymi karabinami. Sam pomyślał, że to agenci federalni, ale ten pierwszy, o posturze i muskułach, które zaimponowałyby najbardziej barczystemu bramkarzowi, krzyknął do Sama:

- Ochrona DeserTek. Cofnij się, ręce do góry, chyba że chcesz zginąć.

Ale Sam nie mógł zostawić Ruby.

- Ona jest poważnie ranna. Nie pozwolę wam jej zabrać. Nie pozwolę.

Ku jego zdumieniu zamiast go zastrzelić, podeszli do J.B. Podczas gdy jeden z mężczyzn osłaniał Sama, drugi gwałtownym ruchem odsunął rękę J.B. od bryzgającej krwią rany i przygwoździł jego nadgarstek buciorem.

- Pracujesz dla spółki Colo - field. czy dla Global Missions? - zapytał ostrzyżony na jeża najemnik.

J.B. miał wywrócone białka oczu; wił się w konwulsjach.

- Która z nich cię wynajęła? - wrzeszczał żołnierz, ale J.B. już nie odpowiedział. Przestał oddychać i znieruchomiał.

Sam uświadomił sobie, że jego brat, który prześladował go w dzieciństwie, a potem był jego koszmarem na jawie - jest martwy.

Jednak wątpił w to, czy będzie mu dane żyć dostatecznie długo, by poczuć ulgę.

Mężczyzna, który go pilnował, wrzasnął:

- Klękaj, ale już!

Obejrzał się na Ruby, oddychała, ale była nieprzytomna. Chciał umrzeć przy niej.

Posłuchał rozkazu i splótł ręce na karku. Zamknął oczy, najemnik stanął za nim. Odliczał ostatnie sekundy, a jednocześnie myślał o zapachu Ruby, o tym, jaka była w dotyku, o świętej chwili, w której bliskość ich ciał pozwoliła im złagodzić ból i osamotnienie, o tym, że porzucił odosobnienie i całkowicie poświęcił się wspólnemu zadaniu: misji uwolnienia jej rodziny.

I kiedy tak rozmyślał, żałował nie tego, że jego życie będzie tak krótkie, żałował wszystkich tych lat, które zmarnował, przyciskając nos do okna życia. Lat, które spędził jako przybrane dziecko i syn kryminalisty, zamiast żyć prawdziwym życiem jako Sam McCoy.

- W porządku, tu już skończyliśmy! - zawołał najemnik, który prowadził poszukiwania.

I ku zdumieniu Sama dwaj mężczyźni wybiegli przez frontowe drzwi, zostawiając go żywego, a także - o czym natychmiast się przekonał - zostawili Ruby starannie obandażowaną, dzięki czemu przestała krwawić.

Rozdział 37

Tylko schodząc w otchłań, odzyskujesz skarby życia. Tam, gdzie się potykasz, leży twój skarb.

Joseph Campbell, Przewodnik po twórczości Josepha Campbella

Cztery miesiące później...

Zostawię was same, żebyście mogły to przedyskutować. - Pani adwokat z Dallas, ubrana w elegancki kostium, podeszła majestatycznym krokiem do drzwi gabinetu, w którym było mnóstwo skóry, mebli z orzecha włoskiego i ręcznie tkany perski dywan. Trzymając rękę na klamce, Delia Scott odwróciła się w stronę swojej klientki. Na jej twarzy malowało się współczucie. - Kiedy podejmie pani decyzję, pani Monroe, może pani poprosić sekretarkę, żeby mnie wezwała - będę pracować w sali konferencyjnej. Albo, jeśli będzie pani potrzebować więcej czasu, po prostu proszę do mnie zadzwonić.

Cicho zamknęła za sobą drzwi, zostawiając Ruby i Misty same; nie mogły wyjść z szoku, jaki wzbudziła w nich nieoczekiwana oferta. Ruby nigdy nie myślała, że nadejdzie ten dzień, chociaż ostrzegano ją, że DeserTek będzie próbować ją zmęczyć nieustannym odraczaniem rozpraw i wnoszonymi apelacjami.

- Nie rozumiem tego. - Chociaż Misty sprawiała wrażenie zdenerwowanej, to wyglądała o wiele zdrowiej i normalniej niż przez ostatnie miesiące. Na cześć ich podróży do miasta... oraz pierwszej całodziennej wycieczki, jaką jej siostra odbywała po długiej rekonwalescencji, Misty zadbała o wygląd: spięła długie włosy i włożyła modrą sukienkę, która podkreślała jej urodę.

Ruby doszła do wniosku, że darmowa terapia społecznościowa była warta o wiele więcej, niżby wskazywała na to jej cena. Dla nich wszystkich, włącznie z Zoe, która tak bardzo cieszyła się, że może znów bawić się z dziećmi w przedszkolu prowadzonym przez panią Lambert.

- Media rzuciły się na sprawę DeserTek - ciągnęła Misty - a twoje zeznania doprowadziły do... niech pomyślę... aresztowania kilku urzędników. Na pewno muszą cię teraz nienawidzić. Zatem dlaczego proponują ugodę?

- Z tej samej przyczyny, dla której uratowali mi życie. - Ruby nieświadomie dotknęła gojącej się rany w boku. Chociaż była na dobrej drodze do całkowitego wyzdrowienia, rany, które odniosła

dusza, nie chciały się zabliźnić, a wspomnienia - tyle wspomnień - wycisnęły na niej swoje piętno. - Mają nadzieję uratować to, co zostało z firmy, i udawać, że są czyści i dali się oszukać.

Misty wywróciła oczami.

- Niezła sztuczka jak na firmę oskarżoną o zabicie pięciu pracowników za granicą.

Ruby z roztargnieniem pokiwała głową, zastanawiając się, czy to prawda, że większość personelu kierowniczego DeserTek nie miała pojęcia o tych morderstwach... włącznie z przyrodnim bratem Elysse i Grahamem Michaelem Worthem, który przysłał dwóch speców DeserTek od ochrony najemników, gdyż to, co powiedziała, wzbudziło jego podejrzenia.

- Nie mieliby szans, żeby się z tego wywinąć - mówiła Ruby - gdyby nie to, że Global Missions zaczęła się do nich dobierać przeze mnie - przez ciebie i Zoe - tu, na amerykańskiej ziemi.

Podczas pobytu w szpitalu Ruby ze zdumieniem dowiedziała się, że właśnie ta korporacja, z siedzibą na Florydzie - rywal DeserTek w walce o kontrakt na sześćset milionów - naraziła jej rodzinę na śmiertelne niebezpieczeństwo. Wszystko po to, by ujawnić tajemnice DeserTek i zniszczyć za pomocą negatywnego rozgłosu lepiej zorganizowaną i słynącą z bezwzględności firmę. Stało się jednak na odwrót - to nieudolny nowicjusz Global padł, podczas gdy DeserTek walczyła o uratowanie milionów, które zablokował rząd, zamrażając aktywa korporacji.

- Jeśli przystaniemy na ugodę, DeserTek ma jakąś szansę - tłumaczyła Ruby. - Jeżeli będziemy kontynuować walkę, media im nie odpuszczą i każdy trybunał zapewne przyzna nam znacznie więcej niż trzy przecinek osiem.

Trzy miliony osiemset tysięcy to była obecna oferta, już po odjęciu wynagrodzenia dla adwokatki Ruby. Zamierzała podzielić to odszkodowanie na trzy części: jedną dla siebie, jedną dla swojej siostry, a jedną trzecią dla swojej córki, żeby zabezpieczyć jej przyszłość. Wprawdzie rząd również miał wziąć swoją dolę w postaci podatku, ale pozostała kwota i tak robiła wrażenie.

- No, to co chcesz zrobić? - zagadnęła ostrożnie Misty, unikając patrzenia siostrze w oczy.

Ruby zrozumiała. Firma DeserTek chciała szybko położyć kres koszmarnym wspomnieniom, proponowała wyjście, gdyby tylko ona sama była gotowa dać za wygraną, odpuścić walkę o sprawiedliwość.

Patrząc na okno, które wychodziło na skąpane w słońcu centrum miasta, rozmyślała o innych skutkach afery: o tym, że Justine Wofford i jej nieżyjący mąż przyjmowali łapówki przesyłane za pośrednictwem pewnej zamorskiej firmy, najprawdopodobniej w celu chronienia kilku miejscowych i nie całkiem legalnych ośrodków hazardu; o Pauliem i Annie, którzy byli załamani... po tragicznej śmierci syna; i o Samie... Boże, wciąż strasznie raniła ją świadomość ciężkiej sytuacji Sama, który siedział w federalnym więzieniu za naruszenie warunków zwolnienia.

Trafił za kratki, ponieważ nie chciał jej opuścić, nawet w sytuacjach, gdy zdawał sobie sprawę, że zapłaci za to najwyższą cenę.

Połykając łzy, Ruby spojrzała na siostrę.

- Wiem, że jesteś gotowa skończyć swoje zajęcia i wynieść się z tego nędznego domu, który wynajmujemy.

- Rzeczywiście, jest w nim trochę ciasno - zauważyła Misty.

- Mówisz to takim nonszalanckim tonem, jakbyś to nie ty sprowadziła do domu dwa dorosłe zwierzaki zamiast jednego malutkiego kotka. - Ruby złagodziła tę tyradę uśmiechem, wzruszona spiskiem, jaki zawiązały Zoe i Misty, żeby uratować zarówno kota Elysse - którego Ruby nazywała teraz Belze - Bubbą - jak i labradorkę Sama, Javę.

- Mówisz to takim nonszalanckim tonem - odcięła się Misty - jakbyś to nie ty wypłakiwała oczy, kiedy przyjechałaś ze szpitala i zobaczyłaś te zwierzaki.

Ruby poczuła ucisk w gardle na myśl, że gdyby spóźniły się o kilka dni, obu zwierzętom groziłoby uśpienie i stałyby się dwiema ostatnimi ofiarami tej ponurej historii.

Czy miała pozwolić na cierpienie tylu innych ofiar tylko po to, żeby zabezpieczyć swoją rodzinę? Czy miała jeszcze raz odwrócić się plecami do Carrie Ann Patterson i zrezygnować z walki o mężczyznę, który zaryzykował wszystko, żeby jej pomóc?

Podjęła decyzję i natychmiast wstała.

- Przykro mi, Misty. Wiem, że chcesz, by ta sprawa zakończyła się, ale tak się nie stanie... To nie będzie możliwe. Nie będzie, dopóki DeserTek nie zajmie się rodzinami osób, które przez nią zginęły w

Iraku. I dopóki grube ryby zarządzające firmą nie uruchomią wszystkich możliwych wpływów, żeby Sam McCoy wyszedł na wolność. Bo jeśli nie, to słowo daję, zainteresuję tym media.

Dwa tygodnie później Ruby i jej siostra pojechały do Dallas, gdzie znów spotkały się z panią adwokat. Kiedy Ruby czytała tekst umowy, zauważyła, że siostra bacznie się jej przygląda - prawdopodobnie zastanawiała się, czy Ruby zmusi się do podpisania dokumentu.

Wahając się, Ruby spojrzała na Delię Scott.

- Wciąż nie jestem usatysfakcjonowana.

Jej rozczarowanie nie ograniczało się tylko do twierdzeń DeserTek, iż firma absolutnie nie jest w stanie wpłynąć na sędziego federalnego. Oczy ją piekły na myśl o Samie, który nie zgodził się na jej prośbę o widzenie w zakładzie karnym. Chociaż za pośrednictwem swojego adwokata upierał się, że nie chce, żeby ona widziała go w areszcie, nie mogła uwolnić się od dręczących ją przez bezsenne noce myśli, że prawdziwy powód wiązał się z gniewem. Że obwiniał ją za to, iż znalazł się w więzieniu, i żałował tych piekielnych dni, które razem spędzili.

Piekielnych, jeśli nie liczyć jego szczodrobliwości, pociechy, jaką jej ofiarował. Piekielnych, jeśli Ruby nie brała pod uwagę miłości i wdzięczności, które wezbrały w jej sercu przez kilka ostatnich miesięcy. Wyglądało na to, że beznadziejnej miłości.

- Zrobiła pani coś naprawdę wielkiego dla tych rodzin - powiedziała łagodnie Delia. - Bez pani głowiliby się w sądzie nad tą sprawą latami. Jest pani bohaterką, Ruby.

- To Sam jest bohaterem. - Łzy ciekły jej po twarzy. Oddała pióro, którego użyła do podpisania dokumentu. - I proszę zobaczyć, co mu to dało.

Kiedy spotkanie się skończyło, Misty wzięła głęboki oddech, a potem zapytała siostrę, czy nie poszłaby z nią na lunch. Wyczuwając jej niechęć, dorzuciła:

- No, Ruby. Może to tylko częściowe zwycięstwo, ale obie wiemy, że życie jest krótkie i trzeba korzystać z każdej okazji do świętowania.

Misty wydawała się taka zatroskana i pełna nadziei, że Ruby uścisnęła ją w spontanicznym geście. Siostra tyle przeszła, że

zasługiwała na symboliczne zamknięcie tej sprawy, małą uroczystość, która zakończyłaby ten bolesny rozdział w jej życiu.

- Masz absolutną rację. - Ruby zrobiła, dla Misty, pogodną minę. - Chodźmy stąd. Starsza siostra postawi ci lunch w najbardziej snobistycznej, najdroższej restauracji, jaką ma do zaoferowania wielkie D'.

Kiedy Misty prosiła życzliwą urzędniczkę, żeby zarekomendowała taką restaurację, Ruby miała wrażenie, że tamta kobieta puszcza oko. Ale zanim zdążyła zastanowić się, o co chodzi, Misty wyprowadziła ją na zewnątrz i odwróciła uwagę paplaniną o planach powrotu na jesienny semestr kursu dla reporterów sądowych. Dwadzieścia minut później zajechały pod restaurację w niemiłosiernie dymiącej landarze. Misty zakryła usta, żeby się nie roześmiać na widok przerażonej miny człowieka parkującego samochody, i rzuciła mu kluczyki.

- Tylko proszę uważać, żeby go nie porysować. - Kiedy szły w stronę ozdobnych podwójnych drzwi, Misty się roześmiała. - Myślisz, że nas wyrzucą?

- Jeśli to zrobią - odparła Ruby, zmuszając się do uśmiechu - to zmyjemy się stąd, znajdziemy jakieś zimne piwo, gorący grill i dwóch jeszcze gorętszych kowbojów.

Misty odwróciła się i wlepiła w nią zdumione spojrzenie, zapewne dlatego, że od tak dawna Ruby nawet nie próbowała dowcipkować. Jednak w oczach Misty pojawił się smutek i Ruby też spoważniała.

Kiedy usiadły przy stole, zagadnęła:

- Przekazałaś szefowi sali liścik?

Misty pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

- Wręczyłam mu napiwek, to wszystko. Czy nie tak powinno zachowywać się w tego typu miejscach?

Obserwując rumieńce na twarzy Misty, Ruby przez chwilę była podejrzliwa. Ale według zaleceń ich terapeuty, żeby całkowicie dojść do siebie, powinna nauczyć się znów ufać siostrze, dlatego zmusiła się do wymazania tego drobiazgu z pamięci.

Misty chyba wyczuła jej wątpliwości, bo milczała aż do momentu, kiedy podano im wymyślnie przyrządzone sałatki.

- Wiem, że udajesz ze względu na mnie. Wiem, że jesteś rozczarowana tym układem, i wiem dlaczego.

Ruby podniosła głowę.

- Dlaczego? - zapytała, jakby mogła o tym zapomnieć chociaż przez chwilę.

- Daj spokój, Ruby. Nie musisz udawać ze względu na mnie.

- Przestań. - Ruby poruszyła się energicznie, odłożyła widelec i wytarła usta serwetką. - W tej chwili przestań. Nie... nie psujmy tego.

Ale zanim wypowiedziała te słowa, zgarbiła się w poczuciu porażki.

- Sam ma rację, że nie chce mnie widzieć - dodała ciszej. - To jest sytuacja bez wyjścia. Nigdy nie moglibyśmy... Właściwie przez wiele, wiele lat. Nie ma zwolnienia warunkowego w federalnym...

- Ty go kochasz, prawda? - Misty wydawała się zachwycona. - Jesteś w nim zakochana.

Ruby nie potrafiła się do tego przyznać siostrze, i powiedziała:

- Jestem mu wdzięczna, Misty, i serce mi się kraje na myśl o tym, że przeze mnie siedzi w więzieniu. Ale jeśli chodzi o „miłość", byliśmy razem tylko przez kilka...

- Ludzie wiele dowiadują się o sobie przez kilka dni, gdy są w śmiertelnym niebezpieczeństwie - zapewniła Misty. - Więcej niż inni ludzie potrafią dowiedzieć się przez całe życie. A poza tym, Ruby, muszę ci powiedzieć, że Sam jest...

- Zostawmy ten temat, proszę. Mam córkę, którą muszę wychować. - Wpatrywała się błagalnie w oczy siostry. - I życie, które muszę przeżyć najlepiej, jak umiem. A skoro mam to robić, to muszę się nauczyć być wdzięczną losowi za to, co odzyskałam, a nie rozpaczać z powodu tego, czego nie mogę mieć. Muszę o nim zapomnieć.

- Nie chcę widzieć, jak cierpisz.

Ruby z trudem przełknęła ślinę i dodała bez przekonania:

- Wszystko się ułoży. Ułoży bez... Sam?

Zrobiły wielkie oczy, kiedy wysoki mężczyzna przecisnął się obok nadętego szefa sali, który aż zasapał z oburzenia, że intruz ma na sobie znoszone dżinsy i nie włożył krawata. Jednak Sam McCoy go zignorował i rozglądał się dookoła, aż dostrzegł Misty, która wstała i wymachiwała rękami, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

- Strasznie mi przykro, Ruby. - Czerwieniąc się okropnie, Misty pośpieszyła z wyjaśnieniami. - FBI próbuje zatrudnić Sama jako kogoś w rodzaju konsultanta... Myślę, że chodzi o zabezpieczenia

komputerowe w branży finansowej. Ale nikt nie wiedział, kiedy i czy w ogóle uda się załatwić jego zwolnienie, dlatego postanowiliśmy... Nie mogłabym znieść widoku twojego rozczarowania, gdyby się nie udało, więc...

Mówiła dalej, ale Ruby nie zwracała już na nią uwagi, otrząsnęła się z szoku i biegła do Sama. Zanim wyciągnęli ku sobie ręce, znała już odpowiedź na swoje wątpliwości i lęki, zobaczyła odbicie całego bólu i miłości, i tęsknoty, jakich zaznała podczas jego nieobecności.

Ale kiedy rzuciła mu się w ramiona, w jego pocałunku znalazła o wiele więcej. Właściciele restauracji patrzyli ze zdumieniem na tę scenę i szeptali między sobą, szef sali napomknął o „niestosowności publicznego okazywania uczuć", ale Sam pomachał wsuniętym między palce banknotem, i mały człowiek przestał zwracać na nich uwagę. Tymczasem Ruby zastanawiała się, czy związek, zbudowany na tragedii, może być dobry i trwały, i czy to wszystko nie skończy się katastrofą.

Ale namiętność wzięła górę. Ruby przestała dręczyć się złymi przeczuciami i pozwoliła sobie mieć nadzieję, że szczęście ich nie opuści.